

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 8/250-9/251 1968



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Cz. MIŁOSZ : LITURGIA EFRAIMA
W. IWANIUK : NAJMNIEJSZA ANTOLOGIA
ZA NASZ I WASZ... STALINIZM - DWA TYSIĄCE
SŁÓW - APEL CZTERECH "S" - LIST "PIĘCIU"

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Liturgia Efraima</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	13
Jan Warski:	<i>Kino Centralne</i>	22
Bogdan Adamski:	<i>My home, my castle</i>	29
Wacław Iwaniuk:	<i>Najmniejsza Antologia</i>	37

OBSERWATORIUM

—	<i>Za nasz i wasz... stalinizm</i>	71
—	<i>Dwa tysiące słów</i>	77
—	<i>Apel czterech S</i>	83
—	<i>List „pięciu”</i>	85

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Czyja krowa?</i>	92
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	101
Włodzimierz Sznarbachowski:	<i>Włoska partia komunistyczna (P.C.I.) o Czechosłowacji</i>	108

SĄSIEDZI

Arkadij W. Bielinkow:	<i>List otwarty</i>	115
Wienjamin Kawierin:	<i>Do Konstantina Fiedina</i>	124
Pavel Hanus:	<i>Do przyjaciela-Moskala</i>	126
Pavel Hrisny:	<i>Odpowiedź polskiemu koledze</i>	129
Józef Łobodowski:	<i>Znamienna napaść</i>	131

KRONIKA KULTURALNA

Wiktor Weintraub:	<i>Długos o Sępie-Szarzyńskim i baroku</i>	137
Adam Sutkowski:	<i>Międzynarodowa wystawa sztuki gotyckiej w Paryżu</i>	147
Tadeusz Kotarbiński:	<i>Niezbędne przypomnienie</i>	151

STRATY KULTURY POLSKIEJ

W. A. Zbyszewski:	<i>Dwaj Lednicy</i>	153
Boyden Marison:	<i>Wspomnienie o Profesorze</i>	161

ZE ŚWIATA

Zygmunt Nagórski, sr.:	<i>Dynastia Kennedy'ch</i>	173
------------------------	----------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z zeszytu lektury</i>	193
E. Zagiell:	<i>Encyklopedia Litewska</i>	198
Adam Czerniawski:	<i>Jak blisko ziemi</i>	209
Adam Sutkowski:	<i>Albumy Historyczne PWM</i>	213
Andrzej Nakov:	<i>Bajki z głuchej krainy</i>	220
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	225



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	227
--------------	----------------------------	-----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	230
------------	----------------------------------	-----



W. Cygan, K. A. Jeleński, J. Żubrzycki:	<i>Listy do Redakcji</i>	237
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Sierpień-wrzesień - Août-Sept. 1968

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Arkadij W. BIELINKOW, którego List Otwarty zamieszczamy w bież. nrze, jest pisarzem sowieckim który niedawno wybrał wolność na zachodzie. Bielinkow ma lat 47. 9 lat odsiedział w łagrach — od 1947 do 1956 roku. Przez krótki czas pracował w Instytucie Literatury Światowej im. Gorkiego w Moskwie; był współpracownikiem znanego miesięcznika *Nowyj Mir*.



WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Bezimiennie, New York	F. 38,50
W. Osadczuk, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 9,00
Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona (USA), po raz szósty ..	F. 29,00
Anonimowo od czytelnika z Polski	F. 20,00
Wanda Lubelska, Stockholm	F.100,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dziewiąty	F.100,00
W uznaniu odwagi, humoru i talentu Januarego Grzędzińskiego, bezimiennie, Paryż	F.100,00
Bezimiennie, Paryż, po raz piąty	F. 50,00
Bezimiennie, Philadelphia, Pa. (USA)	F.100,00
Karolina Górecka, Sao Paulo (Brazylia) dla uczczenia pamięci zmarłego męża, Piotra Góreckiego	F.195,00

DZIĘKUJEMY!



P. 9786 Chł. Arch.

Imprimé en France

Liturgia Efraima

Część pierwsza: komentarz wyjaśniający kim był Efraim

Działo się to w czasach kiedy niepokój ludzi był mniej niż kiedykolwiek przesłonięty, ponieważ mnóstwo czynności którym do niedawna poświęcano czas i energię ujawniło swoją bezużyteczność i jałowość. Z pewnym nawet zdziwieniem starano się odtworzyć przebieg tamtej, innej, transformacji, jakże już odległej, skoro najwyraźniej dobiegał końca okres przez nią zapoczątkowany. Teoretycznie wiadano wprowadzić dla czego przodkowie, zachwiani w swoich nawykach przez Wiek Rozumu, stopniowo, szukając zastępczych kultów, doszli do uwielbienia skromnych w istocie zajęć, tak że małe i nieznaczące stało się duże i znaczące, po to tylko żeby teraz znowu kurczyć się do właściwych rozmiarów. Teoretyczna wiedza, wspomagana komputerami, które dokonywały analizy umysłowości w danym miesiącu i w danym roku poprzez analizę języka, nie całkiem jednak wyjaśniała zagadkę tych szczytów i przywilejów, jakimi zostały obdarzone np. granie na lutni czy układanie sonetów czy powlekanie farbą deski albo płótna. Przez millenia człowiek znajdował przyjemność w wytworach swojej ręki i umysłu, w dotykalnych dowodach swoich wszechstronnych uzdolnień, nie przychodziło mu jednak na ogół do głowy że to co uprawia nazywa się Sztuką i zasługuje na bałwochwalcze hołdy. Jak więc właściwie, w jakiej chwili, nastąpił przełom, zapytywano, przełom nie najmniej ważny, skoro do licznych podziałów ludzi na kategorie dodał nowy: podział na umysły wyższe, zdolne do wtajemniczeń w literaturę i sztukę, i umysły niższe, skazane na grube, niewybredne rozrywki.

Upadek całego zespołu poglądów przyjmowanych mniej czy bardziej odruchowo w ciągu całego długiego okresu był jak się zdaje nieunikniony po prostu wskutek ilości. W połowie dziewiętnastego stulecia malarze i poeci uchodzili za osobniki nieco podrzędne, o słabej równowadze psychicznej; były to małe grupki tzw. cyganów ubolewających nad swoim niskim stanowiskiem społecznym i dlatego odnoszących się z pogardą do zazywanych współobywateli, zwanych przez nich pospolitymi zjadaczami chleba, filistynami, filistrami czy wręcz świniami. Co do powieściopisarzy, to starali się uczciwie dostarczać publiczności ciekawych opowiadań, jakkolwiek już wtedy pojawiły się wśród nich jednostki o większych pretensjach i ambicjach, skłonne spędzać tygodnie nad stroną prozy i zapewniać, siebie przynajmniej, że ich męczeńska samo-dyscyplina ma sens wyższy, niedostępny dla ludzi przeciętnych. Zarazem w snobizmie klas zamożnych dałoby się już odnaleźć zapowiedź jutra, kiedy to galerie sztuki i biblioteki, umieszczane zwykle w środku rozległych parków, zyskały miano świątyń cywilizacji.

W połowie dwudziestego wieku liczba malarzy, rzeźbiarzy, poetów i prozaików dosięgła setek tysięcy, po czym rosła już w postępie geometrycznym, także wskutek technologicznego przyspieszenia, które zarówno pozbawiało masy wpływu na decyzje w dziedzinie polityki i ekonomii, jak gwarantowało, dzięki automacji, każdemu niemal kto tego chciał, nieduży dochód bez obowiązku pracy. Jakkolwiek ta okoliczność mogła tylko wspomagać samoczynny rozwój zjawiska pojawiającego się z innych przyczyn, również ona tłumaczy dlaczego już w początku następnego stulecia tak zwanych ludzi sztuki, oficjalnie zarejestrowanych, liczone na miliony, przy czym ten zawód podawali między innymi kuglarze, magicy wyciągający króliki z kapelusza, linoskoczkowie, jak też wyrabiacze ruchomych obrazków pokazywanych na ekranach. Statystyki zresztą są zawodne, skoro poza tym nieobjęte żadnymi cyframi miliony oddawały się lepieniu rzeźb ze szkła i metalu, pisaniu wierszy i powieści, oraz mieszanii farb na paletach. Bardziej wymowne są milcząco wówczas przyjęte *tabu* obyczajowe. Podczas gdy najbardziej wątpliwe hasła, z propagandą samobójstwa i mordowania dzieci włącznie, spotykały się z dobroduszną tolerancją a najjaskrawsze nawet seksualne dziwactwa nie gorszyły nikogo, nie znikło bynajmniej pojęcie bluźnierstwa. Ktokolwiek go się dopuścił, napotykał blade z przerażenia twarze i przekonywał się, że wyłączył siebie z ludzkiej wspólnoty: wystarczyło żeby powiedział, że sztuka jest zabawą, popisem rzemieślniczej zręczności i że niesłusznie widzi się w niej rewelację jakichś nieuchwytnych tajemnic. Kolekcje bibliotek w większości składały się z mikrofilmowanych książek o owych tajemnicach zawartych

w artystycznym dziele (za które, jak rzekliśmy, uchodziło również wyciąganie królików z kapelusza), oraz z książek o tych książkach.

Tak znaczna mnogość nie mogła pozostać bez skutków. Kiedyś wiele rozprawiano o „twórcach” i „odbiorcach”, teraz jednak wyrazy te stały się całkiem bezużyteczne, jako że pozostali sami „twórcy” jeżeli wyłączymy tę część ludzkiego gatunku, która zajmowała się tylko zarobkiem, sexem i podziemnym myślistwem. Była to jakby olbrzymia hala z ustawionymi w niej nieskończonymi rzędami fortepianów: każdy grał na swoim fortepianie nie starając się innych zagłuszyć, a w ogólnym zgiełku, nawet przestając grać na chwilę, słyszał tylko najbliższego sąsiada. Komizm tego rodzaju zatrudnień, które z założenia miały być arystokratyczne a stały się powszechne, przyspieszał co bardziej wybrednych, inne też czynniki przygotowywały nagły krach. Pierwszych objawów upadku wiary w sztukę należy szukać sięgając daleko wstecz, do lat kiedy wszedł w modę tak zwany strukturalizm, na razie przyjęty radośnie przez twórców i komentatorów twórczości w jednej osobie, ponieważ zdawał się ich w poczuciu ich własnej wagi i dostojności utwierdzać. Niestety podczas gdy każdy z nich miał nadzieję siebie ocalić od niepamięci, czego widowym znakiem było jego imię i nazwisko na książce albo w kącie obrazu, strukturalizm zapowiadał ich klęskę. Gdyż pouczał, że nie oni posługują się językiem ale język posługuje się nimi, nie oni tworzą styl ale styl ich tworzy, tak że wszystkie barokowe sonety są w gruncie rzeczy jednym sonetem napisanym przez barokową episteme, wszystkie barokowe malowidła jednym malowidłem, co stosowało się też oczywiście do teraźniejszości i podrywało zaufanie do rzekomo ściśle własnych, wysoce indywidualnych cech tego co się robi. Strukturalizm był już na miarę nowej fazy, kiedy to co dzień ukazywało się w druku 100.000 niemal identycznych wierszy i wystawiano na widok publiczny 100.000 niemal identycznych produktów tzw. sztuk plastycznych.

Zbyt poważne potrzeby ludzkiego serca wyrażały się w kulcie sztuki żeby koniec tego mitu nie pozostawił przeraźliwej pustki. Trudno było oczekiwać że zawiedzeni znajdą pociechę w filozofii. Ich zaprawa w mglistościach, marzeniach na jawie, półtonach, aluzjach do nieistniejącej głębi była zbyt jednostronna i stwierdzmy po prostu, że prawie nikt nie miał filozoficznego wykształcenia, za co odpowiedzialność ponosiły szkoły i uniwersytety, bo czego tam uczono jako filozofii nie nadawało się do spożycia. Tylko matematycy i fizycy zapuszczali się w te amfilady sal gdzie pod marmurowymi popiersiami Kartezjusza, Kanta i

Husserla debatowano o filozofii danych świadomości, częściej co prawda o filozofii języka. Raz wepchnięta w rolę służebnicy nauk ścisłych, przyjaciółka mądrości, jak ją kiedyś nazywano, żadnej mądrości nie obiecywała. Wygląda na to, że świat sprowadzony do funkcji umysłu był dla zwykłego człowieka blady, nieprawdziwy i wręcz odrażający i że, tak jak organizm odrzuca niezdrowy pokarm, odmawiał on przyswojenia sobie wiedzy degradującej rzeczywistość. Niewątpliwie ludzie pragnęli filozofii bytu, tej jednak nie było. Teologowie tak gruntownie zaklinowali ją niegdyś Św. Tomaszem z Akwinu, że dotychczas nie udawało się jej odklinować i to pomimo znakomitych prób w tym kierunku przedsięwziętych przez paru katolickich przedstawicieli realizmu. Marksizm natomiast nadal płacił kosztą swoich eschatologicznych przepowiedni o człowieku wolnym od alienacji, które poniosły całkowitą porażkę, jak to stało się widoczne wszystkim, skoro powszechność sztuki nie była niczym innym niż wynikiem procesu alienacyjnego na masową skalę; jakkolwiek marksizm od dawna usiłował przykrywać swoją ontologiczną chudość zapożyczeniami, głównie z francuskiego poety romantycznego Teilharda de Chardin, nie były to przedsięwzięcia udane. Nic dziwnego że w tych warunkach szerzyła się mądrość innego rzędu, nie zabiegająca nawet o nazwę filozofii, płynna, niejasna, nieokreślona, przypominająca tę płataninę pół-zwierząt, pół-bogów jaką można oglądać na obrosłych dżunglą pomnikach architektury w południowej Azji. Zresztą rodowód jej wyraźnie wskazywał na te okolice i jakkolwiek podróże misyjne przeróżnych guru z Indii nie należały do nowości, nigdy jeszcze nie zyskiwali oni tak wielu uczniów i zwolenników. Dla bardziej krytycznych umysłów była to mądrość pozorna, pasożytująca na ogólnym niedokszałceniu i nawykach jakie zaszczerpił myślowy chaos.

Takie było tło historyczne działalności Efraima, bynajmniej nie eremity jak jego patron Św. Efraim Syryjczyk, choć czasy w jakich żył nie były całkiem pozbawione analogii z epoką Niceańskiego Soboru. Efraim od młodości przebywał w bulgoczącej mieszaninie ras, języków i tradycji, rzeklibyśmy, w wielkiej *bouillabaisse* cywilizacji, obracany jej wirowym ruchem tak jak inni, przeważnie bezdomni potomkowie chrześcijańskich kościołów i synagogi, pozbawieni w dodatku tych religijnych pociech zastępczych jakich dość długo dostarczała sztuka. Zetknął się więc z mnóstwem sekt i bractw służących ludzkości zatomi-zowanej za schronienie i źródło jakiegoś ciepła, oraz z niejednym pośród ich założycieli, mistrzów yogi, magów i szarlatanów. Chemiczne preparaty zażywane wspólnie w celu duchowych wniebowstąpień miały nadal upartych konserwatywnych zwolenników, którzy rozporządzali licznymi domami rozmyślań i

instytutami imienia Tymoteusza Leary, większą jednak popularnością cieszyły się łatwe w użyciu elektro-ekscytatory, jako że dopływ prądu do centrów mózgowych dawał się regulować i kosmiczny błogostan osiągało się bez przejścia przez stadium piekielnych męczarni jak w wypadku prawie wszystkich syntetycznych naśladownictw pejotlu. Jakkolwiek zwyczajowa i prawna akceptacja odjęła wiele uroku tzw. seksualnym orgiom, nie zanikły one, a ich uczestnicy zapewniali, że jest to najskuteczniejszy środek aby doznać, że posłużymy się terminem jaki wynalazł zapomniany filozof, Metafizycznego Poczucia Dziwności Istnienia. Wszystkie te poszukiwania pozostawały co prawda na poziomie raczej ludowym, podczas gdy bardziej intelektualnie czynnych interesowała głównie religia. Tutaj jednak natrafiali na trudności. Zamknął się cykl rozpoczęty przez Reformację i kościoły protestanckie, uprawiające przez wiele dekad teologię „śmierci Boga”, rozplynęły się stopniowo, dostarczając adeptów klasztorom buddyjskim. Ze względu na inne cywilizacyjne podłoże, zachodni buddyzm oznaczał nie tyle wyznanie, ile ową mglistą orientálną mądrość o której już mówiliśmy. Religia to były połączone kościoły rzymski i wschodni. Sam jednak gatunek wyobraźni ludzi ówczesnych stanowił dla nich niemal nieprzekraczalną przeszkodę kiedy chcieli wierzyć, i najgorliwsi nawet z nich błakali się gdzieś na granicy chrześcijaństwa i agnostycyzmu.

Efraim wyciągał wnioski z załamania się mitu sztuki. Gdyż było nad czym rozmyślać: skradziona niegdyś od Emmanuela Swedenborga doktryna „correspondences” posłużyła poetom i ich uczniom, retorom oraz gramatykom, do obrony symbolicznego szyfru przy pomocy którego istoty ludzkie miały komunikować jedne drugim swoje momenty olśnienia, otarcia się o nieprzenikalny rdzeń bytu. Do tej ostatecznie, najrozmaiciej zresztą przedstawianej, zasady sprowadzał się cały ruch owocujący wreszcie w ciągu stu pięćdziesięciu lat sztuki abstrakcyjnej. Ale obietnica komunikacji przyniosła jej zaprzeczenie, zbudowała Wieżę Babel bełkotu i hałasu wzajemnie się zagłuszających fortepianów. Jeżeli pomimo masowego wysiłku talentów i geniuszów jedynym pełnobrzmącym głosem człowieka pozostały nadal pisma Starego i Nowego Testamentu, należało uznać, że boskość raz tylko przeniknęła w ludzkość, natomiast błąd sztuki był błędem wszystkich surogatów. Efraim nie byłby może tak surowy gdyby nie przyglądał się z bliska cudotwórcom zalecającym chemiczne albo elektryczne „krótsze drogi” do niewyrażalnego, a nawet, w młodości, nie brał udziału w niektórych takich wyprawach. Pokrewieństwo „krótszych dróg” z marzeniami artystów było dla niego niewątpliwe, bo czyż nie poeci pierwsi odkryli „sztuczne raje” haszyszu i opium w wieku pary i latarni gazowych, niejako poświadczając do czego

na prawdę dążą, choćby, jak powiadał jeden z nich, „przez rozprężenie wszystkich zmysłów”?

Efraim nie był filozofem ani teologiem. Chciał komunikować się z innymi poza dziedziną doszczętnie skompromitowanych, najwyższej tu i ówdzie jeszcze bronionych przez fanatyków, doznań estetycznych. Przeciwdziałał milczeniu jakie narzucał wszystkim rozkład mowy na głoski, mruknięcia i okrzyki. Obecność mężczyzn i kobiet zbierających się żeby wspólnie doznać własnej kruchości, nietrwałości w czasie, swojego człowieczeństwa, to było dużo, ale należało włożyć im w usta mowę, a ta mogła być tylko przepisana obrzędem. Liturgia katolicka od chwili zniesienia łaciny coraz wyraźniej zwracała się w stronę lokalnych zabytków folkloru przechowujących język prosty i ogólnie zrozumiały, aż wreszcie jej podstawą stały się Negro Spirituals. Nie odmawiając im zalet, Efraim, który swoje rzemiosło pojmował jako umiejętność kształtowania danego, gotowego, materiału, podobnie jak to czynili niegdyś malarze ikon, sięgał do zapomnianych liturgicznych tekstów łacińskich czy starocerkiewno-słowiańskich a także bezpośrednio do Biblii. Jak się zdaje myśl o jego patronie, autorze hymnów i homilii, nie pozostała bez wpływu na jego zamiary. „Historia o Efraimie, diakonie z Edessy”, przechowana w rękopisie „Raju” Palladiusa, opowiada o śnie jaki miał Efraim Syryjczyk w młodości, zanim jeszcze napisał jakiegokolwiek ze swoich licznych dzieł. Śniło mu się, że z ust jego rośnie winorośl i okrywa się gronami, a mnóstwo ptaków rzuca się na te grona, im więcej jednak je, tym grona są liczniejsze i obfitsze.

Jeżeli Efraim żywił niejakie nadzieje że przyniesie komuś pożytek, były one, jak wolno przypuścić, skromne, skoro wykazywał niezłe wyczucie miary jego czasom właściwej. Działal w obrębie swojej gminy czy zboru, a ten zasadniczo nie różnił się od innych podobnych grup organizujących się spontanicznie, luznie ze sobą związanych, czemu sprzyjało całkowite zatarcie się podziału na, jak to nazywano dawniej, wierzących i niewierzących, oraz decyzja Kościoła aby wyrzec się administracyjnej kontroli, jednym słowem zmiany jakich wyrazem był Pierwszy Sobór Jerozolimski. Ponieważ masowość i powszechność uchodziła za równoznacznik wyjąłowania i skażenia, niezbyt kwapiono się przekazywać innym grupom wynalezione przez siebie formy obrzędu. Warianty jakie wprowadził Efraim, na przykład kazanie w mowie rytmicznej czy spowiedź pojęta jako rodzaj terapeutycznych wyznań z zamkniętymi oczami, nie wobec lekarza czy kapłana, ale całego zgromadzenia, były więc własnością jednego tylko zespołu, poza tym pozostały nieznane. Tym tłumaczy się fakt, że ogłaszamy je tutaj, posługując się zapisami i nagraniami, po raz pierwszy.

Z części drugiej: Msza katechumenów

Diakon: Przystąpię do ołtarza Boga mego.

Zbór: Do Boga który moją młodość uwesela.

Di.: Sądź mnie i mojej sprawy nie kładź ze sprawą bezbożnych. Niechaj nie ma władzy nade mną spodlony i chytry człowiek.

Zb.: Ty jesteś moją siłą, czemu odrzuciłeś mnie?

Czemu w smutku chodzę po ziemi
a nieprzyjaciel mój w dzień i w nocy jest ze mną?

Di.: Posyłaj światło i prawdę, one mnie zaprowadzą
na twoją świętą górę, do twego świętego domu.

Zb.: I przystąpię do ołtarza Boga mego,
do Boga który moją młodość uwesela.

Di.: Wystawiać będę ciebie na cytrze, ty jesteś Bóg mój.
Czemu smutek mój nie ustaje i żyję ze strachem śmierci?

Zb.: Nadzieję połóż w Bogu albowiem spełni się czas
i wystawiać go będziesz w chwale twojego ciała.

Di.: Przystąpię do ołtarza Boga mego.

Zb.: Do Boga który moją młodość uwesela.

Di.: Jego wzywam i wspomaga mnie.

Zb.: Który stworzył niebo i ziemię.

Di.: Przed nim Bogiem wyznaję.

Zb.: Niech zlituje się nad tobą On wszystko mogący i nie bacząc
na twoje błędy zaprowadzi na wieczne życie.

Di.: Amen.

Zb.: Wyznaję przed Bogiem wszystko mogącym i przed ludźmi
którzy dawno umarli ale żyją i mnie usłysz, jakiegokolwiek
było ich imię. Maryja, Piotr, Jan, Paweł, przed całym ich
świętym zbozem i przed tobą, mój bracie, że błędziłem
bardzo myślą, mową i uczynkiem. Moja wina, moja wina,
moja bardzo wielka wina.

Proszę więc ludzi którzy są tu ze mną, Maryję, Piotra, Jana,
Pawła i cały ich zbór święty, a także ciebie, mój bracie,
módlcie się za mnie do Pana nieba i ziemi, naszego Boga.

Di.: Niech się zlituje nad wami On wszystko mogący i nie bacząc
na wasze błędy zaprowadzi na wieczne życie.

Zb.: Amen.

Di.: Swoją łagodność, dobroć i przebaczenie win niech nam okaże
Bóg nasz ukryty, miłosierny i wszystko mogący.

Zb.: Amen.

Di.: Nie będziesz się ukrywać i wrócisz nam życie.

Zb.: A twój lud będzie weselić się w tobie.

Di.: Spraw abyśmy poznali miłosierdzie twoje.

Zb.: I daj nam wiarę w zbawienie przez ciebie.

Di.: Wysłuchaj modlitwy mojej.

Zb.: A wołanie moje niech do ciebie przyjdzie.

Di.: Oddal od nas, prosimy cię Panie, nasze nieprawości, abyśmy
godni byli z czystą myślą przyjąć słowa twoich tajemnic.

Przez jedność naszą z synem twoim Jezusem. Amen.

Przez dobre uczynki ludzi których ręce dotykały tego kamienia i wszystkich kochających ciebie, puść w niepamięć moje winy. Amen.

Oto kładę ciebie w płomień i niech błogosławi ciebie, On, na którego cześć spalać się będziesz.

Pokój wam.

Zb.: I duchowi twojemu.

Lekcja (Ekl. XII, 1-8)

Pomnij na Stwórcę twego w dniach twojej młodości,
nim złe dni nadejdą i nastaną lata
kiedy będziesz mówił: „nie cieszą one mnie”.
Nim słońce się zaćmi i światło i księżyc i gwiazdy
a ledwo spadły deszcze, chmury powrócą.
Kiedy drzeń będą stróże domu i zachwieją się mocni mężowie
i ustaną w pracy mielące bo będzie ich mało,
i słabo widzieć będą które przez okna patrzyły.
Kiedy zawarte zostaną wrota na ulicę
i nie słychać łoskotu żaren a wstaje się na głos ptaka.
Kiedy pieśni umilkną i strach wejść na górę
a na równej drodze serce będzie się trwożyć.
I zakwitnie drzewo migdałowe
i świerszcze polne ociężęją
i za nadto dojrzałe pękać będą kapary
a człowiek zmierzać będzie do swego wiecznego domu.
Już chodzą czekając płaczki na ulicy,
aż przerwie się srebrny sznur i stłucze się lampa złota
i rozbije się dzban u źródła a koło w studnię upadnie.
I wróci proch do ziemi którą był.
I wróci duch do Boga który go dał.
Marność nad marnościami, mówi kaznodzieja, i wszystko
marność.

Zb.: W tobie Boże mieszkaliśmy z pokolenia w pokolenie.

Di.: Jak rozżarzonym węglem oczyściłeś wargi proroka Izajasza,
tak oczyść moje serce i moje wargi, wszystko mogący Boże,
abym godnie opowiadał twoją dobrą nowinę. Przez Jezusa
pomazańca twojego, naszego Pana. Amen.

Pokój wam.

Zb.: I duchowi twojemu.

Ewangelia (Mt. XXI, 18-22)

„A rankiem wracając do miasta był głodny. I ujrawszy przy drodze
drzewo figowe, podszedł ku niemu ale nie znalazł na nim nic prócz liści.
I rzekł mu: Nigdy już z ciebie nie zrodzi się owoc. I natychmiast uschło

drzewo figowe. Co widząc uczniowie zdumiewali się i mówili: Jak mogło
uschnąć tak prędko?

Odpowiedział im Jezus: Zaprawdę powiadam wam, gdybyście mieli
wiarę a nie wątpili, czynilibyście to nie tylko z drzewem figowym ale
gdybyście rzekli tej górze: Unieś się i padnij w morze, stałoby się. I o cokol-
wiek będziecie prosili z ufą wiarą, otrzymacie”.

Kazanie

Był głodny. Oto, bracia i siostry, co możemy zrozumieć
rozmyślając, a wiem, rozmyśla każde z was,
o przedziwnym spotkaniu, tu, naszego zboru.
Gdyż ja, i ty, i ty, powtarzamy sobie: jestem,
ja jestem tutaj, moja ręka, moje kolano, moja twarz
znana z dotyku, z odbić w lustrach, w oczach innych ludzi.
Mój głód, moja cielesna chciwość, mój płacz, moje znużenie.
A zarazem — jak to jest możliwe? łączymy się wymawiając
„my”,

rozpoznając w innym siebie. O, pośród zagadek świata
ta nas udręcza najbardziej: szczególność — ogólność.
Bo czyż każde z nas tutaj nie jest dla siebie jedynym,
pożądającym innego aby mu składał hołd,
umacniał go w ambicji, darzył, pielęgnował?
Jedynym powołanym aby istnieć? Skąd więc „my” bracia
i siostry?

Był głodny. Tylko w prostym, tak, elementarnym
Rozpoznajemy siebie. Bo któż naprawdę jest pewny
że inny człowiek zaznał radości i żalu?
Tylko w głodzie, w pragnieniu, wspólne dzieciństwo nasze.
Rozgniewał się jak dziecko nie mogące pojąć
że są prawa dla rzeczy, jak my buntujemy się co dzień
przeciw niezmienną koleję przyczyny i skutku
która marzenie o sobie w niwecz obraca.

Ale uschło drzewo figowe. Dziecinne zwycięstwo,
boskie zwycięstwo! Tak dziecko jest wywyższone,
tak rozpoznana jest nasza naiwna potęga.
Pod twardym my prawem: co żyje, umiera,
co chciałoby istnieć osobno zamknięte zostaje w cyfrę,
przepada w milleniach, w bilionach bilionów.
Ale uschło drzewo figowe. Słyszycie ten okrzyk uczniów,
którzy widzą, dotknęli a ledwo mogą uwierzyć?

Dlaczego ukarał drzewo? Cóż ono mu zawiniło?
My przecież kochamy drzewa, cześć im nawet oddając,
zawsze gotowi spotkać figlarne dryjady
i żal nam kiedy jak w ogniu zwija się, trzaska zieleni.
Jednakże nie Natura zbawi nas. To wiemy,
choćbyśmy w niej odgadli tęsknotę i pamięć.

Spoza Natury i poza Naturę szedł wzywając nas
do uczestnictwa w sile tej samej modlitwy.
Cóż z tego, bracia i siostry, że słaba jest nasza wiara
i ani gór nie przenosi, ani ratuje od śmierci
jeżeli dano nam znak, zapowiedź naszej istoty
w pierwszej jawności niespełnionego królestwa?
Jak zbieramy się tutaj, oddzielni a przecie jedno,
tak obcować będziemy ze sobą kiedy skończy się czas
i przestrzeń.

Niechaj cyfra nie kazi nam ręki ani czoła
bo każdy byt szczególny znajdzie potwierdzenie. Amen.

- Zb.: Powstałem i jestem ciągle z tobą. Alleluja.
Na mnie położyłeś rękę. Alleluja.
Wysoka i cudowna twoja wiedza. Alleluja. Alleluja.
Przebadałeś mnie i zanim otworzę usta
wiesz jakie wymówię słowo. Alleluja.
- Di.: Dokąd pójde od twego ducha,
sprzed twego oblicza dokąd ucieknę?
- Zb.: Jeżeli wejde do nieba, tam jesteś.
Jeżeli w otchłań zstąpię, tam jesteś.
- Di.: Jeżeli wezmę skrzydła jutrzeńki
i polecę na krańce morza
- Zb.: Poprowadzi mnie twoja ręka,
podtrzyma mnie twoja prawica.
- Di.: Choćbym rzekł: niech okryje mnie ciemność,
i niech noc mnie otoczy, nie światło,
- Zb.: Tobie ciemność nie będzie ciemna
a noc jak dzień zajaśnieje.
Mrok przed tobą jasny jak światło.
- Di.: Moje biodra ty ukształciłeś,
ty uprzedziłeś mnie w łonie matki.
- Zb.: Wielbię ciebie bo jestem twoje dzieło przedziwne.
Niewysłowione twoje uczynki poznaję.
- Di.: Ty dobrze znasz mnie całego, nie tajna tobie kość moja
kiedy zawiązała się w ukryciu
i spletała się w głębinie ziemi.
- Zb.: Jeszcze nie wzeszłem, już mnie twoje oczy widziały,
dzień każdy dla mnie przeznaczony
zapisano w twojej księdze kiedy jeszcze żadnego nie było.
- Di.: Trudne dla mnie są twoje myśli
a ich ilość wielce ogromna.
- Zb.: Jak ziaren piasku nigdy ich nie zliczę,
kiedy budzę się, jesteś przede mną.
- Di.: Twoje królestwo na wieki wieków. Alleluja.
- Zb.: Twoje panowanie z pokolenia w pokolenie. Amen.

Czesław MIŁOŚZ

Fragment z dziennika

VIII. — DZIENNIK

G.: — Rok 1952. Byłem wtedy sekretarzem dyirekcji Banco Polaco w Buenos Aires. Żałosny pan sekretarz! Pensja głodowa — około 100 dolarów na miesiąc — wydajność zero. Antytalent wybitny do funkcji bankowych, nie mogłem zrozumieć z tych papierków, godziny bezsensowne, denerwujące, jałowe... *Trans-Atlantyk* próbowałem pisać, gdy prezes wchodził chowałem pod biurko papiery, jak sztubak. Nawiązałem wtedy współpracę z *Kulturą*, o której już wspomniałem, czołowym miesięcznikiem emigracji polskiej, wychodzącym w Paryżu. Były to pierwsze moje publiczne wystąpienia w języku polskim po piętnastoletniej przerwie. Drugi, czy trzeci, z tych felietoników napisałem w formie dziennika. List od Jerzego Giedroycia, redaktora „ten rodzaj panu odpowiada, może by pan spróbował tak dalej”.

Odtąd do dzisiaj piszę ten dziennik do *Kultury* i urosło tego trzy tomy, z tysiąc stron, czwarty w przygotowaniu. Nie pisuję prawie artykułów, esejów, wszystko co mam do powiedzenia poza czystą sztuką, pakuję do dziennika.

R.: — *Dziennik* chyba mniej jest poczytny...

G.: — Wśród Polaków — bardzo. *Dziennik*, choć zakazany w Polsce, jest tam naprawdę rozrywany, zwłaszcza przez młode pokolenie. Bardziej niż inne moje rzeczy. Ale w innych językach o wiele mniej. *Ferdydurke*, *Pornografia*, *Kosmos*, ukazały się już w jakichś piętnastu krajach, natomiast pierwszy tom *Dziennika* wydano, jak dotąd, tylko we Francji, Niemczech i Holandii. Obecnie ma się ukazać w Stanach, Argentynie i we Włoszech. Następne tomy jeszcze nieprzetłumaczone.

R.: — Dlaczego zainteresowanie *Dziennikiem* jest słabsze? Te wojownicze z cicha pęk zapiski ukazują pana i pańską twórczość w nowym świetle, ale poza tym dla niejednego stały się ważne, gdyż stanowią próbę krańcowej rewizji kultury z nowego, bardzo pańskiego, punktu widzenia. Podkreślano to w prasie. I zgadzam się z tym krytykiem, który powiedział, że dziś, zdawałoby się, wszystkie tabu zostały obalone, a tymczasem *Dziennik* odkrywa całe dziedziny kultury, nietknięte przez myśl krytyczną. A jako lektura to zabawne, żywe, świeże...

G.: — *Dziennik* kupuje się dlatego, że autor sławny. A ja dziennik pisałem, żeby stać się sławny. Oto całe *qui pro quo*.

Poza tym ja... z moim życiem... Gdyby usunąć z dziennika Gide'a bizuterię nazwisk znakomitych, wątpię aby miał wielu na-bywców... Gdzież są moje spotkania z d'Annunziem, albo rozmowy z Claudelem, ja widywałem się w kawiarni Rex z moim przyjacielem Eislerem, z którego miałem dochód bijąc go w szachy. Moje życie szare... Gdyby mój dziennik nie zrobił się sam, niepostrzeżenie, z miesiąca na miesiąc, nigdy bym się nań nie zdobył... *Dziennik*? Ja? Z moim życiem? Cóż za pomysł!

R.: — Ale ta druga strona medalu? Bo przecież żył pan w Polsce i w Argentynie podwójnym, czy potrójnym, czy poczwórnym, życiem? To mogłoby być ciekawe.

G.: — Nie. Zbyt zawile, zbyt nieuchwytnie... I moje życie ukryte było niedociągnięte, nie miało ostrości, barwy, którymi tryskają pamiętniki autentycznych włóczęgów. Musiałbym nadrabiać, sztukować. Czym tedy nafaszerować ten dziennik? Intelktualnymi smakotkami w rodzaju, dajmy na to, paraleli między św. Janem od Krzyża a Erazmem z Rotterdamu? Nie, to nie moja specjalność. Żeby chociaż to mogło być nihilistyczne, apokaliptyczne, albo polityczne... Ale nic. Pusty sklepik.

Tylko że, jak mówię, zaczęło się powoli, z miesiąca na miesiąc... Dlatego właśnie uważam, że literatura jest nieheroiczna, wszystko w niej odbywa się zwolna i nieznacznie, granice nawet najtrudniejsze do pokonania, są zatarte. Ach, jeszcze o jednej trudności zapominałem. Dla artysty, który wyrobił sobie względna pewność ręki w określonym gatunku — liryka, epika, groteska, przypuśćmy — jest bardzo niebezpieczne przejść na tory innego wystąpienia. A już przewyksławianie z języka sztuki na zwyczajną prozę może stać się katastrofą, taki manewr angażuje całość człowieka piszącego. Bałem się tego! Porzucić metafory, styl, pisać zwyczajnie? Miałem już za sobą dwadzieścia lat pracy literackiej, a bałem się tego, jak debiutant!

R.: — A jednak, mimo wszystko, to się stało.

G.: — Bo mnie bardzo a bardzo to było potrzebne!

Miałem już za sobą z dziesięć opowiadań, dwie sztuki teatral-

ne, jedną powieść. I jeśli żywiłem nadzieję, u początku mojego pisania, że powoli stanę się bardziej dostępny i zrozumiały, to teraz już jasne stawało się, że ludzie wciąż nie wiedzą, jak mnie czytać, czego we mnie szukać. Któż mógł mnie udostępnić, objaśnić? Krytycy? W pewnej chwili chyba każdy artysta odkrywa, że krytyka nie tylko na nic nie może się przydać, ale że jest jedną więcej przeszkodą na drodze do czytelnika. Bardzo przynębiające odkrycie. Utwór artystyczny aspiruje do jedyności, a krytyka, nawet najlepsza, z natury swojej kataloguje, klasyfikuje, niweluje, roztopia w ilości, w produkcji. To jest wbrew samej istocie sztuki, dlatego jest nieміte i brzmi jakoś niemądrze. I nie wynaleziono dotąd sposobu, by pan X, niewysoki duchem, nie przybierał tonu sędziego pisząc w gazecie artykuł o Homerze — to także razi. Nie ma chyba artysty, który by nie połapał się w końcu, że krytyk to wróg, nawet gdy chwali.

Mnie tam, wtedy, w Argentynie, nad rzeką olbrzymią, samotność cmentarna gnioła. Sztuka dzisiejsza staje się, niestety, coraz trudniejsza. Ja byłem trudny. Już w *Ferdydurke* wziąłem na siebie rolę komentatora, żeby jakoś ułatwić czytanie, ale te komentarze okazały się niewystarczające. Ba, w najbardziej sprzyjających okolicznościach, gdybym na St. Germain de Près mieszkał i do Deux Magots chodził, moje utwory musiałyby ciężko walczyć; ale ja, awangardzista, nowator i zresztą dziwak, byłem przywalony na domiar wojną, rewolucją, wygnaniem i dwudziestoma milionami krów Argentyny. Co robić? Co robić? Czy w tej sytuacji mogłyby wystarczyć delikatne glossy i subtelne interpretacje, przeznaczone dla wyższego *milieu*? Nie — wiedziałem — nikt nigdy mną się nie zainteresuje, póki nie wyjdę poza obręb sztuki, nie odezwę się zwykłym głosem, nie wprowadzę ludzi w moje zwyczajne sprawy. Nowatorzy paryscy mogli pozwolić sobie na ekskluzywność. Ja nie. Mnie nic nie izolowało od ulicy, od masy, nie miałem salonu.

R.: — Znowu to samo, co gdy pisał pan *Ferdydurke*. Związać sztukę z własną rzeczywistością. Walczyć o siebie, narzucić się...

G.: — Znowu. Jeszcze raz. Ale tym razem w inny sposób, innymi środkami. I stało się to od niechcenia... A jeszcze więcej czasu minęło, zanim się spostrzegłem, że ten mój felietonowy dziennik zaczyna przybierać charakter rozprawy ze światem.

Te odcinki, drukowane w parysko-polskim miesięczniku, wywoływały protesty czytelników, ale nie przejmowałem się nimi, na ogół zanadto były prymitywne. Po dwóch latach trzeba było opracować całość do wydania książkowego. Zastanawiałem się, czyby nie napisać przedmowy. Zamiast tego wziąłem pióro i napisałem tytułem wstępu.

Poniedziałek — Ja.

Wtorek — Ja.

Sroda — Ja.

Czwartek — Ja.

I ujrzałem siebie w opozycji najostrejszej ze wszystkimi tendencjami powojennymi, które wykłęły „ja”. To „ja” zostało ekskomunikowane przez Kościół, jako niemoralne, przez Naukę, jako sprzeczne z obiektywizmem, przez Marksizm, przez wszystkie prądy epoki, domagające się od człowieka by wzgardził tym swoim egoistycznym, egocentrycznym, przestarzałym, antysocjalnym „ja”. Zewsząd rozlegały się surowe upomnienia: jesteś niczym, zapomnij o sobie, żyj innymi! Gdym moje „ja” po raz czwarty napisał, poczułem się jak Anteusz ziemi dotykający! Grunt odnalazłem po nogami!

Utwierdzić się w tym „ja” wbrew wszystkiemu, z maksimum bezczelności, z jakąś upartą niedbałością, w sposób nie nadmierne, ale właśnie naturalny — to było, ujrzałem, powołanie mojego *Dziennika*. Zaczynając, rzecz jasna, od moich najbardziej osobistych potrzeb i konieczności.

Czyli, przede wszystkim, uzyskać prawo do głosu.

Gdyż, zgodnie z obowiązującym konwenansem, artysta ma być częściowo niemy. Wolno mu „śpiewać”, ale nie wolno mówić; ma być zwrócony twarzą do sztuki, nie do ludzi; byłoby nietaktem, gdyby ten kapłan celebrujący przed ołtarzem zatroszczył się naraz, co z nim ludzie wyrabiają i zaczął, dajmy na to, wyklócać się o taką, czy inną, kwalifikację jego dzieł i osoby (jedno łączy się z drugim). Artysta jest zatem częściowo bezbronny.

R.: — To też tkwiło w panu od dawna. Pańska duma...

G.: — Duma? To jest prawo do samoobrony najnaturalniejsze w świecie! Jaka tam duma! Jest właśnie na opak. Dumna jest owa koncepcja, którą nazwałbym aseptyczno-arystokratyczną, wedle której artyście-kapłanowi nie wolno się „zniżyć”, on musi udawać że te sądy nie mogą go dotknąć. I dumna także jest koncepcja, którą nazwałbym arystokratyczno-socjalistyczną, wedle której artysta ma prawo i nawet obowiązek zwrócić się twarzą do ludzi, ale tylko jako nauczyciel, przewodnik, karmiciel duchowy, słowem istota wyższa. Czy wie pan, co jest u źródła tej niemożności zejścia z cokołu? To iż artyście nie wolno się przyznać, że walczy o własną wyższość z ludźmi. On „śpiewa”. Ale to, że śpiewa aby się wybić, fe, o tym ani mru-mru!

A jednak każde dzieło sztuki ma te dwa oblicza. Jest bezinteresowne, powstaje z czystej kontemplacji, ale jest też tworem ambicji, żądy wywyższenia się, artysta domaga się aby go uznano; a jeśli nawet jest bezinteresowny i czysty, jak ła, to przecież i owa czystość sprzyja powodzeniu dzieła i jest narzędziem oso-

bistej ekspansji. Pominąć dyskretnym milczeniem ten drugi aspekt sztuki, to ją zubożyć, sfałszować, i... i... do diabła!... czy ja, autor, mam cicho siedzieć i pozwalać żeby mnie każdy deformował, jak mu się żywnie zechce?

W *Ferdydurce* też o to walczyłem: o prawo do własnej twarzy. Ale w *Dzienniku* odkryłem, jaka jest wymowa zwykłej prozy. Gdyż to, co w *Ferdydurce* było jednak sztuką, stało się wręcz nieprzyzwoitością, gdy zostało zareferowane w sposób zwyczajny w *Dzienniku*. Co?! Jakiś pokątny autorzyna, który nie chce cicho siedzieć i czekać aż go pochwalą, ale sam siebie wypycha do góry?! Który roztrąbia wszem wobec swoje prywatne gusta i guściki, jakby to kogo interesowało? Co to jest?! Auto-reklama? Mania wielkości? Kpiny?

Nie jeden z moich kolegów po piórze, Polaków na emigracji, gotów był mnie pomówić o nieuczciwą konkurencję.

R.: — To dziś w pańskim *Dzienniku* już mniej trochę gorszy, gdyż jest pan uznanym pisarzem. Wtedy to musiało być bardzo irytujące. Naruszył pan coś więcej niż moralność, konwenans. Pycha tym bardziej nieznośna, że jakoś tak łatwo panu przychodzi...

G.: — Pycha tak wielka, że tylko dzięki mojej wyjątkowej skromności stała się możliwa. Ten kto mówi o sobie „chcę być wielki” jest mniej do siebie przywiązany, traktuje siebie z większym dystansem, niż ten kto rumieńcem się oblewa na samą myśl o takim wyznaniu. Ten kto ujawnia własny subiektywizm, jest bardziej obiektywny.

R.: — Pańska metoda, jeśli dobrze rozumiem, sprowadza się do ujawniania. Ujawnić swoją niedojrzałość. Ujawnić swoją żądzę wyższości, dojrzałości. Jawność, szczerość — to pańskie hasło.

G.: — Nic podobnego!

R.: — Wymyka się pan, jak piskorz.

G.: — To nie ja się wymykam, to literatura. Cóż by się stało z piskorzem, gdyby pan go złapał? Zjadłby go pan. Literatura i piskorz póty żyją, póki się wymykają.

Szczerość...

Niczego nie lękam się bardziej, jako pisarz. Naiwna, prostolinijna szczerość w literaturze jest do niczego. I oto znów jedna z dynamicznych antynomii sztuki: im bardziej jest się sztucznym, tym bardziej można być szczerym, sztuczność pozwala artyście na zbliżenie się do prawd wstydlivych. A co do *Dziennika*... Czy widział pan kiedykolwiek dziennik „szczerzy”? Dziennik „szczerzy” to właśnie dziennik skłamany, ponieważ szczerość nie jest z tego świata. I przecież szczerość to nudziarstwo. To nieefektywne!

Więc co? *Dziennik* musiał być jednak szczerzy, a jednak nie

mógł być szczery. Jak wybrnąć? Słowo, to luźne słowo mówiącego, ma jedną pocieszającą właściwość; jest bliskie szczerości, ale nie w tym, co wyznaje, a w tym czego chce, do czego dąży. Więc trzeba było odebrać *Dziennikowi* charakter zwierzeń, on musiał mnie ukazać „w akcji”, w mojej intencji narzucenia się ludziom w ten sposób, a nie w inny, w moim kształtowaniu się na oczach ludzi. „Takim chcę być dla was”, a nie „taki jestem”. R.: — To zamierzenie w głębi ducha każdego, piszącego dziennik.

G.: — Być może. Ale „w głębi”. Według mnie, literatura nowoczesna to ta, która stawia kropki nad i.

R.: — Mówimy ciągle o tych prywatnych właściwościach pańskiego *Dziennika*. A jednak jego tematyka jest bez porównania obszerniejsza. Można z grubsza rozróżnić kilka głównych wątków. Ciekawym, czy pan zgodzi się z moją klasyfikacją.

a) Co pan o sobie pisze, żeby siebie uwypuklić, wytłumaczyć, żeby sobą zgorszyć, zaskoczyć, zadziwić... na przykład impresje, wspomnienia, relacje z podróży, wyznania i zwierzenia (jednak!)

b) Komentarze do własnej twórczości i wojna z krytyką.

c) Wojna z literaturą i sztuką w ogóle; ataki na poezję czytającą; ataki na malarstwo, atak na Paryż...

d) Wojna z filozofią, a w szczególności z egzystencjalizmem, katolicyzmem, marksizmem i, ostatnio, ze strukturalizmem.

e) Wojna z Polską i problematyka kultur drugorzędnych.

f) O pańskim „człowieku”, takim, jak pan go widzi: jako wytwórcę i niewolnika formy; jako istotę „niedo” (niedostateczną, niedojrzałą).

g) Ekscentryczności, igraszki, figle, mistyfikacje. Zabawa z czytelnikami.

h) Strony o charakterze wyłącznie artystycznym — humor lub liryzm przeważnie.

G.: — Nic nie mam przeciw takiej segregacji, pod warunkiem żeby te punkty razem pomieszać. Bo mój *Dziennik* to groch z kapustą i prawie każde zdanie kilku bogom naraz służy.

Gdy zastanawiam się nad *Dziennikiem*, próbuję zrozumieć, dlaczego to moje zwyczajne „ja”, raz wypuszczone na wolność, taką agresywność wykazało. Bo ja, wie pan, choć już w poprzednich, artystycznych, płodach byłem wojowniczy, to przecież dopiero tutaj zdobyłem się na konsekwentną opozycję wobec całej prawej kultury współczesnej. Dziwi mnie moja śmiałość. I nonszalanja tego ataku. I jego zacieklność.

Czy nie dlatego, że to moje „ja” było tak maleńkie za olbrzymim oceanem, marginesowe, anonimowe, prywatne? Pisałem na wariata. Nie miałem nic do stracenia. Mogłem wypisywać, co mi

się zachciało, bo nikt się tym nie przejmował. I jeśli nawet byłem wówczas (nieucznanym) artystą, poetą, to jednak nie byłem literatem, jeśli pod tym określeniem rozumiemy kogoś, kto jest wprowadzony w świat literacki, ma pewną ogładę właściwą temu środowisku i pewną szkołę... nie tylko intelektualną, więcej mającą wspólnego z dobrym wychowaniem... bez której trudno być członkiem, użyć tej metafory, Światowego Związku Literatów. To że moja naturalna skłonność do egzystencji prywatnej, wyłącznie na własny rachunek, znalazła nagle poparcie w mojej sytuacji społecznej, w moim argentyńskim wygnaniu i odosobnieniu, to właśnie było u korzenia agresji, jaką stał się *Dziennik* prawie mimowolnie.

Byłem niczym, więc mogłem pozwolić sobie na wszystko.

Otóż tak się dzieje w kulturze, że póki przestrzegamy reguły gry wszystko jest, jak trzeba, szanowne i godne uznania. Natomiast, gdy raz wyłamiemy się z reguły, psuje się partia.

Człowiek kulturalny rano, po śniadaniu, przegląda kulturalny tygodnik i z pasją czyta doniosłą polemikę strukturalisty z egzystencjalistą. Jest to tak inteligentne, że nie da się wprost stwierdzić, że głupie... głupie, ponieważ obaj myśliciele udają mądrzejszych, niż są, gdy Bogiem a prawdą, wiedzą coś tam piąte przez dziesiąte, pośpiesznie, dorywczo, po łebkach (czyż można dziś wiedzieć inaczej?).

Nasz *homo sapiens*, po przeczytaniu z nudzącym go zainteresowaniem owej głupio-mądrej polemiki, wychodzi na miasto żeby obejrzyć wystawę dzieł Picassa, albo, jeśli pan woli, Tycjana. I chłonie Piękno w skupieniu, ale jakby w roztargnieniu; zachwyca się, ale jakby go to nic nie obchodziło; pada na kolana, ale jakby nie padał. Po czym odrywa się od Piękna z żalem, ale z ulgą. Powróciwszy do domu rzuca się na najnowocześniejszy *roman* i czyta, ale jakby nie czytał. Ziewnął. Przez okno spojrzeć. Odłożył *roman*, bierze z biblioteki Ulissesa i czyta nie czytając, wstaje, wychodzi na śniadanie i w kulturalnym gronie oddaje się rozmowie na wysokim poziomie i bez szczypty snobizmu, szczerzej, skromniej, ale...

Wystarczy. Już pan chwyta. Chodzi o to „ale” nie mieszczące się w grze. Mój *Dziennik* nie po to, żeby kulturę pogłębiać, wzbogacać, a tylko żeby sprawdzić, czy ona na naszą miarę skrojona i z nami na ziemi przebywa, czy też oderwała się i na wysokościach buja zmuszając nas do zadzierania nosa. Nie kultura, a stosunek nasz do niej mnie interesuje. Mój punkt wyjścia jest perfidnie symplistyczny: każdy udaje mądrzejszego i dojrzałego, niż jest.

R.: — To prawie wygląda na zwykłe demaskowanie snobizmu.

G.: — Snobizm? Owszem, także, ale tu idzie o coś ważniejszego.

O alienację gorszą może, niż ta którą maszyny powodują. Mechanizmy tego piętrzenia się i wzbijania kultury są skomplikowane i dokonują się poza nami, w sferze międzyludzkiej.

Ja ze wsi jestem i to też coś niecoś na moich inklinacjach zaważało.

Niech pan sobie wyobrazi mój *Dziennik* jako wdarcie się w kulturę europejską wieśniaka, czy szlachcica, szlachcica polskiego ze wsi, z nieufnością wieśniaka, z chłopskim zdrowym rozumem, z chłopskim realizmem. Ja to wyniosłem z domu i ten styl szlachecki jest czymś niesamowicie odpornym, wciąż jestem, pomimo tylu lat obczyzny i miasta, tym polskim hreczkosiejem z prowincji. Zanotowałem kiedyś w *Dzienniku*, że w młodości byłem z intelektualistami — żeby ich zdenerwować — obywatelom ziemskim, a z moją rodziną i sąsiadami — żeby ich zdenerwować — artystą, cyganem, intelektualistą. Zanotowałem też, że jak tak po kulturze spaceruję, jak szlachcic po sadzie na swoim folwarku i próbując gruszki, albo śliwki, mówię: ta dobra, a ta nie smakuje... Nie przeczę, taka sybarytyczno-pańska przechadzka po sadzie może zdenerwować, a już najbardziej tych co tworzą, produkują, spalają się na ołtarzu wyższych wartości; ale jeśli mój dziennik może przydać się na co, to głównie jako przeciwstawienie wiejskiego rozluźnienia tym wszystkim napięciom, piętrzącym się bez wytchnienia w łonie milionowych stolic Europy i Ameryki.

Mógłbym określić siebie jako szlachcica polskiego, który odkrył swoją rację bytu uniwersalną w tym, co nazywam dystansem do formy (więc i do kultury). Szlachcic polski — zjawisko nieco anachroniczne — nie cieszy się na ogół sympatią świata. Tym lepiej! W to mi graj! Pokażę, jaką siłę może mieć szlachecka krytyka wartości!

Co jest moją siłą? Ależ to, że wszystko w życiu jest takie sobie... byle jakie... niezupełne... pomieszane... niedostateczne... Że to jest prawdziwy język życia, a nie ten wypolerowany, wysilony, wywindowany, jakim wy operujecie!

Jestem jak aspiryna, która usuwa skurcz.

R.: — Przepraszam! Aspiryna — może, ale szlachcic! Szlachcic autorem *Ferdydurke*, *Slubu*, *Pornografii*? Pan jest rewolucjonista, burzyciel, bluźnierca i awangardzista, a nie szlachcic!

G.: — Awangarda robiona przez szlachcica w miarę konserwatywnego jest może bardziej godna zaufania. Nie jest zdrowo, gdy fryzjer jest akurat taki jak wszyscy fryzjerzy, bardziej trafia do przekonania, gdy fryzjer ma opinie i sposób zachowania się pułkownika, a pułkownik upodabnia się do farmaceuty. Lepiej dla sztuki, żeby nie wywodziła się bezpośrednio z gremium, do któ-

rego należy autor. Jeszcze raz powtórzę, łączenie przeciwności jest najlepszą metodą twórczą.

I nie widzę dlaczego szlachcic nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny.

Kładę nacisk na moją wiejskość, bo to, przynajmniej w *Dzienniku*, wydaje mi się bardziej twórcze, z tej pozycji mogę krytykować. Choć, trzeba przyznać ta krytyka... to nie jest takie proste, jakby się zdawało. Bo przecież ten mój atak na intensywność nie mógł być intensywny, mój *Dziennik* nie mógł stać się tym, co pragnął podważyć, z czym walczył, ta moja krytyka musiała być niedbała, nonszalancka, rozluźniona... ale nawet w tym nie mogła być napięta, nawet w niedbałości...

R.: — Zatem atak, którego siła polega na słabości?

G.: — Paradoksalne, nieprawdaż? Ale od dawna znałem nieco argumentacji i wiedziałem, że rozumowaniem nie wiele można zdziałać, że raczej trzeba wabić, zarażać pewnym tonem, sposobem bycia duchowego, postawą. Więc nieład *Dziennika*, pomieszczenie materii ważnych z drobiazgami, to unikanie wszelkiego *maximum*, to spacerowanie, wszystko to jest „na wabia”, żeby złęcić, skusić do pewnego stylu i pewnej tonacji.

Wiedziałem, to o wiele ważniejsze. Do mego stolika kawiarzianego sporo młodzieży się przysiadło, i w Polsce, i potem w Argentynie. Niektórzy bojowo byli nastroszeni i silną mi robili opozycję. Otóż długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego niejeden z tych oponentów tak był niechętny i opieszły, gdy nasuwała się sposobność zapoznania mnie z jego rodziną, czy kompanami. W końcu odkryłem sekret: oponent przyswajał sobie mój ton i nawet moje dowcipy i odnosił znakomite tryumfy za moimi plecami. Gdy przypadkiem zdarzało mi się poznać kuzynkę oponenta, wykrzykiwała: ależ pan mówi zupełnie tym samym tonem, co Alberto! Wówczas już niestraszne mi były argumenty Alberta, wiedziałem że go zdobyłem! Daleki jestem od myśli, że Sartre, lub Foucault, zaczęli mi robić kiedykolwiek podobne trudności ze swoimi kuzynkami, ale powolutku tu i ówdzie przeniknę. Nie chcę być falą, która uderza o skałę, chcę być (w *Dzienniku*) wodą, która sączy się, przenika, przecieka...

Witold GOMBROWICZ

Kino Centralne

Mija już drugi rok odkąd dostałem od państwa to mieszkanie, dwie izby i pół na czternastym piętrze, z budownictwa nowego, przydziałowe. Pamiętam poczekalnie w jakich wtedy bywałem, tę w Dzielnicowej Radzie ogrzaną, miękkie krzesła, na stoliku przyjaźń, trybuna, przy wejściu wpisywało się swoje nazwisko na listę, niektórzy wpisywali dwa lub trzy toteż zmieniono ten system na numerki, tę w kwaterunku, barak, pod ścianami ławki, każdy zwijał się z zimna, nikt pary nie puścił, to nie u lekarza albo u dentysty, faceci tylko taksowali się z daleka, który tu z najlepszym poparciem, kto pieniędzy, z jakimi który szansami? Zajęci na mieście albo uwiązani w robocie zasadzali w kolejkach kobiety, kombinowali, niech zmienią kierownika lub ukaże się nowy przepis, nie my o tym dowiemy się ostatni, ale przeciwnie, naskoczemy od razu w obu rękach trzymając przygotowane papiery! Mówili: tu siedź i uważaj na te drzwi. Jeszcze wracali z ulicy: za Boga nie daj się wyrolować z kolejki! A one rozczochrane lub ulizane, w lisach lub nylonowych płaszczach mimo zimy, patrzyły na siebie nienawistnie, zagadywały słodko, jednego dnia wierzły w ściskany w torbie paperek, jakaś pozytywna opinia, zakład pracy popiera, drugiego czepiały się rąk naczelnika i krzychały każda o swoim...

Pamiętam nerwowe tygodnie kiedy sprawa łamała się, wychodził urzędnik i uspokajającym tonem mówił, za rok; jak potem ja gorączkową bieżaniną, nową serią znajomości zdawałoby się nieosiągalnych, odrabiałem wszystko, przeskakiwałem nie sto ale dwieście oczek w kolejce, jak pewniaki, asy, kwiat petencki spadali z dobrych wczesnych miejsc, usłyszeli wyrok, zamilczeli a potem wolno odchodzili z rękami w kieszeniach, pokopując na ulicy kamyczek albo grudkę śniegu... Krwawym wysiłkiem, psią czuj-

nością dopiąłem celu, mam mieszkanie, kto inny specja dziś grałby z nadętą miną, człowieka umiającego pielęgnować swoje dobro jak badylarz grządk, ja nie, to nie mój styl, nie moja pożyczona rola, powiem prawdę, to był traf, ślepy traf, coś jakby palec losu albo wygrana w totolotka, nocami jeśli nie śnią nam się gołe baby to właśnie takie szczęście nam się śni... Gdzieś, około lutego zupełnie niespodziewanie szkolny kolega siostry żony z dnia na dzień trafił za właściwe biurko, od tego dnia inne życie, poczekalnie mijałem pomachując teczką, urzędnicy zamiast unizonego szacunku zadawali się zdawkową grabulką, jak leci, rzucałem im w przełocie, a oni odpowiadali, pomalutku.

Potem przeprowadzka, wielki życiowy dzień, wynajętą platformą zajechaliśmy pod blok, platforma przewalała się ze skrzyżowaniem z boku na bok, komoda, konsolka, cztery krzesła, migiem zaciągnęliśmy to na górę, z progu żona przeżegnała wszystkie kąty, potem podeszliśmy do okien sprawdzić widok, zakluczowaliśmy drzwi, nasze. Tylko z gotówką było słabo, wypłukaliśmy się z niej, to koledze, to za przewóz, to kaucja, puści, czyzy i bładzi jak po szkarlatynie przemierzaliśmy teraz nasze izby, oby choć kawałek klusieczki, wdychaliśmy. Szczęściem żona w budach na ciuchach sprzedawała krzyżyk z łańcuszkiem, ja srebrną spadkową papierosnicę, któregoś dnia związałem sznurkiem stare szkolne zeszyty i zaniósłem je do zbiornicy makulatury. Pensje leciały na spłaty, premie na pożyczki a tymczasem przez te parę lat po wojnie człowiek już się potwornie rozbawił, suchy kartofel już mu nie szedł, chciałoby się go polać topionym smalczykiem, ujrzeć na talerzu skwarkę lub kawałek kiełbasy... Próbowaliśmy pielgrzymki po rodzinie. Z dobrą nowiną przyszliśmy, mówimy, mieszkanie dostaliśmy, kosztowało nas ale dostaliśmy! Tak jest, mówimy, ciasne ale własne! Ale czy to u wujka, czy u szwagra albo im żal, albo się dranie nie domyśla, z pierniczkami wyjeżdżają, z orzeszkami, słodkie przyjęcie, do tego wińsko już fabrycznie doprawione gorzałą, nieraz po wyjściu rzucałem taką gościnę w bramie — a żołądek zwijał mi się jak piąsteczka niemowlęcia...

Dzisiaj jesteśmy kontenci, klatka schodowa czysta i widna, woda dociąga, ogrzewanie wystarczające, kto przyjdzie to nam tego mieszkanka pozazdrości. Rozplanowane na prześwit, rozkładowe, ustawne, z szerokich weneckich okien na przedwojenną modę widać szmat naszej podmiejskiej dzielnicy. Wystarczy podejść do okna, odgarnąć firankę, jak z samolotu zagłąda się ludziom w okoliczne podwórka, widzi prywatne domki kryte papą, pokłębione maliny pod płotami, latem grzędy ziemniaków, jesienią lodygi po kapuście. Na środku pustego placu stoi sucha wiśnia z zawieszoną na niej huśtawką, dalej garaże spółdzielni „Rozrywka”,

barak spółdzielni budowlanej oraz kino „Centralne” z neonem nad kasą. Tam zawsze tłok, jak w tramwaju ludzie popychają się do przodu, starsze panie napierają na chłopaków z Technikum, pisk uczennic, muzyka z głośnika, schodzą się nawet i ci którzy już film widzieli. Tuż przed okienkiem wklejają się do kolejki dwudziestoletni eleganczy według włoskiej mody we wciętych płaszczach i bez czapek, a także ci w perukach à la Chopin i w dzinsach. Uczciwi obywatele z końca ogonka gniewnie wtedy wymachują rękami, wpada milicja, miejskie chłopaczki pryskają po kątach i zaułkach a potem znowu czekanie, wiatr znad Wisły przykro zaciąga i podbiera, u każdego w ręku sześć złotych, w oku marzenie, na afiszu Sofia Loren wychodzi z auta w lekkiej różowej sukience.

Ale mnie na cóż kino kiedy mam ogrzane mieszkanie? Z roboty wróć, przełknę łyżkę stawy, a potem jak astronauta siedzę w oknie, świat oglądam przez szybę, to posłucham radia, to nałożę pulower, kiedy mi za ciepło to go zdejmę. Tam jesień i chmury jak toboły biedaków, tu jasny sufit nad głową i szklana lampa. Tam deszcz sikający głupio i zniechęca, wicher jakby się kto wieszał, psi chłód, tu jak w parowej łaźni.

Zona podchodzi do mnie, mówi, otwórz okno. Ja mówię, nie, szkoda wypuszczać gorąca, to tak jakby wyrzucać chleb... Lepiej rozbierzmy się do koszul, zróbmy sobie tropik... A ona, otwórz okno, cholero, bo sobie bluzkę przepocę!

Nie, nie ma między nami idealnej zgody. Ona mówi, meble mamy z zeszłego stulecia, graty, stół okrągły, ani przystawić go do ściany ani do szafy. Weźmy nowe na dwudzieścia albo dwadzieścia cztery rat. Ja mówię, weźmy. Ale języki nam wyjdą jak zmęczonym sportowcom, bo to wózek nie dla nas, nie uciagniemy. W długach, w czynszach, w opłatach zakopimy się po pas, po szyję, oczami przyjdzie świecić po ludziach a to jest najgorsze. Owszem, mówię, wziąłem cię dobrowolnie, nie przeczę temu, ani nie żałuję ale kobieto litości! Pomyśl, mówię, wydasz dzieci na świat, mieszkanko małe, zaczną gonić się w berka, uderzy które główką o kant, przychodzisz z pracy, zimne. Nie, mówię, lepszy stół okrągły.

A ona, pij herbatę bo zrobi się lura. A potem napisz zaraz to podanie, napisz to podanie, czasem zwłoka najgorsza, może tylko czekają że się spóźnisz, że niepoważny stosunek, wtedy od razu zarzuty... I patrzy na mnie solennie, niespokojnie, och Boże, jakież te baby są, mało im trzeba żeby drzeć, już zwietrzyła niebezpieczeństwo, już się boi... Prawda, u niej w rodzinie krucho, dziesięć lat przemieszkała w klitce, w ruinie z widokiem na Pałac, raz cegła oberwała się z wypalenia który stał nad nimi, przebiła papowy dach, rąbnęła na stół, szkody mieli wtedy, bo i dach

i naczynia, zachowali tę cegłę, do dziś pokazują ją gościom, zwłaszcza ojciec, mały i zmyślny jak pchełka, w kapuśniak mi rąbała, wykrzykuje, a co to był za kapuśniak, golonka, boczek...

Powiadam, ja też nie lubię takich listów, nie to żebym się bał, nie lubię. Coś krótko do nas piszą, uzasadnić prawo do zajmowanego metrażu, do tego kilka dat, paragrafów?

Więc im odpisz, naczynia brzęczą jej w rękach i ona taka zwykle spokojna, lubię w niej ten spokój, przewlekłość w ruchach, ciała przybywa jej rok rocznie, teraz staje nade mną i krzyczy, odpisz!

Ba! myślę to nie jest wyraźna sprawa. Taki list dwa trzy zdanka okrągłe jak orzeszek a kto wie czy jak skorupkę zdjąć fetorkiem nie zaleci. Ja nie jestem fałszywym prorokiem, nie kraczę, nie chcę wymówić tego w złą godzinę ale musieli zobaczyć przyfilować mnie kiedyś w oknie, ja mogłem ich nie zauważyć. Myślą, taka mizerota rozpiera się chudymi łokciami w oknie takiego mieszkania? Czy to nie grzech, nie obraza boska? Czy naprawdę nie na to nie można? Albo inaczej. Normalnie wzięli listę lokatorów, przeglądają, wertują. Brudnym paluchem padło na nas, nazwisko nieznane, w prasie nie spotyka się nawet podobnego. Biorą akta, szukają jakiegoś ojca, czy wujka, brak, cieszą się, o, węch nas nie omylił! Ale, ale... reflektują się, gość mięciutki, mięciutki ale nie wiadomo co może wyskoczyć. Mięciutki, ale dajmy na to szkolnego kolegę ma wysoko? Toteż z początku z nim grzecznie, ostrożnie, paragrafami sadić, nie narywać się i zabezpieczać sobie tyły. I znowu przeglądają akta, tak, mówią, z tym to my sobie potańcujemy!

Podchodzę do radia, gałkę przekręcam, co też radiowa dzidzia dzisiaj powie, utrzyma się ten ziąb, żeby choć wiać przestało, a może gdzieś na świecie słońce świeci, ludzie krzyczą, krew się leje... burdel proszę szanownych słuchaczy w mieście i na wsi! Ale w radiu już nie ma dzidzi, już odstawili ją i położyli do łóżeczka, tylko jakiś pan pieni się i bluzga na polityczny temat, przez chwilę tłumaczy nam coś życzliwie i znów pieni się i bluzga.

Mówię do żony, nerwy cię żrą, wyschniesz, nie o tym marzy mężczyzna... Mój charakter znasz, ktoś do mnie, nie boję się, nie przeleci mi mysz po nogach ni po plecach, ale spokojnie, najpierw ustawiam przeciwnika do ciosu, chodź tu mordeczko, mówię, odśłoń szczękę i postój tak drobną chwilę... Prawda... silniejsi od nas skosztowali szpitalnej stawy, cwańsi powiedzieli gdybym wiedział, sztywniejsi zbili czoła od ukłonów... Toteż delikatnie, z wyczuciem, nie z frontu zadziałyśmy ale z flanku, nie na chama ale ćwiczeniem, nie na gębę ale podaniem... Mało? Paluszkami życzliwej osoby. Mało? Odgórnie. Tak jest, chwalić Boga nie upadliśmy w dzieciństwie na główkę, szkołę mamy

zdrową ludową, a ci co kiedyś ryli pod nami, kopali, grali braci, gniją w kiciu lub zawrócili ze złej drogi. Tak i teraz, napiszemy podanie, papier trafi dalej a słowo pisane ma swoją siłę. Początek i środek obmyśliłem, osiem stron argumentów, podanko jak nóż, jak kawał blachy, słowa trafne, przebrane, zgrabnie trzymające się za ręce, zdanka jak brzytwy w pudełeczku! Osobiście doręczę, przy mnie niech wniosą na dziennik, w kalendarzyku zapiszę sobie numerek i datę... A potem już byle nie zaspać sprawy, ruchliwi jak piłeczka to poskoczmy tu to tam, to tu to tam... Zarządzi się wieczorek towarzyski, zaprosi kogo trzeba i należy oraz kuzyna gadułka który mowny jest i ładnie kawały o dupie opowiada. Dokupi się trochę szkła, widelcy i głębokich talerzy, aprowizacja nie może szwankować, toteż zwolnimy się z roboty, ty postoisz w Delikatesach na Pradze, ja będę miał pod bokiem te na Hożej. Stół musowo suty, śledziki, zimne nóżki, wszystko w najlepszym gatunku, postawi się dwie trzy karafki z ciętego białego szkła pięknie w nich zagra nasz wiśniak, gęsty, przemacerowany, czyste wiśnie i czysty spirytus. Imieniny żony się powie, nastrój, kawały a jednocześnie komu trzeba podleje, komu trzeba podpysie, do każdego przyjmienie i z poczęstunkiem. Rzecz jasna żadnego pijaństwa, żadnej mordowni, miarę przyjmie się średnią, pół litra na łebek, mieszkanie to nie lokal, ściany nie kafelkowe, nie daj Bóg puściłby który pawia, plama zostanie. Zresztą i niechby, im więcej beztroski tym lepiej, niech śpiewają, tańczą, niech się chędożą, byle żony mi nie ruszali o resztę nie chodzi.

Gdzieś w połowie zabawy ale już po dobrym buzowaniu umówiony kuzyn gadułka zręcznie wtrąci o naszych trudnościach. Potem ja, cham z chamów jestem, panie przewodniczący, ojciec cham, dziad cham i tu nagle takie nieprzyjemności z tym mieszkaniem, takie kłopoty? He, he... zaśmieje się przewodniczący, Karolu, powie do mnie, Karolu, ty mi się podobasz! Przyjdź jutro do mnie koło jedenastej, od ręki się załatwi i jak ręką odjął... Uprzejmie dziękujemy panu przewodniczącemu, powiemy, nie chcielibyśmy urazić pana przewodniczącego ale niech pan przewodniczący nas zrozumie... życzliwość za życzliwość... He, he, on powie, Karolu, kup pan żonie kwiatki, ja zarabiam tyle, że mi starcza.

— Przewodniczący? — pyta żona.

— Tak jest — mówię — przewodniczący komisji. Komisja dziś rządzi, ona zrobi jak zechce a nie zechce to nie zrobi...

— A przewodniczący... silny jest... może?

Więc ja śmieję się. A jej oko rośnie.

— Co cię napadło? — pyta. — Taki głupi śmiech.

Założmy posiedzenie, tłumaczę jej życzliwie. Niewielka salka,

na ścianach portrety, papieroplastyka, hasła, za stołem kilku przeciętnych gości, sekretarz, przewodniczący. Goście palą Sporty, chce im się do ubikacji lub do domu, sekretarz notuje, a on? Grzeczny, temu udzieli głosu lub dodatkowych wyjaśnień, tamtemu podsunie popielniczkę, niech się koledzy ustosunkują powie, ale przede wszystkim oko i ucho ma, wie i widzi komu skrzywił się nos, kto za wnioskiem przyklasnął dwa razy a kto tylko raz... Głosujcie, zachęci, głosujcie koledzy, każdy według swojego najlepszego uznania, lepiej lub gorzej każdy wytyczne wojewódzkie zna...

— Ale jak dotrzeć do niego, trzeba żeby cię poznał... Jak zaufanie zdobyć, przecież on też się boi?

Wstajemy od stołu, przechadzam się po mieszkaniu, nieźle ono rozplanowane, na prześwit, podchodzę do okna, wyglądam. W małych prywatnych domkach ludzie pozaciągali firanki lub, jeśli kto ma, zamknęli drewniane okiennice. Nie z przydziału te domki ale własne, toteż mieszkańcy od tej strony spokojniejsi. Czego się tylko boją, to rozbiórki pod jakiś cel, raptownego podatku albo o jabłonki w zimie. I dachy muszą regularnie smołować, ceglami okładać, żeby wiatr papy nie ponadrywał. Pod kinem tłok. Dobry dziś idzie filmisko, francusko-włoski, towarzystwo rozjeżdża się autami, amory na żywo, płąs na plaży, od razu widać nie ten świat i inne życie. Patrzę, kolejka długa, zakręcona za róg, ludzie postawili kołnierze, przytupują nogami, każdemu pilno do przedśionka, do ciepła a jeszcze bardziej zapłacić te sześć złotych i poczuć wreszcie w ręku bilet.

Sprawdzam zamki u drzwi, krany dokręcam, o niczym nie myślę tylko o podaniu. Znowu nie napisane, nie zaczęte nawet, a może tylko czekają, że się spóźnię, że nie wydolę na czas, nie połapię się w kruczkach, że nawet ci co mają dojście i chcieliby pomóc bezradnie otworzą dłonie i pokiują głowami jak nad zmarłym? Kim oni są, którzy chcą wykopać nas z naszego mieszkania, rzeczami które polubiliśmy zarzuć stojące na schodach spluwaczki? Czy są młodzi i wierzą w siłę, czy są starzy i cenią spryt? Może znajomi mówią o nich ładna para, spójrzcie jacy prości, ubrani, odżywieni... A jeśli to tylko dychawiczni staruszkowie, którym do szalonych głów strzeliło: mieszkać! Modlić się trzeba o takich i ręce do Boga składać... Podanie napiszą pismem kulawym, zamiast argumentów sam płacz. Bal wyprawia? Toż to boki zrywać, kto przyjdzie na suche kartofle z grzybami?

— Jutro postoję — mówi żona.

— Gdzie? Na Hożej, czy na Pradze?

— Na Hożej.

— Na Pradze nie lepiej?

— Nie — mówi ona. — Na Pradze mają dla swoich a na Hożej bardziej się liczą.

— To dobrze — mówię — postój. Zima idzie, chłody, trzeba zjeść przed zimą kawałek tłuszczu... Albo gdyby ci się udało...

Szum, tupot na ulicy, tłum wychodzi z ostatniego seansu. Portier zaciąga drzwi na rolkach, gaśnie neon nad kasą i lampa oświetlająca afisz.

— Ślęczysz tam przy oknie? — pyta żona.

— Ludzie wychodzą z kina... Patrzą.

— Tak długo? Ciągłe wychodzą? A może napijesz się? Może mleka?

— Pora będzie spóźniona — mówię — bardzo spóźniona. Za oknem deszcz ze śniegiem, potop, goście z właściwym sobie taktem bezszmerowo wyginają jak duchy, po ostatnim chłapięciu i jego też z nóg nieco zetnie, zaniemówi i za kwadrans okaże objawy znużenia. Na tę chwilę jak gdybyśmy tylko czekali. Podejdziemy do niego z obu stron, obmyjemy jak dziecko i perswadując łagodnie ułożymy w przygotowanej pościeli. Rankiem otworzy oczy, ujrzy nasze życzliwe twarze, gdzie jestem, zapyta zaniepokojony, a my odpowiemy, u przyjaciół.

— Kto? — niecierpliwi się żona.

— Nasz łaskawca — wyjaśniam. — Przewodniczący.

Potem ona zasypia. Wdech, cisza, wydech, pomrukiwania.

— Z tym przewodniczącym — powiadam sobie — umyśliłem nieźle... Po tym wszystkim co my dla niego zrobimy chyba nie okaże się nienormalny.

Jan WARSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

My home, my castle

Dramat w V aktach z prologiem i epilogiem.

Dzieje się w Polsce Ludowej w latach 1954-1960.

Osoby dramatu:

Petent starający się o przydział mieszkania,

Maria — jego żona,

Górecki — przewodniczący prezydium Miejskiej Rady Narodowej,

Guzek — jego zastępca, odpowiedzialny za sprawy kwaterunkowe,

Konik — kierownik Wydziału Lokalowego przy prezydium MRN,

Klamka — jego zastępca,

Stopała — przewodniczący Rady Zakładowej przy MRN,

Bania — przewodniczący prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej,

Kocewicz — jego zastępca, odpowiedzialny za sprawy kwaterunkowe,

Kubala — sekretarz prezydium DRN,

Nowas — kierownik Wydziału Lokalowego przy prezydium DRN,

Czop — sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR,

Grochal — sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej przy DRN,

— oraz wielu innych równie ważnych, nie wymienionych z nazwisk.

PROLOG

„Sąd wzywa strony do pogodzenia się” — słyszę bezbarwny głos sędziego, który zamyka rozprawę. Opuszczam salę z tępym uczuciem beznadziejności — jeszcze jeden etap, który w niczym nie przyczyni się do poprawy sytuacji, przeciwnie — rozjątrzeni

Kiczalowie tym agresywniej będą sobie poczynać. Maria nie przyszła ze mną, jest zbyt znękana i wyczerpana nerwowo, by brać udział w tego rodzaju rozprawie.



Przed dwoma laty Wydział Lokalowy MRN uznał, że trzypokojowe mieszkanie które zajmowałem z żoną i dzieckiem jest dla nas zbyt luksusowe i zgodnie z obowiązującym standartem dokwaterowano nam do jednego pokoju czteroosobową rodzinę. Oczywiście Wydział mógł się uprzednio ze mną porozumieć w kwestii dobrania sobie jako współmieszkańców odpowiednich ludzi — byłoby to jednak sprzeczne z ideą i polityką partii. Kiczalowie dostali więc przydział na jeden pokój w moim mieszkaniu z używalnością kuchni i łazienki, po czym przy asyście milicjanta wyłamali drzwi wejściowe w czasie naszej nieobecności i w ten sposób wprowadzili się do mieszkania. Kiedy po raz pierwszy pogotowie zabrało ob. Kiczalową ciężko pobitą przez pijanego małżonka, zwróciłem się do milicji o ochronę — odmówiono mi jednak, argumentując że milicja nie interweniuje w sprawach wewnętrzno-rodzinnych... Gdy jednak nieustające awantury, pijaństwa, bójk i demolowanie mieszkania w dzień i w nocy zaczęły stawać się nie tylko trudne do zniesienia, ale wprost groźne — skierowałem sprawę do sądu. Kiczalowie wystąpili tu jako kochająca para, ob. K. zeznała z oburzeniem, że mąż nigdy by nie podniósł na nią ręki, w szpitalu zaś przebywała na skutek potłuczeń przy upadku. No cóż, nie mieliśmy świadków.

Zaczelśmy stołować się w restauracjach, gdyż Maria bała się wprost wchodzić do kuchni, gdzie ob. Kiczalowa przebywała i gospodarzyła niemal przez cały dzień — przestaliśmy również korzystać z łazienki, którą Kiczalowie zamienili w skład brudnych gratów. Po dwu latach wegetowania w tych warunkach, Wydział Lokalowy wystąpił z nową inicjatywą — uznano, że ciągle jeszcze mieszkamy zbyt komfortowo i dokwaterowano nam do następnego pokoju trzysobową rodzinę robotnika Stelacha. Gdy nasze próby pokojowego współżycia spaliły na panewce — pozostało nam zabarykadować się w jedynym pozostawionym nam pokoju, a mieszkanie objęły niepodzielnie we władanie rodziny Kiczalów i Stelachów, skutecznie starając się zamienić nam życie w piekło.

Maria była już tylko kłębkim nerwów, kiedy po następnych dwu latach zdecydowałem się objąć kierowniczą posadę w prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, by w ten sposób uzyskać podstawy do wystąpienia o przydział nowego mieszkania, oferując w zamian do ich dyspozycji nasz pokój. Tak zaczął się następny etap gehenny — wszedłem w tryb działania aparatu wydziałów lokalowych.

AKT I

Prezes Górecki sprawia przyjazne wrażenie, obiecuje mi osobiste poparcie kiedy podanie moje rozpatrywane będzie przez komisję przydziału mieszkań i wręcza mi skierowanie do kierownika Konika. Przyrzeka również zadzwonić do prezesa Bani, który jest moim bezpośrednim szefem. Dzierżąc w dłoni pismo Góreckiego staram się poprzez tłum petentów dotrzeć do Konika, nie udaje mi się to, ale rozmawiam z jego zastępcą ob. Klamką. Jest bardzo uprzejmy, proponuje wstawić moje nazwisko na listę wniosków do komisji o przydział „nierozdysponowanego” jeszcze mieszkania w bloku 11, który jest w trakcie budowy, lecz ma być oddany do użytku w ciągu najbliższych trzech miesięcy. — Łapię taksówkę, by jak najprędzej podzielić się z Marią radosną wieścią — jest szansa, że za trzy miesiące znów będziemy żyć jak normalni ludzie w normalnym świecie.

Następny dzień spędzamy z Marią na budowie bloku 11, gdzie na III piętrze jest przeznaczony nam mieszkanie. Choć przeszło o połowę mniejsze niż nasze dawne i znacznie gorzej wyposażone — wydaje nam się, że stoimy u bram raj. Życie na nowo zaczyna nabierać rumieńców.

Rozmawiam z prezesem Banią — ten był zwrotnicowy ze stacji w Słowikach, a potem sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR — stara się być miły, obiecuje osobiste poparcie na komisji przydziału mieszkań. Jadę do Klamki, ten oświadcza mi, że jeszcze w tym tygodniu przekaże mój przydział do zatwierdzenia na dzielnicową komisję, ma również rozmawiać na ten temat z prezesem Góreckim. Wszystko układa się pomyślnie, jestem pełen dobrych myśli i wiary w ludzi.

W ciągu następnych dwu tygodni uzgodniłem z kierownikiem Nowasem zrzeczenie się mego dotychczasowego mieszkania na rzecz DRN, uzyskałem pisemne poparcie Góreckiego na moim podaniu, które złożyłem u Klamki, a kopię u Nowasa. Choć Klamka nie przekazał jeszcze listy przydziałów do dzielnicy jak to obiecywał, sprawa nadal wygląda dobrze i chyba już ze cztery razy byliśmy w bloku 11, by cieszyć oko i podtrzymywać nadzieję widokiem naszego przyszłego mieszkania. — Minął miesiąc, Klamka — choć wciąż jeszcze nie przekazał listy — w ostatniej rozmowie gwarantuje mi otrzymanie mieszkania, konkretnie podając — blok 11 mieszkanie nr 57. — Znów zjawiam się u Klamki następuje standartowa rozmowa o identycznej treści z tym, że zwraca mi uwagę na fakt, że ostateczna decyzja zależy od władz dzielnicowych. Natychmiast więc rozmawiam z sekretarzem Kubalą, który solennie zapewnia mnie, że gdy tylko otrzyma listę

wniosków z Wydziału Lokalowego MRN z moim nazwiskiem na mieszkanie nr 57 w bloku 11 — to prezydium DRN i komisja zatwierdzą bez zmian. Wracam do „domu” nieco uspokojony. Nad ranem budzi nas awantura w sąsiednim pokoju — wkrótce pogotowie znów odwozi poranioną przez męża Kiczalową do szpitala.

AKT II

„Zwłoka wynika z przyczyn od nas niezależnych” — powiada rozkładając bezradnie ręce Klamka, kiedy po upływie następnych dwu tygodni lista nadal nie została przekazana do DRN i udałem się do niego po raz nie wiadomo który. Tym razem stara się tłumaczyć mi, że zaistniały pewne komplikacje, otóż państwo-wa firma budowlana wykonująca roboty budowlane nie jest w stanie oddać do użytku bloku 11 w przyrzeczonej terminie, opóźnienie wyniesie około sześć miesięcy. Klamka pociesza mnie, że moje mieszkanie w tym bloku jest nadal pewne, ale jeśli wolę dostać wcześniej, to on osobiście proponuje mi mieszkanie nr 22 w bloku 134c, który będzie oddany za miesiąc. Wdzięczny za jego życzliwość zgadzam się i popołudniu jedziemy z Marią oglądać blok 134c.

Następne dni upływają w radosnym podnieceniu, wice-prezes Guzek odpowiedzialny za politykę kwaterunkową w mieście, wyraził zgodę na przydział mieszkania dla mnie w bloku 134c, pozytywnie wypowiedzieli się również Górecki, Bania i Kubala. Bania zapewnił mnie, że osobiście dopilnuje bym dostał mieszkanie zaraz jak tylko nadejdzie lista wniosków. Pod koniec tygodnia zawiadamia mnie sekretariat, że lista nadeszła i komisja zbiera się we wtorek, by listę zatwierdzić, czyli we środę dostanę klucze od mieszkania i będę mógł się wprowadzać!

Tym razem dotrzymano terminu, lista nadeszła i została zatwierdzona przez komisję. Ale mieszkanie nr 22 w bloku 134c otrzymał niejaki ob. Gałązka...

AKT III

Maria załamała się, nie płacze, nic nie mówi — lekarz zaleca zmianę otoczenia, wysyłam ją więc wraz z dzieckiem na tydzień do Zakopanego. Dowiedziałem się kim jest ob. Gałązka — to były ksiądz katolicki, który ożenił się, wstąpił do PZPR i jako żywy przykład zwycięstwa idei partii nad kościołem jest bardzo popierany przez najwyższe władze. Sam Bania powiedział mi

poufnie, że pismo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wyraźnie zaleciło przydzielić pierwsze wolne mieszkanie ob. Gałązce. Pech chciał, że wybrano właśnie moje.

Cel wydawał się już bliski, nie doceniłem jednak przemysłnej polityki proceduralnej wydziałów lokalowych. Zaczęło się więc od nowa dreptanie po urzędach. Złożyłem pisemne odwołanie od decyzji komisji przydziału do Góreckiego i sekretarza partii Czopa, w związku z tym Klamka dzwoni do Nowasa i Góreckiego, Górecki do Bani i Konika — i to na razie wszystko. Po upływie pewnego czasu Bania obiecuje mi wystąpić do MRN o zwiększenie puli mieszkaniowej dla dzielnicy, co daje szansę na utrzymanie mieszkania. Poza tym obaj z Nowasem radzą mi zwrócić się pisemnie do Rady Zakładowej, która podobno dysponuje pewną pulą mieszkaniową niezależnie od Wydziałów Lokalowych — oczywiście natychmiast składam podanie. Po miesiącu podanie to zaopiniowane pozytywnie przez Radę Zakładową powędrowało do MRN. Uświadamiam sobie, że minął rok od chwili gdy wystąpiłem o przydział mieszkania — od tego czasu sprawa nie posunęła się ani o krok naprzód. Nie chciałem nawet mówić Marii, że ostatnio oddano do użytku dwa duże bloki przy tzw. „ulicy sekretarzy” — popularna ta nazwa poszła stąd, że wszystkie mieszkania w owych blokach otrzymali sekretarze rozmaitych komitetów i organizacji partyjnych.

Odpowiedzialnym za sprawy przydziału mieszkań w DRN jest wice-prezes Kocewicz, on również przewodniczy zebraniom komisji przydziału mieszkań. Doszły mnie szeptane wieści, że nie mam co liczyć na poparcie Kocewicza bez łapówki — każde przydzielone mieszkanie przynosi mu ładny grosz od zainteresowanego petenta, dla czegoż by miał tracić na moim, przydzielając mi je za darmo? Argumentacja jest logiczna i nie do odparcia — decyduję więc zaprosić Kocewicza do restauracji na kolację. Kiedy rozanielony pod wpływem paru wódek Kocewicz położywszy dramatycznym gestem rękę na sercu oświadcza — „daję ci, kochany, moje słowo honoru, że dostaniesz mieszkanie w najbliższym przydziale” — poczułem się znacznie raźniej.

AKT IV

W parę dni potem siedzę w gabinecie Góreckiego na konferencji, w której biorą m.in. udział Kocewicz, Konik, Stopała i Grochal. Okazuje się, że Rada Zakładowa dysponuje jednym

dium. Spodziewając się zebrania Rady Zakładowej znów interweniuję u kogo się da, wędruję po komitetach partii i prezydiach rad, piszę wnioski i podania, rozmawiam i przekonuję — zastanawiając się czasem jak długo może człowiek znosić życie w atmosferze strachu i niepewności, stałego napięcia nerwów i z poczuciem wyrządzanej mu krzywdy...

Kocewicz informuje mnie, że przewodniczy osobiście zebraniu RZ, więc mogę w zasadzie sprawę uważać za pozytywnie załatwioną, raz jeszcze zapewnia uroczyście, że raczej ustąpi ze swego stanowiska niż zgodzi się, by mieszkanie przydzielono Przybyłowej a nie mnie. Odbłyło się więc wreszcie tak oczekiwane przeze mnie zebranie Rady Zakładowej i uchwaliło... wystąpienie do MRN z wnioskiem o przydział drugiego mieszkania, wobec równorzędności potrzeb mieszkaniowych moich i Przybyłowej. Odpowiedź z MRN przychodzi tym razem szybko, już po tygodniu wiemy, że ustosunkowano się do wniosku negatywnie.

Codzienniej rutyny mojego dreptania od Annasza do Kajfasza nie warto już dalej opisywać — faktem jest, że Rada Zakładowa zebrała się ponownie by pod przewodnictwem Kocewicza jednogłośnie uchwalić przyznanie mieszkania tow. Przybyłowej.

EPILOG

I tak dobiegł końca drugi rok mych starań o przydział mieszkania, w ciągu którego zebrałem dwa grube skoroszyty kopii wniosków, podań i odwołań — od Ministerstwa Gospodarki Komunalnej począwszy, aż na Radzie Zakładowej DRN skończywszy. Wszyscy nadal wypowiadali się zgodnym chórem, że dostanę mieszkanie w pierwszej kolejności, zapewniaли poparcie, podpisywali wzajemnie do siebie petycje, telefony na wysokich miejskich szczeblach omawiały rozwiązanie problemu — a ja nadal mieszkalem zabarykadowany w naszym pokoju wśród coraz bardziej rozbawionych współlokatorów. Niewielką pociechę stanowiło dla nas czytanie artykułów prasowych o licznych tragediach będących wynikiem konfliktów mieszkaniowych — o emerycie, który wyskoczył z okna III piętra, nie mogąc dłużej znieść dręczącej go pary sublokatorów, o kobiecie przebitej nożem przez dokwaterowanego sublokatora itd. itd...



Gdy w końcu byliśmy już z Marią zdecydowani zostawić miasto i mieszkanie, porzucić posady i odnająć gdziekolwiek na

mieszkaniami dla naszej dzielnicy, które proponowano przydzielić pracownicy prezydium tow. Przybyłowej — jej pozycja w prezydium jest znacznie niższa od mojej, mimo to ma ona jednak przewagę nade mną — jest członkiem partii. Ustalono, że odbędzie się specjalne zebranie Rady Zakładowej na temat, komu dać owo mieszkanie — Przybyłowej czy też mnie.

W międzyczasie w moich stałych biegach od jednej wysokiej instancji do drugiej, uzyskałem audiencję u wice-prezesa Guzka, a ten ku memu zaskoczeniu oświadczył, że niepotrzebnie ich niepokoję, bowiem przydział mieszkania dla mnie został przez niego osobiście zatwierdzony w najbliższej puli rozdzielanej na dzielnice. Doświadczenie nauczyło mnie już nie cieszyć się z góry, ale jednak ta autorytatywna wypowiedź wywarła na mnie pewne wrażenie. Sytuacja znów wygląda lepiej tym bardziej, że sekretarz Grochał wyznał mi po przyjacielsku, że stanowczo widzi mnie w pierwszej kolejności do przydziału. Stopała zaś zgodził się z góry na nazwisko wnioskowane przez władze dzielnicowe, również Czop zdecydowanie twierdzi, że popiera moją kandydaturę. W ciągu następnych dwu miesięcy zebranie Rady Zakładowej zostaje trzykrotnie odkładane, a to z powodu braku materiałów, a to z powodu czyjejś nieobecności — i tak moje nadzieje trzykrotnie wzbierają i trzykrotnie nikną...

AKT V

Pewnego dnia popołudniu zjawiają się w moim mieszkaniu dwie towarzyszkę, przedstawiając się jako delegacja RZ badająca warunki bytowe występujących o przydział. Po obejrzeniu naszego pokoju nie wydają się przekonane o słuszności mego wniosku — w mieszkaniu jest czysto, stoją w nim dość porządne meble, a sublokatorzy reprezentują ostatecznie ten sam model socjalny, co obydwie delegatki...

W prezydium DRN odbywa się odprawa przy udziale Góreckiego i ten zabierając głos porusza sprawę mojego mieszkania — są obecni Bania, Kubala, Kocewicz i Grochał. W efekcie tej wypowiedzi Bania zapewnia mnie, że jestem na pierwszym miejscu na liście najbliższych przydziałów. Równocześnie jednak dostrzegam, że komisja złożona z dwu towarzyszek, które miałem przyjemność przyjmować w domu — stwierdziła w czasie wizji lokalnej fatalne warunki mieszkaniowe u tow. Przybyłowej, mojej kontrkandydatki do przydziału jedyne „nierozdysponowanego” mieszkania z puli Rady Zakładowej. Bania poleca przesłać do MRN opinię o równorzędności wniosków mojego i Przybyłowej, podkreślając jednak większą moją przydatność dla prezy-

wsi jedną izbę w chłopskiej chałupie — stał się cud. Przydzielono mi mieszkanie, nie najlepsze wprawdzie ale dla nas będące niemal wybawieniem. Zaczęliśmy powoli wracać do równowagi, interesować się pracą zawodową, znów brać udział w życiu towarzyskim i kulturalnym, od czego przez ostatnie lata byliśmy praktycznie odcięci. Ale okres stracony na staraniach o przydział mieszkania nie da się łatwo usunąć z pamięci i zapewne zostawi trwały ślad w naszej psychice.

Bogdan ADAMSKI

1967.

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Wylądne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię

KULTURY

i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIEGARNIA S.P.K.

- jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych,
- jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

Najmniejsza Antologia

Przygotowując niniejszy wybór współczesnych poetów amerykańskich dla 'KULTURY', postanowiłem — w porozumieniu z Redaktorem — zwrócić się do nich z prośbą o pozwolenie na przekład wybranych przeze mnie wierszy. Chciałem nie tylko odbiec od stosowanych często pirackich zwyczajów, ale również zwrócić uwagę poetów amerykańskich na nasz miesięcznik, o którym mogli coś niecoś wiedzieć lub nie.

Wywiązała się w ten sposób żmudna wprawdzie dla mnie, ale wyjątkowo interesująca korespondencja; poeci jak najprzychylniej odnieśli się do mojej prośby, zachęcali i pomagali w przewidywaniu skomplikowanych często dla nich samych spraw związanych z prawem autorskim. Marianne Moore, na przykład, której pozycja w poezji amerykańskiej nie ustępuje dziś T. S. Eliotowi, a jej osiągnięcia formalne przewyższają jego zdobycze, była po prostu zaskoczona tym, że jej czołowy i przytaczany we wszystkich antologiach wiersz POEZJA jest godny przekładu na język obcy. Potem — w osiemdziesiątym pierwszym roku życia — doszła do przekonania że wiersz ten jest stanowczo za długi: I HAVE ABRIDGED IT TO THREE OR FOUR LINES, pisze mi w pierwszym liście. W drugim zaś, w miesiąc potem dodaje: I AM VERY UNSATISFACTORY; PLEASE PARDON IT. I HAVE REDUCED MY PIECE, POETRY TO THIS... I tu następują tylko dwie linie, kwintesencja dwustronicowego kiedyś wiersza, ciekawe o ile chodzi o sam warsztat poetycki autora, ale dla czytelnika zbyt już ubogie.

A oto reakcja na mój list Conrada Aikena: OF COURSE IT WOULD BE AN HONOR TO BE REPRESENTED IN KULTURA, pisze on w dłuższym, wyjaśniającym różne szczegóły liście.

W podobny sposób odnieśli się inni: Archibald MacLeish,

Robert Penn Warren, Stanley Kunitz, Thomas Merton, W. S. Merwin, John Berryman i inni.

Ten ostatni wydał w 1964 roku rewelacyjny tom wierszy 77 DREAM SONGS, a obecnie pracuje nad dalszym jego cyklem. Są to wiersze formalnie trudne, odwołujące się do intelektualnych skojarzeń, wyrastające z ziarna i gleby specyficznej w swoich chemicznych składnikach i wyjątkowo urodzajnej.

Wybór mój, to poeci awangardowi o pozycjach już ustalonych, których twórczość zapoczątkowała różne szkoły i grupy średniego i najmłodszego pokolenia. Poezja amerykańska jest dziś tak obfita i różnorodna, że tylko dobrze przygotowana antologia mogłaby odstąpić czytelnikowi polskiemu jej mieniący się bogactwami wachlarz. Myślę, że Redaktor Kultury umożliwi mi w przyszłości ogłoszenie drugiego cyklu NAJMNIEJSZEJ ANTOLOGII, w którym postaram się przedstawić poetów średniego i młodszego pokolenia, by czytelnik KULTURY mógł zapoznać się z przodującą dziś w świecie poezją amerykańską.

Dziękuję również poetom za łaskawie udzielone mi zezwolenie na przekład ich wierszy.

Wacław IWANIUK

GERTRUDA STEIN

1874—1946

'Gertruda Stein jest ilustracją sukcesu rewolucji, jak również jej niebezpieczeństwa. Pisarz, szukający godnego wzoru do naśladowania, powinien sięgać po nią w ostateczności, lecz jej twórczość jest wyjątkowo cenna, odradzająca w treści i zawiera — według mnie — ogromną ilość piękna'.

Dame Edith Sitwell

Urodziła się w San Francisco. Duży wpływ na jej studia miał William James, psycholog, pod którego kierunkiem poświęciła się badaniom naukowym nad anatomią mózgu. Przemęczona pracą, wyjechała w 1902 do Francji, gdzie pozostała już na stałe. Jej paryski salon skupiał najwybitniejszych pisarzy i malarzy.

Pierwsze jej opowiadania, to THREE LIVES, wydane w 1909 roku. Potem przyszły następujące książki: THE MAKING OF AMERICANS, 1925; A LONG GAY BOOK, 1932; TENDER BUTTONS, 1914; GEOGRAPHY AND PLAYS, 1922; HOW TO WRITE, 1931; THE AUTOBIOGRAPHY OF ALICE B. TOKLAS, 1933; EVERYBODY'S AUTOBIOGRAPHY, 1937; THE WORLD IS ROUND, 1939; PARIS FRANCE, 1940; WARS I HAVE SEEN, 1945 i inne.

Jej styl zrywa całkowicie z tradycyjną budową; jej wiersz nie przestrzega konwencjonalnej logiki i gramatyki, pragnie się wcielić w opisywany przedmiot, stać się nim.

W ogłoszonych w 1935 r. LECTURES IN AMERICA wyjaśniła filozofię swojej składni i literackiej konstrukcji, którą zawdzięcza częściowo teoriom estetycznym Williama Jamesa i Bergsonowskiej koncepcji czasu. Zadaniem sztuki — twierdzi Stein — jest całkowite wejście w teraźniejszość, a swoją technikę pisarską porównuje z filmową. Interesowała ją również zależność między kolorem a dźwiękiem; zwłaszcza system przystankowy, który przeszkadza w powstawaniu dzieła literackiego. Jej teoria 'happening'u', jest jakby żywcem wzięta z dzisiejszego dnia.

Jej rękopisy złożone są w Yale. Od 1951 zaczęły ukazywać się pod redakcją Van Vechtena jej zbiorowe dzieła. Nad całością wydawnictwa czuwała jej przyjaciółka polskiego pochodzenia, Alice B. Toklas.

STANCA XV (fragment)

Myślałam że gdy przyjdą nie będę miała nic przeciwko temu
Lecz mam.

Myślałam też że nie sprawi mi to żadnej różnicy gdy przyjdą
Lecz sprawia.

Pragnęłam również by wiedzieli że byłam tu sama
Gdyż jestem.

Przeznaczona nieprzeznaczeniem nie jestem tu by wątpić
A jednak.

Daj mi wyrazić to co mówię z pełną dokładnością
To co jest znane.

EPILOG

Książka ta nie ma w sobie nic historycznego
Oprócz pewnego stanu świadomości.

STANZA LXXXIII

Dlaczego jestem jeżeli jestem niepewność zamknę
[w przypuszczeniach]

Zostań zostań odślaniaj skłaniaj wybieraj
Wołam nicostrożnie że drzwi są otwarte

Które jeśli zdołają odmówią otwarcia
Nikt w pośpiechu już ich nie zamknie

Niech przeto już będą moje

Każdy wszak wie żem wybrała

Więc o ile więc nim zamknę je

Ofiaruję sama to sama ofiaruję to

Co jeśli odmówię mogę odmówić bo moje

Zostanę dobrze przyjęta gdy przyjdę

Ponieważ nadchodzę

Oczywiście idę przybyła

Stanca się narodziła.

WALLACE STEVENS

1879—1955

Pochodzenia holenderskiego, urodził się w Reading, Pensylwania. Kształcił w Harvardzie i Nowym Jorku, gdzie studiował prawo. W roku 1904 zostaje adwokatem i rozpoczyna praktykę w Nowym Jorku. W roku 1916 przechodzi do kompanii ubezpieczeniowej, a w roku 1934 zostaje jej wicedyrektorem.

Pierwsza jego książka HARMONIUM ukazała się w 1923 roku, wiersze jednak drukował w sławnej chicagowskiej POETRY już od 1914 roku. W 1931 ukazuje się drugie, powiększone wydanie HARMONIUM, następnie zaś w 1935 IDEAS OF ORDER; OWL'S CLOVER w 1936; THE MAN WITH THE BLUE GUITAR, 1937; PARTS OF A WORLD, 1942; NOTES TOWARD A SUPREME FICTION, 1942; ESTHETIQUE DU MAL, 1944; TRANSPORT TO SUMMER, 1947; i AURORES OF AUTUMN, 1950.

Jednak dopiero w 1953 roku, w trzydzieści lat po ukazaniu się pierwszej jego książki, wydano w Anglii „Poezje wybrane” Stevensa.

W Stanach uznanie jego rośnie równie wolno. Jego bezustanna praca nad stylem i twierdzenie, że „poezja jest poezją i jedynym celem poety jest dążenie do poezji”, nie zjednały mu przychylności krytyków. Jego wielbicieli również często nie rozumieli go, gdyż jak twierdzi krytyk Blackmur „jest prawie niemożliwością ilustrowanie Stevensa wyrwanym z całości fragmentem, nie wyrzuciwszy autorowi poważnej krzywdy”. Twierdzi on, że wiersze Stevensa są równie trudne jak Eliota i Pounda, ale o ile do zrozumienia dwu ostatnich potrzebna jest dodatkowa pozapoetycka wiedza, Stevens liczy jedynie na naszą inteligencję. Jeden z krytyków amerykańskich wrócił ostatnio, że geniusz Stevensa przyćmi w przyszłości sławę Eliota.

DOM BYŁ CICHY I ŚWIAT BYŁ SPOKOJNY

Dom był cichy i świat był spokojny.
Czytelnik stał się książką; letnia noc

Była jak książki świadoma istota.
Dom był cichy i świat był spokojny.

Słowa mówiono, jakby już nie było książki,
Mimo że czytelnik zawisł nad stronicą,

Pragnąc się wgłębić, pragnąc bardzo zostać
Uczonym, któremu książka była wierna, zaś

Letnia noc jak doskonałość myśli.
Dom był cichy. Cichy miał być dom.

Cisza była w znaczeniu, była częścią myśli:
Udoskonaleniem otwartej stronicy.

A świat spokojny był. Wypełniony prawdą,
W świecie gdzie spokój nie ma innych znaczeń.

Spokojny w sobie, sam latem jest i nocą, sam
Późnym czytelnikiem schylonym nad książką.

NIEDZIELNY PORANEK

I

Wygoda peniuaru, krzesło w blasku słońca
Spóźniona kawa wraz z pomarańczami,
Beztroska na dywanie zieleń
Żwawej papugi, zakłócającej
Odwiecznej ofiary uświęconą ciszę.
Drzemiąc, odczuła jak się nagle wdziera
Ciemna zakusa dawnego nieszczęścia,
Gdy cisza mrokiem wzbiera wśród poświaty wód,
Dusząca woń pomarańcz, skrzydeł jasna zieleń
Są jakby wzięte z procesji umarłych
Wijące się milcząco wśród szerokich wód.
I dzień zamilkły jest jak szerokie wody
Znieruchomiałe pod jej śniącą stopą
Przemierzającą morza, ku cichej Palestynie,
Królestwu krwi przelanej i grobowca.

II

Dlaczego trupa szczodrością ma darzyć?
I co z boskości, jeżeli przychodzi
Milczącym tylko cieniem, tylko w snach?
Czyż zdoła przeto w słonecznym dosycie
W ciepłym owocu, w zieleni uskrzydłonej
Bądź też w kojącym pięknie ziemi znaleźć
Rzeczy godne tej samej co niebo pamięci?
Boskość powinna zamieszkać w niej samej:
Pragnienie w deszczu, czy nastrój w śnieżycy
Żal samotności czy nieokiełzana
Radość gdy kwitną lasy; zaś gwałtowny wstrząs
Jesiennej nocy na rozmokłym trakcie;
Wszystkie radości te i wszystkie bóle
Pamięć konaru lata, gałęzi pod zimą,
Oto są miary duszy jej, dane przeznaczeniem.

III

Jowisz począł się w chmurach, inaczej niż człowiek.
Nie ssał on piersi matki, hojna słodycz ziemi
Nie obdarzyła jego mitotwórczej myśli.
Krążył wśród nas jak zagniewany król
Wspaniały, w pośród uległego stada
Dopóki krew w nas, czysta, syta nieba

Zasmakowała w pełni pragnienia zdobycia
 Stada, wśród gwiazd, które go wydało.
 Czy więc zawiedzie nas krew? Czy dostąpi
 Raju? Ziemia zaś posiada wszystko
 Co w nim godnego jest poznania?
 I przyjaźniejsze okaże się niebo
 Niż dziś dzielące się na znój i ból,
 Będzie jak miłość wieczna, pełna glorii
 A nie bezbarwnym błękitem co dzieli.

IV

Ona mówi: „Ciesz mi radość obudzonych ptaków,
 Gdy przed odlotem smakuja realia
 Zamglonych pól, słodyczą swej mowy;
 Lecz gdy odleca ptaki, a ich ciepłe pola
 Odejdą bezpowrotnie, gdzież wtedy jest raj?
 Nie ma już wówczas obsesji prorocstwa,
 Stara chimera nie wypływa z grobu,
 Ni złotego podziemia, ani wyspy
 Rozśpiewanej — domostwa duchów i mar,
 Nie ma wizji południa ze zwiesistą palmą
 Na odległym pagórku nieba, co przetrwała
 Wraz z kwietniową zielenią i trwać będzie
 Niby wspomnienia budzących się ptaków,
 Gdy upragniona czeka na czerwcowy wieczór
 Dotknięty jaskółki wyzwolonym skrzydłem.

V

Ona mówi: „Zadowolona, mimo to odczuwam
 Potrzebę stałej kojącej rozkoszy”.
 Matką piękna jest śmierć; przez nią więc
 Nasze sny dopełnią się w sobie
 I pragnienia. Choć skrzętnie ścieżki zaciera
 I ściółkę liści miota, ścieżki
 Chora żałoba wzięta w posiadanie
 Gdzie tryumf śpiewał swe mosiężne frazy
 Miłość szeptała, gubiąc się w czułości.
 Przez nią drży wierzba w słonecznym upale
 Ponad głowami dziewcząt, które w zapatrzeniu
 Usiadły w trawie, by dać ulgę stopom.
 Chłopców zaś zmusza by gruszki i śliwy
 Śpiętrzały na półmiskach. Dziewczęta je smakuja
 I błędzą namiętym ruchem wśród zgubionych liści.

VI

Czyżby śmierć w raju nie zmieniała się?
 Dojrzały owoc nigdy nie opadał? Gałęzie

Zaś zwiślały ciężko w doskonałym niebie
 Bez zmian, jednak podobnym do ginącej ziemi
 Pełnym rzek, na wzór naszych, szukających mórz
 Nieosiągalnych, z ustępującymi jak nasze brzegami
 Do których nigdy groza nie miała dostępu?
 Więc po co gruszką mać brzegi rzek
 Po co sycić wybrzeże aromatem śliw?
 Chyba że wdzieją nasze tam kolory,
 Jedwabną tkankę naszych popołudni,
 Uderzą w struny nudnych naszych lutni!
 Matką piękna jest śmierć, z piersi jej
 Mistycznej i gorącej matek ziemskich ród
 Począł się w bezsenności i oczekiwaniu.

VII

Łagodni, pełni buntu, ustawieni kołem
 Mężczyźni orgię pieśni wzniosą o poranku
 Sławiąc bezwzględne oddanie się słońcu,
 Nie tak jak bogu, lecz wizerunkowi
 Nagiemu w gronie ich, źródłu dzikiej siły.
 Brzmienie ich pieśni będzie pieśnią raju
 Z ich krwi zrodzona, do nieba powróci;
 Wejdzie w jej dźwięki, ton po tonie
 Jezioro w którym mistrz wiatrem się bawi,
 Drzewa jak serafiny, echem brzmiące wzgórz,
 Długo potem chórami rozśpiewane w sobie.
 Będzie im dane poznać ludzką boskość losu
 Jak ginie człowiek i letni poranek.
 Skądkolwiek zaś tu przyszedli, i gdziekolwiek idą
 Rosa na stopach, będzie ich orędiem.

VIII

Do uszu jej dochodzi znad milczącej wody
 Głos wypełniony płaczem: „Grobowiec w Palestynie
 To nie oparcie dla zagubionych dusz.
 Jest to miejsce Chrystusa, w którym on spoczywa”.
 Żyjemy otoczeni słonecznym chaosem,
 W odwiecznej zależności od dnia i od nocy,
 W osamotnieniu wyspy, wolni, bez opieki,
 Gdzie nie ma ucieczki od szerokich wód.
 Góry nasze przemierza jelen — i przepiórka
 Rozpacza przy nas spontanicznym krzykiem;
 Słodkie jagody dojrzewają w głuszy;
 A z pustynnego najzupełniej nieba
 Przypadkowe stado gołębi — wieczorem —
 Zanim pionowym ruchem zapadnie się w ciemność
 Faluje w górze na rozwartych skrzydłach.

MARIANNE MOORE
ur. 1887

Urodziła się w St. Louis, Missouri, gdzie ukończyła Bryn Mawr College w 1909 roku. Pierwsze jej wiersze ukazały się w 1915 roku w chicagowskim magazynie POETRY. W 1921 ukazuje się jej pierwszy tomik POETRY, a w trzy lata później następny OBSERVATIONS, za który otrzymuje nagrodę pisma DIAL.

W roku 1935 do jej SELECTED POEMS T. S. Eliot pisze entuzjastyczny wstęp, podkreślający jej wybitny talent, zaś w 1951 Moore otrzymuje wysoce wyróżniającą nagrodę Pulitzera za tom COLLECTED POEMS, jak również National Book Award i Bollinger Prize. Potem ukazały się jej świetne przekłady bajek La Fontaine'a, tom esejów i trzy dalsze tomy wierszy: LIKE A BULWARK (1956), O TO BE A DRAGON (1959), TELL ME, TELL ME (1966), a w 1967 THE COMPLETE POEMS OF MARIANNE MOORE, wydane przez nowojorską firmę The Viking Press.

POETRY

Ja też jej nie lubię: są rzeczy bardziej istotne ponad jej brzęczenie.
Mimo to gdy się ją czyta z największą pogardą, można jeszcze w niej odkryć moment jedyności.

Ręce które chwytają, rozszerzone
oczy, włosy zjeżone nagłą
siłą, są to rzeczy ważne nie dlatego

że można je tłumaczyć górnolotnym słowem, ale dlatego że są użyteczne. Kiedy staną się już tak wyświechtane że aż niezrozumiałe, co o nas wszystkich można by powiedzieć, że rzeczy zrozumiałe tylko: gacka [podziwiamy
zwieszoną głową w dół
lub gdy szuka

posiłku, pracujących słoń, dzikich tarzających się koni, wilka [gdy czuwa
pod drzewem, krytyka na którym zadrżała skóra jak na koniu
pchłę, przyjemności przy grze [gdy poczuł
w palanta, statystyka który nie zyska
na uznaniu ośmieszając
'dokumenty handlowe i

podręczniki szkolne¹; zjawiska te są wszystkie ważne. Trzeba [jednak
umieć je rozróżniać, gdyż wydzwignięte na cokół przez
nie są już poezją, dopiero gdy wśród nas [niby-poetów
poeci potrafią być wiernymi
'własnej wyobraźni² — wznieść się
ponad trywialne grubiaństwo i potrafią stworzyć
zmyślony ogród z prawdziwą w nim ropuchą, wtedy dostąpim

jej łaski. W międzyczasie, gdy z jednej strony będziesz domagał się surowca poetyckiego w całej jego surowości a z drugiej tego co jest prawdą, wtedy dopiero wgłębiłeś się w poezję.

Wersja poprawiona z THE COMPLETE POEMS OF
MARIANNE MOORE

Ja też jej nie lubię.

Mimo to gdy się ją czyta, z pełną dla niej pogardą,
odkrywa się w niej
przecież moment jedyności.

(The complete 1967 version of one of
Marianne Moore's best-known poems)

Wersja ostateczna przytoczona w liście z dnia
29 marca 1968 roku:

Poezjo, ja też ciebie nie lubię.

Ale jest w tobie mimo wszystko miejsce na jedynność.

NOTY:

1. *Dziennik Tolstoja* (Dutton) str. 84... Gdzie leży granica między prozą a poezją, tego nigdy nie będę mógł zrozumieć. Pytanie to jest poruszane w podręcznikach stylu, lecz nie jestem w stanie odpowiedzieć na nie. Poezja jest wierszem, proza nie jest wierszem. Względnie poezja jest wszystkim, z wyjątkiem dokumentów handlowych i podręczników szkolnych.

2. *Wiernymi własnej wyobraźni*, Yeats *Idea dobra i zła* — A. H. Bullen, str. 182.

CONRAD AIKEN

ur. 1889

Conrad (Potter) Aiken urodził się 5 sierpnia 1889 roku w Savannah, Georgia. Studia skończył w Harvardzie, po których przez trzy lata dużo podróżował, przez jakiś czas mieszkał w Anglii, a od 1928 przebywał w Massachusetts i Georgii.

Aiken należy do jednej z najwybitniejszych postaci literatury amerykańskiej. Otrzymał nagrodę Pulitzera w 1929 roku; National Book Award w 1954; the Bollingen Prize w 1956 i Huntington Hartford Prize 1960. Jest autorem wielu tomów wierszy, powieści i krytyk, jak: BLUE VOYAGE, USHANT, A REVIEWER'S ABC, COLLECTED POEMS i innych.

PALIMPSEST: ZWODNICZY PORTRET (fragment)

Właśnie, wystarczają nam jak powiedziałeś
Ciasne horyzonty: w stłoczonej fali toczonej

Rozmowy, patrząc na mnogość oczu, rąk i twarzy,
 Mnogość ust, a każde z tajemnym wyrazem,
 Wiedząc tak mało o nich, tyle że widzimy
 Jasno zarysowany krążek naszej świadomości,
 Poza którą jest ciemność. Niektóre rozróżniamy,
 Lub tak nam się zdaje. Raz w słoneczny poranek
 Znalazłem się w jakimś korytarzu, usiłując odszukać
 Właściwe drzwi. Natrafiłem na jedne, pchnąłem
 Otworzyły się. W rozległej jaskrawo oświetlonej sali
 Grała orkiestra stu mężczyzn; szybko, płynnie
 Gdy wyniosła kobieta górowała nad nimi głosem
 O silnej inkantacji... Zamykając drzwi
 Słyszałem jak głos zamierał, zmieniał w szept
 I wszedł jak przedtem, w ciszę korytarza.
 Taki właśnie rzut oka przez uchylone drzwi
 To wszystko chyba co wiemy o tych których znamy.
 Nieoczekiwana muzyka zaskakuje nas, widzimy
 Grę odtwarzanych myśli — a potem tylko milczenie.
 Muzyka, chyba (która i w nas gra)
 Nigdy nie kończy się za zamkniętymi drzwiami
 Tak jak nie przestała płynąć po naszym odepściu
 I jak wierzymy była, gdyśmy się zjawili.
 Co o mnie wiesz właściwie, co ja wiem o tobie?
 Zbyt mało... A kiedy uchylamy drzwi
 To jedynie dla wybranych muzycznych akordów:
 Ten pasaż (tak myślę — choć tylko zgaduję)
 Ucieszy go — ma jego ulubiony wydźwięk —
 Bardziej piękny od jego pasaży, a wzruszając
 Uwięzi go zarazem... On patrzy zdziwiony na mnie
 Myśląc (jak sądzę po sobie — co też jest przypuszczeniem)
 Że muzyka jest dziwnie nieuchwytna, głęboka w znaczeniu,
 Pogmatwana zawile; posądza mnie
 O ukryte bogactwa i nagłe mądrości.
 Albo pozwolę mu się wsłuchać w jasny pasaż
 Lirycznie prosty i podczas jego trwania
 Będę udawał w myśli żem zamknął własne drzwi.
 To też go będzie dziwić. Śledząc z ukosa mnie
 Będzie przemysliwał: 'Czyżby aż takim był on kpm?
 A może tylko drwi?' I na tym chyba skończy.
 Czasem, gdy najmniej spodziewamy się —
 Goniąc w zapamiętaniu za naszymi snami,
 Perorując w zapale — drzwi się otwierają
 Nagle i bez powodu; zgłodniały zaś obserwator
 Wpatruje się w biesiadę i śmiejąc się
 Unosi z sobą nasze tajemnice. Lecz to zdarza się rzadko.
 W większości zaś darzymy ich łaską,
 Przyjaciół i kochanki, kilku łatwych nut,
 Dając im możliwość podziwiania ich:
 'Pochwal mnie za to — mówimy — albo, śmiejąc się z tego'
 Lub 'Podziwiaj mą szczerłość'... cały czas

Kryjąc co w sobie mamy najcenniejsze, —
 Grzeszne dna chuci, nienawiść i strach,
 Nutę wezbraną mrokiem, co siłę daje strunie;
 Lub biel rozkoszną — jeżeli taką znamy —
 Niby pożoga, gdy chcemy o niej mówić wstrzymuje słowa.

ARCHIBALD MACLEISH

ur. 1892

Urodził się 7 maja w Glencoe, Illinois. Studia skończył w Yale, zaś stopień naukowy z prawa uzyskał na uniwersytecie Harvard, w 1919. Brał udział w pierwszej wojnie światowej, jako oficer artylerii, potem przez trzy lata praktykował prawo w Bostonie, które porzucił by oddać się literaturze. W 1923 udaje się na pięcioletni pobyt do Francji; w 1930 roku jest jednym z redaktorów pisma FORTUNE, zaś od 1939 do 1944 pracuje w Library of Congress, a w 1944 i 5 jest asystentem Sekretarza Stanu. Od 1949 do 62 jest profesorem angielskiego na uniwersytecie Harvard.

MacLeish otrzymał trzy nagrody Pulitzera: za CONQUISTADOR w 1933, COLLECTED POEMS, w 1953 i sztukę napisaną wierszem J.B. w 1959.

AMERICA WAS PROMISES (fragment)

Kto podróżuje po tych stronach?
 Kto jest wędrowcem w tej podróży
 Krążącej nocy tropicielem: odbierającym
 Sygnał odbitego światła?

Czym spełnieniem obietnic była Ameryka?

Na Wschodzie
 Byli wymarli królowie i pamięć ich grobów:
 Zachód zielenił się trawą.

Wieczory wypełniały dębowe zagajniki.

Wschód ciała nasze pogrążał w swych nocach.

A myśmy szli, dążyli przed siebie.
 Z pierwszym światłem dnia wędrowali naprzód.
 Opuszczaliśmy przeszłość jak koczowniczy szczep opuszcza swoje
 Dzień nas przyjął aby nas odkryć. [góry.
 Nasi zmarli zostali gdzie padli — o zmierzchu
 Późną nocą pod przykryciami.
 Miejsca te znaczyliśmy na palcach kształtem naszych zębów.
 Są dziś takie same jak były: wezbrane miłością

Kto podróżuje na tych kartkach po
 Dorocznych wodach mija drzwi strojne

W żonkile, w róże, okapy
 Spiętrzające gromy, poranki
 Przechodzące w rozległe doliny
 Nigdy przedtem nie dotknięte stopą, znane nam
 W dali drzewa, odległe przyszłością,
 Małwy przewyższające popołudnia,
 Motyle unoszące się nad dojrzewającymi owocami na balkonach
 A wszystko to piękne
 Wszystko przed nami

Ameryka była zawsze nadzieją.
 Od pierwszej podróży i pierwszego statku kwitła nadziejami —
 'jak tropikalny ptak który nie uśnie na morzu'
 'zgęszczeniem ciemnych chmur o wróżebnym znaku'
 'mżącym bezwietrznym deszczem, pełnym w sobie znakiem'
 'wieloryb będący symptomem'
 'Laska która wydaje się być rzeźbiona żelazem'
 'ciężka od jagód łodyga róży'
 'wszystkie te znaki były darem zachodu'
 'i noc słyszała wędrujące ptaki'.

Kto jest wędrowcem tych wybrzeży?
 Kto wody te przemierza
 Czekając na przyszłość swoją jak na brzeg, wyczuwa
 Jak obraz Indii zachodnich jej granicę — on,
 Obietnica którą fala niesie?

Ameryka była nadzieją — dla kogo?

Wiedział to Jefferson:
 Gdy świadczył przed Bogiem i historią,
 I czczonym grobem dotąd świadczy,
 Człowiek żył obietnicą, ziemia była jego —
 Człowiek obdarzony przez Stwórcę,
 Skromny w miłości, posłuszny rozumowi
 Prawy i czujny na prawo, naturalny w sobie
 Czysty i pełny wezbranej słodyczy jak strumienie wśród drzew.
 Człowiek nadzieja kontemplacji.
 Czas wybrał człowieka, nikogo innego
 Kwitnącą kwiatem na jego twarzy przyszłość
 Brata gwiazd i podróżujących
 Brata czasu i wszystkich jego tajemnic
 Brata trawy, drzew owocujących.
 Człowiekowi przyobiecano że będzie posiadał.
 Człowiek miał przybyć od Tidewater, poprzez Przełęcz,
 Iść z wodami na Południe i Zachód, biorąc z sobą książki,
 Zbożowe ziarno, ziarno kukurydzy i owocu jabłka,
 Wznosząc wolność przestronnym podwórkiem,

Dojrzewając do zwykłej pracy i urody,
 Do zamążpójścia, miłosierdzia, dumy —
 Dbały o własną godność i zwykłą uczciwość.

e. e. cummings
 1894—1962

e. e. cummings, syn wykładowcy na Harvardzie i pastora, urodził się w Cambridge, Massachusetts. Po ukończeniu studiów, w 1916, jako ochotnik, wyjechał z korpusem sanitarnym do Francji. Po przetrzymaniu go przez pomyłkę w obozie koncentracyjnym (opisał to w powieści THE ENORMOUS ROOM) wraca do Stanów i cały swój czas poświęca malarstwu i poezji.

W 1925 otrzymuje nagrodę pisma DIAL za wybitną twórczość literacką, a w 1950 podobną nagrodę z ACADEMY OF AMERICAN POETS.

Karl Shapiro, poeta, profesor i krytyk, bardzo wysoko ocenia twórczość cummingsa. Nazywa go „oswojonym Baudelairem, udoskonalonym przez pokolenia Bohemy i Harwardu.

„Bostończyk, jak cummings — mówi o nim Shapiro — o nawarstwionym zapleczu 'lepszego' Amerykanina, pełny dumy bostońskiego arystokraty, czy ekscentryka, czym się chlubił, pełny gniewu poety oddanego na łaskę Nowego Jorku, przeczułony, sentymentalny, furia trzymający się w ryzach, jest Amerykaninem podobnym do większości z nas, dla którego Francja jest sama przez się niebem.

cummings był w istocie człowiekiem szczęśliwym, w którym rozwinęło się poczucie nieszczęścia podczas jego ulicznych przechadzek. Zwierciadło tego próżniaczego wałęsania się rozpryskiwało się w miliony uroczych obrazków. Po poecie oczekuje się że stworzy nową religię, o ile nie może poddać się starej. cummings nie stworzył”.

jeżeli w ogóle istnieje jakieś niebo

jeżeli w ogóle istnieje jakieś niebo moja matka (na własność)
 Nie będzie ono całe z bratków ani [posiadzie je.
 z delikatnych usłane konwalii ale
 niebo z czarnoczerwonych róż

mój ojciec (smukły jak róża
 i głęboki jak róża)

będzie stał obok
 (kołysząc się nad nią
 w milczeniu)
 o oczach które raczej są płatkami kwiatów

bez żrenic o twarzy poety która
 w istocie jest kwiatem nie twarzą z
 rękoma
 które szepczą

Oto jest moja ukochana moja
 (nagle w blasku słońca
 ojciec pokłoni się,
 & cały ogród pokłoni się w pas)

platon rzekł

platon rzekł

mu: on nie mógł
 uwierzyć (jesus

rzekł mu; on
 nie chciał uwierzyć)
 lao

tse
 z całą pewnością rzekł
 mu, i generał
 (tak

proszę pani)
 sherman;
 a nawet
 (wierz mi
 lub

nie) tyś mu
 rzekł; ja mu
 rzekłem; myśmy mu powiedzieli
 (on nie wierzył temu, nie

dobrodzieju) i trzeba było
 aż japońskiego odłamka ze
 starej kolejki na szóstą

alei
 w jego łepetynie: by go

przekonać

STANLEY KUNITZ
 ur. 1905

Urodził się w Worcester, Massachusetts. Wychowywała go matka, gdyż ojciec popełnił samobójstwo z powodu nadużyć finansowych swego współ-

nika. Harvard ukończył z wyróżnieniem. Jest współwydawcą i redaktorem BRITISH AUTHORS 1800 i AMERICAN AUTHORS 1600-1900. Gdy wybuchła Druga Wojna Światowa wstępuje do armii, a po demobilizacji jest wykładowcą i organizatorem wakacyjnych seminariów literackich w Nowym Jorku. Potem oddaje się pracy naukowej przy współredagowaniu TWENTIETH CENTURY AUTHORS. Jego wiersze o nowożytnej formie i metafizycznej treści ukazały się w następujących tomach: INTELLECTUAL THINGS, 1930; PASSPORT TO WAR, 1944; i SELECTED POEMS, 1958 za który otrzymał on nagrodę Pulitzera.

OJCIEC I SYN

W ślad za nim szedłem,
 Wśród dogasających na przedmieściach światła,
 Droga piaszczystą, bielszą od zmielonych kości,
 Wśród stężonych słodyczą pól, gdzie owoce śliw
 Zniwem dojrzłym spadały raz po raz.
 Mila za milą, szedłem, płynnym ruchem stóp
 Za utajonym władcą mojej krwi,
 Przez chłodną woń sadzawek, których miłość
 Opętała mnie. Lata, napięte ptakiem
 Mijały senną okolicą moich młodych lat
 Scieląc przede mną, gdy tak szedłem, ciszę
 Z nocą jak pomarańcza przybitą do mej brwi.

Jak mogłem mu się zwierzyć z mych marzeń i zwątpień
 Jak złagodzić dzielącą nas przepaść mostem zwykłych słów,
 Powiedzieć: „Dom któryś z drzewa i tynku zbudował
 Myśmy stracili. Siostra po ślubie opuściła go
 Dziwne, lecz nic nie wraca stamtąd gdzie jest ona.
 Ja mieszkalem wśród wielu na wzgórzu pokoi:
 Światło mieliśmy własne, o znikomym cieple
 A gdy i ono zgasło, schroniłem się pod wzgórzem.
 Gazety jednak przychodzą codziennie;
 Choć jestem samotny, nie uрониłem jeszcze jednej łzy”.

Nad brzegiem wody gdzie stłoczone paprocie unosiły
 Ręce, krzyknąłem: Ojczy, wróć! Znasz przecie
 Droga. Sam ci oczyszczę zabłoconą odzież
 Że śladu brudu, wierz mi, nie zostanie.
 Poucz syna rzuconego w wir międzywojenny
 Łagodnością twojej Gemary.
 Dla tych co opłakują pozostaną dzieckiem
 Bratem wśród polnych podrzutków
 Niewinnym przyjacielem dla wszystkich jasnoookich.
 O daj mi siłę pracy i trwałą dobroci.

Wśród wodnych lilii i żółwi on odwrócił ku mnie
 Bezmyślną głębię pustej swojej twarzy.

ROBERT PENN WARREN
ur. 1905

Urodzony w Kentucky i mocno związany z tradycją Południa, gdzie studiował na Vanderbilt University. Stopień M.A. otrzymał na University of California, zaś dodatkowe studia odbywał w Yale i Oxfordzie. Karierę akademicką rozpoczął w Louisiana State University, potem wykładał w Yale i na innych uniwersytetach. Jest założycielem i wydawcą The Southern Review (1935-42). Wybitnie i wszechstronnie utalentowany, ogłosił wiele powieści i tomów wierszy. W roku 1946 otrzymał nagrodę Pulitzera za powieść ALL THE KING'S MEN, zaś w 1957 za tom wierszy PROMISES i w 1965 za wiersze zebrane COLLECTED POEMS.

ILE de PORT CROS:
JAK TO SIĘ STAŁO

dla J. J. E. Palmera

(fragment)

1. CZYM JEST DZIEŃ

U Pliniusza, Phoenice. To
Fenicjanie. A przedtem, Celtowie.
W końcu, jak zawsze, Rzym:
Garstka monet, trup imperatora.
Obrobiony kamień — na co tu czeka?
Irygacja — teraz już nie łatwo
Odgadnąć jej stare napowietrzne rowy.

Potem,

Mnisi, Murowie, mordercy,
Śródziemnomorskie szczątki załóg, włącznie
Z Anglikami, gdy trzebili
Oliwkowe drzewa, niszczyli winorośla, puszczając
Z dymem chateau.

Cały dzień, piewiki
U podnóża nieskończoności, jakby
Milenie drzew. Pył
Bezustannego wysiłku,
opromienione mosiężne opiłki,
Pagórkowate u stóp drzewa. Oto
Sam w sobie dzień.

Nie patrz
Zbyt długo ku morzu, jego blask
Zrenice utoczy ci z oczu.

Staną się szare jak martwe księżycy.

5. MIEJSCE GDZIE NIC ISTNIEJE

Byłem w miejscu gdzie istnieje
nic, nie jest ono
ciszą, gdyż są tam głosy, i nie
pustką, gdyż jest
ogromna tam pełnia, jest ono
załudnione nicością i głośne
od jej głosów, ni-
cość uwiera żebra jak
łokieć, jej bryła
tkwi w gardle jak skrzep
flegmy i gdy w ciemności
zaniesiesz się kaszlem, to tam,
w kraju nicości nie będzie
żadnego echa, gdyż mrok
nie ma ścian, a jeśli będzie,
to zabrzmi swoim pierwotnym
śmiechem. Lampy przy łóżkach
płoną ale nie dają
światła.

Ostrzegłem
cię już wcześniej przed zbyt
długim wpatrywaniem się w
jasności morza, teraz jednak,
— tak — cofam moje słowa, gdyż
jasność nico-
ści która jest morzem, nie
jest już nicością, ale jak
owo nieprzemierzone morze

nicości w śnie Plotyniusza.

6. MASZTY O ŚWICIE

Po drugim pianiu koguta maszty w porcie powlekają się bielą.

Na wschodzie nie ma jeszcze światła, ale gwiazdy wykazują już
*** pewne zmęczenie.

Odchodzą ku nowej przestrzeni, po odkryciu naszej
*** bezwartościowości. Upłynął dłuższy już czas

Gdy sowa w ciemnym eukaliptusie, ponuro choć melodyjnie
*** wydała ostatni krzyk i

Księżyc utonął w wodzie a Anglicy
Przestali się parzyć w swoich keczach. Wieczorem
*** morze mocno wezbrało.

Słońce zaszło w czerwieni, wiatr w ciemności zerwał się od
*** wschodu, białe morze szarpało czarny cypel portu.

Przy wezbranym morzu, możesz, jeśli się
 zgodzisz poddać, doświadczyć
 Uczucia mistycznej łączności w rytmicznym tym akcie. Twój

 spokój jest we władzy morza.
 Ale teraz wszystko zamarło w bezruchu, oblicze zatoki błyszczą

 w ciemności,
 Jak stara okienna szyba, leżąca płasko przy ścianie na tle czarnej
 ziemi, przy kopcu popiołu, który ani nie
 wydaje, ni nie odbija światła. Teraz nastała godzina gdy morze

 Zagłębia się w medytację. Wątpi w swe powołanie. Utopiony kot

 Który przy wieczornym przypiływie obijał się o słupy mola
 wywołując wrażenie że pragnął wspiąć się
 I liżąc, osuszyć swe ciało, teraz buja na fali. Na powierzchni

 jedynie lekka wypukłość, jest jak
 Powieka w ciemności, zamknięta. Musisz wiedzieć jak przyjmować
 pocałunek losu, gdy
 Maszty bieleją zwolna, gdy światło jak rosa, osiada
 Na nich z ciemności, na naoliwionym drzewie, na metalu. Rosa

 bieleje w ciemności.
 Leżę w łóżku i myślę, jak poprzez mrok maszty stają się białe.

 Głos motoru na pierwszej rybackiej łodzi zamiera w morzu.
 Wkrótce
 W dolinie na wyspie obudzi się gołąb świtu. Usiłujmy kochać

 Tak mocno świat, byśmy w końcu mogli uwierzyć w Boga.

WYSTAN HUGH AUDEN

ur. 1907

Urodzony w Anglii, studia ukończył w Oxfordzie. W latach 30-tych, razem z innymi poetami angielskimi: Isherwoodem, Spenderem i Day Lewi-
 sem, skłania się ku marksizmowi.

W 1939 Auden przenosi się do Stanów, a w 46 przyjmuje obywatelstwo amerykańskie. Około 1940 roku oddala się od marksizmu, a zbliża ku katolicyzmowi. Wiersze z tego okresu przesycane są intensywnym poszukiwaniem za wiarą i logiką życia.

W 1948 otrzymuje nagrodę Pulitzera, a w 56 obejmuje katedrę poetyki w Oxfordzie. Ważniejsze wykłady, eseje i krytyki ukazały się w tomie THE DYER'S HAND w 1962 roku.

„W moim okresie W.H. Auden zasłużył się najbardziej jako nauczyciel języka i twórcza formy. Tak jak Eliot dotarł do głębi poetyckiej świadomości, tak Auden wprowadzając retorykę na wolność, upowszechnił ją i udo-
 stępniał. Możliwe, że dwudziesto czy trzydziestoletni poeci nie zdają sobie
 dobrze sprawy z tego co zaszło? Jeżeli tak, to nie rozumieją również dlaczego
 Eliot i Pound zamieszkaliby na stałe w Europie. Co nie ma właściwie zna-
 czenia.

W skrytości żywiłem stale w sobie głęboko ukryte i kierowane intuicją

podejrzanie, że ani Auden ani Eliot, nie są poetami. Może retorykami —
 pisarzami którzy wspaniale utrzymali przy życiu poetycką formę dialogu.
 Będąc lingwistami, są tym samym nauczycielami, a będąc nauczycielami,
 nie są twórcami.

Moja droga rozwoju poetyckiego — na wzór Topsy — do momentu zja-
 wienia się Audena, nie miała własnego języka. Nie dla dowcipu, czy pod-
 kreślenia mojej bystrości pragnę powiedzieć, że dopóty nie mogłem zrozumieć
 Life'u, dopóki nie przeczytałem Audena. Gdy z jednej strony byli:
 Matthew Arnold, Arystoteles i Arystofanes, z drugiej zaś ja, moja ulica,
 radio, wojny, reklama, wstrząsająca swoją wielkością nauka, przedmioty
 handlu w świecie otaczającym nas. Auden to wszystko zogniskował i wiers-
 zem po wierszu naświetlił. Gdy pierwszy raz czytałem go podczas czarnych,
 ale podniecających dni Wielkiej Depresji, wypełnił on tamte lata wstrząsa-
 jącym blaskiem, teatralnością i autorytetem. Jakież z niego prawdziwy
 impresario!

Auden jest ginącym łabędziem szczytów europejskiej poezji. Tak ja go
 przynajmniej widzę. W każdym razie jest on poetą języka, dla którego Sytua-
 cja jest drugorzędna. Świetnie się w nią wciela, ponieważ w swoich wierszach
 jest on ponad nią. Auden to artysta z obserwacji, stuprocentowy kustosz,
 perfekcjonista do perfekcji. Uszeregował on nowoczesne dialekty angielskie,
 udoskonalił je i pokazał jak należy używać, a potem wspaniałomyślnie prze-
 kazał ogółowi jako domenę publiczną. Sam zaś wycofał się do swego labo-
 ratorium”.

Karl Shapiro: The Carleton Miscellany
 Summer 1964

KU PAMIĘCI W.B. YEATSA

Zm. w styczniu 1939

I

Odszedł w głąb zimowej martwoty:
 Strumienie pokrył lód, lotnisko opustoszało,
 I śnieg zniekształcił publiczne pomniki;
 Rtęć utonęła w gardle ginącego dnia.
 I wszystkie instrumenty przyznawały zgodnie
 Że dzień jego śmierci był mrocznym zimnym dniem.

Z głębi jego cierpienia
 Przez wiecznie zielone lasy przebiegały wilki
 Wiejski nurt rzeki nie ulegał pokusom nowoczesnych nadbrzeży
 Żałobne języki
 Trzymały z dala śmierć od wierszy poety.

Lecz dla niego, było to ostatnie popołudnie kiedy mógł być sobą,
 Popołudnie pielęgniarek i alarmów;
 Prowincje jego ciała buntowały się,
 Dziedziczne mózgu były puste,
 Cisza nasza przedmieścia,
 Strumień uczuć odmówił władzy; włączył się w grono wielbicieli.

Teraz należy do setek już miast

Oddany w pełne posiadanie nieznany mi uczuciom;
 Szczęścia musiał szukać w odmiennym już lesie
 Być karany kodeksem obcej świadomości.
 Słowa zmarłego człowieka
 Stają się inne w bebeczach żyjących.

Ale w powadze i hałasie jutra
 Gdy agenci jak dzicz pędzą korytarzami Giełdy,
 A biedni przyzwyczajeni już poddają się cierpieniom,
 Każdy zaś uwięziony w sobie jak w celi, jest przekonany o swojej
 Parę tysięcy pomyśli o tym dniu [wolności
 Jak ktoś komu pewnego dnia coś niezwykłego przydarzyło się.
 I wszystkie instrumenty przyznawały zgodnie
 Że dzień jego śmierci był mrocznym zimnym dniem.

II

Byłeś śmieszny jak my; twój talent zwyciężył;
 Parafię bogatych kobiet, fizyczne próchnienie,
 Siebie: Oblakana Irlandia zraniła cię w wiersz.
 Pozostał jej obłęd tylko i jej irlandzka pogoda,
 W łonie poezji nie ma zmian: Zwycięsko trwa
 W dolinie swego słowa, gdzie dyrektorzy nigdy
 Nie chcieliby się wkupić; płynie na południe
 Z zagród samotności i codziennych żalów,
 Surowych miast gdzie zdobywamy wiarę i gdzie umieramy;
 Trwa przy życiu tak jak powstaje — przy pomocy warg.

III

Gościnne jest ziemi łono;
 Yeatsa ciało w grób złożono.
 Niech spoczywa opróżniony
 Z poezji irlandzki korab.

Czas który nie chce wybaczyć
 Ni odważnym ni niewinnym,
 A za tydzień nie pamięta
 Fizycznego niegdyś piękna,

Wielbi mowę i przebacza
 Temu, kto jej treść wzbogaca;
 Tchórzom i zarozumiałym
 U nóg składa honor cały.

Czas co Kiplinga poglądy
 Oczyszczył swym dziwnym sądem,

Claudela również rozgrzeszy,
 Rozgrzeszy, za piękny wiersz.

Wśród ciemnych nocnych mar
 Słychać psów warczących gwar,
 Żyją w nienawiści skrytej
 W Europie kraje wszystkie.

Intelektualizm wraży
 Bije z każdej ludzkiej twarzy,
 Ból zamknięty w ludzkich oczach
 Mrozi mórz głęboką noc.

Za poetą na dno nocy
 Gdy prowadzi, ufnie kroczy!
 Jego spontaniczne słowa
 Pragną radość w nas zachować;

Uprawiając, wiejskim wzorem
 Wiersz — w winnicę zamień gorczy,
 Pełnym w bólu uniesieniem
 Śpiewaj ludzkie poniżenie.

Spraw, by w sercu zdruzgotanym
 Tryskło źródło, lecząc rany.
 A człowieka ucz, by cenił
 Wolność, w jego dniach więzienia.

THEODORE ROETHKE

1908—1963

W lecie 1963 roku, zmarł nagle w pełni sił i twórczego talentu jeden z najwybitniejszych poetów amerykańskich, Theodore Roethke. Należał on, obok Lowella, Shapiro, Berrymana i Kunitza do czołówki, której bezsprzecznie należy się dziś laur poetyckiego pierwszeństwa, w tak bogatej powojennej poezji amerykańskiej. Wyszli oni dość wcześnie poza rodzinne tradycje i — każdy na swój sposób — stworzyli własny poetycki świat.

Roethke, jak pisze Jonathan Cott w książce „On contemporary literature” jest, podobnie jak Berryman, poetą marzeń. Wiersz jego jest wewnętrzną stenografią „psychic shorthand”, mocno związaną ze środowiskiem, w którym poeta urodził się i wychował. Łatwo jest przeto zrozumieć jego poetycki świat, odkryć zaplecze wielu wierszy, ich najbardziej ciemne skróty i stylizacyjne załamania. Wystarczy tylko przetrzepać cierpliwie życiorys poety, „pruskość” uosobioną w jego ojcu, którego poeta chorobliwie bał się, by odkryć pierwsze źródło poezji Roethkego, drugie — to świadomość i metafizyka.

W pośmiertnym wspomnieniu, pisze o nim angielski poeta i krytyk Peter Levi, jako o „krańcowym przykładzie nowoczesnego poety metafizycznego”, porównując jego twórczość do twórczości Yeatsa. W ostatnich zapiskach, które ukazały się w chicagowskim piśmie POETRY, uporządkowane przez Davida

Wagonera, ostatnie zdanie poety brzmi: By light, light; by love, love; by this, this.

„Jakie znaczenie miały dla mnie cieplarnie (ojciec Roethkego był właścicielem cieplarni), powiedział poeta przemawiając przez BBC w 1953 roku — starałem się wykazać w moim drugim tomie wierszy THE LOST SON. Były one dla mnie, z czego dopiero teraz zdaję sobie sprawę, niebem i piekłem, rodzajem tropiku w dzikim michigańskim klimacie”.

Theodore Roethke urodził się w miejscowości Saginaw, w stanie Michigan, gdzie ukończył studia, które potem uzupełnił na Harvardzie. Wykładał na różnych uczelniach amerykańskich, ostatnio zaś piastował katedrę poetyki i języka angielskiego na uniwersytecie w Waszyngtonie.

MIĘSOSKORNA MAKABRA

Niedelikatnym jest bez mała
Kto gardzi przyrodziewkiem ciała —
Luźną materią, co upięta
Na kości, szatą jest szkieletu.
Nie z futra ubiór to, ni z włosów
Jest płaszczem zła i męką losu
A przy tym dawno już zgłębioną
Pieszczotą rąk i ócz — zasłoną.
Lecz taki aspekt mej natury
Żem zniecierlił odzież skóry,
Żądzę krwi, dzikie i występne
Anatomiczne we mnie strzępy
I pragnę całą siłą woli
Od fałszu zmysłów się wyzwolić
Od snów nieskromnych — ja wśród zmór
Najkrwawszy, pełny chuci twór.

WIECZERZA Z LINDSAYEM (1962)

Szukam mądrości, a nie oschłych pragnień.
Szczęście! O, szczęście! oto co cenię, zamknięty w klatce
Jak każdy wariat, kiedy senne mary
Z taką łatwością z zagubionej dali zjawiają się w oknie.
Spójrz, oto księżyc!
Pod ramieniem Lindsaya wkroczył do pokoju —
Znaczy się: dwa, nawet trzy księżycy
Gdyż rzekłbym że moje twarz jest tak krągła jak jego
Co wspólnie stanowi trzy.
„Jaki księżyc?” krzyknął on, pół obrócony, w żartobliwej furii.

I wtedy rozlało się:
Nagłym światłem po podłodze jak smuga śmietany

Z przewróconej maślnicy, burząc się wokół
Nas, pod plecionym krzesłem, aż do drzwi piwnicy.

„Zacznijmy!” rzekł Lindsay. „Tutaj mamy księżyc,
Tu pełne blasku światło, lecz gdzie są potrawy?”

„Jasne, będziemy jeść — rzekłem — w sam raz lub za dużo”
— „Blake oczywiście też?”

Gdy Lindsay pochylił głowę
Półprofilem w kierunku ruchomego światła
Nos jego wyolbrzymiał, przerósł własny kształt
Oko patrzyło zezem. „Co, Blake — rzekł — on nie żyje —
Lecz po prawdzie, to samo mówią przecież o mnie”.

Gdy to powiedział, cień pajaka opuścił w dół
Rozhuśtaną nić światła, potem uciekł, w pół drogi przystanął.

„W żadnym wypadku Blake — rzekł Lindsay — on już jest
Jednym z tych tłustych zamieszkałych w róży. [robakiem
Może to pajak Whitmana, sam już nie wiem,
Lepiej już jedźmy, nim blask księżycza nie wyczerpie się”.

Tak więc zasiedliśmy, posilili strawą
Lecz cośmy jedli, sam już nie pamiętam:
Chleb z kukurydzy i mleko, lody, więcej lodów,
Wołowinę na zimno i kawę na deser.
Najbardziej jednak zapamiętałem lody.

Po chwili światło zaczęło przygasać
I drzeć u naszych nóg jak płomień kerozyny
Płonący w piasku. „Widzę że czas już na mnie”
I Lindsay dźwignął się ze starego krzesła.
„Pajak już znikł”, powiedział otępiatym głosem.

„Kto mnie poetą nazwał szkolnej gwary? Dziś
Potrzebny nam nowy płód: Blake skrzyżowany ze mną,
Płód niedźwiedzi i bohaterów, zamierzających filozofów —
Potrzebny tu John Ransom, potrzebny René Char;
I Bunyan, czy wiesz, on miał rosyjską krew?
Coraz bliżej i bliżej jesteśmy już celu”.

Wyszedłem razem z nim z podwórza za bramę
Za olszynową dróżkę, gdzieśmy stali gwarząc.
Dłoń mi uściśnął, mówiąc: „Powiedz Williamsowi
Żem tu był i Frostowi. Chyba mnie pamiętają”.

Podciągnął przy tym spodnie, przygarbił się i znikł.

KARL SHAPIRO

ur. 1913

Urodził się w Baltimore, Maryland. Studiował na uniwersytecie Virginia i Johns Hopkins University. Podczas Drugiej Wojny Światowej, od 1941 do 1945 służył w wojsku amerykańskim i brał udział w działaniach na Nowej Gwinei i wyspach południowych Pacyfiku, gdzie powstał tom jego wierszy V-LETTER AND OTHER POEMS, za który otrzymał nagrodę Pulitzera. W 1946 i 47 był doradcą poetyckim w Bibliotece Kongresu, potem przez jakiś czas lektorem na Johns Hopkins University, redaktorem chicagowskiej POETRY i wydawcą pisma na uniwersytecie w Nebraski PRAIRIE SCHOLAR. Ostatnio w swych artykułach zwalcza poezję T.S. Eliota i Pounda, a wypowiada się za Whitmanem, D.H. Lawrenceem i Henry Millerem. Wykłada na uniwersytecie w Chicago.

Wydał: PERSON PLACE AND THING (1942), V-LETTER AND OTHER POEMS (1944), ESSAY ON RIME (1945), TRIAL OF A POET (1947), POEMS (40-53) i inne.

THE BOURGEOIS POET (fragment)

Kocham Nigdzie, gdzie wycieńczone głodem umierają fabryki.
Kocham Nigdzie, gdzie nie ma dróg, rzek ani interesujących Indian,
Gdzie historię się wymyśla na Wydziale Historycznym i gdzie nie obchodzi się niczych stuleci,
Gdzie każde drzewo posadziła dłoń i ma ono swego wychowawcę,
Gdzie „części” trzeba zamawiać i błękit nieba rozprawia się z każdym pytaniem,
Gdzie przybysze z zacofanej w rozwoju kalifornijskiej plaży i z Nowego Jorku naciskają na gaz w popłochu,
Gdzie trawa w zimie jest szara nie brunatna,
Gdzie ludność maleje.
Tu, na granicy najemnego Zachodu, w równej odległości od wszystkich turystycznych biur, gdzie powietrze kąpie się w przestrzeni, tu wreszcie nie ma nic do zalecenia.
Niech nikt nigdy nie usiłuje zalecać; Chicago jest tak odległe jak Karachi.
A gdy wojownicy zbliżą się z rakietami, oby ciężarówka pogubiła je.
By przy głosowaniu nie panował tłok, chmury były jak podróz i nuda kryminalna opanowała dystrykt wieprzy.
Kocham Nigdzie, gdzie ludzka chętność jest chętnością nie związaną z czasem i miejscem,
Ale domem słońce ze Smisońskich kości i białymi katedrami ziarn,
Miejscem do karmienia wśród śniegów, gdzie zbита gromada wołów w symetrycznym ubóstwie, uraga grzbietami lodowatej pogodzie,
By nas uraczyć wołowiną na równinach Wołowego Stanu, to coś na co się czeka.

JOHN BERRYMAN

ur. 1914

Urodził się w McAlester, Oklahoma; studiował w Connecticut, Nowym Jorku i Cambridge; wykładał w Harvard i Princeton.

Pierwsze jego wiersze ukazały się w serii FIVE YOUNG AMERICAN POETS w 1940 roku, potem wydał POEMS (1942), THE DISPOSSESSED (1948), HOMAGE TO MISTRESS BRADSTREET (1956), 77 DREAM SONGS (1964). W 1965 otrzymał nagrodę Pulitzera.

Berryman jest również krytykiem i wydawcą. Napisał on studium biograficzne o Stefanie Crane i opracował wybór wierszy Pounda. Obecnie pracuje nad zbiorem wierszy który ma się wkrótce ukazać pod tytułem: HIS TOY, HIS DREAM, HIS REST.

THREE DREAM SONGS

I Henryk, słaby pianista, pochylił się nad wolnym rytmem sonaty Szuberta w tonacji A i tajemniczo brzmiącym zakończeniem 109-10-11-tej Wariacji Beethovena
Zwykle doszukujesz się reguły lecz tu o czym staram się zawsze mówić reguły nie mają znaczenia.

Gromadnie ze swych zaciszy płoszą się chochliki (oddają to tak miękko jak tylko potrafię) gdy głos z hukiem się toczy.
Gdy krzyknę przerażony, to kto mnie usłyszy? Rilke w sile się zjawił, niepamiętny naszych ról, a my wcieleni gramy postać Housmana o ile w końcu wszystko to nie jest szarą monotonią.

Fala czasami oddaje topielców, czasem nie. Ciała ich samobójcze czekają tam, czekają, wdowy też czekają, gramofon mój jest potęgą w kraju, próbuję, wciąż próbuję odgadnąć andante lecz duch jego niepokoi mnie.

II — Panie Blackmur, jakie są święte miasta w Ameryce? Syn mości Herberta, zamieszkały w pobliżu Canterbury i nad wiek rozwinięty, zapytał mego przyjaciela. Mózg może zaciąć się: U przyjaciela Henryka istotnie: 'Er... Duszę mnie pielgrzymki do Palm Springs, [er...]' Wolę się schronić do Atlantic City.

Atlantic City w zimie to dobre rozwiązanie, ale nie zbożne, pusto tu bo kto kogo zna w Atlantic City? Jego doktor odwiózł go tu

by spędził samotnie czas: w największym barze świata
na dole w jego hotelu, gdzie wspólnie wypił drinka
z nieznanym oddalonym od niego o pole futbolowe.

Chodnik z desek, rzeźki wiatr i ruch wieczny fali
i średniowieczne narzędzia tortur z Norymbergi
i głowy zasuszone za dolary
i dom z którego uciekł, ku zagranicznej odpłynął jesieni
i inne miejsca wezbrane świętością
a potem w ucieczce schronił się na jego północy.

III Henryk zimny i złoty leżał w śnieżnym śnie
kierując głos ku niemu wszechświat wrzasnął 'Nie' —
jeszcze i jeszcze raz.
'Jaki mi stawiasz zarzut — prawo podchmielone,
wpuszczając do mego domu sowy i androny, —
spływając na ziemski nasz czas?'

'Wyjawmy dalej: tak w istocie jest
odludek, przechodzisz jak burza bez pozy i gestu
wszerz, smutny łód wkoło
przykryty nowym i zdradzieckim śniegiem
a z góry głos mych Sióstr od jego płynie brzegu:
Że on nadchodzi i będzie wesoło'.

Ciemny już sam początek nie wróży nadziei,
koniec beładny, gdzie korek jak cma leci.
Ujmuję szyjkę butelki
rozbita o zlew tryska od wybuchu
tak jakby nagły ten ruch
uzupełniał sobą rozbitą jej część.

THOMAS MERTON
ur. 1915

Pisarz religijny. Urodzony we Francji, w czasie studiów na uniwersytecie
Columbia przeszedł na katolicyzm. W 1941 został mnichem i zamieszkał w
klasztorze Trapistów w Kentucky. Napisał książkę autobiograficzną THE
SEVEN STOREY MOUNTAIN (1948), wydał kilka tomów wierszy i roz-
myślań na tematy religijne.

ORIGEN

Zgrzeszył że pierwszy
Przemówił wśród niemych. Wiedza
Była herezją. Wielki Abbot
Flung z książkami na dnie Nilu.

Zniszczyła go filozofia.
Gdy jednak dym od spalonych miast
Uniósł się w stronę rzymskiego morza
Od Galii aż do Sycylii, wtedy Rufus
Zbudzony w swej włoskiej sypialni
Zapalił ową szaloną nadmorską latarnię, beatus
Ignis amoris, na cały Zachód.

Wszyscy którzy go czcili dawali mu imiona
Klejnotów i metali — 'Adamant'. Hieronim
Powiedział że mosiężne miał przyrodzenie;
Lecz rozpoczynając tak ponętnym
Słowem, zmienił je potem
W nienawiść.
I Grecy zniszczyli swój klejnot
Z powodu 'okropnego bluźnierstwa'
Gdyż powiedział że ogień piekła
Zupełnie wtedy wygaśnie
I ukorzą się potępieni.

('Ulicznice, heretycy', wyraził się Bede,
Pocziwy skądinąd myśliciel,
'Cała gromada złośliwców,
A nawet czort ze swymi rotami
Dzięki tak niesmacznej opinii
Stają się czyści!')

Do tego samego piekła został zesłany potem
Origen, przez różnych pontyfikatów
By zasmakował prawdy własnej swojej doktryny.
Świętym jednak objawiał się on
Mówiąc 'że nie cierpiał zbyt wiele'.
On jednak 'zblądził w miłości'.
Matylda Magdeburska знаła go i całkowicie ułaskawiła
(Było to tajemnicą
Gdyż Dwór nie został o tym jeszcze powiadomiony).
A co do jego odważnego błędu — operacja w obcesowy
Dziki sposób została przeprowadzona
FORNICATIONEM EFFICACISSIME FUGIENS:

Ostatecznie średniowieczny Zachód
Nie wyrzekł się go. Wszystkich antagonistów,
Bernardów wspólnie z Abelardami połączył jeden
Ten obłąd, słodka trucizna miłosierdzia
Owego człowieka który nauczał
Że słyszał głosy istot
Od gwiazd do skał, od aniołów po wszystkie postacie
Żywe, wołające o Zbawiciela pełnym żalu głosem.

ROBERT LOWELL

ur. 1917

Robert Traill Spencer Lowell, Jr. urodził się w Bostonie, jako syn oficera marynarki, w rodzinie która wydała już poprzednio wybitnych pisarzy. Studiował na Harvardzie i Kenyon College klasycę, którą ukończył w 1940 roku, przechodząc w tymże samym roku na katolicyzm. Swoją pierwszy tomik wydał w 1944 *LAND OF UNLIKENESS*, w 1946 *LORD WEARY'S CASTLE*, za który otrzymał on nagrodę Pulitzera. W 1947 został doradcą poetyckim Biblioteki Kongresu, otrzymuje w tym czasie nagrodę Guggenheima i Narodowego Instytutu Sztuki i Literatury. W 1959 za tom *LIFE STUDIES* zdobywa National Book Award. Wykładał na różnych uniwersytetach, jak: Iowa, Kenyon, Boston, Harvard i inne.

Ostatnio Lowell poświęcił się przekładom które wydał w tomie *IMITATIONS*, zaś w 1964 ukazał się jego *FOR THE UNION DEAD*, wiersze oryginalne.

SKUNK HOUR

dla Elizabeth Bishop

Pustelnik z wyspy Nautylusa —
dziedziczka mieszka tu przez całą zimę w swojej spartańskiej
a owce jej pasą się wciąż na nadmorskim wyżu [willi;
Jej syn jest biskupem. Parobek jej
jest pierwszy w naszej wiosce;
ona sama zakrawa na zdzieciniałą.

Spragniona
arystokratycznego zacisza
z epoki królowej Wiktorii,
wykupuje wszystko
co niepokoi z wybrzeża jej oko,
a z czasem rozpada się w gruzy.

Sezon nie dopisał w tym roku —
w lecie straciliśmy naszego milionera,
który wyglądał jakby zszedł z kartek katalogu
firmy L.L. Bean. Jego dziewięciowęzłową jolkę
sprzedano na licytacji poławiaczom homarów.
Ruda plama lisa barwi Niebieskie Wzgórze.

Obecnie nasz pełen fantazji
dekorator rozjaśnia na jesień swój sklep;
przetka sieć pomarańczowymi korkami,
szewski jego warsztat i szydło są również pomarańczowe;
praca ta nie przynosi mu zysku,
lepiej raczej wzięłby sobie żonę.

Pewnej ciemnej nocy
mój Tudor Ford wspiął się na czaszkę wzgórze;

Szukałem wozów zakochanych. Z pogaszonymi światłami
spoczywały kadłub przy kadłubie,
gdzie półka cmentarza przylega do miasta...
W głowie mi się zaczęło mącić.

Radio w samochodzie zawodzi,
'Miłość, nieszczęsna miłość....' Czuję
jak zboląta dusza wypełnia żalem każdą kroplę krwi,
tak jakby ręka moja była na jej gardle....
osamotniony
zamieniam się w piekło —

jedynie skunksy szukają
pożywienia w księżycowym blasku.
Bosonogie o białych pręgach maszerują po Main Street,
w oczach ich księżyc rozpala czerwone ognie
idą pod suchym jak kreda masztem wieży
kościół św. Trójcy.

Stoję u szczytu schodów
z tyłu domu i wdycham soczyste powietrze —
matka skunks z kolumną drobnych skunksiąt przetrząsa śmiecie.
Wetknęła kancistą głowę w puszkę po kwaśnej śmietanie
i opuściła swój strusi ogon
bez popłochu.

HOWARD NEMEROV

ur. 1920

Po studiach na Harvardzie wstąpił do lotnictwa kanadyjskiego i brał udział w Drugiej Wojnie Światowej w Anglii. Jest wybitnym krytykiem literackim, wydał trzy powieści i tom nowel. Ogłosił następujące tomy: *THE IMAGE AND THE LAW* (1947); *GUIDE TO THE RUINS* (1950); *THE SALT GARDEN* (1955); *MIRRORS AND WINDOWS* (1958); *NEW AND SELECTED POEMS* (1960); *THE NEXT ROOM OF THE DREAM: POEMS AND TWO PLAYS* (1962) i *THE BLUE SWALLOWS* (1967). Profesor i wykładowca, był Nemerov przez jakiś czas konsultantem Biblioteki Kongresu, ostatnio zaś wykłada na uniwersytecie Brandeis.

„Jest jednym z najdopejniejszych poetów — powiedział o nim James Dickey — ale uczucie które budzi jego twórczość, to niemoc: niemoc którą wszyscy czujemy w obliczu zdarzeń spiętrzanych przed nami przez nasz czas”.

THE FIRST DAY

Poniżej dziesięcio-tysięczno-bilionowej części centymetra
Długość przestaje istnieć. Powyżej trzech bilionów lat świetlnych
Mgławica, by być, musiała by przekroczyć szybkość światła
Co nie jest możliwe: wszechświat ginie.

Wielkość i małość jego wydają się nawet dla myśli
Nie do pomyślenia, a nawet wyczulony na szczegól instrument
Staje w obliczu niewspółwymierności. W naszej zaś
Rozprawie nie będzie to Ostateczną Rzeczą, ale tylko
Groucho Marxem, mówiącym: Bliżej? O ile bardziej się zbliżę
To znajdę się za Panią. Dziś, gdy patrzymy na film
To można do pewnego stopnia powiedzieć że akt Stworzenia
Ma swoją doniosłość, dzięki filmowi który narzuca wyobraźni
Obraz, o absolutnej cienkości membranie której powierzchnia
Rozdziela a jednocześnie łączy ciemności i światło.
Ich wydłużony ruch, ujęty w ramy czy chwile, jednocześnie
Toczy się i sam w sobie przedłuża i może, w nieuchwytnym
Pochodzie czasu, być sobą; jest również w stanie
Powtórzyć siebie, ponaglić do pośpiechu, zwolnić tempa,
Zatrzymać, a nawet cofnąć do tyłu. Jego wzór jest dla nas
Obrazem pamięci, skupieniem, zwykłym wątkiem, rozbiorem

[treści,

Nieodwracalnością czasu i naszą wątpliwością w nią,
Zastępem pojęć które choć od niepamiętnych czasów opuściły
Pamięć, są jej własnością. Był to zatem dzień pierwszy i tego
Dnia, pełnego znamienitych cech, filmy nie miały głosu ni
Koloru. Znacznie później słowa zaczęły wynurzać się z milczenia
A pojedyncze światło rozlało się w opalizującą tęczę;
W międzyczasie w kolorze czarnym, białym i turbującym
Szarość ukazały się rezultaty. Upadek zaś zdążył już
Upamiętnić film. Gdyż „Nic w wszechświecie nie może poruszać
Się z szybkością światła”, jak mówią, zapominając o szybkości
[cienia.

JAMES DICKEY

ur. 1923

Urodził się w Atlancie, Georgia, studia zaś ukończył na uniwersytecie
Vanderbilt. Podczas Drugiej Wojny Światowej i wojny koreańskiej służył
w lotnictwie, potem przez sześć lat pracował w firmie ogłoszeniowej, opusz-
czając ją po otrzymaniu nagrody Guggenheima w 1961 r.

Debiutował w wydawnictwie POETS OF TODAY; w 1960 ukazuje się
jego INTO THE STONE, w 1962 DROWNING WITH OTHERS, a w
1964 HELMET. Za tom BUCKDANCER'S CHOICE otrzymuje w 1965
National Book Award. W 1967 Wesleyan University Press wydaje jego
POEMS 1957-1967, tom który zgodnie z opinią krytyki stawia jego autora
wśród najwybitniejszych dziś poetów.

FALSE YOUTH: TWO SEASONS (część druga)

Podczas śnieżycy w Nashville podwiozłem po drodze studentkę,
Samochód dwa lub trzy razy pośliznął mi się i to chyba
Sprawiło że mnie poprosiła do siebie. Była to wiejska
Dziewczyna mieszkająca w mieście z oblodzonego ganku

Obłamała sopel lodu gryząc przezroczystą jego kość: tak
Przeniesiono mnie w inny zupełnie świat do domu o cienkim
Jak skóra oszalowaniu gdzie nic w otaczającym go świetle nie
[mogło

Na nogach się utrzymać i nawet ludzie upadali łamiąc sobie
Biodra. W drzwiach zawadziłem o coś, przy kominku zaś
Usiadłem obok jej starej ślepej babki. Wkoło, w dwu połączonych
Pokojach pełno było najróżniejszych rzeczy, których nie chwycił
Mróz lecz lód łatwo dawał sobie z nimi radę: długie frędzle
Zwisały z lamp zasłony z nanizanych paciorków szal na
Gzysie kominka niezliczona ilość drobiazgów by je
Brać do ręki rozplątywać wszystkie w niewyczerpaniu
Przeznaczone dłoniom. Ona siedziała tak bawiąc się co jej wpadło
Pod rękę zapatrzona wraz ze mną w płomień. Nie przymrużając
Oczu. Łatwo z nią się gadało opowiadałem jej o moim
Dzieństwie o chorej na serce matce gdy świszczącym
Głosem dawała mi z łóżka znak o ojcu hodującym koguty.
Ona zaś kołysała się w krześle przekładając jakby partię szachów
Koronki na poręcz. Gdy miałem wyjść, zwróciła się ku mnie
Wznosząc ręce i prosząc bym się pochylił. Poczułem w sobie
Jakby sopel lodu gdy ona z mych włosów wydzielala lok
Pieszcząc każde oddzielne pasmo nie używając siły by je
Wyrwać. Przymknąłem oczy gdy ona delikatnie palcami dotykała
Ich i nie patrząc ujrzałem w sobie coś jakby wirujący
We mnie na kształt palca płomień jakiego nie było jeszcze
W historii tej ziemi gdy krążąc starał się ujarzmić
Dziłość ludzkich sił. Jej wyczulony wskazujący palec jej
Paznokcie, przesunął się głęboką linią między brwiami
Bez błędnie i pewnie zgłębiając ze drżeniem skrytą w nich
Moją tajemnicę. Aż wreszcie powiedziała, dużo się chyba
Śmiesz lub przebywasz na słońcu, a ja zacząłem się cicho
Śmiać by zaprzeczyć prawdzie, by dotykając mych linii odczuła
Ich ruch. Opuściła natychmiast ręce szepnęła do siebie
Mój Boże, oby tak mieć dorastającego chłopca. Ślepych nie da
Się zwieść, pomyślałem stojąc i łapiąc powietrze
Śmiejąc się przy tym, jak to mi sama radziła i mrużąc
Oczy jak w blasku słonecznej Georgii pragnąc by
Zródłem dobra były linie mej twarzy. Ona uniosła głowę jak
Pływak; przez uchyloną frędzlę płomień lampy zawirował na
Moich fałszywie ułożonych rysach. Jakaś chyba nuta połączyła
Nasze zamknięte milczeniem wargi gdy wychodził na dwór w
Lodowatość. Czas przestrzeni omroził mi twarz uśmiechem
Który od trzydziestu ośmiu lat nie opuścił mnie gdy
Jak grubowaty niedźwiedź pędził na łyżwach ku Chevroletowi
Aż koła potem zarzuciły na szkło: wtedy osaczony odwilż wiek
Tajał w przeładowanym pokoju odcisk mego palca zamienił się
W płomień i w miłość której ślepy szuka całe życie.

ALAN DUGAN

ur. 1923

Urodził się w Brooklinie, Nowy Jork. Studia przerwał służąc w lotnictwie podczas Drugiej Wojny Światowej, ukończył je dopiero w 1950 roku. Potem pracował w różnych zawodach, podróżował również po Francji i Włoszech.

Pierwszy tom wierszy zdobył mu kilka nagród, między innymi nagrodę Pulitzera, Prix de Rome Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury, jak również National Book Award: POEMS (1961), POEMS 2 (1963).

POEM

Dawniej wygrywał lub tracił poszkodowany albo oskarżony
sprawiedliwie czy nie, zależnie od widzimisię sądu; niewinno
i winnego uwalniano albo skazywano zależnie od ich szczęścia
i protekcji. Dziś wszyscy skazani są na śmierć w katogach
wraz z adwokatami, ławnikami i policją która ich uwięziła.
Potem apelacyjny sąd skazuje samych sędziów za zmarnowany
czas. W ten sposób wszystkich którzy mieli jakąś łączność
ze sprawiedliwością zwyczajnie się wyłącza, urzędnik zamyka salę
i sam udaje się na sąd ostateczny. To nie znaczy wcale że nie ma
już sprawiedliwości: jako jedyny wrodzony naturze wynalazek
od którego człowiek zaczął, dla państwa potrzebującego robotnika
stał się koniecznością. O całym aparacie można by zapomnieć

[gdyby
nie było osób dla których go stworzono, myślący zaś człowiek
nie zwracałby uwagi na nic, co nie dotyczy jego
wewnętrznej i uczuciowej strony — oprócz stanowiska.

W S. MERWIN

ur. 1927

Urodził się w Nowym Jorku, wychowywał w Union City i Scranton. Studia ukończył w Princeton, specjalizując się w romanistyce. Od 1949 do 51 był gubernierem we Francji, Portugalii i na Majorce. W 1956 był stypendystą teatru w Cambridge, Mass.; pierwszy jego tom wydany został przez Yale Series of Younger Poets, za drugi otrzymał nagrodę Kenyon Review, trzeci zaś wydany został przez British Poetry Book Society.

Bibliografia: William Stanley Merwin: A MASK FOR JANUS (1952); THE DANCING BEARS (1954); GREEN WITH BEASTS (1956); POEM OF THE CID (1959) przekład; THE DRUNK IN THE FURNACE (1960); THE SATIRES OF PERSIUS (1961) przekład; SEVEN PRINCETON POETS (1963); THE SONG OF ROLAND (1963) przekład; MOVING TARGET (1963); THE LICE (1967).

THE WAVE

Zamieszkałem w powstającej fali

Gdyśmy szli w dół fala z pośpiechem przeszła obok mnie
Wiem gdzie się zaczęła
Jasność wkoło pełna była soli, powietrze
Brzemienne od żalu za opuszczonym miejscem —
I dlaczego —

Fala przyniosła ich tu
Odbierając twarzom gubiącym się w deszczu

Na fotografiach które z sobą zabrali
Białe zagajniki
Gęstniały w sobie, oni zaś sami
Czuli jakby spod ich korzeni z wody
Usuwał się piasek

Długie ramiona portów odchodziły
Wzdłuż oszklonych hali, aż znikły
Potem znikły ich cienie
I hale znikły

W rozdanych kopertach były kawałki kredy
Zamieszkałem miejsca gdzie oni otwierali je

Zamieszkałem w głosie nadziei idącej po wodzie
Gubiącej swój trop
W piętrzącym się na stopy śniegu

Zamieszkałem w szmerze ołówków gdy na skrzynkach
Pisali do wymazanych z życia
W ich mowie
Zamieszkałem w opakowaniu w którym swoją wysyłali ciemność
Ginące ich głosy dobijające do
Nigdzie po przejściu ich fali

Pytającej o następną gdy padała rozbita

SYLVIA PLATH

1932—1963

Urodziła się w Bostonie, w austriacko-niemieckiej rodzinie. Ukończyła Wellesley High School i Smith College, w roku 1955 uzyskała Fulbright Scholarship na studia w Newnham College w Cambridge, gdzie spotkała angielskiego poetę Ted Hughesa, za którego wyszła w 1956 roku.

Po krótkim pobycie w Ameryce osiedliła się z mężem na stałe w

Anglii. W 1960 ukazała się jej pierwsza książka *THE COLOSSUS*, w tymże roku urodziła się jej pierwsza córka, a w dwa lata potem syn. Był to okres pełnego rozkwitu jej talentu, przerwany tragicznym samobójstwem jedenastego lutego 1963. Wiersze pisane przed śmiercią ukazały się w tomie *ARIEL* wydanym w 1966, z wnikliwą i entuzjastyczną przedmową Roberta Lowella.

EDGE

Kobietę upiękuszono.
Jej martwe

Ciało uśmiecha się sytością,
Potrzeba greckiej złudy

Spływa w fałdy jej togi,
Jej nagie

Stopy wydają się mówić:
Uszłyśmy szmat drogi, skończyło się.

Martwe niemowlęta jak białe węże
Leżą zwinięte

Każde przy próżnym swym dzbanuszkowi mleka.
Ona zgarnia je

Do łona jak róża zwierza swe płatki
Kiedy ogród drętwieje

I gardła nocnych kwiatów
Krwawią słodką wonią.

Księżyc nie ma powodu smuć się
Z wlepionym wzrokiem ze szczytu jej czaszki.

Ona przywykła już do podobnych rzeczy.
Jej czarny całun pęka i butwieje.

Obserwatorium

Za nasz i wasz... stalinizm

Analizowanie w miesięczniku tak dynamicznych wydarzeń politycznych jak kryzys czeskosłowacki — jest rzeczą bardzo trudną. Niniejsze słowa dotrą do Czytelnika po upływie miesiąca licząc od daty napisania tego artykułu. W okresie owych 30-tu dni mogą zajść wydarzenia, których w tej chwili nikt nie jest w stanie przewidzieć. Niemniej, bez względu na ostateczny wynik konfliktu czeskosłowacko-sowieckiego — pewne punkty owego dramatu można ustalić już dziś.

W maju i w czerwcu bieżącego roku Polska miała obiektywne możliwości, by wpłynąć decydująco na przebudowę systemu satelickiego w Europie wschodniej. Polska jest równocześnie w trudniejszej i w łatwiejszej sytuacji niż Czechosłowacja. W Polsce stacjonują wojska sowieckie a granica z Rosją jest strategicznie nie do obrony. Polaków jest jednak 32 miliony z czego 31 milionów nastawionych jest anty-sowiecko. Czechosłowaków jest 14 milionów i pewne przejawy nastrojów anty-rosyjskich jak napisy: „Rosjanie wracajcie do domu” — stanowią nowy i antytradycyjny fenomen w historii Czechosłowacji.

Polska zajmuje kluczową pozycję w europejskiej polityce Moskwy. Można argumentować, że Rosjanie nie zgodziliby się na „reformację” w Warszawie, ponieważ Polska jest zwornikiem ich systemu europejskiego. Z drugiej strony nikt nie wie jak Polacy zareagowaliby na interwencję zbrojną. Od zakończenia wojny minęło ćwierć stulecia. Co ważniejsze, młodzi Polacy, którzy w okresie powstania budapeszteńskiego byli dziećmi — dziś są dorosłymi ludźmi. Kompleksów nie dziedziczy się i dla młodych w Polsce Budapeszt jest kawałkiem historii jak Powstanie Warszawskie, czy druga wojna światowa. Gdyby młodzi dziedziczyli kompleksy, szoki i doświadczenia swoich ojców — wojny znikłyby już dawno z repertuaru ludzkiego gatunku.

W naszym przekonaniu polski Dubczek miałby nie mniejsze szanse sukcesu niż czeskosłowacki Dubczek. Interwencja wojsko-

wa w Czechosłowacji byłaby zbrodniczym aktem sowieckiego imperializmu. Zbrojna interwencja w Polsce byłaby czymś niewspółmiernie więcej. Rozbiory, zgniecenie powstań narodowych, zdrada walczącej z Niemcami Warszawy i wreszcie interwencja, która stanowiłaby ukoronowanie odwiecznej, zaborczej polityki rosyjskiej w stosunku do Polski. W kontekście polskim interwencja sowiecka awansowałaby do rangi historycznego dramatu narodowego, wskrzeszając jednego dnia upiory przeszłości. Rosjanie musieliby być dosłownie szaleńcami, by uruchomić ów fatalny łańcuch historycznych skojarzeń.

W naszej ocenie — Rosjanie wszędzie indziej łatwiej zdobyli by się na interwencję zbrojną niż w Polsce. Polska to jest zbyt wielka stawka. Z tych przyczyn, gdyby rewolucja w Czechosłowacji znalazła swój odpowiednik w rewolucji polskiej, gdyby ruch reformy rozwijał się równolegle w obu krajach, gdyby polscy przywódcy wykazali podobne umiarkowanie i rozsądek jak przywódcy czechosłowaccy — czerwiec 1968 r. zostałby uznany przez historyków za początek końca satelickiego imperium. Polaków i Czechosłowaków popierałyby Jugosławia, Rumunia, Węgry i wielkie partie komunistyczne na Zachodzie. W dyspozycji Moskwy pozostałby tylko Ulbricht. Interwencja zbrojna przeciwko Polsce i Czechosłowacji nie byłaby interwencją tylko wojną, której Rosjanie nie zaryzykowaliby.

Zniesienie cenzury, przyznanie podstawowych swobód obywatelskich, oparcie rządu o zaufanie społeczeństwa a nie o policję — przemiany w tej skali dokonane tak w Polsce jak i w Czechosłowacji oznaczałyby definitywny koniec systemu stalinowskiego w Europie wschodniej. Rosja miałaby wówczas do wyboru albo ułożyć pokojowo swe stosunki z nowym typem komunizmu i z czasem poddać się fali reformy — albo wycofać się całkowicie z Europy wschodniej. Nie wątpimy że Rosja wybrałaby pierwsze z owych dwóch rozwiązań.

Niestety w Polsce Ludowej ewolucja idzie w odwrotnym kierunku. Nie tylko pogrzebano wszystkie zdobycze Października lecz Gomułka i jego reżym uczynili z PRL żandarma i pacyfikatora wschodniej Europy. Co innego jest głosić program à la Włocławek — a całkiem co innego jest dławić wolność na spółkę z Rosją w małym sąsiednim kraju. Gomułka w sojuszu z Ulbrichtem gotowi są walczyć do upadłego „za nasze i wasze kajdany”.

Polska historia, podobnie jak dzieje większości narodów europejskich — nie stanowi pasma świetlanych czynów i osiągnięć. Wystarczy wymienić Berezę czy pacyfikację w Małopolsce wsch., a w polityce zagranicznej Zaolzie i poparcie dla Mussoliniego w jego łupieskiej wojnie przeciwko Abisynii. Lecz podobnie haniebną rolę jaką spełnia rząd Gomułki — Polacy do tej pory nie mieli na swoim sumieniu.

Owa hańba okrywa nas wszystkich — co łatwo wyczytać w oczach cudzoziemców. Nie może być inaczej. Jeżeli mówimy o odpowiedzialności całego narodu niemieckiego za zbrodnie Hitlera — nie możemy równocześnie twierdzić, że za antysemityzm

i pacyfikatorską politykę w stosunku do Czechosłowacji odpowiada tylko Gomułka i garść jego pomocników. Na łamach prasy emigracyjnej możemy się wybielać, odcinać i umywać ręce. Lecz prasa światowa pisze o „Poland” i „Poles” bez żadnych rozróżnień, winiąc za Gomułkę Polskę i Polaków. Tragizm tej sytuacji polega na tym, że nie wszyscy dzielimy odpowiedzialność za politykę PRL, ale hańbę dzielimy wszyscy.

Na czym polega вина Aleksandra Dubczeka? Dubczek zrealizował marzenia takich komunistów jak Szczuka z „Popiołu i Diamentu”. Dokonał cudu, w który nie uwierzyłyby nigdy żaden zachodni sowietolog. Wykazał bowiem, że partia komunistyczna może przywołać narodzić z woli narodu i może zdobyć dla swojej polityki swobodnie wyrażone poparcie większości społeczeństwa. Gdy w Pradze ogłoszono tekst „Noty Warszawskiej” — przeprowadzono niezależne badanie opinii publicznej, które wykazało, że za Dubczekiem opowiada się 75 % społeczeństwa. W miarę narastania kryzysu ów procent — w opinii zagranicznych korespondentów wzrósł znacznie i być może osiągnął 80 a nawet 85 %.

W chwili gdy piszemy te słowa Czechosłowacja jest bardziej osamotniona niż w okresie Monachium. Ubiegłej niedzieli, tj. 21 lipca br. odbyła się w Londynie liczna i hałaśliwa demonstracja przed ambasadą amerykańską. Przed ambasadą sowiecką nie było nikogo, mimo, że owej niedzieli spodziewano się interwencji sowieckiej z godziny na godzinę. Drugie super-mocarstwo świata, uzbrojone po zęby — zmierza do zdławienia mizernej wolności małego narodu — lecz ów fakt nagiej przemocy nie wywołuje protestów młodego pokolenia na Zachodzie.

Czego boją się Rosjanie? Wielu sowietologów wyraziło pogląd, że Czechosłowacja stanowi zasadnicze ogniwo w sowieckim systemie strategicznym, ponieważ graniczy z Austrią, Niemcami zachodnimi i Niemcami wschodnimi. Czechosłowacja jest ważnym przyczółkiem — nie wydaje nam się jednak, by względy bezpieczeństwa i strategii odgrywały decydującą rolę. Przywódcy czechosłowaccy podkreślali przy każdej okazji swoją lojalność w stosunku do Paktu Warszawskiego. Od strony europejskiego Zachodu Związkowi Sowieckiemu nic nie zagraża i trudno przypuścić by Rosjanie nie zdawali sobie z tego sprawy.

Czechosłowacki „program akcji” w wielu punktach był krytykowany na łamach prasy sowieckiej lecz nie wywołał alarmu. Kryzys jaki zarysował się w ostatniej dekadzie lipca br. spowodowany został dokumentem pt. „2000 Słów”. Od chwili ukazania się owej deklaracji ofensywa sowiecka przeciwko Czechosłowacji zaczęła przybierać na sile dosłownie z każdym dniem. „2000 Słów” ukazało się w czterech praskich pismach w dniu 26 czerwca br. Od tej daty wypadki potoczyły się jak lawina.

„2000 Słów” stanowiło najwzmowniejszą demonstrację wolności słowa w dziejach bloku państw komunistycznych. Kierownictwo czechosłowackiej partii komunistycznej w umiarkowanej formie odcięło się od powyższej deklaracji. Lecz ów fakt pod-

kreślił tylko istniejącą w danym momencie wolność słowa. Oznaczało to bowiem, że w Pradze można ogłosić w kilku pismach zasadniczy tekst polityczny, którego partia nie aprobuje.

Istotą ustroju komunistycznego w Sowietach, w Polsce czy w Niemczech wschodnich jest system jednopartyjny. Doktryna „dyktatury proletariatu” wyłącza system wielopartyjny. Komuniści czechosłowaccy spod znaku Dubczeka woleli mówić o przywódczej roli partii ponieważ słowo „dyktatura” nawet w połączeniu z proletariatem nie brzmi demokratycznie.

Czy jest rzeczą możliwą pogodzić pod jednym dachem system jednopartyjny z wolnością słowa w mowie i w druku? W tym konkretnym wypadku przyznajemy rację Breżniewowi, Ulbrichtowi i Gomułce. Wszystkie systemy jednopartyjne w Europie i poza Europą były i są oparte na cenzurze. Tak jest w Sowietach — tak było w hitlerowskich Niemczech i w faszystowskich Włoszech, tak jest na Kubie i w Hiszpanii.

Bogate doświadczenie historyczne wskazuje niezbicie, że system jednopartyjny i cenzura to są syjamskie bliźnięta nie do rozdzielania. Odwrotnie — zniesienie cenzury i przywrócenie wolności słowa w druku, w radio i w telewizji — prowadzić musi nieuchronnie do erozji systemu jednopartyjnego.

Wydaje się, że tu leży główne źródło niepokoju Breżniewa, Ulbrichta i Gomułki. Pozostawieni sami sobie Czechosłowacy zbudowaliby z czasem socjalistyczny model ustrojowy poświęcając jednopartyjność dla demokracji. W obecnym okresie (koniec lipca br.) demokratyzacja nie oznaczałaby samobójstwa politycznego ani dla Dubczeka ani dla jego partii. Lecz zerwanie z systemem jednopartyjnym i zdemokratyzowanie ustroju jest propozycją równą samobójstwu dla Breżniewa, Ulbrichta i Gomułki.

Cenzura umożliwia prowadzenie polityki opartej na fałszach i kłamstwach. W Sowietach, w Polsce czy w Niemczech wschodnich nikt nie ma możliwości sprostowania kłamstw czy zdemaskowania fałszerstw. Cenzura umożliwia fabrykowanie procesów na podstawie zmyślonych oskarżeń. W ostatecznej analizie monopol informacji i cenzura stanowią fundament władzy totalnej. Z chwilą gdy cenzura zostaje obalona nie jest rzeczą możliwą organizowanie procesów opartych na fałszywych oskarżeniach, nie jest rzeczą możliwą aresztowanie niewinnych ludzi i przetrzymywanie ich miesiącami w więzieniach, nie jest rzeczą możliwą rządzenie ludźmi totalistycznie.

Pisarze i dziennikarze w krajach komunistycznych walczą o wolność słowa ponieważ cenzura uniemożliwia im wypełnienie ich zawodowego powołania. Aparatczycy i dygnitarze partyjni zdają sobie jednak sprawę, że zniesienie cenzury oznaczałoby coś więcej niż przyznanie wolności twórczej literatom. Zniesienie cenzury oznaczałoby koniec systemu, oznaczałoby upadek totalizmu.

Z tych przyczyn walka o wolność słowa w krajach komunistycznych nabiera podstawowego znaczenia. Breżniew nie

przeraziły gospodarcze reformy w Czechosłowacji. Breżniewa przeraziła wolność słowa jaka zapanowała w Pradze.

Wolność słowa w mowie i w druku wyłącza totalizm ponieważ totalizm, który nie jest totalny, nie jest totalizmem. Stalinowcy typu Breżniewa, Ulbrichta czy Gomułki socjalizm identyfikują z totalizmem. Z tych przyczyn w ich opinii socjalizm w Czechosłowacji znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Likwidacja totalizmu nie jest równoznaczna z odbudową demokracji. Totalizm można obalić jednego dnia — demokrację trzeba budować latami. Pod koniec lipca br. w Czechosłowacji nie było ani totalizmu ani w pełni rozwiniętej demokracji. Na skutek bezpośredniego zagrożenia sowieckiego naród zjednoczył się wokół Dubczeka i jego partii. Obrzydliwy, zgrany slogan głoszący, że naród i partia to jedno — slogan, który w Sowietach, w Polsce czy w ulbrichtowskich Niemczech stanowi szczyt fałszu i zakłamania — w owych dniach lipcowego kryzysu w Czechosłowacji stał się prawdą i rzeczywistością. Komunistyczny ideał sięgnął bruku. Czego przez dwadzieścia lat nie dokonała propaganda sowiecka, w kilka dni dokonało zagrożenie sowieckie.

Duma narodowa, patriotyzm, umiłowanie wolności — to są słowa zdewaluowane i zdeptane jak stare pantofle przez pokolenia grafomanów. Niemniej owe znużone słowa wyrażają potencjał sił, który kryje w sobie najbardziej nieoczekiwane możliwości.

Chcemy uwypuklić dwa punkty.

Cuda dzieją się niezmiernie rzadko a w polityce, cuda są tu rzadsze niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie ludzkiej działalności. Jeżeli nie będzie interwencji zbrojnej typu węgierskiego — Czechosłowacy wcześniej lub później będą musieli zgodzić się na kompromis i przyciąć program reform w celu spacyfikowania Rosji. Jeżeli jednak Dubczek i jego zwolennicy utrzymają się przy sterze — nawet przycięty program reform będzie oznaczał postęp we właściwym kierunku. Wszystko bowiem zależy nie od programu tylko od jego interpretacji.

I punkt drugi. Leszek Kołakowski na długo przed rewolucją czechosłowacką wyraził pogląd, że nowoczesny przemysł i gospodarka oparte na mechanizmie rynkowym funkcjonować mogą tylko w ustroju demokratycznym. Ten typ ekonomii oparty jest na niezależnych badaniach, rzetelnych informacjach i prawdziwych statystykach. Tam gdzie fałszuje się statystyki, uniemożliwia niezależne badania i dławi cenzurą służbę informacyjną — plany unowocześnienia ekonomii pozostają martwą literą.

Nie tylko literaci lecz naukowcy zdają sobie dobrze sprawę z wagi powyższych zagadnień. W bloku wschodnim włącznie z Rosją powstaje „międzynarodówka” naukowców, którzy solidarnie dążą do niezbędnych reform.

Nowoczesna technologia a przede wszystkim ekonomia rynkowa wymagają nowych form ustrojowych. Czy mamy pouczać marksistów, że w ostatecznym rozrachunku baza decyduje o nadbudowie?

Rola jaką odegrała PZPR w kryzysie czechosłowackim ilustruje znakomicie polityczną filozofię Gomułki i jego pomocników. Ci ludzie gotowi są poświęcić zarówno interesy Polski jak i dobre imię narodu polskiego dla korzyści partyjnej. Dla Gomułki nie istnieje nic poza rozgrywkami partyjnymi i nie przyświeca mu żaden inny cel poza utrzymaniem się przy władzy.

Kampania antysemicka w Polsce przyniosła nam wręcz nieobliczalne szkody. W prasie amerykańskiej ukazał się list protestacyjny podpisany przez tysiąc profesorów wyższych uczelni. Z artykułów listów, protestów jakie ukazały się w tej sprawie w prasie światowej — można by złożyć kilkanaście tomów. Trzeba będzie wielu lat by odrobić poczynione szkody.

Największą krzywdę uczyniono tym licznym Polakom, którzy pomagali Żydom w czasie okupacji niemieckiej. Pomimo, że ci Polacy ryzykowali życie, by przyjąć Żydom z pomocą — Polska ma dziś opinię najbardziej „czarnosecinnego” antysemickiego kraju w Europie.

Jaki był cel tego wszystkiego? Jak zawsze tak i tym razem chodziło o rozgrywkę wewnątrzpartyjną. W Polsce Ludowej nie istnieje inna polityka jak tylko polityka wewnątrzpartyjna. Celem całej operacji było usunięcie z partii 1.500 czy 2.000 ludzi ze względów frakcyjnych. Był to fragment walki pomiędzy komunistami, którzy przyszli z Rosji a komunistami, którzy w czasie okupacji przebywali w Kraju, przewencyjna walka z „rewizjonistami”.

Czystkę tego rodzaju można było przeprowadzić cicho i spokojnie bez uruchamiania aparatu „syjonistycznego” i bez kompromitowania Polski na arenie międzynarodowej. Lecz Gomułka nie zawahał się rozpętać burzy antysemickiej w Polsce — zożydzić imię Polaków na całym świecie — tylko w tym celu by pozbyć się kilkuset ludzi z partii.

Czy owa czystka miała przynajmniej sens z czysto partyjnego punktu widzenia? Według niepisanej konstytucji polskiej partii komunistycznej członkowie założyciele byli nienaruszalni. Obecnie pogwałcono tę zasadę co z całą pewnością pociągnie za sobą poważne konsekwencje. Dziś wyrzuca się komunistów pochodzenia żydowskiego, jutro wyrzucać się będzie komunistów, którzy przyszli z Rosji, pojutrze komunistów, którzy wojnę spędzili w Kraju itd. itd. Gdy raz złamie się zasadę, nowe kryterium czystki zawsze się znajdzie.

Israel jest małym państwem, zewsząd otoczonym wrogami, którzy nie chcieli uznać jego prawa do samodzielnego bytu. W przeddzień sześciodniowej wojny Egipcjanie głosili program hitlerowskiego *final solution* kwestii żydowskiej. Naser zapewniał, że zepchnie Izraelczyków z kobietami i z dziećmi do morza.

Dokładnie w rok później mała Czechosłowacja stawiała samotnie czoła potęgę Związku Sowieckiego.

W polityce „biało-czarne” sytuacje stanowią wyjątek. Sprawa

Izraela i sprawa czechosłowacka posiadają charakter wyjątkowy, ponieważ słuszność, i to cała słuszność, była tylko po jednej stronie.

W obu wypadkach Gomułka i rząd Polski Ludowej stanęli po stronie agresorów mając dla Izraelczyków i Czechosłowaków tylko słowa potępienia.

To są imponderabilia. Nie chodzi już o model gospodarki czy ustroju lecz o model polskości, który w wydaniu PZPR stanowi zaprzeczenie wszystkiego czym Polacy byli i być pragną.

Dwa tysiące słów

W dziewięć miesięcy po wystąpieniu na Zachód przez dużą grupę intelektualistów czechosłowackich Manifestu Czechosłowackich Pisarzy, który został szeroko rozpowszechniony i który wstrząsnął stalinowskim reżymem Novotnego, grupa odpowiedzialnych obywateli, rekrutujących się z różnych środowisk, zleciła czołowemu pisarzowi komunistycznemu Ludwikowi Vaculikowi przygotowanie tekstu z apelem do narodu czechosłowackiego. Ten dokument miał podsumować postępowanie obecnego ruchu wolnościowego wewnątrz kraju i określić ideologiczne podstawy stanowiska demokratów w walce z resztkami konserwatywnych elementów, przeciwnych polityce Dubczeka.

Ten dokument ogłoszony w Czechosłowacji w „Literarnich Listach” — organie pisarzy czeskich, w „Prace” — dzienniku Związków Zawodowych, w „Zemelskie Noviny” — dzienniku Ministerstwa Rolnictwa i w „Mlada Fronta” — dzienniku dla młodzieży, był szeroko dyskutowany. Początkowo był on odrzucony przez Rząd, przez Partię Komunistyczną oraz przez Front Narodowy, ale to stanowisko ulega obecnie zmianie. Około 40.000 podpisów powiększyło liczbę pierwszych 70-ciu sygnatariuszy.

Życiu naszego narodu zagroziła najpierw wojna. Później nastąpiły dalsze okrutne czasy i wydarzenia, które zagroziły jego zdrowiu moralnemu i charakterowi.

Większość narodu przyjęła z dużą nadzieją program socjalizmu, niestety jego przeprowadzanie dostało się w ręce niewłaściwych ludzi. Nie to było najbardziej szkodliwe, że nie posiadali dostatecznego doświadczenia w sprawach rządzenia państwem, związanych z tym zagadnień filozoficznego wykształcenia. Byłoby inaczej gdyby posiadali przynajmniej więcej zdrowego rozsądku i uczciwości, gdyby słuchali opinii i sądów innych i dopuszczali

do stopniowego zastępowania ich na stanowiskach przez ludzi odpowiedniejszych.

Partia komunistyczna która po wojnie cieszyła się powszechnym zaufaniem rozmięła to zaufanie na urzędy i stanowiska i nic już jej nie pozostało. Musimy wyjawic to o czym dobrze wiedzą także i komuniści spośród nas, którzy rozczarowali się tak samo jak i inni. Błędna polityka kierownictwa spowodowała, że stronnictwo polityczne z ośrodka ideowego przemieniło się we wszechmocną organizację, która stała się magnesem dla wszystkich żądnych władzy, tchórzów, wyrachowanych słabeuszy i ludzi o nieczystym sumieniu. Napływ takich ludzi mocno zaważył na powadze i charakterze partii. Na wewnątrz Partia była tak rządzona że bez ostrych incydentów ludzie prawi nie mogli mieć żadnego wpływu, który mógłby przeciw Partię stale udoskonalać i dostosowywać do nowoczesnego świata. Wielu komunistów walczyło z takim stanem rzeczy ale nie udało im się zapobiec niczemu co się stało.

Wewnętrzne stosunki w Partii komunistycznej były wzorem i przyczyną stosunków w Państwie. Powiązanie Partii z Państwem pozbawiło ją korzyści oddzielenia od władzy wykonawczej. Nikt nie poddawał krytyce działalności państwa i jego instytucji gospodarczych. Parlament oduczył się prowadzenia debat, rząd rządzenia, a kierownicy organizacyjni właściwego kierowania. Wybory straciły znaczenie, a ustawy wagę. Nie mogliśmy mieć zaufania do naszych przedstawicieli w jakimkolwiek Komitecie; gdybyśmy je nawet mieli nie mogliśmy niczego od nich wymagać, gdyż byli bezsilni. Najgorsze było to, że straciliśmy zaufanie do siebie. Zatracił się honor jednostki i zbiorowości. Uczciwością do niczego nie można było dojść, zaś zdobycie czegokolwiek dzięki zdolnościom także było niemożliwe. Dlatego też większość ludzi przestała się zajmować sprawami publicznymi, kierując swoje zainteresowania do spraw najzupełnie osobistych — i do pieniędzy. Ten stan rzeczy pogorszył znowu fakt że nie można było mieć zaufania do wartości pieniądza. Wzajemne stosunki między ludźmi zepsuły się, straciliśmy zadowolenie jakie daje praca — słowem przyszły na naród nasz złe czasy niszczące jego zdrowie moralne i charakter.

Za obecny stan rzeczy jesteśmy wszyscy odpowiedzialni — komuniści bardziej niż bezpartyjni ale największa odpowiedzialność spada na tych, którzy byli częścią składową lub narzędziem niekontrolowanej maszyny władzy. Była to władza dobranej grupy, przenikająca z partyjnego aparatu w Pradze do każdego powiatu czy gminy. Aparat stanowił o tym co ktoś może lub nie może robić, zarządzał gospodarstwami spółdzielczymi w imieniu spółdzielców, fabrykami w imieniu robotników i komitetami na-

rodowymi w imieniu obywateli. Żadna organizacja, nawet komunistyczna, nie mogła być rządzona przez wybranych członków. Główną winą i największym kłamstwem tych władców było to, że swoją samowolę przedstawiali jako wolę robotników. Gdybyśmy w to kłamstwo uwierzyli to musielibyśmy dzisiaj robotnikom przypisywać winę za upadek naszej gospodarki, za zbrodnie popełnione na niewinnych, i za wprowadzenie cenzury która zakazywała pisać o tym wszystkim. Na robotnikach ciążyłaby wina wadliwych inwestycji, strat poniesionych w handlu i braku mieszkań. Nikt rozumny nie uwierzy tym zarzutom. Wszyscy wiemy, a przede wszystkim wie to każdy robotnik, że praktycznie klasa robotnicza nie miała głosu. Funkcjonariusze wyznaczani spośród robotników od kogo innego otrzymywali nakazy jak mają głosować. Podczas gdy wielu robotników myślało, że rządzą, w ich imieniu rządziła specjalnie do tego przygotowana warstwa funkcjonariuszy aparatu partyjnego i rządowego. Oni to faktycznie zajęli miejsce obalonej klasy rządzącej i sami stali się nową władzą. Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że niektórzy z nich od dawna zdawali sobie sprawę z tego oszustwa. Poznajemy ich dzisiaj po tym, że starają się odrobić krzywdy, naprawić błędy, zwracają prawo decyzji członkom i obywatelom, ograniczają władzę i stan liczbowy aparatu biurokratycznego. Łączą się z nami w opozycji przeciwko przestarzałym poglądom w członkostwie partii. Ale znaczna część aparatu urzędowego broni się przeciwko zmianom i dotychczas posiada wpływy. Ma stale jeszcze w rękę narzędzia władzy, zwłaszcza w powiatach i gminach, gdzie może sobie bezkarnie używać.

Od początku bieżącego roku jesteśmy w trakcie odradzania się demokratyzacji. Zaczęło się ono w samej partii komunistycznej. Trzeba to powiedzieć, a wiedzą to także i ci niekomuniści wśród nas, którzy stamtąd już niczego dobrego nie oczekiwali. Proces ten nie mógł zacząć się gdzie indziej, bo przecież przez dwadzieścia ubiegłych lat tylko komuniści mogli żyć jakimś życiem politycznym, tylko komunistyczna krytyka mogła mieć jakikolwiek wpływ na bieg spraw i tylko opozycja w obrębie komunistycznej partii miała przywilej stykania się z przeciwnikiem. Wysiłek i inicjatywa demokratycznych komunistów jest więc tylko spłatą długu, który cała partia zaciągnęła u niekomunistów, których stale upośledzała. Partii komunistycznej nie należy się przeto żadne podziękowanie, można jej chyba tylko przyznać, że uczciwie usiłuje wykorzystać ostatnią sposobność ocalenia czci własnej i narodowej. Proces naprawy nie wprowadza niczego nowego do naszego życia. Odradza tylko idee i zagadnienia, z których wiele jest starszych niż błędy naszego socjalizmu, a inne narastające pod powierzchnią bieżącej historii, choć powinny były już dawno

być ujawnione, były jednak właśnie tłumione. Nie łudźmy się, to nie prawda decyduje dziś o ich zwycięstwie — ale słabość dawnego przywództwa, które się widocznie znużyło wykonywaniem dwudziestoletniej władzy przez nikogo niekrępowanej. Widocznie dojrzały do pełnego rozkwitu wszystkie wadliwe pierwiastki już istniejące w samych podstawach ideologii systemu. Nie przeceniajmy przeto znaczenia krytyki wychodzącej z kół pisarzy i studentów. Źródłem zmian społecznych jest gospodarka. Słuszne słowo ma swoje znaczenie tylko wtedy, gdy jest wypowiedziane w warunkach, które zostały należycie przygotowane. A należycie przygotowane warunki — u nas oznaczają niestety nasze zupełne ubóstwo i całkowity rozkład starego systemu rządzenia, przy którym pewien gatunek polityków, w spokoju i bez oporu skompromitował się naszym kosztem. Więc to nie sama prawda zwyciężyła, ale prawda wychodzi na wierzch, gdy się wszystko zmarnowało. Nie ma więc podstawy do opiewania narodowego zwycięstwa, jest tylko podstawa do nowych nadziei.

W tym przebiegu nadziei, która jest jednak stale narażona na niebezpieczeństwo, zwracamy się do was. Minęło kilka miesięcy zanim wielu z nas uwierzyło, że mogą przemówić, wielu jednak nie wierzy w to jeszcze i dzisiaj. Ale przemówiliśmy i zajęliśmy tak wyraźne stanowisko, że nie mamy innego wyboru jak tylko wykonanie naszego planu, to jest uczynienie tego reżimu bardziej ludzkim. Gdybyśmy tego nie dokonali — zemsta dawnych sił byłaby okrutna. W pierwszym rządzie zwracamy się do tych, którzy dotychczas tylko czekali. Czas który nadchodzi będzie decydujący na wiele lat.

Czas który nadchodzi — to lato z wakacjami i urlopami, kiedy to wedle starego przyzwyczajenia, zechce się nam zapomnieć o wszystkim. Założmy się, że nasi kochani przeciwnicy nie pozwolą sobie na letni odpoczynek. Będą mobilizować swych ludzi i już teraz będą myśleć jakby sobie zapewnić spokojne święta Bożego Narodzenia. Uważajmy pilnie na to co się będzie działo, starajmy się ich rozumieć i miejmy dla nich gotową odpowiedź. Zrezygnujmy z niemożliwego żądania, aby ktoś wyżej od nas postawiony, dawał nam zawsze na wszystko jednoznaczne wyjaśnienie i na swój sposób wykladał treść spraw. Każdy będzie musiał na własną odpowiedzialność tę treść sobie tłumaczyć. Zgodne konkluzje można znaleźć tylko w dyskusji, a do tego konieczna jest wolność słowa, która jest jedynym naszym osiągnięciem demokratycznym bieżącego roku.

Na nadchodzące dni musimy uzbroić się we własną inicjatywę i pobierać własne decyzje. Przede wszystkim odrzucać będziemy poglądy — gdyby takie się wyłoniły, że można jest przeprowadzić demokratyczne odrodzenie bez komunistów, czy nawet przeciw

nim. Byłoby to niesprawiedliwe i nierozsądne. Komuniści mają swoje gotowe organizacje i w ich obrębie musimy popierać odłam postępowy. Mają doświadczonych funkcjonariuszy i wciąż mają jeszcze w swoich rękach ster działania. Przedstawili oni społeczeństwu swój program działania, który po raz pierwszy łagodzi najjaskrawsze nierówności, a nikt inny nie posiada równie konkretnego programu. Musimy żądać, by przedstawili go publicznie we wszystkich gminach i powiatach. Wtedy dopiero miejscowe programy działania będą się wiązały ze zwyczajnymi i od dawna oczekiwanyymi aktami sprawiedliwości. Komunistyczna partia czechosłowacka przygotowuje się do Kongresu, na którym wybierze nowy Centralny Komitet. Żadajmy aby ten nowy był lepszy niż obecny.

Partia komunistyczna głosi dzisiaj, że swoje przywódcze stanowisko w przyszłości chce oprzeć na zaufaniu obywateli a nie na przemocy — wierzymy w to, tak dalece jak możemy wierzyć ludziom, których posyła się obecnie jako delegatów partii na okręgowe i powiatowe konferencje.

W ostatnich czasach ludzie przejawiają niepokój, że proces demokratyzacji zatrzymał się. To uczucie jest częściowo objawem zmęczenia po doznanych wstrząsach i wydarzeniach, ale częściowo odpowiada prawdzie. Okres zaskakujących wypowiedzi, dymisji na wysokich szczeblach i oszałamiających wynurzeń niezwykłej śmiałości słownej już się skończył, ale walka między ścierającymi się siłami trwa, jest teraz tylko mniej jawna. Trwa ona dalej o treść i brzmienie ustaw, o zasięg praktycznych zarządzeń. Poza tym nowym ludziom, ministrom, prokuratorom, prezesom i sekretarzom musimy dać czas na pracę. Mają prawo na uzyskanie czasu, w którym mają wykazać, czy się nadają, czy nie. Od centralnych organów politycznych nie należy dzisiaj niczego więcej oczekiwać, aczkolwiek, wbrew samym sobie, sprawiały się one całkiem dobrze.

Praktyczna wartość przyszłej demokracji zależy od tego co się stanie z zakładami pracy i w nich samych. Niezależnie od naszych dyskusji, mają nas w ręku zarządy gospodarcze. Dobrych gospodarzy trzeba szukać i popierać. Prawdą jest, że w porównaniu z krajami gospodarczo rozwiniętymi jesteśmy wszyscy źle płatni, a niektórzy jeszcze gorzej niż wszyscy. Możemy żądać więcej pieniędzy, które można nadrukować i tym samym obniżyć ich wartość. Więc raczej żadajmy od dyrektorów i prezesów zarządów, aby nam wyjaśnili co i jakim kosztem chcą wytwarzać, komu i za ile sprzedawać, jakie będą z tego zyski, ile z nich pójdzie na unowocześnienie produkcji, a co można rozdzielić. Pod pozornymi nudnymi tytułami rozgrywa się w prasie bardzo ciężka walka o demokrację — przeciwko korytu. Do niej mogą włączyć się ro-

botnicy i przedsiębiorcy przez to, że będą wybierać do zarządów i rad fabrycznych (zakładowych) właściwych ludzi. Pracownicy mogą osiągnąć dla siebie największą korzyść — wybierając jako swoich przedstawicieli w związkach zawodowych ludzi zdolnych i rzetelnych, bez względu na ich przynależność partyjną.

Jeżeli dzisiaj niczego więcej nie należy oczekiwać od obecnych centralnych organów politycznych, trzeba więcej zdobywać w powiatach i gminach. Żądajmy ustąpienia ludzi, którzy nadużyli swojej władzy, marnowali mienie publiczne, działali nieuczciwie lub brutalnie. Trzeba znaleźć sposób, jak zmusić ich do odejścia, na przykład przez: publiczną krytykę, rezolucje, demonstracje, demonstracyjne brygady pracy, zbiórki na prezenty związane z ich odejściem, strajki, bojkoty i pikietowanie ich drzwi. Należy unikać środków nielegalnych, nieprzyzwoitych i zgoła brutalnych, bo użyliby tego samego do wywarcia nacisku na Aleksandra Dubczeka. Nasz wstręt do pisania ordynarnych listów musi być tak powszechny i oczywisty, aby każdy list, jaki mogą jeszcze otrzymać, mógł być uważany za wysłany do siebie przez nich samych. Ożywiamy działalność frontu narodowego. Żądajmy publicznych zebrań rad narodowych. Dla spraw wstydlivych, których nikt znać nie chce, ustanawiamy własne rady obywatelskie i komisje. To jest zupełnie proste: zbierze się kilku ludzi, wybierze prezesa, sporządzi się protokół, opublikuje się wynik badania, zażąda się rozstrzygnięcia, ale tylko nie wolno się dać zakrzyknąć. Prasę prowincjonalną i miejscową, która zdegenerowała się do tego stopnia, że jest tylko tubą urzędową, zamieścimy w trybunę wszystkich pozytywnych sił politycznych, żądajmy ustanowienia rad redakcyjnych spośród delegatów frontu narodowego, albo sami twórzmy inne gazety. Ustanawiamy komitety dla obrony wolności słowa. Organizujemy przy swoich zgromadzeniach własną służbę porządkową. Gdy natknijemy się na jakieś dziwne sprawy, badajmy je, wysyłajmy własne delegacje do kompetentnych czynników, a ich odpowiedzi publikujemy — chociażby na bramach. Wspierajmy organy bezpieczeństwa, bo one ścigają karygodne postęпки, a naszym zadaniem nie jest szerzenie anarchii i stanu niepewności. Unikajmy swarów sąsiedzkich, nie zapijajmy się przy różnych politycznych okazjach. Demaskujmy donosicieli!

To letnie ożywienie w całym państwie wywoła zainteresowanie sprawą uporządkowania państwowo-prawnego stosunku między Czechami i Słowakami. Bierzmy pod uwagę federację, jako podstawę rozstrzygnięcia zagadnień narodowościowych, albo jako jeden ze sposobów demokratyzacji systemu. Ta reforma niekoniecznie musi sama przez się przynieść Słowakom lepszą dolę. Zagadnienie osobnych rządów dla ziem czeskich i słowackich nie rozstrzyga o systemie. Władza partyjno-państwowej biurokracji

może trwać dalej — o tyle lepiej w Słowacji, że sobie niejako „wywalczyła więcej wolności”.

W ostatnich czasach szczególny niepokój wywołuje możliwość interwencji obcych sił w sprawy naszego rozwoju. Jak wielką byłaby przewaga tych sił — wszystko co możemy zrobić spowodować się do trwania na naszych pozycjach, do przyzwoitego zachowania się i do nie wszczynania niczego z naszej strony. Rządowi swojemu możemy okazać, że, gdy zajdzie potrzeba, stać przy nim będziemy z bronią, jeżeli wykonywać będzie to, na co damy mu mandat. Naszych sprzymierzeńców możemy zapewnić, że będziemy dotrzymywali naszych układów sojuszniczych, przyjaźni, i układów handlowych. Zarzuty i nieargumentowane podejrzenia utrudniłyby położenie naszego rządu, nam samym nie pomagając i nic nie dając. W każdym razie jedyną drogą do osiągnięcia stosunków równości jest poprawa naszego wewnętrznego położenia i taki postęp procesu odrodzenia abyśmy mogli kiedyś wybrać mężów stanu posiadających dostateczną odwagę, poczucie honoru i rzeczywistości politycznej, którzy by takie stosunki ustanowili i utrzymali. To bowiem jest problem wszystkich rządów we wszystkich mniejszych państwach świata.

Tej wiosny, podobnie jak wiosny powojennej, nadarzyła się nam wielka sposobność. Mamy znowu możność wziąć w ręce naszą wspólną sprawę, która się zwie socjalizmem i nadać jej kształt który by lepiej odpowiadał naszej dawnej dobrej sławie i dobremu mniemaniu, któreśmy dawniej o sobie mieli. Wiosna się skończyła i nie wróci. W zimie dowiemy się o wszystkim.

Na tym kończy się nasze oświadczenie skierowane do robotników, rolników, urzędników, artystów, uczonych, techników i wszystkich innych. Napisane zostało z inicjatywy uczonych.

(Przekład z czeskiego)

Apel czterech S.

(SOCJALIZMUS, SPOJENECTVI, SUVERENITA, SVOBODA)

„Towarzysze, piszemy w przeddzień spotkania z Prezydium Komitetu Centralnego Związku Sowieckiego, w czasie którego będzie się ważył los nas wszystkich. Jak to często zdarza się w historii, i tym razem garstce ludzi powierzono zadanie zadecy-

dowania o losie całego narodu. Zadanie to jest ciężkie i my chcemy je ułatwić dając wam całkowite nasze poparcie. Historia ostatnich wieków naszego kraju była historią niewolnictwa. Z wyjątkiem dwóch przerw* aż do chwili obecnej zmuszeni byliśmy utwierdzać nasz byt narodowy w podziemiu. I dlatego z takim entuzjazmem naród nasz powitał wydarzenia roku 1918, które pozwoliły nam cieszyć się wolnością w demokracji.

Była to z pewnością demokracja niedoskonała, ponieważ nie zapewniała obywatelom ani bezpieczeństwa społecznego, ani politycznego, ale mimo tych niedoskonałości cała nasza klasa robotnicza mogła w tragicznych dniach Monachium zmanifestować w formie jak najbardziej konkretnej swoje zdecydowanie obrony kraju. I dlatego też naród nasz powitał tak gorąco zapowiedź socjalizmu po uwolnieniu, w 1945 r. Był to socjalizm niedoskonały, ponieważ nie dawał ludziom ani wolności myśli, ani żadnych innych swobód obywatelskich. Byliśmy zmuszeni do tego, aby odnaleźć na nowo te wartości i zaczęliśmy widzieć możliwość ich realizacji dopiero w styczniu tego roku. Teraz nadszedł moment w którym po wiekach nasza ojczyzna stała się kolebką nadziei i to nadziei nie tylko dla nas. Osiągnęliśmy punkt, w którym możemy dowieść wszystkim, że socjalizm jest jedyną prawdziwą alternatywą dla całego cywilizowanego świata.

Liczyliśmy, że ta rzeczywistość będzie powitana z sympatią przez wszystkie inne społeczeństwa socjalistyczne, a tymczasem zostaliśmy oskarżeni o zdradę. Otrzymaaliśmy ultimatum od naszych towarzyszy które wskazuje, że oni sami nie rozumieją prawdziwego kształtu jaki wyłania się z naszej obecnej sytuacji. Zostaliśmy oskarżeni o przestępstwa nigdy przez nas nie popełnione. Oskarża się nas o zamiary, których nigdy nie żywiłmy. Groźba straszliwej i niesprawiedliwej kary wisi dzisiaj nad nami, kary, która jak bumerang uderzy w naszych dzisiejszych sędziów, ale jednocześnie sprawi, że nasze wysiłki pójdą na marne i że w najbliższych latach ideologia socjalistyczna zostanie stłumiona na całym świecie.

Towarzysze! Waszym historycznym obowiązkiem jest przeszkolenie temu, co się dzieje, waszą misją jest przekonanie kierowników sowieckiej partii komunistycznej, że proces demokratyzacji naszego kraju winien być zakończony, ponieważ odpowiada interesom naszej sprawy i sprawy wszystkich sił postępowych na każdym kontynencie.

To czego żądamy sprowadza się do czterech słów: Socjalizm, Przyjaźń, Niepodległość, Wolność. W socjalizmie i w przyjaźni wyraża się nasza gwarancja w stosunku do bratnich krajów i partii, ponieważ w imię tej przyjaźni nie dopuścilibyśmy nigdy do takiego rozwoju wypadków, który zagroziłby prawdziwym interesom tych krajów, u boku których walczymy od 20 lat za

* Dokument powołuje się na długą demokratyczną przerwę Republiki Masaryka pomiędzy 1918 a okupacją nazistowską w 1939 r. i do krótkiego okresu czasu układu demokratycznego pomiędzy 1945 a 1948 r.

wspólną sprawę. W suwerenności i wolności wyraża się gwarancja, że nie będą powtórzone te ciężkie błędy, które po ostatnie czasy groziły możliwością najpoważniejszych kryzysów. Wyjaśnijcie więc waszym rozmówcom, że objawy ekstremistyczne, które od czasu do czasu widać w naszych dyskusjach są właśnie wynikiem politycznego systemu opartego na biurokracji, które tak długo zdławiają myśl twórczą, że w końcu skłaniają dużą ilość obywateli do ucieczki w opozycję wewnętrzną. Przekonajcie swych rozmówców, że nam potrzebna jest demokracja, spokój i czas, abyśmy mogli stać się socjalistami i jeszcze lepszymi jak dotychczas sojusznikami. W najkrótszych słowach winniście dać do zrozumienia, że przemawiacie w imieniu całego narodu, który w tych ostatnich dniach przestał być jakimś pojęciem abstrakcyjnym, a stał się siłą mogącą pomóc historii”.

Następnie dokument wymienia jednego po drugim 14-tu członków prezydium Komitetu Centralnego w porządku alfabetycznym, aby wyeliminować posądzenie o robienie różnic pomiędzy wymienionymi osobistościami: wszyscy w równym stopniu ponoszą pełną odpowiedzialność narodową.

„Działajcie, wyjaśniajcie, ale jednomyślnie i bez ustępstw; broncie drogi, którą obraliśmy i z której nie chcemy zboczyć, póki będziemy żyć. Będziemy śledzić, godzina po godzinie, z niecierpliwością i obawą wasze posunięcia: wy piszecie za nas stronicę przyszłych losów całej Czechosłowacji. Piszcie ją z rozwagą, a przede wszystkim z odwagą. Stracenie tej jedynej okazji byłoby naszą klęską, a waszym wstydem. Wierzmy wam!”

* Powyższy apel był ogłoszony przez „Literarni Listy”, organ Czechosłowackiego Związku Pisarzy i podpisany przez 1782 przedstawicieli inteligencji: pisarzy artystów, dziennikarzy, filmowców, funkcjonariuszy państwowych, malarzy, muzyków, techników, architektów, naukowców i księży. Apel ten, wysłany do członków KC czzechosłowackiej partii komunistycznej, był później masowo podpisywany przez całe społeczeństwo. Ocenia się że zebrano przeszło 8 milionów podpisów.

List « pięciu »

DO
KOMITETU CENTRALNEGO KOMUNISTYCZNEJ PARTII
CZECHOSŁOWACJI

DRODZY TOWARZYSZE!

W imieniu Komitetów Centralnych partii komunistycznych i robotniczych Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego zwracamy się do Was z tym listem, podyktowanym szczerą przyjaźnią, opartą na za-

sadach marksizmu-leninizmu i proletariackiego internacjonalizmu oraz troską o nasze wspólne sprawy, o umocnienie pozycji socjalizmu i bezpieczeństwa socjalistycznej wspólnoty narodów.

Niepokoń nas głęboko rozwój wydarzeń w Waszym kraju. Wspierana przez imperializm ofensywa reakcji przeciwko Waszej partii i podstawom ustroju społecznego CSRS, w naszym głębokim przekonaniu zagraża zepchnięciem Waszego kraju z drogi socjalizmu, a zatem godzi w interesy całego systemu socjalistycznego.

Tym naszym obawom dawaliśmy wyraz na spotkaniu w Dreźnie, w czasie szeregu spotkań dwustronnych, a także w listach, które partie nasze skierowały niedawno do Prezydium KC KPCz.

Ostatnio proponowaliśmy Prezydium KC KPCz ponowne wspólne spotkanie w dniu 14 lipca br., aby dokonać wymiany informacji i poglądów na sytuację w naszych krajach, w tym również w sprawie rozwoju wydarzeń w Czechosłowacji. Niestety, Prezydium KC KPCz nie wzięło udziału w tym spotkaniu i nie skorzystało z możliwości wspólnej partyjnej dyskusji nad wytworzoną sytuacją. Dlatego uznaliśmy za konieczne przedłożyć Wam w tym liście z całą szczerością i otwartością nasze wspólne stanowisko.

Pragniemy, abyście nas dobrze zrozumieli i właściwie ocenili nasze intencje.

Nie było i nie jest naszą intencją ingerowanie w ściśle wewnętrzne sprawy Waszej partii i Waszego państwa, ani też naruszanie zasad poszanowania samodzielności i równości w stosunkach między komunistycznymi partiami i krajami socjalistycznymi.

Nie występujemy wobec Was jako rzecznicy dnia wczorajszego, którzy chcieliby przeszkadzać Wam w naprawie błędów i wypaczeń, a w tym również faktów łamania socjalistycznej praworządności, jakie miały miejsce.

Nie mieszkamy się do metod planowania czy zarządzania socjalistyczną gospodarką narodową Czechosłowacji, do Waszych poczynań, mających na celu doskonalenie struktury ekonomiki oraz rozwój socjalistycznej demokracji.

Powitamy z zadowoleniem uregulowanie, na słusznych zasadach braterskiej współpracy, stosunków między Czechami i Słowakami w ramach Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Nie możemy jednak pogodzić się z tym, aby siły wrogie spychały Wasz kraj z drogi socjalizmu i stwarzały groźbę oderwania Czechosłowacji od wspólnoty socjalistycznej. To nie jest bowiem tylko Wasza sprawa. To jest wspólna sprawa wszystkich partii komunistycznych i robotniczych oraz państw zręczonych sojuszem, współpracą i przyjaźnią. Jest to wspólna sprawa naszych krajów, które połączyły się Układem Warszawskim, aby zabezpieczyć swą suwerenność, pokój i bezpieczeństwo w Europie, aby postawić nieprzebytą barierę zamysłom imperialistycznych sił agresji i odwetu.

Narody naszych krajów zapłaciły olbrzymią cenę krwi i ofiar za zwycięstwo nad hitlerowskim faszyzmem, za swą wolność i niepodległość, za to, aby mogły iść naprzód drogą postępu i socjalizmu. Rubież świata socjalistycznego przesunęły się do centrum Europy, po Łabę i góry Szumawy. I nigdy nie zgodzimy się na to, aby te historyczne zdobycze socjalizmu, aby niezawisłość i bezpieczeństwo wszystkich naszych narodów mogły być wystawione na szwank. Nigdy nie dopuścimy, aby imperializm w sposób pokojowy czy niepokojowy, od wewnątrz, czy od zewnątrz dokonał wyłomu w systemie socjalistycznym i zmienił na swoją korzyść układ sił w Europie.

Moc i trwałość naszych sojuszów zależy od siły wewnętrznej ustroju socjalistycznego w każdym z naszych bratnich krajów, od marksistowsko-leninowskiej polityki naszych partii, które sprawują kierowniczą rolę w życiu politycznym i społecznym swoich narodów i państw. Poderwanie kierowniczej roli partii komunistycznej prowadzi do likwidacji demokracji socjalis-

tycznej i ustroju socjalistycznego. Tym samym zagraża podstawom naszego sojuszu i bezpieczeństwu wspólnoty naszych krajów.

Wiadomo Wam, iż bratnie partie odniosły się ze zrozumieniem do uchwał styczniowego plenum KC KPCz, w przekonaniu, że partia Wasza trzymając mocno w rękach dźwignie władzy, pokieruje całym procesem w interesach socjalizmu i nie pozwoli antykomunistycznej reakcji na wykorzystanie go w swoich celach. Byliśmy przekonani, że będziecie bronili jak żrenicy oka leninowskiej zasady centralizmu demokratycznego. Ignorowanie którejkolwiek strony tej zasady, zarówno demokracji, jak i centralizmu nieuchronnie prowadzi do osłabienia partii i jej kierowniczej roli przekształca partię bądź w organizację biurokratyczną, bądź w klub dyskusyjny.

Mówiliśmy o tych sprawach niejednokrotnie na naszych spotkaniach i Waszej stronie otrzymywaliśmy zapewnienia, że zdajecie sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw i że jesteście zdecydowani stawić im czoła.

Niestety wydarzenia poszły innym torem.

Siły reakcji wykorzystując osłabienie partyjnego kierownictwa krajem, nadużywając demagogicznie hasła „demokratyzacji”, rozpętały kampanię przeciw KPCz, jej uczciwym i oddanym kadrom, z wyraźnym zamiarem likwidacji kierowniczej roli partii, podważenia ustroju socjalistycznego i przeciwstawienia Czechosłowacji innym krajom socjalistycznym.

Powstałe w ostatnim okresie, poza ramami Frontu Narodowego, organizacje i kluby polityczne, stały się w istocie rzeczy sztabami sił reakcji. Socjal-demokraci uporczywie domagają się utworzenia własnej partii, organizują konspiracyjne komitety, dążą do rozbicia ruchu robotniczego w Czechosłowacji, chcą sięgnąć po kierownictwo krajem w tym celu aby odbudować ustrój burżuazyjny. Siły antysocjalistyczne i rewizjonistyczne opanowały prasę, radio, telewizję i przekształciły je w trybunę dla ataków przeciwko partii komunistycznej dla dezorientacji klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy, dla niewybrednej demagogii antysocjalistycznej, dla podrywania przyjacielskich stosunków między CSRS a innymi krajami socjalistycznymi. Szereg organów masowej informacji systematycznie uprawia terror moralny wobec ludzi, którzy występują przeciwko siłom reakcji lub wyrażają swój niepokój z powodu biegu wydarzeń.

Mimo uchwał majowego plenum KC KPCz, które wskazało na zagrożenie ze strony sił prawicowych i antykomunistycznych jako na główne niebezpieczeństwo, nasilające się ataki reakcji nie zostały bynajmniej pohamowane. Właśnie dlatego reakcja uzyskała możliwość publicznego występowania wobec całego kraju, opublikowania swojej politycznej platformy pod nazwą „2000 słów”, która zawiera otwarte wezwanie do walki przeciwko partii komunistycznej, przeciwko władzy konstytucyjnej nawołuje do strajków i zamieszek. Wezwanie to stanowi poważną groźbę dla partii, Frontu Narodowego i socjalistycznego państwa, jest próbą wywołania anarchii. W istocie rzeczy dokument ten stanowi polityczno-organizacyjną platformę kontrrewolucji. Nikogo nie powinno wprowadzać w błąd zapewnienie jego autorów, że nie chcą obalić ustroju socjalistycznego i nie chcą działać bez komunistów, że nie chcą zrywać sojuszów z krajami socjalistycznymi. Są to puste frazesy, które mają na celu zalegalizowanie platformy kontrrewolucji i zmylenie czułości partii, klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy.

Platforma ta szeroko kolportowana w ważnym okresie poprzedzającym nadzwyczajny zjazd KPCz nie tylko nie została odrzucona, ale znalazła nawet jawnych popleczników w szeregach partii i jej kierownictwa, którzy popierają te antysocjalistyczne wezwania.

Antysocjalistyczne i rewizjonistyczne siły szkalują całą działalność partii komunistycznej, prowadzą kampanię oszczerstw przeciwko kadrom partyjnym, dyskredytują uczciwych i oddanych partii komunistów. W ten sposób powstała sytuacja, która jest absolutnie nie do przyjęcia dla kraju socjalistycznego.

W tej atmosferze atakowana jest również socjalistyczna polityka zagraniczna CSRS. Atakuje się sojusze i przyjaźnie z krajami socjalistycznymi. Rozlegają się głosy żądające rewizji naszej wspólnej uzgodnionej polityki wobec NRF, mimo że rząd boński niezmiennie prowadzi kurs wrogi interesom bezpieczeństwa naszych krajów. Próby flirtu podejmowane przez władze i odwetowców zachodniemieckich znajdują oddźwięk w kołach kierowniczych Waszego kraju.

Cały przebieg wydarzeń w ostatnich miesiącach w Waszym kraju wskazuje na to, że siły kontrrewolucji, wspierane przez ośrodki imperialistyczne rozwinęły szeroką ofensywę przeciwko ustrojowi socjalistycznemu nie napotykając na niezbędne przeciwdziałanie ze strony partii i władzy ludowej. Nie ulega wątpliwości, że do tych wydarzeń w Czechosłowacji włączyły się ośrodki międzynarodowej reakcji imperialistycznej, które czynią wszystko, aby sytuację zaognić, skomplikować i w tym kierunku inspirować działania sił antysocjalistycznych. Prasa burżuazyjna pod pozorem wychwalania „demokratyzacji” i „liberalizacji” w CSRS prowadzi podjudzającą kampanię przeciwko bratnim krajom socjalistycznym. Szczególną aktywność przejawiają kierownicze koła w NRF, które usiłują wykorzystać wydarzenia w Czechosłowacji, aby poróżnić kraje socjalistyczne, izolować NRD i zrealizować swoje odwetowe zamysły.

Czy Wy, Towarzysze, nie widzicie tych niebezpieczeństw? Czy można w tej sytuacji pozostawać biernym, ograniczając się do słownych deklaracji i zapewnień o wierności dla sprawy socjalizmu i sojusznich zobowiązań? Czy nie widzicie, że kontrrewolucja odbiera wam jedną pozycję po drugiej, a partia traci panowanie nad biegiem wydarzeń i coraz bardziej cofa się pod naciskiem sił antykomunistycznych?

Czyż nie po to, aby posiąć nieufność i wrogość w stosunku do Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych — prasa, radio i telewizja w Waszym kraju rozpętały kampanię w związku z ćwiczeniami sztabowymi sił zbrojnych Układu Warszawskiego? Doszło do tego, że zwykłe dla współpracy wojskowej wspólne ćwiczenia sztabowe naszych wojsk z udziałem kilku jednostek Armii Radzieckiej są wykorzystywane dla bezpodstawnych oskarżeń o naruszenie suwerenności CSRS. I to dzieje się w Czechosłowacji, której naród czerpiąc pamięć żołnierzy radzieckich, którzy oddali swe życie za wolność i suwerenność tego kraju. W tym samym czasie w pobliżu granic zachodnich Waszego kraju przeprowadza się manewry sił zbrojnych agresywnego bloku NATO, w którym uczestniczy armia odwetowych Niemiec, zachodnich, o czym nie wspomina się ani słowem.

Inspiratorzy nieprzyjaznej wobec krajów socjalistycznych kampanii chcą, jak widać, zamącić świadomość społeczeństwa czechosłowackiego, chcą je dezorientować i podważyć tę prawdę, że Czechosłowacja może zachować swą niepodległość i suwerenność jedynie jako kraj socjalistyczny — członek wspólnoty socjalistycznej. Tylko wrogowie socjalizmu mogą dziś spekulować hasłem „obrony suwerenności” CSRS przed krajami socjalistycznymi, przed tymi krajami, z którymi sojusz i bratnia współpraca tworzą najpewniejszy fundament niezawisłości i swobodnego rozwoju każdego z naszych narodów.

W naszym przekonaniu wytworzyła się sytuacja, w której zagrożenie podstaw socjalizmu w Czechosłowacji wystawia na niebezpieczeństwo wspólne żywotne interesy pozostałych krajów socjalistycznych. Narody naszych krajów nigdy by nam nie wybaczyły obojętności i bez troski wobec takiego niebezpieczeństwa.

Zyjemy w czasach, gdy pokój, bezpieczeństwo i wolność narodów bardziej niż kiedykolwiek wymagają jedności sił socjalizmu. Napiecie międzynarodowe nie słabnie. Imperializm amerykański nie wyrzekł się swej polityki siły i jawnej interwencji przeciw narodom walczącym o wolność. Nadal prowadzi on zbrodniczą wojnę w Wietnamie, wspiera agresora izraelskiego na Blis-

kim Wschodzie, przeszkadzając w pokojowym uregulowaniu tego konfliktu. Wyścig zbrojeń nie został bynajmniej pohamowany. Niemiecka Republika Federalna, w której narastają siły neofaszyzmu, niezmiennie atakuje status quo, domaga się rewizji granic, nie chce się wyrzec ani dążenia do zagarnięcia NRD, ani też dostępu do broni jądrowej i występuje przeciwko propozycjom rozbrojeniovym. W Europie, w której nagromadzono ogromne środki masowej zagłady, pokój i bezpieczeństwo narodów utrzymywane są przede wszystkim dzięki sile, zwartości i pokojowej polityce państw socjalistycznych. Za tę siłę i jedność krajów socjalistycznych, za los pokoju — wszyscy ponosimy odpowiedzialność.

Nasze kraje związane są ze sobą układami i porozumieniami. Te doniosłe wzajemne zobowiązania państw i narodów opierają się na wspólnym dążeniu do obrony socjalizmu i zapewnienia bezpieczeństwa zbiorowego krajów socjalistycznych. Na naszych partiach i narodach spoczywa historyczna odpowiedzialność za to, żeby osiągnięte zdobycze rewolucyjne nie zostały utracone.

Każda z naszych partii ponosi odpowiedzialność nie tylko przed swoją klasą robotniczą i przed swoim narodem, ale również przed międzynarodową klasą robotniczą, światowym ruchem komunistycznym i nie może uchylić się od wynikających z tego obowiązków. Dlatego musimy być solidarni i zjednoczeni w obronie zdobyczy socjalizmu, naszego bezpieczeństwa i międzynarodowych pozycji całej socjalistycznej wspólnoty.

Oto dlaczego uważamy, że zdecydowany odpór wobec sił antykomunistycznych i stanowcza obrona podstaw ustroju socjalistycznego w Czechosłowacji — to nie tylko Wasze, lecz i nasze zadanie.

Sprawa obrony władzy klasy robotniczej i mas pracujących, zdobyczy socjalistycznych w Czechosłowacji wymaga:

— zdecydowanej i śmiałej ofensywy przeciwko siłom pravicowym i antysocjalistycznym, mobilizacji wszystkich środków obrony, stworzonych przez państwo socjalistyczne;

— zaprzestania działalności wszystkich organizacji politycznych, występujących przeciwko socjalizmowi;

— opanowania przez partię środków masowej informacji: prasy, radia, telewizji i postawienia ich na służbę klasie robotniczej, wszystkich pracujących, sprawie socjalizmu;

— zwartości szeregów samej partii na pryncypialnej podstawie marksizmu-leninizmu, ścisłego przestrzegania zasady centralizmu demokratycznego, walki z tymi, którzy swoją działalnością sprzyjają siłom wrogim.

Wiemy, że w Czechosłowacji istnieją siły zdolne do obrony ustroju socjalistycznego, do zadania klęski elementom antysocjalistycznym. Klasa robotnicza, chłopstwo pracujące, postępową inteligencja — przeważająca większość mas pracujących Republiki — gotowe są uczynić wszystko, co jest konieczne w imię dalszego rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Zadanie polega dziś na tym, aby dać zdrowym siłom jasną perspektywę, poderwać je do działania, zmobilizować ich energię do walki przeciwko siłom kontrrewolucji, ażeby zachować i ugruntować socjalizm w Czechosłowacji.

W obliczu groźby kontrrewolucji z pełną siłą winien zabrznieć na wezwanie komunistycznej partii głos klasy robotniczej. Klasa robotnicza wraz z pracującym chłopstwem dokonała największych wysiłków dla zwycięstwa rewolucji socjalistycznej. Właśnie dla niej najdroższa jest sprawa zachowania zdobyczy socjalizmu.

Wyrażamy przekonanie, że Komunistyczna Partia Czechosłowacji świadoma swojej odpowiedzialności, podejmie niezbędne kroki, aby zagrozić drogę reakcji. W tej walce możecie liczyć na solidarność i wszelką pomoc bratnich krajów socjalistycznych.

Z upoważnienia KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej: Pierwszy

Sekretarz KC PZPR — *Władysław Gomułka*; członek Biura Politycznego KC PZPR, Przewodniczący Rady Państwa PRL — *Marian Spychalski*; członek Biura Politycznego KC PZPR, Prezes Rady Ministrów PRL — *Józef Cyrankiewicz*; członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — *Zenon Kliszko*.

Oprócz przedstawicieli PZPR list ten został podpisany przez Breżniewa, Waltera Ulbrichta i przedstawicieli komunistycznych partii Bułgarii i Węgier.



Polska Fundacja Kulturalna

9, CHARLEVILLE ROAD, LONDON, W.14.

10 seria PFK

po tej samej, wciąż nie podwyższonej cenie
30/-, US\$ 5, NF. 24, A\$ 4

Koszt przesyłki za całą serię w Anglii 3/-,
w innych krajach 10 % ceny serii

5 KSIĄŻEK PO 240 STRON

Michał Chmielewicz
BAJKI, PRAWDY, MORAŁY...

Czesław Jeśman
LISTY Z AMERYKI

Bolesław Pomian Piątkowski
SOSNY I PALMY

Paweł Starzeński
OSTATNI POLSCY RYCERZE

Franciszek Wyślouch
OPOWIADANIA POLESKIE

Cena każdej z tych książek, nabywanych osobno
8/-, US\$ 1,25, NF. 6,25, A\$ 1

Do nabycia: w Polskiej Fundacji Kulturalnej
w przedstawicielstwach „Dziennika Polskiego”
we wszystkich księgarniach polskich w wolnym świecie.

DEUTSCHLANDFUNK ROZGŁOŚNIA EUROPEJSKA

...ma za zadanie nadawanie audycji radiowych dla Niemiec i Europy, w celu ukazania pełnego obrazu współczesnych Niemiec;

...nadaje codziennie z wyjątkiem niedziel program informacyjny w języku polskim od godziny 20-tej do 20.30 czasu środkowoeuropejskiego, na fali średniej w paśmie 195 metrów, czyli 1538 kHz;

...nadaje w programie w języku polskim najnowsze wiadomości z Niemiec i ze świata, przegląd prasy niemieckiej i zagranicznej, aktualne komentarze korespondentów, reportaże i wywiady, między innymi z osobistościami z Polski, przebywającymi z wizytą w Republice Federalnej. Stałymi pozycjami są audycje pod tytułem:

ZE ŚWIATA WIEDZY I TECHNIKI — SAMOCHÓD I JA — MAGAZYN SPORTOWY — KRONIKA BERLIŃSKA — KRONIKA KULTURALNA — WSPÓŁCZESNA LITERATURA NIEMIEC — PIĘĆ MINUT DLA PAŃ — DLA NASZYCH MŁODYCH SŁUCHACZY;

...informuje słuchaczy polskich o Niemczech, a zajmuje się zagadnieniami Polski tylko wówczas, gdy donosi o echu niemieckiej opinii publicznej na wydarzenia w tym kraju;

przekazuje co środę pozdrowienia i życzenia z okazji imienin, urodzin i innych uroczystości rodzinnych słuchaczom w Polsce i na Zachodzie.



MIEŚCI SIĘ W 5 KÖLN-MARIENBURG,
LINDENALLEE 23, TELEFON 3 70 31.

Archiwum polityczne

Czyja krowa?

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony ruchowi studenckiemu, lecz chciałbym go rozpocząć od kilku uwag na ten temat. Rewolucja studencka została uwieczniona sukcesem. Uniwersytety i zakłady wyższego nauczania w Europie zachodniej, a w szczególności w Anglii i we Francji — będą w najbliższych trzech latach widownią większych przemian niż na przestrzeni ubiegłych trzydziestu lat.

Rewolucja studencka wykazała, że przemoc (*violence*) popłaca, że tradycja jest mitem, i że nowoczesne organizacje studenckie stają się nowym typem związków zawodowych. Nie ulega wątpliwości, że zwiększający się procent studentów pochodzenia robotniczego pociąga za sobą — zwłaszcza w Anglii — przebudowę maszynierii organizacyjnej. Synowie „trade-unionistów” wynoszą z domu tradycję strajków, negocjacji i umów zawieranych przez władze związkowe. Młodzi ludzie pochodzący z klasy robotniczej *modus operandi* związków zawodowych starają się przeszczepić na pole organizacji studenckich.

Jest nonsensem twierdzić, że akcja zorganizowana przez Daniela Cohn-Bendita w maju br. doprowadziła do strajku 10 milionów robotników i „rewolucji francuskiej”. Jeżeli gmach jest podminowany, nie ma znaczenia kto podpala lont. Gmach runął nie dlatego, że lont podpalił Cohn-Bendit — tylko dlatego, że był podminowany. Gdyby gmach nie był podminowany, lont zapalony przez Cohn-Bendita spaliłby się bez żadnych dalszych konsekwencji.

Wszyscy publicyści starszego pokolenia z Walter Lippmannem na czele — odmawiają młodym jakiegokolwiek programu. O studenckich rewolucjonistach we Francji Lippmann pisał co następuje: „Młodzi nie są postępowi, ani lewicowi, ani socjalistyczni, ani komunistyczni. Są, w dosłownym tego słowa znaczeniu, nihilistami”.

Obalenie muru, który zagradza drogę jest swego rodzaju „pro-

gramem”. Zgadzam się jednak z poglądem większości publicystów starszego pokolenia — do którego sam należę — że młodzi nie mają konkretnego programu. Lecz my również nie mamy żadnego programu. Różnica między nami nie dotyczy programu, ponieważ nie mają go ani starzy ani młodzi. Przepaść jaka nas dzieli sprowadza się do faktu, że młodzi (skrajnych poglądów) uważają, że nasz świat nie nadaje się do naprawy, podczas gdy my usiłujemy „trzymać go na chodzie” serią półśrodków.

Tylko wyjątkowi ludzie są zdolni wznieść się wizją i zrozumieniem ponad ramy układu w którym zostali uformowani. Zawsze tak było lecz nie zawsze w równym stopniu. Nasze pokolenie uległo procesowi sztucznego postarzenia. Tempo rozwoju naukowego i technologicznego spowodowało, że przeciętny czterdziestoletni Europejczyk wykazuje mentalność pradziadka. Świat dokonał tak gigantycznego skoku, że każdy z nas, starszych panów, łatwiej znalazłby wspólny język z grenadierem napoleońskim niż z własnym synem.

Jesteśmy sztucznie postarzeni mimo że perspektywy przeżycia mamy lepsze niż pokolenia poprzednie. Lecz starość w sensie duchowym i psychicznym mierzy się sumą nie zaasymilowanych przemian. Nasi dziadkowie gdy byli w naszym wieku — obarczeni byli nieporównanie mniejszą sumą nie zaasymilowanych przemian niż my, i dzięki temu byli młodszy. Byli młodszy, bo będąc w naszym wieku lepiej rozumieli otaczający ich świat niż my rozumiemy nasz świat. Europejczycy, którzy urodzili się sto lat przede mną tj. w roku 1806 — mieli niepomnie mniej trudności w zrozumieniu świata z roku 1868 niż mam ja w zrozumieniu świata w roku 1968. Ci panowie, będąc w moich latach nie mieli za sobą dwóch wojen światowych, rewolucji rosyjskiej, przełomu naukowego i technologicznego, odkrycia energii atomowej itd. itp.

To są zjawiska o poważnych socjologicznych konsekwencjach. Dzięki zdobyczom medycyny ludzie żyją dłużej i wskutek tego wszędzie rządzą starzy lub bardzo starzy. Znaczny procent owych starych panów, którzy nami rządzą — nie jest w stanie zasymilować różnorodnych przemian, które narosły w ostatnich dziesięcioleciach. Jeżeli suma nieprzyswojonych przemian jest zbyt wielka pociąga za sobą dezorientację. Starzy ludzie są zdezorientowani w znacznie większym stopniu niż w epokach ubiegłych — co jest jedną z głównych przyczyn upadku ich autorytetu.

Równocześnie w obronie starszego pokolenia należy stwierdzić, że weszliśmy w okres uniwersalnego kryzysu. W stanie wrzenia i rewolucyjnych wstrząsów znajduje się dosłownie wszystko — młodzież, nauka, systemy teologiczne, ustroje, ideologie, ekonomie. Kryzys podważył również ramy ustroju demokratycznego — co w moim przekonaniu stanowi najistotniejszy element obecnej sytuacji.

Ustrój powinien stanowić ramy dla swobodnej gry sił społeczno-gospodarczych. Owa gra — pełna konfliktów i dynamiki winna w pełni wyrażać się w formach ustrojowych. Jeżeli jednak

w parlamencie nie dyskutuje się najistotniejszych zagadnień, jeżeli parlament nie występuje z programem koniecznych reform — wówczas paląca problematyka dnia przenosi się na ulicę i ludzie szukają dla niej rozwiązań poza ramami form ustrojowych.

W Anglii i we Francji obserwujemy częste strajki które pociągają za sobą straty idące w setki milionów funtów. Robotnicy stawiają w końcu na swoim i otrzymują podwyżkę płac. Z kolei, owa podwyżka jest „zjedzona” wzrostem drożyzny i podatków. Wzrost drożyzny i podatków w znacznej mierze spowodowany jest faktem, że państwo jako przedsiębiorca, wydaje więcej niż zarabia. Należałoby więc wnioskować, że państwo — podobnie jak każdy inny przedsiębiorca, nie powinno wydawać więcej niż zarabia, nawet, jeżeli miało to oznaczać zamrożenie na pewien czas płac robotniczych.

Marksista zauważyłby w tym miejscu, że istnieje antagonizująca sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą (tzn. robotnikami) i to stanowi źródło wszystkich naszych trudności. Socjal-demokraci nie kwestionują owej sprzeczności. Przed kilku tygodniami w wywiadzie telewizyjnym jeden z wybitnych brytyjskich działaczy związków zawodowych podkreślił fakt istnienia sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą (*labour*).

Jak słusznie zauważył jednak prof. Alasdair MacIntyre — socjal-demokraci w przeciwieństwie do komunistów — wierzą, że ów konflikt może być niejako inkorporowany w system demokratyczny. Istnienie potężnej partii robotniczej umożliwia przekształcenie owego konfliktu w kompromis korzystny dla wszystkich. W ostatecznym rozrachunku demokracja jest sumą kompromisów i nie może być inaczej.

A. MacIntyre w swojej krytyce Labour Party idzie niezmiernie daleko. Tytuł jego pracy: „The Strange Death of Social Democratic England” mówi właściwie wszystko. Jego główny zarzut streszcza się w tezie, że będąc rządem Partii Pracy, obecny rząd nie prowadzi polityki partii pracy.

Wszystkie uprzednie rządy Labour Party zwalczały bezrobocie — uważając brak pracy za największą klęskę grozącą klasie robotniczej. W czerwcu br. istniało w Anglii pół miliona bezrobotnych — co stanowi dla miesiąca czerwca najwyższą cyfrę bezrobotnych stanowiącą od wojny. Od marca br. przybywa przeciętnie 20 tysięcy bezrobotnych w każdym miesiącu.

W Anglii istnieje jeszcze ciągle wielka nierówność majątkowa. Ponad 80 % prywatnej własności znajduje się w posiadaniu grupy ludzi, którzy stanowią 7 % ogółu ludności. Wszystko to powoduje — zdaniem autora omawianej pracy — że politykę Labour Party a więc politykę zgodną z interesami klasy robotniczej poświęca się na ołtarzu „tradycyjnych bogów brytyjskiej ekonomii i systemu komercyjnego”. Owymi tradycyjnymi bóstwami są status funta sterlinga jako waluty światowej, cyfry bilansu handlowego i eksport.

A. MacIntyre nie jest odosobniony w krytycznej analizie systemu demokratycznego. Ukazują się liczne książki i artykuły —

poświęca się tym zagadnieniom programy telewizyjne i radiowe, mówi się ustawicznie o alienacji, partycypacji, emancypacji itd. Słowo „complex” (złożony) jest chyba najczęściej powtarzającym się określeniem we wszystkich dyskusjach dotyczących spraw ustrojowych. Niestety wszystko co ludzkie jest złożone i skomplikowane i nie ma w tym nic nowego. Obsesyjne podkreślenie złożoności tych zagadnień — świadczy tylko o naszej bezradności.

Chciałbym wyodrębnić problem, który dotyczy nie tylko Anglii lecz ustrojów demokratycznych określonego typu. Zaczniemy od stwierdzenia, że system dwu-partyjny niesie z sobą nieuchronnie pewien stopień alienacji. Rząd wnosi projekt ustawy. Dysponując przynajmniej większością w parlamencie przeprowadza swój projekt ustawodawczy. Nad projektem może być dyskusja w prasie, w radio, w telewizji — lecz sprawa jest z góry przesądzona. W systemie dwu-partyjnym rządzi rząd — nie parlament.

W systemie wielopartyjnym rządzi *de facto* parlament. Rząd musi zabiegać o poparcie partii politycznych dla swych projektów ustawodawczych i często głos reprezentanta małej partii może przeważać szalę. System dwu-partyjny z punktu widzenia administracyjnego jest niepomnień sprawniejszy. Rząd oparty o znaczną większość w parlamencie ma zapewniony czasokres urzędowania i może realizować plany obliczone na lata. Natomiast w systemie wielopartyjnym rządy zmieniają się czasem kilka razy na miesiąc co wpływa ujemnie na planowanie administracyjno-gospodarcze.

Teraz możemy wrócić do alienacji. Tysiące ludzi, których określa się mianem „wyalienowanych” — byłoby bardzo niezadowolonych gdyby musiało przestać być „wyalienowanymi”. Mówimy o alienacji w jej aspekcie politycznym. Tysiące ludzi nie pragnie ani zaangażowania, ani partycypacji. Pragnie natomiast by rząd za ich pieniądze (podatki) administrował gospodarką państwową sprawnie i wydawnie. Owe tysiące rzekomo „wyalienowanych” zaczynają interesować się polityką dopiero wówczas gdy pojawia się kryzys — drożyzna, bezrobocie, deprecjacja waluty, itd.

Inna jest sytuacja zorganizowanej klasy robotniczej. W systemie dwu-partyjnym, jeżeli jedna z dwóch głównych partii nie jest w dostojnym tego słowa znaczeniu polityczną partią robotniczą — robotnicy mają konkretny powód do alienacji.

A. MacIntyre kończy wspomnianą wyżej pracę następująco: „Mówię o grupie społecznej, która obecnie nie ma partii politycznej tzn. o brytyjskiej klasie robotniczej”.

Brytyjska Labour Party jest jedną z najbardziej zasłużonych dla ruchu robotniczego partii świata. Jej osiągnięcia są olbrzymie. Czy jednak Labour Party jest w dostojnym tego słowa znaczeniu partią robotniczą — to jest inny problem.

Osobiście skłaniam się do poglądu, że na całym świecie nie ma jak dotąd — partii robotniczej. Wydaje mi się również, że prawdziwa partia robotnicza mogłaby istnieć tylko w ramach

demokracji robotniczej. Kluczowym zagadnieniem w tej sprawie jest sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą — sprzeczność pomiędzy interesami klasy robotniczej a kapitalistycznie zorientowaną ekonomią.

Owa sprzeczność — jak wykazali Kuroń i Modzelewski a przed nimi Dżilas — występuje najjaskrawiej w państwach komunistycznych. Wobec wyszysku monopolistycznego super-kapitalisty, który dysponuje wojskiem, policją i aparatem administracyjnym — klasa robotnicza jest całkiem bezbronna. Istoty rzeczy nie zmienia fakt, że komuniści w pewnych krajach bloku wschodniego starają się kokietować robotników — wiedzą bowiem, że robotnicy są jedyną zwartą i solidarną klasą społeczną, potencjalnie zdolną do akcji masowej.

Z polityczno-socjologicznego punktu widzenia należy stwierdzić, że istnieje olbrzymia dysproporcja pomiędzy możliwościami a osiągnięciami klasy robotniczej. Majowa rewolucja francuska wykazała bez niedomówień, że strajk 10 milionów robotników może pchnąć na krawędź chaosu nowoczesne, dobrze zorganizowane i zamożne państwo. Takiej akcji i takiego zagrożenia nie może ani podjąć ani spowodować żadna inna klasa społeczna. Można uznać za aksjomat socjologiczny następujące stwierdzenie: inicjatorami przewrotu nie muszą być robotnicy lecz bez masowego poparcia klasy robotniczej nie ma przewrotu.

Rewolucja francuska wykazała również, że mylili się ci liczni znawcy, którzy uporczywie głosili, że uprzemysłowienie i względny dobrobyt rozbroiły klasę robotniczą niwecząc jej dawną bojowość.

W przeciwieństwie do A. MacIntyre, sądząc, że socjal-demokracja oparta na kompromisie pomiędzy kapitałem a pracą — możliwa jest tylko w pewnych określonych warunkach. W kraju nie tylko kapitalistycznym lecz i bogatym — robotnikom lepiej opłaca się „dość kapitalistyczną krowę” niż dążyć do przebudowy ustroju. Gdyby dziś w Anglii można było odrzucić całą tzw. *incomes policy* i płacić robotnikom stawki jakich żądają — stosunki pomiędzy socjalistycznym rządem a związkami zawodowymi układałyby się idealnie. Nie byłoby strajków i wszyscy byłiby zadowoleni. Natomiast tam, gdzie nie ma pieniędzy, względnie pieniędzy jest mało — ludzie zaczynają wysuwać pytania dotyczące pierwszeństwa wydatków.

Logika jest po stronie rządu. Nie można dość krowy, która z trudem trzyma się na nogach. Nie należy strajkować — bo strajki powodują olbrzymie straty i podcinają ekonomię od której zależy dobrobyt ludności i płace robotników. Najpierw trzeba spłacić część długów zagranicznych, unowocześnić wyposażenie fabryk, zwiększyć eksport i dopiero wówczas myśleć o podwyższeniu uposażeń. Krótka mówiąc, na to by pieniądze wydawać trzeba je wpięć zarobić.

Logika polityki rządu, który odpowiada za zdrowie gospodarczej „krowy” i za jej mleczność — jest niezbita. Lecz podstawowe

pytanie nie dotyczy ani zdrowia ani mleczności. Podstawowe pytanie brzmi: *kto jest właścicielem krowy?*

Rządy zachodnioeuropejskie wychodzą z założenia, że właścicielem „krowy” jest cały naród. Nie wydaje się jednak by wszyscy robotnicy podzielali ten pogląd. Strajk dziesięciu milionów robotników we Francji w maju br. pociągnął za sobą straty gospodarcze wyrażające się w astronomicznych cyfrach. Kto podcina gardło swojej własnej krowie? Należy odpowiedzieć, że nikt przy zdrowych zmysłach nie podrzyga gardła swojej własnej krowie. Ponieważ trudno dziesięciu milionom robotników odmówić zdrowych zmysłów — nie pozostaje nic innego jak stwierdzić, że krowy gospodarczej nie uważają za swoją.

W Anglii coraz częściej obserwujemy zjawisko tzw. strajków nieoficjalnych. Co to oznacza? Oznacza to nawrót do tradycyjnej robotniczej akcji bezpośredniej. Oznacza to, że w danym zakładzie przemysłowym robotnicy podejmują strajk na własną rękę przeciw całemu *establishment* z kongresem związków zawodowych włącznie. Nieoficjalny strajk jest manifestacją stwierdzającą ponad wszelką wątpliwość, że robotnicy „krowy” nie uważają za swoją. Innymi słowy, jeżeli krowa nie chce dać tyle mleka ile żądają robotnicy — tym gorzej dla krowy.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? W mojej osobistej ocenie system socjal-demokratyczny, który obejmuje tak burżuazyjne ugrupowania jak i partię robotniczą — może funkcjonować sprawnie w kraju bogatym jak Stany Zjednoczone, czy Niemcy zachodnie. Podstawowym składnikiem kapitalizmu jest kapitał. Nie można prowadzić gospodarki kapitalistycznej czy neo-kapitalistycznej bez kapitału. Ów podstawowy kompromis, który spina jak most przepaść oddzielającą interesy robotnicze od interesów kapitału — zbudowany jest zawsze i wszędzie z pieniędzy.

Ideał demokracji zachodnioeuropejskiej w teorii wygląda następująco. Produkcja przemysłowa kwitnie, eksport rośnie a związki zawodowe wytargowują dla robotników coraz wyższe stawki i coraz lepsze warunki pracy. Dopóki trwa powyższa sytuacja jest obojętne czy robotnicy gospodarkę uważają za swoją czy nie za swoją. Kompromis zawsze jest do osiągnięcia, ponieważ są pieniądze umożliwiające zaspokojenie żądań robotników.

Postawa robotników streszcza się w hasło strajkujących robotników francuskich: „najpierw płacić potem dyskutować!” Jeżeli nie ma pieniędzy ów kompromis stanowiący istotę socjal-demokracji — jest nie do osiągnięcia ponieważ nie ma budulca, z którego można by go skonstruować.

Weźmy przykład. Kupiłem farmę na której zatrudniam dwóch robotników. Był nieurodzaj, poczyniłem nierozsądne inwestycje — w rezultacie nie mam pieniędzy. W takiej sytuacji ja i moja żona możemy postanowić, że będziemy jeść barszcz widelcem — niemniej robotnicy muszą być zapłaćeni. Oni nie są właścicielami farmy i nie mają powodu ponosić ofiar koniecznych do przezwyciężenia kryzysu. W omawianym wypadku trzeba albo

pożyczyć pieniędzy i zapłacić robotników albo uczynić ich współpartnerami farmy. Wówczas będzie to nie moja farma tylko nasza farma i wszyscy ponosić będziemy na równi ofiary w celu przezwyciężenia kryzysu.

Ekonomiści i socjologowie jeżeli przeczytają ten artykuł skrzywią się w tym miejscu z niesmakiem. Przykład z farmą wyda im się prymitywny a może nawet demagogiczny. Państwo to nie farma tylko problem złożony.

Należy podkreślić dwa punkty. Ilekroć mowa o „duchu Dunkierki”, ofiarach, poświęceniu itp. — największych ofiar oczekujemy zawsze od klasy robotniczej. Jeżeli płace ulegają zamrożeniu oznacza to co innego dla robotnika, który zarabia 15 funtów tygodniowo — a co innego dla kogoś kto zarabia 80 czy sto funtów tygodniowo.

I punkt drugi. Robotnicy, w przeciwieństwie do innych warstw społecznych, dysponują instrumentem nacisku. Przyjdzie chwila, że trzeba będzie uczynić ich współwłaścicielami „krowy” w przedsiębiorstwie, że własnej krowie nie poderżną gardła.

Tezę tego artykułu jest pogląd, że socjal-demokracja nie rozwiązała sprzeczności jaka istnieje pomiędzy kapitałem a pracą. Uznając natomiast kolejno prawa robotnicze, aż po wspaniały status społeczny, jakim dziś cieszy się klasa robotnicza w Wielkiej Brytanii — demokracja inkorporowała w swoją strukturę ową sprzeczność co umożliwiało negocjowanie kompromisowych rozwiązań. Socjal-demokracja nie tylko nie zdradziła robotników lecz umożliwiła i ulegalizowała prawa robotników do walczenia o najlepszą płacę i warunki. Żaden inny ustrój na świecie nie dał robotnikowi tych możliwości.

Należy jednak równocześnie stwierdzić, że jeżeli hamuje się walkę robotników o wyższe płace drogą ustawodawczą, czy drogą nacisku patriotyczno-moralnego — nie można dłużej głosić, że ustrój socjal-demokratyczny wyraża i harmonijnie rozwiązuje sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą.

Albo się jest najemnikiem albo się jest współwłaścicielem. Robotnik, który sprzedaje siłę swoich mięśni i swoje fachowe przygotowanie nie ma powodu ani tytułu brać na siebie części kłopotów finansowych kapitalisty, który go wynajmuje. Obojętne czy owym pracodawcą jest człowiek prywatny, korporacja publiczna, czy państwo. Nie można być w jednej osobie wynajmowanym i wynajmującym. Nie jest rzeczą wynajmowanego analizowanie bilansów pracodawcy. Rzeczą wynajmowanego jest walczyć o najlepszą płacę i warunki.

Kryzys strukturalny, który dyskutujemy — nie jest spowodowany polityką rządu. Rząd brytyjski pragnąłby zapewnić robotnikom najwyższe płace i najlepsze warunki pracy. Anglii po prostu na to nie stać. Kryzys strukturalno-ustrojowy obserwujemy w całej Europie zachodniej a nie tylko w Anglii.

Wyraziłem w tym artykule pogląd, że w gruncie rzeczy na całym świecie nie ma prawdziwej partii robotniczej. W mojej opinii prawdziwa partia robotnicza musiałaby rozwiązać i tym

samym zlikwidować sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą. Likwidacja owej sprzeczności wymagałaby przebudowy socjal-demokracji w demokrację robotniczą.

Na marginesie zanotujmy, że terminu „demokracja robotnicza” używam tylko jako symbolu rozpoznawczego. Jestem przekonany, że za 20 czy 30 lat Anglia będzie miała ustrój zbliżony do demokracji robotniczej lecz nikt nie będzie używał tej nazwy, ponieważ Wielka Brytania pozostanie monarchią i tylko Izba Lordów utraci swój tradycyjny charakter. Analogiczne zmiany nastąpią we Francji gdzie również nikt nie będzie używał terminu „demokracja robotnicza”. W niniejszym artykule nadaję tę nazwę ustrojowi ku któremu — w mojej opinii — zmierzamy.

Gdyby na zachodzie Europy a w szczególności we Francji i we Włoszech nie istniały potężne partie komunistyczne — być może powstałyby nowe radykalne partie robotnicze. Komuniści są wielką antyrewolucyjną siłą w Europie zachodniej okupują bowiem historyczne miejsce przynależne partii rewolucyjnej. Majowe wypadki we Francji potoczyłyby się inaczej gdyby pozycję komunistów zajmowała nowoczesna, rewolucyjna partia robotnicza.

W Anglii z całą pewnością nie będzie rewolucji ani nawet mini-rewolucji. Brytyjczycy posiadają rzadką umiejętność dokonywania rewolucyjnych przemian nie rewolucyjnymi metodami. Nie zaryzykowałbym jednak powyższej prognozy w stosunku do kontynentalnych państw zachodnioeuropejskich.

Nie można planować ani gospodarować z odbezpieczonym granatem w kieszeni. Francja w rezultacie majowego strajku sprzedaje część złota Stanom Zjednoczonym i zaciąga pożyczkę w wysokości półtora miliarda dolarów. Gdyby jesienią br. wybuchł drugi strajk generalny — Francja mogłaby się nie podnieść z ekonomicznej klęski i chaosu.

Komunizm nie rozwiązał sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą i dlatego robotnikom odebrano prawo walczenia o lepsze płace i warunki. Socjal-demokracja nie rozwiązała również owej sprzeczności lecz przyznała robotnikom prawo walczenia o najwyższe płace i najlepsze warunki pracy.

Nie ulega wątpliwości, że model obecny nie funkcjonuje sprawnie. Liczba strajków w Anglii w porównaniu z innymi krajami nie jest wysoka, lecz większość strajków stanowią strajki nieoficjalne.

Ustroje zachodnioeuropejskie muszą rozwiązać problem w imię którego w Rosji 50 lat temu podjęto rewolucję, i którego rewolucja typu sowieckiego nie zdołała rozwiązać. Problem nie rozwiązyany nie przestaje być problemem i przychodzi chwila, kiedy nie można go dłużej odkładać *ad acta*.

Zagadnienie, któremu poświęcone są niniejsze rozważania — nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią. To jest problem praktyczny i tylko na drodze praktycznej może być rozwiązany. Rozwiązania mogą być różne w zależności od układu społecznogospodarczego w danym kraju. Marksisci nie mają racji twierdząc, że jedyną receptą w tej sprawie jest zniesienie własności

prywatnej. Miarodajną w tej dziedzinie jest wyłącznie opinia robotników a nie intelektualistów i ideologów. Przez likwidację sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą należy rozumieć taki układ stosunków społeczno ekonomicznych, w którym robotnicy całość gospodarki przemysłowej uznaliby za swoją. Droga do tego celu w moim przekonaniu, nie prowadzi przez zniesienie własności prywatnej tylko przez zniesienie z czasem instytucji najemnictwa.

W zakładzie przemysłowym, którego 55 procent udziałów znajduje się w rękach załogi — robotnicy *de facto* nie są najemnikami tylko pracują na swoim i dla siebie. Natomiast robotnicy w Nowej Hucie nie pracują ani na swoim ani dla siebie. Płace, normy, czas pracy — wszystko jest narzucone arbitralnie z góry. Robotnik w Nowej Hucie jest najemnikiem w rękach kapitalisty, który dysponuje nie tylko kapitałem ale i policją.

Teoria współudziału omówiona przez francuskiego ministra sprawiedliwości René Capitant na łamach „Les Informations industrielles et commerciales” w czerwcu br. idzie w pewnej mierze po liniach naszkicowanych powyżej. W myśl projektu francuskiego, każde przedsiębiorstwo przemysłowe składać się będzie ze zrzeszenia robotników, ze zrzeszenia kapitalistów i z kierownictwa złożonego tak z robotników jak i z kapitalistów. Zyski byłyby dzielone po połowie między robotników i kapitalistów. Projekt przewiduje dla robotników tzw. „akcje pracy” i „akcje kapitałowe”. Te ostatnie robotnicy otrzymywaliby za swój współudział w inwestycjach. W Polsce czy w Czechosłowacji nie może być nawrotu do kapitalizmu, lecz kiedyś będzie można uwłaszczyć robotników tzn. uczynić ich współwłaścicielami fabryk i zakładów przemysłowych.

Projektów tego typu jest wiele. W Anglii pewne przedsiębiorstwa udostępniają swym pracownikom nabywanie udziałów. Za współudziałem robotników w przedsiębiorstwach wypowiadają się tak socjal-demokraci jak i konserwatyści. Charakterystyczna jest w tym względzie praca zbiorowa tzw. Bow Group pt. „Cutting the Cake” jak i roczne sprawozdanie przewodniczącego P.I.B. (National Board for Prices and Incomes). Nigdzie jednak programowi współudziału nie nadano mocy ustawy powszechnie obowiązującej. Francja — jeżeli cytowanego projektu biurokracji nie schowają pod sukno — będzie pierwszym państwem europejskim, które wkroczyło na właściwą drogę.

Anglosasi sceptycznie oceniają projekty francuskie. Nie twierdzą, że projekt francuski jest najlepszy ze wszystkich możliwych rozwiązań. Twierdzą natomiast, że sprawa jest przesądzona. Sprawa jest przesądzona bo nie robotnicy są w sytuacji przymusowej tylko kapitaliści. W systemie neo-kapitalistycznej ekonomii będzie coraz trudniej utrzymać wysoki stopień produktywności i równocześnie zaspokoić rosnące żądania robotników. Robotnicy najemni nie mają powodu redukować swych legalnych żądań w ten sposób, by pasowały do kalkulacji kapitalisty. Solidarności

z kapitałem można się domagać od współudziałowców lecz nie od najemników.

Robotnicy brytyjscy w czasie wojny z wielką ofiarnością utrzymywali produkcję przemysłową w najtrudniejszych warunkach. Lecz nie jest rzeczą możliwą w 25 lat po wojnie rozwiązywanie zagadnień gospodarczych w atmosferze permanentnego „stanu wyjątkowego”. Utopią nie są reformy. Utopią jest konserwatywna wiara, że bez reform za rok czy za dwa powiedzie się odbudować dawne, dobre czasy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

IDEOLOGOWIE CONTRA POLITYCY

Najtrudniej jest zachować dobre stosunki z Moskwą państwu komunistycznemu. W lipcu br. stosunki sowiecko-austriackie układały się pomyślnie i pokojowo — natomiast na granicy sowiecko-czechosłowackiej panował stan wojennego pogotowia.

Sowiety wspomagają Kubę finansowo (milion dolarów dziennie) — co nie przeszkadza Fidel Castro krytykować politykę Rosji w zasadniczych punktach. Stosunki sowiecko-amerykańskie są idyllą w porównaniu z więzami „przyjaźni” jakie łączy Związek Sowiecki z bratnią Ludową Republiką Chińską. Przykładów tego typu przytoczyć można znacznie więcej.

Dlaczego Sowiety w stosunku do państw nie-komunistycznych prowadzą normalną — można powiedzieć staroświecką politykę — natomiast w stosunku do państw komunistycznych prowadzą politykę często wręcz niezrozumiałą i co ważniejsze szkodliwą dla Rosji? Politycy sowieccy w rozmowach z Paryżem czy z Londynem są realistami i pragmatykami. Politycy sowieccy w rozmowach z Czechosłowakami czy z Rumunami są dalecy od realizmu i pragmatyzmu.

Dla zachodniego człowieka wydaje się czymś absurdalnym mobilizowanie 60-ciu dywizji, powoływanie rezerwistów itp. — wszystko w tym celu, by przywrócić cenzurę w małym i bezbronny kraj. W odległej o kilkadziesiąt kilometrów Austrii nie ma cenzury i nikt z tego nie robi kardynalnego problemu polityki sowieckiej.

Polityka nabiera cech absurdalnych wówczas, gdy opiera się na fikcyjnych założeniach. Ową fikcją, której hołdują politycy sowieccy jest jedność obozu komunistycznego. Ideologowie sowieccy nie uznali nigdy policentryzmu i nie wypracowali formuły, która umożliwiałaby zaakceptowanie policentryzmu tak w sensie teoretycznym jak i praktycznym.

Postulat zachowania jedności ruchu i czystości ideologii byłby zrozumiały, gdyby Moskwa była stolicą rewolucji światowej i ogniskiem skupiają-

cym rewolucyjne wrzenie na 5-ciu kontynentach globu. Lecz Moskwa jest jak najdalej od światowej rewolucji. Rosjanie są przeciwnikami rewolucji nawet w Ameryce Łacińskiej, gdzie wysysk i nierówność majątkową doprowadzono do nieznanego w dziejach perfekcji. Przywódcy sowieccy pragną pokoju i uładowanych stosunków międzynarodowych — co pozwoliłoby im spacyfikować swoje własne społeczeństwa. Głównym problemem Rosji jest Związek Sowiecki.

W społeczeństwach o wysokim rozwoju technologiczno-przemysłowym czynnikiem stabilizacyjnym jest tzw. *middle class*. Gdyby w Sowietach powiodło się stworzyć sytą i zadowoloną warstwę mieszczańską obejmującą wykwalifikowanych robotników, techników i menadżerów — wówczas konserwatyzm partii zdobyłby fundament w naturalnym konserwatyzmie nowej warstwy społecznej. Intelktualiści, pisarze i przede wszystkim inteligencja — ów typowo wschodnioeuropejski fenomen — utraciliby swą wyjątkową pozycję.

Rosja syta, w większości mało-mieszczańska, średnio-zamożna, wiktoriańska, ciasna, pruderyjna pasowałaby jak rękawiczka do sowieckiego modelu komunizmu. Dylemat polega na tym, że sowiecki ustroj komunizyczny choć ciasny i pruderyjny nie jest w stanie zaspokoić głodu konsumpcyjnego potencjalnej warstwy małowieszczańskiej. Małowieszczańczin staje się przeciwnikiem zmian i reform tylko wtedy, gdy ma dobre mieszkanie, samochód, lodówkę, telewizję i perspektywę dobrego życia. Wówczas małowieszczańczin wnioskuję, że każda zmiana byłaby prawdopodobnie zmianą na gorsze — co stanowi credo wszelkiego konserwatyizmu. System społeczno-gospodarczy niezdolny do wytworzenia potężnej warstwy konserwatywnej nie ma szansy przetrwania. „Nowa klasa” jest konserwatywna i zamożna. Lecz jej zmysł zachowawczy nie stanowi fundamentu ustroju ponieważ „Nowa klasa” jest nieliczną elitą rządzącą a nie warstwą społeczną.

Termin „konserwatywny” w powyższym kontekście może wydać się mylnie użyty. Breżniew czy Gomułka są konserwatystami ponieważ bronią *status quo* i przeciwstawiają się wszelkim reformom. Obaj muszą opierać się na aparacie represyjnym jak policja czy cenzura — ponieważ, tak w Rosji jak i w Polsce, nie ma warstwy społecznej, która myślałaby równie konserwatywnie jak oni. W przeciwieństwie do Breżniewa i Gomułki większość ludzi w Rosji i w Polsce uważa, że każda zmiana byłaby prawdopodobnie zmianą na lepsze.

Ów konserwatyzm rządzącej elity nie podzielany przez społeczeństwo decyduje o metodach sowieckiej polityki zagranicznej.

Jeżeli pomiędzy Związkiem Sowieckim a Austrią powstaje jakaś kwestia sporna — do Wiednia nie zjeżdża sowieckie Polit-biuro w pełnym składzie tylko sprawa jest załatwiana na normalnej drodze dyplomatycznej. Gdyby Rosjanie w podobny sposób rozwiązyli kryzys sowiecko-czechosłowacki nie byłiby zmobilizowali przeciwko sobie najbardziej pro-rosyjskiego narodu w Europie.

Ktoś powie, że dopóki sprawa niemiecka nie jest rozwiązana Związek Sowiecki musi dbać o całość i zwartość Paktu Warszawskiego. Podzielać ten pogląd, lecz równocześnie ośmielać się twierdzić, że Pakt Warszawski leży w gruzach. Rozbił go Związek Sowiecki w ostatniej dekadzie lipca bieżącego roku. Jeżeli w chwili kryzysu trzeba pod pozorem „manewrów” dokonywać inwazji państwa sojuszniczego — jeżeli jedni przeciwko owej

inwazji protestują, a inni nie protestują tylko dlatego, że się boją, trudno jest mówić nawet o fasadzie paktu sojuszniczego. Zniszczono zarówno pakt jak i pozory paktu.

W Polsce i w Czechosłowacji większość społeczeństwa rozumie i uznaje potrzebę sojuszu z Rosją. Gdyby Rosjanie traktowali swoich sojuszników tak jak traktują Austrię czy Włochy — Pakt Warszawski funkcjonowałby normalnie, uniknięto by kryzysów, „manewrów” i kompromitacji.

Ideologia nie może zastąpić ani polityki ani dyplomacji. Fakt, że państwo „X” posiada ustroj komunizyczny nie może oznaczać abdykacji suwerenności na rzecz Sowietów. Nie przerażająca przewaga militarna Związku Sowieckiego nastraja opozycyjnie tzw. narody satelickie — tylko ustawiczne mieszanie się Moskwy w sprawy czysto wewnętrzne. Jest rzeczą wręcz komieczną by mężowie stanu drugiego super-mocarstwa świata przejmowali się treścią artykułów w pismach literackich polskich czy czechosłowackich.

Schizofrenia systemu sowieckiego sprowadza się do antagonizmu między ideologią a polityką. Ideolodzy twierdzą, że bezpieczeństwo Związku Sowieckiego tak na zewnątrz jak i na wewnątrz — zależy bezpośrednio od utrzymania czystości linii ideologicznej w Rosji i w państwach satelickich. Politycy natomiast twierdzą, że jedność ideologiczną w Sowietach utrzymać można tylko policją a w państwach satelickich obecnością wojskową i stałą groźbą interwencji. Terror czy semi-terror w Sowietach pogłębia ferment — a groźba interwencji i obecność wojsk sowieckich w państwach satelickich pobudza nacjonalizmy i pogłębia nienawiść do Rosji. Tak oto ideologia przekreśla swoje polityczne cele.

Politycy (pragmatycy) i ideolodzy (staliniści i neo-staliniści) są komunistami. Różnią się natomiast w metodach.

Warunkiem podstawowym jakiegokolwiek przemian w państwie komunizycznym jest de-stalinizacja systemu. W Sowietach ów proces oznaczać będzie przesunięcie się władzy z rąk ideologów w ręce polityków (pragmatyków). Jeżeli natomiast ideolodzy (staliniści) zdobędą pełną przewagę — wybuch w Europie wschodniej stanie się nieuchronny.

LUDZIE KOLOROWI

Komuniści nie mogą być antysemitami ponieważ antysemityzm jest nie do pogodzenia z proletariackim internacjonalizmem. Jeżeli syjonizm uznaje się za imperializm — wówczas zwalcza się nie Żydów tylko agentów imperializmu. Oczywiście czy dany Żyd jest syjonistą czy nie jest syjonistą o tym decyduje partia.

Anty-syjonizm jest zwyczajnym antysemityzmem w kamuflażu ideologicznym. Gomułka nie dostrzega imperializmu Sowietów, lecz oskarża o imperializm małeńkie państwo otoczone morzem stu milionów Arabów, którzy nie chcą uznać prawa Izraela do istnienia.

W interpretacji partii każdy polski obywatel pochodzenia żydowskiego nie w pełni zasymilowany jest syjonistą. Kto jest w pełni zasymilowany? Przez asymilację Gomułka i jego KC rozumieją akceptację ustroju i politycznej doktryny Polski Ludowej. W ten sposób wprowadza się legalną dyskryminację w stosunku do obywateli żydowskiego pochodzenia. Kisielew-

skiego czy Kołakowskiego aparatczycey obrzucają błotem, lecz nikt im nie stawia zarzutu, że nie są zaasymilowani.

W związku z przejawami rasizmu w Stanach Zjednoczonych a ostatnio i w Wielkiej Brytanii — ożyła dyskusja na temat asymilacji, integracji, i modelu wielorasowego społeczeństwa.

Pełna asymilacja w ostatecznej analizie jest wynarodowieniem. Wyna-rodowienia nie można nikomu narzucać — ustawą, przepisem czy naciskiem. Asymilacja nie ma nic wspólnego z integracją. Przez integrację rozumie się włączenie danej grupy etnicznej w życie społeczno-gospodarcze kraju osiedlenia.

Chińczycy tak w Anglii jak i w Stanach Zjednoczonych nie ulegają asymilacji. Przed kilku tygodniami ukazała się książka o brytyjskich Chińczykach zatytułowana „Invisible People” („Niewidzialni Ludzie”). Na każdej niemal ulicy londyńskiej istnieje restauracja chińska. Na czym więc polega owa chińska „niewidzialność”? Chińczycy nie chcą być nikim innym tylko Chińczykami i uważają, że nie mogą być nikim innym tylko Chińczykami. W Anglii nie słyszy się o chińskich rozruchach, marszach protestacyjnych, pochodach czy transparentach.

Bezpośrednio po przemówieniu posła konserwatywnego Enoch Powell'a w Birmingham, która to mowa zdetonowała „burzę” rasową w całej Wielkiej Brytanii — reporterzy telewizyjni ankietowali mieszkańców dzielnic o szczególnie trudnych problemach narodowościowych. Jedną z takich dzielnic Londynu jest Ealing, gdzie mieszka również wielu Polaków. Otóż pewien młody Anglik ankietowany przez reportera telewizji — w zapale antymniejszościowym domagał się ewakuacji wszystkich cudzoziemców, którzy przybyli na te wyspy po wojnie. Ów młodzieniec wymienił Jamajczyków, Indusów, Włochów, Polaków i kilka innych narodowości — lecz nie Chińczyków. „Burza rasowa”, która wywołała bardzo krewkie wypowiedzi po obu stronach barykady — ominęła Chińczyków. Nikt ich ani nie wymienił ani nie wspominał. W owym okresie nagłego zaostrzenia problemu rasowego nikt nie był świadom ich obecności. Chińczycy i tym razem pozostali niewidzialnymi ludźmi.

Rozwiązanie Chińskie — choć interesujące i oryginalne — nie może stanowić wzoru do naśladowania dla innych mniejszości narodowych i rasowych. Przytaczając przykład chiński chciałem wykazać, że asymilacja możliwa jest tylko w ramach tej samej rasy. Niemcy w krajach anglosaskich asymilują się często już w pierwszym pokoleniu — natomiast Chińczycy w Stanach Zjednoczonych nie zaasymilowali się po 300 latach.

Angielscy socjologowie oceniają, że Polacy asymilują się trudno. Według tej samej oceny polski Londyn jest najbardziej obcy z wszystkich obcych Londynów, których jest wiele. Równocześnie stwierdzano wielokrotnie, choćby przykładowo wymienić artykuł O'Donovana na łamach „The Observer” — że „Polacy brytyjscy są przestrzegającymi prawo obywatelami, którzy w formie podatków produkują znaczny dochód dla skarbu państwa”.

O ile asymilacja postępuje wolno, o tyle integracja Polaków nie napotyka na żadne trudności. Polacy są całkowicie włączeni w gospodarczo-społeczny krwioobieg Wielkiej Brytanii. Pracują u Anglików, pracują z Anglikami, zatrudniają Anglików. Spotyka się ich na wszystkich szczeblach hierarchii przemysłowej — od robotników po naczelników dyrektorów. Są urzędnikami służby cywilnej, oficerami w armii, a nawet wysokimi oficerami w

Królewskiej Marynaree. Polacy są reprezentowani we wszystkich dziedzinach społeczno-gospodarczego systemu Wielkiej Brytanii, co stanowi jedyny dowód i sprawdzian prawdziwej integracji.

Przed wielu laty napisałem na tych łamach, że Polacy stanowią doskonały materiał obywatelski pod warunkiem, że politykę robi za nich ktoś inny. Anglicy potrafią niewątpliwie zrobić z Polaków coś niepomierne więcej niż Gomułka i Cyrankiewicz. W Anglii mamy setki polskich sklepów, fabryk i przedsiębiorstw — lecz nie istnieje tu legenda o *polnische Wirtschaft*. Przeciwnie — polskie przedsiębiorstwa cieszą się na ogół doskonałą opinią. Należy więc wnioskować, że to co określano mianem *polnische Wirtschaft* dotyczy przede wszystkim polskiej administracji państwowej, bez względu na ideologię.

Lecz przedmiotem niniejszych rozważań nie jest zagadnienie narodowościowe tylko naczelnym problem stulecia, tj. problem rasowy. Sytuacja Polaka czy Włocha w Anglii jest nieporównywalna z sytuacją emigranta kolorowego. Człowiek czarny nie może nigdy pozbyć się koloru swojej skóry, która stanowi nieusuwalne i wiecznotrwałe świadectwo jego obcości.

Ponieważ rasizm jest jedną z głęboko odczuwanych emocji i równocześnie jedną z emocji najmniej *respectable* — istnieje naturalna i często nie w pełni uświadomiona tendencja do kamuflażu. Każdy żydożerca rozpoczyna swą wypowiedź od sakramentalnej frazy: „choć nie jestem antysemitą lecz...”. Podobnie nikt nie przyzna, że jest rasistą. W takich wypadkach biali podkreślają, że nie mają nic przeciwko czarnym tylko wypowiadają się przeciwko napływowi cudzoziemców w chwili, gdy w Anglii istnieje bezrobocie a ekonomia brytyjska walczy z kryzysem.

Faktem natomiast jest, że białych emigrantów przybywa równie wielu jak kolorowych, lecz nikt nie podnosi z tego powodu alarmu.

Ameryka jest *melting pot* dziesiątków narodów — mimo to jednak w Stanach Zjednoczonych nie ma problemu narodowościowego, jest tylko problem rasowy. Problemem nie są Francuzi, Włosi, Polacy czy Irlandczycy — ale wyłącznie Murzyni.

Problemu rasowego nie rozwiążą ci, którzy z najszlachetniejszych pobudek usiłują wmówić sobie i innym, że rasistami są wyłącznie lunatycy i faszyci. Obiektywniej i bezpieczniej byłoby stwierdzić, że rasizm — jak wiele innych ciemnych sił — drzemie w każdym z nas.

W kwietniu br. setki robotników portowych demonstrowało na ulicach Londynu wyrażając swe poparcie dla posła E. Powell'a. Londyńscy robotnicy portowi nie są wariatami, faszystami ani hitlerowcami. Podobnie jak większość robotników brytyjskich — są to porządni i uczciwi ludzie. Swe uprzedzenia i obawy na temat czarnych tailiby przed sobą i przed światem, gdyby nie przykład z góry. Jeżeli poseł do Parlamentu i członek „Gabinetu Cieni” wypowiada tego typu poglądy oznacza to, że są one do pogodzenia z *respectability*.

Ludzie na ogół wstydzą się uprzedzeń rasowych. To nie jest hipokryzja, lecz naturalna reakcja ludzi uformowanych przez tradycję chrześcijańską.

Jak słusznie podkreślono — choć nie w prasie katolickiej — rasizm w kontekście dogmatyki i etyki chrześcijańskiej jest bluźnierstwem. Rasizm jest również zaprzeczeniem idei socjalistycznej w jakimkolwiek wydaniu. Stanowisko dwóch największych ideologii międzynarodowych, tzn. chrześci-

jaństwa i komunizmu — w odniesieniu do rasizmu pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Prasa katolicka w Anglii poświęca daleko więcej miejsca zagadnieniu przerywania ciąży, niż problemowi rasowemu. W Związku Sowieckim i w Polsce — antysemityzm ulegalizowano pod postacią walki z syjonizmem.

Kwestia zapobiegania czy przerywania ciąży z istotnych powodów nawet dla teologów jest problemem spornym. Lecz rasizm we wszystkich jego przejawach jest etycznie zagadnieniem bezspornym i w tej sprawie Kościół powinien mówić wielkim głosem.

W ostatnich kilku tygodniach prasa brytyjska termin „problem rasowy” powtórzyła tysiące razy w setkach artykułów. Lecz co właściwie stanowi istotę zagadnienia? Wydaje mi się, że należy stwierdzić na wstępie, iż większość białych — nie tylko Brytyjczyków, lecz większość białych mieszkańców tych wysp bez względu na narodowość — jest uprzedzona w stosunku do kolorowych. Równocześnie należy podkreślić, że większość kolorowych uprzedzona jest do białych.

Na mojej ulicy mieszka tylko jedna rodzina kolorowa. Są to Jamajczycy, spokojni, porządni ludzie. Ojca owej rodziny spotykam codziennie gdy idzie rano do pracy. Pozdrawiam go zawsze pierwszy sakramentalnym *good morning*. To jest pewne wyróżnienie, ponieważ od mojego kolorowego sąsiada jestem starszy wiekiem i „socyjalnym statusem” na mojej ulicy, co się bardzo liczy. On mieszka tu od roku a ja niemal od lat dwudziestu. Chłopcy, którzy ujeżdżali na hulajnogach pod moimi oknami, przyjeżdżają w okresie świąt samochodami z żonami i dziećmi.

Co o tym wszystkim myśli mój kolorowy sąsiad? Dowiedziałem się okólną drogą jak on ocenia moją uprzejmość. Mój sąsiad uważa, że pozdrawiam go pierwszy, by mu zasygnalizować, że nie mam uprzedzeń rasowych. Gdybym jednak naprawdę nie miał uprzedzeń rasowych i uważał go za równego sobie — czekałbym aż on pierwszy mnie pozdrowi. W jego ocenie tak bym postąpił gdyby na jego miejsce sprowadził się młody Anglik.

To jest bardzo typowa reakcja. Oczywiście młody Anglik, który wprowadziłby się na miejsce Jamajczyka — nie oczekiwałby ani nie potrzebował z mojej strony „taryfy ulgowej”.

Okazuje się więc, że „taryfa ulgowa” podyktowana najlepszymi intencjami nie jest odpowiedzią na dyskryminację. Lecz czy istotnie tak jest?

Ideąłem nie jest „taryfa ulgowa”, która jest w pewnym sensie dyskryminacją *à rebours* — tylko równość.

Żydzi przed wojną w Polsce byli równi w obliczu prawa, lecz — jak wiadomo — wiele stanowisk było dla nich niedostępnych. W tej sprawie decyduje stosunek cyfrowy. Uprzedzeni są tak biali do kolorowych jak kolorowi do białych. Trzeba jednak pamiętać, że kolorowych tu jest około 820.000 — innymi słowy, nie wypada nawet dwu kolorowych na stu białych. Przy takiej proporcji istnieje daleko większe prawdopodobieństwo, że kolorowi będą cierpieć na skutek uprzedzeń białych niż odwrotnie. Nawet jeżeli przyjąć, że dosłownie każdy kolorowy jest uprzedzony do białych, a natomiast wśród białych tylko mały procent uprzedzony jest do kolorowych — matematycznie wydaje się pewne, że istnieje w Wielkiej Brytanii więcej białych uprzedzonych rasowo, niż kolorowych uprzedzonych rasowo.

W takiej sytuacji jedynie słuszną polityką jest ustawowa ochrona kolorowych przed ewentualną dyskryminacją białych. Po tej linii idzie nowe

brytyjskie ustawodawstwo międzyrasowe, przygotowywane przez parlament.

Biały człowiek sprzedający swój dom w Anglii może powiedzieć białemu sąsiadowi: „nie sprzedam panu mojego domu, bo mi się nie podoba pański nos”. Takie postawienie sprawy byłoby dziwaczne i nieuprzejme, lecz z legalnego punktu widzenia niezaczepialne.

W myśl nowej ustawy normującej stosunki międzyrasowe — biały właściciel domu nie będzie mógł powiedzieć kolorowemu nabywcy: „nie sprzedam panu domu, bo mi się nie podoba pańska czarna skóra”. Innymi słowy nie będzie wolno odmówić sprzedania domu czarnemu tylko dlatego, że jest czarny.

Ochrona mniejszości odbywa się zawsze kosztem większości. W tym wypadku ochrona kolorowych będzie oznaczała między innymi ograniczenie swobody białych właścicieli domów. To jest słuszny punkt widzenia. W Anglii nie wolno nikomu katować dziecka, nie mówiąc już o psie. Ustawa chroni dziecko uszczuplając absolutną władzę rodziców. Chroni się słabszego, ograniczając uprawnienia silniejszego. Słabszemu nie wystarczy powiedzieć, że teoretycznie ma te same prawa co mocniejszy. Słabszy bowiem, choć ma te same prawa, nie ma tych samych możliwości.

Race Relations Bill jest postępowym projektem ustawodawczym ponieważ ma na celu ochronę mniejszości rasowej przed dyskryminacją kosztem ograniczenia swobody białych, którzy stanowią znakomitą większość.

Ponieważ problem rasowy jest przeładowany emocjonalizmem — rozwiązać go można tylko poprzez racjonalne ustawodawstwo i racjonalną politykę. Mniejszość kolorowa w Wielkiej Brytanii popełniłaby wielki błąd gdyby usiłowała „z amerykanizować” sytuację rasową w tym kraju. W Anglii istnieje wielki potencjał dobrej woli w kierunku pokojowego i racjonalnego rozwiązania problemu rasowego. Brytyjczycy mają większą szansę zbudowania modelu wielorasowego, nowoczesnego społeczeństwa niż inne mocarstwa i eks-mocarstwa.

Jako stary emigrant mieszkający od 29 lat poza Polską — podsumowałbym moje doświadczenia następująco. Choćby kto — w przeciwieństwie do mnie, dorobił się zagranicą stanowiska i pieniędzy — bilans emigracyjny jest zawsze ujemny. Traci się niepomiarne więcej niż się zyskuje. Nie może być inaczej, ponieważ emigracja dyktowana jest w 90 wypadkach na 100 koniecznością a nie wyborem. Każdy emigrant jest uciekinierem — ucieka przed nędzą i bezrobociem albo przed prześladowaniem politycznym. Emigracja jest konsekwencją katastrofy i to piętno katastrofy emigrant nosi na sobie całe życie.

Najlepiej jest mieszkać w swoim własnym kraju. Jeżeli jednak jest to nieosiągalne — wydaje mi się, że lepiej jest mieszkać w Anglii niż gdziekolwiek indziej. Znany *foreign feeling* cechujący Brytyjczyków gra na korzyść emigranta. Głęboko zakorzeniona wyspiarska nieufność do cudzoziemców powoduje, że jeżeli emigrant potrafi zarobić na chleb i zachowuje się normalnie — Brytyjczycy są mile zdziwieni. Jeżeli emigrant po 10 latach pobytu zdoła wydukać kilkanaście zdań po angielsku — wszyscy są zachwyceni.

Włoska partia komunistyczna (P.C.I.) o Czechosłowacji

Kierownictwo włoskiej partii komunistycznej (P.C.I.) zgodnie z wytycznymi testamentu politycznego Togliattiego broni polityki Dubczeka i prawa Czechosłowacji do autonomicznego decydowania o swoim losie a jednocześnie apeluje o przestrzeganie zasady „jedności w różnorodności” obozu socjalistycznego. Znamienna jest na ten temat korespondencja Adriano Guerra z Moskwy (*Unità*, 13 maja 1968):

„... głównym problemem rozwijającego się dialogu między krajami socjalistycznymi w sprawie Czechosłowacji jest wzmocnienie ich jedności, a nie potępienie jakiejś partii czy jakiegoś kraju socjalistycznego. Między krajami socjalistycznymi istnieją różnice poglądów, co do szeregu spraw, z pewnością należy do nich ocena wydarzeń czechosłowackich. Odmienność procesów rozwojowych poszczególnych krajów socjalistycznych a także stosunek każdego z nich do NRF są podstawą tych różnic; odpowiada to wprawdzie danym obiektywnym i konkretnym doświadczeniom, nie może jednak stanowić przeszkody dla jedności ich działania... Podstawą jednolitej polityki powinna być świadomość, że w obecnym okresie rozwoju ruchu socjalistycznego w świecie polityka ta nie może już opierać się na jedności typu monolitycznego. Różnorodność doświadczeń nie wyklucza lecz domaga się podjęcia wszystkich koniecznych wysiłków dla opracowania jednolitej polityki. Nie jest to łatwe zwłaszcza, że stanowisko niektórych krajów socjalistycznych (myślmy np. o pewnych inicjatywach dyplomatyczno-dziennikarskich NRD i Polski) nie ułatwiają szybkiego posuwania się po tej drodze... Jest również oczywiste że odmienne stanowisko komunistów sowieckich i czechosłowackich odnośnie wielu problemów budowy socjalizmu (np. stosunek między polityką a kulturą czy treść demokracji socjalistycznej) nie sprzyja szybkiemu uzgodnieniu ich postawy ideologicznej i politycznej. Ponadto pozostałości minionego okresu utrudniają szerokim kręgom sowieckiej opinii publicznej uznanie ważnego wkładu jaki dla całego ruchu robotniczego stanowi eksperyment czechosłowacki”.

Niezależnie od regularnych, wszechstronnych i obiektywnych korespondencji z Moskwy, Pragi i innych stolic komunistycznych włoska prasa komunistyczna ogłasza rozważania teoretyczne i ideologiczne o Czechosłowacji. Jej sytuację międzynarodową określił generalny sekretarz partii Luigi Longo w odczycie w Instytucie Studiów Marksistowskich imienia Gramsciego w Rzymie 8 maja. (*Rinascita*, 17 maja 1968):

„Czechosłowacja znajduje się w sereu podzielonej Europy, na linii granicznej gdzie spotykają się dwa systemy historyczne: Zachodu i Wschodu, pojęte nie tylko jako odrębne ustroje społeczne... Towarzysze kierujący partią czechosłowacką, z którymi rozmawiałem, zdają sobie jasno sprawę z trud-

ności międzynarodowych wynikających z położenia ich kraju. Z jednej strony, na skutek tradycji kulturalnej i gospodarczego układu kraju istnieją tam obiektywne związki z Zachodem. Z drugiej Czechosłowacja należy do świata socjalistycznego i zajmuje w nim ważną pozycję jako jeden z krajów najbardziej kulturalnie i technicznie rozwiniętych...”

„W całych swoich dziejach Czechosłowacja musiała liczyć się z niebezpieczeństwem niemieckim, którego szczytem była agresja i okupacja hitlerowska. Dlatego sojusz ze Związkiem Sowieckim jest uznawany nie tylko przez komunistów lecz przez wszystkie siły polityczne kraju... Jednak współpraca polityczna, gospodarcza, kulturalna i techniczna ze Związkiem Sowieckim i innymi krajami socjalistycznymi nie przeszkadza — jak powiedzieli moi czechosłowaccy rozmówcy — szerokiemu rozwojowi współpracy z Zachodem, zdeteminowanym przez charakter przemysłu czechosłowackiego”.

Gospodarcze uzupełnienie tych rozważań Longa stanowi ogłoszony w tygodniku komunistycznym *Rinascita* (13 maja 1968) wywiad z wicepremierem czechosłowackim Ota Sikiem. Sik powiedział m.in.:

„Nieodpowiedzialna polityka minionego okresu na odcinku gospodarczym jest przyczyną obecnych trudności. Automatyczne naśladowanie modelu sowieckiego w tak odmiennej odeń rzeczywistości czechosłowackiej spaczyło strukturę naszego przemysłu i rolnictwa. Przemysł czechosłowacki od kilku dziesięciu lat rozwijał się równomiernie we wszystkich dziedzinach, od produkcji maszyn do włókienniczej. Tymczasem narzucono mu skoncentrowanie się na metalurgii i produkcji maszyn ciężkich. Dla rozwoju tych sektorów zahamowano inwestycje i dopływ siły roboczej do innych gałęzi przemysłu, co wywołało upadek produkcji dóbr konsumpcyjnych ze szkodą nie tylko dla handlu zagranicznego lecz również dla stopy życiowej ludności. Ponadto prymat przyznany przemysłowi ciężkiemu prowadził do nie liczenia się z realnymi kosztami produkcji oraz do zlekceważenia jakości produkowanych towarów i produktywności siły roboczej. Doprowadziło to do ogromnej rozrzutności. Zużyto dwa do trzech razy więcej surowca niż w fabrykach kapitalistycznych...”

Tandetne towary nie wytrzymywały konkurencji z produkcją Zachodu i trzeba je było sprzedawać poniżej kosztów... Ze względów politycznych udzielano krajom trzeciego świata zbyt łatwo kredytów średnio i długo terminowych... Wymagało to pokrywania strat w handlu zagranicznym przez ograniczanie spożycia wewnętrznego i redukcję płac robotniczych. Klasa robotnicza płaciła więc za błędy kierownictwa”.

Wicepremier Sik zapowiedział w wywiadzie dla *Rinascita*, że nowi przywódcy czechosłowaccy pragną w okresie trzech do czterech lat nie tylko przebudować strukturę przemysłu i handlu zagranicznego na bardziej racjonalną i opłacalną, lecz również zapewnić społeczeństwu wyższą stopę życiową. Powinna się ona podnieść o 10 % w stosunku do obecnej, osiągając np. poziom Austrii. Jednym z głównych warunków sukcesu gospodarczego jest doprowadzenie w ciągu kilku lat do notowania korony czechosłowackiej na giełdach zagranicznych.

Występując przeciw „ingerencji w sprawy wewnętrzne Czechosłowacji przez nieufnych przyjaciół” Franco Bertone w korespondencji z Pragi ogłoszonej w *Rinascita* (7 czerwca 1968) odwołał się do

„powstałego w międzynarodowym ruchu komunistycznym przekonania o autonomii i niezależności każdej partii komunistycznej i każdego kraju socjalistycznego”.

Przemiany czechosłowackie, jak podkreślają komuniści włoscy, będą miały zasadnicze znaczenie dla przyszłości komunizmu w świecie. Tezę tę oświecił na łamach *Rinascita* (21 czerwca 1968) wschodnioniemiecki komunista, bio-chemik o sławie światowej, profesor Robert Havemann, usunięty z partii, katedry uniwersyteckiej i Akademii Nauk przez Ulbrychta, ale nadal uważany za autorytet przez komunistów włoskich. Napisał on w artykule pod tytułem „Droga Pragi”:

„Nie bardziej nie wstrzymywało i nie hamowało akcji komunistów i socjalistów w krajach kapitalistycznych niż stalinowskie i biurokratyczne formy socjalizmu w krajach socjalistycznych. Ta tragiczna sprzeczność między możliwościami socjalizmu a jego realizacją zdyskredytowała na całym świecie ideały socjalistyczne. Jeżeli jednak Czechosłowacja pokaże, że socjalizm i demokracja nie tylko są do pogodzenia lecz uzupełniają się nawzajem, wtedy wspomniane przed chwilą uprzedzenie upadnie i przed socjalizmem otworzą się nowe perspektywy rozwojowe”.

Reportaże z Pragi czołowego włoskiego dziennikarza komunistycznego i członka władz partyjnych Giuseppe Boffa, autora głośnej książki „Po Chruszczowie”, przynoszą nieznane szczegóły i kulisy przemian zachodzących w Czechosłowacji. Reportaż zatytułowany „Polityczny pluralizm w Czechosłowacji” (*Unità*, 3 lipca 1968) omawia „przebudzenie się dawnych sił politycznych zmuszonych przez 20 lat do milczenia oraz pojawienie się nowych, co jest zdrowym przejawem towarzyszącym demokratyzacji”. Istnieje więc obecnie w Czechosłowacji pięć uznanych politycznych ugrupowań niekomunistycznych. W czeskiej części republiki odrodziły się do nowego życia dwa stronnictwa należące do Frontu Narodowego, ale dotychczas nieprzejawiające w nim indywidualnej roli: Czeskie Stronnictwo Ludowe o inspiracji katolickiej i dawniejsza partia narodowych socjalistów Benesza (obecnie Partia Socjalistyczna). Mają one po kilkadziesiąt tysięcy członków i w czerwcu potwierdziły dalszy udział we Frontie Narodowym. Na peryferiach obu stronnictw pojawiły się tendencje do przejścia na pozycje opozycyjne wobec komunizmu.

Nowopowstałe ugrupowania i ruchy polityczne znajdują się poza Frontem. Grupa dawnych socjal-demokratów, nie uznająca dokonanej w roku 1948 fuzji z komunistami, domaga się prawa założenia własnej partii i przyjęcia jej do Frontu. Boffa podkreśla, że tradycje socjal-demokratyczne w Czechosłowacji, zwłaszcza wśród robotników, nie wygasły i partia mogłaby odżyć. Całkowicie natomiast nowym jest spontaniczny ruch powstały w drugiej połowie kwietnia pod nazwą „Bezpartyjne Kluby Niezangażowanych”. Rozwijają się one głównie wśród inteligencji w Pradze i na prowincji i zajmują się lokalnymi problemami. Według Boffy rola klubów w obecnej postaci mogłaby być nader

pozytywna. Dążą one jednak do zorganizowania się na płaszczyźnie ogólnopartystycznej jako nowe stronnictwo i wtedy mogłyby się stać wyrazem tendencji drobnomieszczańskich.

Na początku roku nowopowstałe organizacje młodzieżowe były bardzo rozproszkowane, obecnie połączyły się w autonomiczny ruch ogólnostudencki. Na czele jego stoi komitet, w którym komuniści nie posiadają większości. Komitet prowadzi jednak owocny dialog z partią komunistyczną.

Zupełną nowością dla krajów demokracji ludowej jest wznowienie działalności przez masarykowską organizację sportowo-ideową „Sokół”.

Autonomiczną siłą polityczną jest kościół katolicki. Władze dążą do zlikwidowania dawniejszych z nim zatargów i rozwiązania bieżących problemów, przy czym obie strony kierują się doświadczeniami węgierskimi i jugosłowiańskimi, znajdując duże zrozumienie ze strony Stolicy Apostolskiej.

Autonomiczną siłą polityczną mogłyby zostać w Czechosłowacji związki zawodowe liczące 5 i pół miliona członków.

W następnych reportażach (*Unità*, 6 i 8 lipca 1968) Boffa opisuje najważniejsze reformy zrealizowane przez nowych przywódców czechosłowackich a więc: zniesienie urzędu cenzury, którego gmach przekazano na mający zacząć ukazywać się we wrześniu dziennik wszystkich organizacji kulturalnych „Lidové noviny”, rehabilitacja osób niesłusznie skazanych w ubiegłym okresie za rzekome przestępstwa polityczne, zmiana prawa o stowarzyszeniach, statuty rad robotniczych w niektórych fabrykach ze Skodą na czele itd.

Ustawę o rehabilitacji opracował nowy minister sprawiedliwości Kuczera, który jest również nowym przewodniczącym Partii Socjalistycznej (dawniej partii Benesza). Ustawa wprowadziła:

- a) szybką procedurę ustalającą czy skazanie było bezpodstawne czy też słuszne (np. autentyczne wypadki szpiegostwa) i szybkie uniceważnianie nieuzasadnionych wyroków skazujących,
- b) pełne odszkodowanie dla niewinnie skazanych,
- c) odpowiedzialność wszystkich którzy dopuścili się nadużyć w tych procesach a zwłaszcza pracowników służby bezpieczeństwa.

Jest to jednak odpowiedzialność raczej o charakterze moralnym niż prawnym, gdyż *lex retro non agit*.

Znajdująca się w przygotowaniu ustawa o stowarzyszeniach ma stworzyć podstawy prawne dla istnienia nowopowstałych organizacji, które nie mieszczą się w ramach ustaw minionego okresu.

Ogromne zainteresowanie komunistów włoskich przemianami w Czechosłowacji znalazło także wyraz w opublikowaniu przez partyjny dom wydawniczy Editori Riuniti książki z przemówieniem Aleksandra Dubczeka na kwietniowym plenum KC w Pradze pt. „Nowy kurs w Czechosłowacji” oraz książki profesora Edwarda Goldstuckera, nowego przewodniczącego Związku Literatów pt. „Wolność i socjalizm”. We wstępie do książki Dubczeka cytowany już przez nas Franco Bertone napisał m.in.:

„Realizowana w Czechosłowacji demokratyzacja socjalizmu jest nie tylko wielkim wkładem w walkę sił robotniczych w krajach kapitalistycznych, lecz również bodźcem dla wszystkich krajów socjalistycznych, aby z większą niż dotąd odwagą przezwyciężały przeszkody na drodze do pełnego rozwoju socjalistycznej demokracji”.

We wstępie do książki Goldstuckera tenże Franco Bertone podkreślił, że ruch robotniczy w Europie zawdzięcza intelektualistom czechosłowackim zakwestionowanie błędnego pojmowania kierowniczej roli partii w nowoczesnym społeczeństwie socjalistycznym. Nowe ujęcie roli partii „zawiera głęboką treść odnowicielską, wyzwala ruch robotniczy od sugestii i mitów fałszywie pojetych zasad”.

Znajdująca się w książce Goldstuckera deklaracja praw pisarza w ustroju socjalistycznym była kilkakrotnie przedrukowywana w różnych włoskich czasopismach komunistycznych i podawana za wzór dla innych demokracji ludowych. Goldstucker głosi tam, że „pisarz a właściwie każdy obywatel kraju socjalistycznego — ma prawo nie zgadzać się z tym czy innym zarządzeniem władz dotyczącym bieżącej polityki, a ta jego postawa nie może być traktowana jako wyraz wrogości wobec socjalizmu”. Następnie nie wolno traktować wypowiedzi artystycznych a nawet politycznych wystąpień pisarza jako urzędowych aktów państwowych. Wreszcie należy uznać, że nie tylko funkcjonariusze i przywódcy polityczni, lecz wszyscy obywatele mogą publicznie wyrażać swe opinie i przekonania polityczne. „Dotyczy to zwłaszcza pisarzy, którym władze socjalistyczne nie pozwalają na dyskutowanie doświadczeń historycznych i czysto ludzkich ostatnich lat. A tymczasem obowiązkiem pisarza jest przedstawianie czytelnikom swej indywidualnej analizy i oceny rzeczywistości, które mogą odbiegać od oficjalnych poglądów”.

Dwumiesięcznik teoretyczny PCI *Critica Marxista* ogłosił w nrze 3, który ukazał się w sprzedaży w końcu lipca, programowy artykuł Cestmira Cisarza, członka sekretariatu KC K.P.Cz. atakowanego kilkakrotnie przez prasę moskiewską, pt. „K.P.Cz. w akcji o odnowienie socjalizmu”:

„Nie zamierzamy zmieniać zasad, stwierdza Cisarz, lecz przeobrażamy system, formy i metody, jakimi pragniemy zrealizować w nowych warunkach kierowniczą rolę partii komunistycznej w naszym społeczeństwie”. Do najważniejszych problemów stojących przed nowym kierownictwem czechosłowackim Cisarz zalicza przemianę stosunków między partią a państwem oraz przeobrażenie różnych instytucji i organizacji politycznych i społecznych z „pasów transmisyjnych partii” w „autentyczne i autonomiczne podmioty działania”. Partia nie ma „bezpośrednio kierować” życiem państwowym, gospodarczym, kulturalnym i społecznym kraju, lecz odgrywać jedynie „rolę produkującą” przez „tworzenie programu działania dla partii i państwa i staranie się o uzyskanie dla niego poparcia spontanicznego i świadomego ze strony obywateli”.

Kierownicza rola partii w minionym okresie wpływała z założenia, że po usunięciu antagonizmów klasowych autonomicz-

nie znikają antagonizmy między jednostkami. Pochodziła stąd mechaniczna identyfikacja ogólnego interesu społecznego z interesami jednostki. „Tymczasem doświadczenie wykazało, że także w ustroju socjalistycznym istnieją przeciwieństwa i konflikty”. Zjednoczenia społeczeństwa należy więc poszukiwać w uznaniu „odrębności interesów poszczególnych grup obywateli i pracowników, gdyż tylko tą drogą można — stwierdza Cisarz — zjednoczyć naród w oparciu o interesy najbardziej rozpowszechnione”.

Po warszawskim spotkaniu przywódców pięciu partii komunistycznych i wystąpieniu przez nich listu-ultimatum do kierownictwa K.P.Cz. komuniści włoscy podjęli razem z komunistami francuskimi akcję mającą zapobiec dramatycznemu napięciu sytuacji. Wyrazem tego były między innymi: wizyta w Moskwie członka biura politycznego i dyrektoriatu P.C.I. senatora Giancarlo Pajetta i kierownika wydziału zagranicznego Carlo Galuzzi, wywiad sekretarza generalnego Luigi Longo dla telewizji czechosłowackiej oraz uchwała dyrektoriatu partii w sprawie Czechosłowacji.

Po powrocie z Moskwy senator Pajetta złożył 17 lipca br. krótkie oświadczenie, w którym m.in. stwierdził:

„...przedstawiliśmy towarzyszom sowieckim poglądy kierownictwa PCI wyrażające solidarność z komunistyczną partią czechosłowacką oraz z jej obecnym kierownictwem przeprowadzającym trudną lecz niezbędną akcję odrodzenia, rozwoju i obrony społeczeństwa socjalistycznego”.

W wywiadzie dla telewizji czechosłowackiej w dniu 16 lipca Longo powiedział m.in.:

„...Naszym zdaniem przemiany czechosłowackie były konieczne, ponieważ odpowiadają rzeczywistym wymaganiom kraju. Przewodząca rola socjalizmu powinna polegać na tworzeniu maksymalnych możliwości dla rozwoju jednostki. Dlatego ustrój socjalistyczny jest zawsze otwarty dla ideałów wolności i postępu. PCI rozwinęła te poglądy w oparciu o twórczą działalność ideologiczną Togliattiego. Inne partie komunistyczne akceptują dużo z tych naszych teorii i to jest jedyny właściwy sposób wpływania jednej partii komunistycznej na drugą...”.

„Na skutek rozwoju ruchu komunistycznego nie można obecnie stworzyć centralistycznej i zdyscyplinowanej organizacji partyjnej, jaką była niegdyś Trzecia Międzynarodówka. Każda partia powinna kroczyć własną drogą. Ponadto problemy Czechosłowacji są typowymi problemami istniejącymi we wszystkich krajach socjalistycznych”.

17 lipca dyktoriał P.C.I. powziął długą uchwałę w sprawie Czechosłowacji, gdzie m.in. czytamy:

„Dyktoriał PCI poczuwa się do obowiązku powtórzenia swej wielokrotnie wyrażanej już w ostatnich miesiącach solidarności z procesem demokratycznego odnowienia socjalistycznego społeczeństwa czechosłowackiego z inicjatywy nowych przywódców bratniej partii i towarzysza Dubczeka. Dyktoriał PCI potwierdza swą ufność w powodzenie tej akcji... i jest przekonany, że zrozumienie oraz bratnie i pełne ufności poparcie ze strony innych partii komunistycznych może stać się pomocą dla czechosłowackiej

partii komunistycznej w przewycięzeniu niebezpieczeństw powstających w czasie tej akcji. ...Dyrektoriat PCI jest przekonany, że przewycięzenie różnie w ocenie (przemian czechosłowackich) między poszczególnymi partiami można osiągnąć przez dwu- i wielo-stronne spotkania partyjne, pod warunkiem, że będą one odbywać się w oparciu o zasadę 'jedności w różnorodności' oraz w poszanowaniu autonomii i niezależności każdej partii. Autonomia każdej partii oznacza pełne poszanowanie zasady nieingerencji ze strony jednej czy kilku partii w życie innych partii, co nie wyklucza koniecznej — byle przyjaznej — dyskusji między nimi".

W przededniu spotkania przywódców sowieckich i czechosłowackich w Czernej zebrał się w dniu 29 lipca Dyrektoriat P.C.I. i potwierdził raz jeszcze swe dotychczasowe stanowisko wobec sporu sowiecko-czechosłowackiego i wydał apel do obu partii o rozwiązanie sporów i kontrastów drogą politycznych rokowań.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 280 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and Co., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.
16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,
Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17^e, Tel.: 924-0045

Sąsiedzi

List otwarty

W akcji niszczenia wielkiej literatury rosyjskiej sprzyściło się ze sobą wiele okoliczności, historycznych kataklizmów, instytucji i osobistości; ten spis obejmuje obok Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego i Komitetu Państwowego Bezpieczeństwa przy Radzie Ministrów ZSSR, również Związek Pisarzy Sowieckich, którego odpowiedzialność nie ulega wątpliwości.

Powstanie literackiego imperium z olbrzymim aparatem prawodawców, wykonawców, sędziów i katów, było nieuniknione. Nastało ono z tych samych powodów i w tym samym czasie, gdy organizowano masowe eksterminacje lat trzydziestych. Związek Pisarzy ZSSR powstał w roku 1932, wraz z początkiem kroniki sowieckiego samozniszczenia; zaczęło się od zabójstwa Kirowa, które dało sygnał do powszechnego mordowania. Należało zniszczyć wszystko, co nosiło na sobie znamiona talentu, bowiem talent nie toleruje zła. Narzucono nam najcięższe zło: panowanie osobników pozbawionych talentu. Wymyślono Związek Pisarzy po to, żeby kierować literaturą, która nareszcie stała się „częścią ogólnej, proletariackiej sprawy”, to znaczy, żeby otrzymać od niej to wszystko, co potrzebne było bezlitosnej i nietolerancyjnej, ciemnej i nienasyconej władzy. Tej władzy potrzebne było wychowywanie złośliwych, wiernych bydlaków, nadających się do prowokowania wojen, podbijania nowych krajów, mordowania zarówno myślących inaczej, jak własnych współników, do trąbienia w fanfary chwały niezwykłego człowieka, któremu udało się ustanowić światowy rekord w zabijaniu największej ilości ludzi na ziemi.

Osobiście, nigdy nie napisałem ani jednego zdania w stylu wymaganym od lojalnego pisarza sowieckiego i nigdy nie uważałem siebie za wiernego poddanego państwa, w którym rządzą łgarze, tyrani, kryminalni przestępcy i dusiciele wolności.

Związek Pisarzy stanowi instytucję państwa policyjnego, taką samą jak wszystkie inne instytucje, ani lepszą ani gorszą od milicji albo straży ogniowej.

Nie podzielałam poglądów sowieckiego państwa policyjnego, jego milicji, jego straży ogniowej i innych instytucji, a w ich liczbie również Związku Pisarzy.

Uważam, że moja obecność w tej literackiej organizacji byłaby sprzeczna z naturą. Po prostu nie mam tam nic do roboty. Pić koniak w restauracji Centralnego Domu Pisarza, w towarzystwie Koczetowa i Fiedina? Bardzo dziękuję. Jestem niepijący.

Nigdy nie poddawałam się złudzeniom i nadziejom, że sowiecka władza może ulec poprawie. Ale z chwilą, gdy do władzy doszedł obecny rząd, najbardziej nędzny i tępy, najbardziej anty-intelektualny rząd, stało się jasne, że następuje wyraźna, nieunikniona restauracja stalinizmu, że stalinowscy działacze, przedtem z lekka pokrzywdzeni na słabiźnie, przeciągają się w ramionach, zakasują rękawy i poplują w dłonie, bo już przyszła ich godzina. Rozpoczął się nawrót do stalinowsko-beriowsko-żdanowskiej ideologii; tak długo beczynni odwetowcy stają w dwuszeru i sprawdzają listy wrogów. Uważam, że przyszedł czas, kiedy należy to powiedzieć głośno.

Sowieckiej władzy nie można poprawić, nie można uleczyć.

Jej cały sens i cel to absolutna i nieograniczona tyrania nad ludźmi. To dlatego swój pełny, najdoskonalszy wyraz znalazła w despotach, z których Lenin jeszcze nie był wszechmogący, bo nie zdołał zniszczyć opozycji, zaś Stalin był wszechmogący, ponieważ opozycję zniszczył.

Stalin to najbardziej wyraziste, najwyższe, najczystsze wcielenie sowieckiej władzy. To jej symbol, jej wizerunek, jej sztandar. Oto dlaczego wszystko, co dzieje się i będzie się dziać w Rosji, zawsze w mniejszym czy większym stopniu będzie związane ze stalinizmem, przenikającym życie społeczeństwa. Władza sowiecka nie mogła wyrazić się lepiej, niż przez Stalina, ponieważ właśnie w jego osobie nastąpiło organiczne zespolenie postulatów państwowej dyktatury i osobistych cech przestępczych. Dlatego też wszystko, co nastąpiło po nim, działo się w zależności od osłabienia lub wzmocnienia pola magnetycznego, które nieco popuszczało, a potem znowu przyciągało ku sądowi i rozprawom, ku jaskiniowej cenzurze, nieokiełznanemu kłamstwu i typowemu moskiewskiemu samozadowoleniu. I dlatego też najsilniejszy cios tej potężnej i drapieżnej władzy został wymierzony w człowieka, który pierwszy uczynił zamach na najczystsze wcielenie sowieckiego ideału.

Mściwa nienawiść do Chruszczowa wynikała z uwielbienia najlepszych wzorców władzy sowieckiej. Najlepszym wzorcem był Stalin. Chruszczow napluł w duszę Prezydium CK KPZS, milicji i ludu, gdy wykazał, że ich miłość i samozaparcie, ich gorączkowe oddanie i epileptyczne uwielbienie złożone zostały u stóp ponurego marksisty, tępego maniaka, intryganckiego chytrusa, więziennego dozorcę, truciciela i prawdopodobnie współpracownika carskiej Ochrony. To on był właśnie tym wcieleniem sowieckiej władzy, jej symbolem, wizerunkiem i sztandarem.

Nasze społeczeństwo jest wyłączone z życia politycznego. Garść

politycznych spiskowców, uzurpujących sobie władzę, decyduje o losach zduszonego, ogłuszonego wrzaskiem propagandowych głosników narodu.

W tym klasowym, hierarchicznym, podzielonym na warstwy, podporządkowanym przesądem o konieczności subordynacji społeczeństwie, uznanym za „socjalistyczne”, jedynie ludzie, którzy się nie sprzedali, nie dali się uwieść, zdeprawować i zastraszyć, tylko ci ludzie, którzy zrozumieli, że przyszedł czas na zniszczenie resztek fizycznej i duchowej wolności, stawiają opór. Rozpoczęła się nieustająca wojna, wydana przez swobodną inteligencję okrutnemu, nie przebierającemu w środkach państwu, zaś państwo, ciężko zranione rewelacjami z lat 1956-62, zrozumiało, że jeśli nie wygra tej bitwy od razu, to później może ją przegrać raz na zawsze.

Więc postanowiło tę bitwę wygrać. Sposoby są stare, sprawdzone doświadczalnie, wypróbowane na osobach Szalapina i Gumilowa, Bułakowa i Płatonowa, Meyerholda i Falkego, Babela, Mandelsztama, Zabołockiego, Pasternaka, Zoszczenki i Achmatowej. Ufne w nieomylność metody, władze państwowe posłały do więzienia zawodowych pisarzy i ledwie rozpoczynających swoją pracę młodych literatów — Brodskiego, Siniawskiego i Danieła, Chaustowa, Bukowskiego, Ginzburga, Gałanskowa i wielu, wielu innych; wsadziły do domu wariatów poetkę Innę Lisnianską, matematyka Jesienina-Wolpina, generała Grigorienkę, pisarza Naricę i wielu, wielu innych; zakazały wykonywanie kompozycji Andrzeja Wołkońskiego, pozbawiły pracy Pawła Litwinowa, usunęły z partii i pozbawiły pracy krytyka filmowego, Zorkaja, Koriakina, Pażytnowa, Szragina, Zołotuchina i wielu, wielu innych; kazały stopić gotowy już skład książek Kardina i Kopielewa, i wielu, wielu innych; rozesało do wydawnictw i redakcji czarną listę autorów, których nie wolno drukować; usunęły ze Związku Plastyków Borysa Birgera, ze Związku Pisarzy Aleksiego Kostierina i Swirskiego; napuściły z kolejnym zbójcekim przemówieniem (do czego innego się nie nadaje) Michała Szołochowa, tego „eks-pisarza, który cieszył się oficjalnym autorytetem a stał się strachem na wróble, tego Wandeczyka, Kozaka, trabanta, posterunkowego rosyjskiej literatury” (czuję się dumny, że te słowa zostały wydrukowane w mojej książce „Jurij Tynjanow”, wyd. 2-gie, „Sowiecki Pisarz”, Moskwa, 1965, str. 56-57); wydały trzytomowe zebrane utwory Koczetowa, tom Gribaczewa; przygotowały i starannie złożyły na skład, w oczekiwaniu na właściwą chwilę, dwutomowy wybór utworów swego koryfeusza i mistrza, największego przyjaciela sowieckiej literatury pięknej, Josifa Wissarionowicza Stalina.

Od czterech lat toczy się zaciekle walka o wydanie powieści „Pawilon chorych na raka” i „W pierwszym kręgu” wielkiego rosyjskiego pisarza, Aleksandra Sołżenicyna. Ta walka nie została wygrana i nie mam żadnej pewności, czy pisarz ją wygra na poboju sowieckiej polityki wydawniczej. Ale wielkie manuskrypty istnieją i nie ma już mowy o ich zniszczeniu. Ich war-

tość jest bezwzględna i trwała, w odróżnieniu od wystraszonej, tyrańskiej władzy, którą nieuchronnie oczekuje bezlitosny proces norymberski.

Ileż uczyniono, aby zniszczyć kulturę rosyjską, ludzką godność, fizyczną i duchową wolność! Ale plan jeszcze nie został wykonany, ta bitwa nie jest wygrana, wolnościowa inteligencja nie zniszczona do reszty! Sądzą do więzień, wykluczają, usuwają, wypędzają, wydają albo nie wydają. Nie pomaga. Dlaczego tak pięknie pomagało w dawnych czasach, za Stalina, a daje takie kiepskie wyniki pod najbardziej nędznym rządem, najbardziej niepopularnym nawet w Rosji, gdzie od Iwana Groźnego zawsze uwielbiano bezwzględną władzę? Takiego nieudolnego i bezna- dziejnego rządu nie znała nawet Rosja, która — pożałuj, Boże! — przyzwyczaiła się do każdego rządu? Chyba że za Aleksandra Trzeciego. Ale jak powiadają, bo sprawdzono według źródeł historycznych, ziemniaków było wtedy więcej. Na każdego miesz- kańca.

Nie pomaga. Nie pomaga! A dlaczego nie pomaga? Bo za mało. Za mało zamykają. A zamykać tyle, ile trzeba — boją się. Kiedyś eks-przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, Siemczastnyj, na posiedzeniu Komisji Ideologicznej przy CK KPZS (w listopadzie 1966 roku), gdy radzono, jak Sowietkie Mocarstwo (powierzchnia 22,4 milionów kilometrów kwadrato- wych, ilość mieszkańców 208,827 tysięcy — rok 1959) powinno zorganizować planową walkę z wierszykami początkującego poe- ty, błagał, żeby mu pozwolono zamknąć tysiąc dwustu — zaled- wie tysiąc dwustu! — odszczepieńców, zachodnich i żydowskich lokajów, hańbiących nasze w zasadzie zdrowe społeczeństwo i rozkładających naszą, w zasadzie wspaniałą młodzież.

Ale mu nie dali pozwolenia na zamykanie. Dali mu nieco póź- niej kolanem w delikatne miejsce, rozrośnięte na odpowiedzial- nej sowieckiej służbie.

Boją się. Boją się mądrego młodzieńca, Chaustowa, który zdecydował się oświadczyć sowieckim sędziom — tej miesza- nie smoka i dzikiego wieprza — że odrzuca sowiecką religię w postaci marksizmu-leninizmu. Boją się znakomitego rosyjskiego twórcy, Aleksandra Sołżenicyna, boją się Ameryki, boją się Chin, boją się polskich studentów i nieposłusznych Czechosłowaków, boją się jugosłowiańskich rewizjonistów, albańskich dogmatyków, rumuńskich nacjonalistów, kubańskich ekstremistów, wschodnio- niemieckich tępaków, północnokoreańskich chytrusów, robotni- ków Nowocerkaska, którzy powstałi i zostali rozstrzelani, więź- niów Workuty, którzy powstałi i zostali rozstrzelani z samolotów, boją się więźniów Ekibastuzu, zmiażdżonych przez czołgi, boją się wypędzonych z ich ziemi, krymskich Tatarów, żydowskich fizyków, wypędzonych z ich laboratoriów, boją się głodnych koł- choźników i bosych robotników, boją się jeden drugiego, boją się samych siebie, boją się wszystkich razem i każdego z osobna.

Szczecina staje dęba na grzbietach sekretarzy Centralnego Ko- mitetu. Premierzy Związkowych Republik przysiadają na tylnych

łapach. Trzęsie nimi strach, lęk nimi trzęsie. I jeżeli te słabo rozwinięte zwierzęta cokolwiek zrozumiały i zapamiętały, to chyba tylko to jedno: jak ich za czasów Stalina wykręcano ze strachu podszewkę do góry. Badawczo przyglądając się jeden drugiemu i zadając sobie przerażone pytania: „A co jeżeli ten (Szelepin? Polanski? Szelest?) okaże się Stalinem?”

Potrzebna jest mocna osobistość, żeby nareszcie poskromić tych wiecznych wrogów policyjnego państwa — tych niedoro- stów, artystów, poetów, Żydów. Mocna osobistość istotnie zaczy- na zawsze od takiego poskromienia. Ale kończy mordowaniem na prawo i lewo. Ich poprzednicy także chcieli poskromić opo- zycję i w tym celu wezwali mocną osobistość. Ta mocna osobis- tość przyszła i poskromiła. A gdy już raz poskromiła, zaczęła wszystkich likwidować. Teraz już wiedzą, co to znaczy mocna osobistość. Ale zdarzają się takie ciężkie czasy, że lepiej mieć do czynienia z mocną osobistością, niż z wyrostkami, artystami, poetami i Żydami.

Wszystko, co w tej chwili piszę, szanowni moi bracia z mos- kiewskiego oddziału Związku Pisarzy RSFSR i siostry z Domu Twórców w Pieriediełkinie, niczym nie różni się od tego, co pisywałem dawniej. Zresztą, różnica istnieje. Polega ona na tym, że w moich utworach, ogłoszonych przez sowieckie wydawnic- twa, nazywałem zbrodnie, gdy już nie było innej możliwości, imieniem Iwana Groźnego albo Pawła Pierwszego, a teraz nazy- wam te zbrodnie waszym imieniem. Z setek otrzymanych listów dowiedziałem się, że czytelnicy doskonale rozumieją, kim jest Iwan Groźny.

Ale Iwan IV i Paweł I — to nie tylko alegorie, analogie, aso- cjacje i aluzje. To także nasze źródło, nasze korzenie, nasze po- chodzenie, nasza przeszłość, grunt, z którego wyrosliśmy, krew, płynąca w naszych żyłach. Pisałem o nich, ponieważ historia i naród, które zrodziły zbrodniarzy i znosiły ich, odznaczają się wrodzonymi cechami gotowymi ponownie zrodzić zbrodniarzy. Dzieje tego kraju i tego narodu uczyniły tylko to, co były w stanie uczynić: monarchię, najbardziej reakcyjną w Europie, za- stąpiła dyktatura, najbardziej reakcyjna w całym świecie.

Piszę bardzo mało o potężnym Związku Pisarzy ZSSR i o su- chotniczej literaturze sowieckiej, bo po cóż pisać o źle drugo- rzędnym, gdy należy pisać o głównym? Główne zło — to byłęcy faszyzm sowieckiej socjalistycznej ideologii.

Rząd, który przyszedł po Chruszczowie, z rosnącą zajadłością rehabilituje Stalina, co go w sposób nieunikniony zmusza do stosowania z równie rosnącą zajadłością coraz silniejszych repre- sji. Odrodzenie stalinizmu miało na celu przede wszystkim re- presje. Z racji urodzenia i zawodu należą do środowiska ludzi, określanych jako inteligencja, i właśnie przeciw niej skierowana jest stała akcja sowieckiej władzy, nie znoszącej naruszenia jej suwerenności. Jak wielu innych inteligentów słyszę jedno i to samo pytanie, powtarzające się w różnych wariantach: „Po co potężnemu państwu potrzebne jest prześladowanie ludzi, nie zga-

dziejących się z jego ideologią, skoro dobrze wiadomo, że takie prześladowania najbardziej drażnią powszechną opinię całego świata?" Nigdy nie mogłem zrozumieć zdumienia zadających tego rodzaju pytanie.

Stworzenia, stojące na czele sowieckiego państwa, duszą wolność, rozdeptują ludzką godność i niszczą kulturę narodową nie tylko dlatego, że są kiepskimi politykami, ale także dlatego, że ich udziałem jest duszenie, rozdeptywanie i niszczenie. Jeżeli nie będą dusić, rozdeptywać i niszczyć, to nawet w tym kraju o tak bardzo ciężkiej historycznej spuściźnie i o stałej tendencji absolutystycznej, mogą powstać normalne stosunki społeczne, w jakich ludzie nie będą mogli niszczyć innych ludzi za odmienny sposób myślenia.

Wtedy wyjdzie na jaw, że ci ludzie o innym sposobie myślenia reprezentują wartości nieporównanie większe niż ich władcy, co z kolei musi doprowadzić najpierw do niesamowitej walki politycznej, a następnie, w konsekwencji tragicznych cech rosyjskiego rozwoju historycznego, azjatyckiej nienawiści do demokracji, tradycyjnego przyzwyczajenia do okrucieństwa i jaskrawie skrajnego charakteru narodowego — do wojny domowej.

O katastroficznej sytuacji decyduje nie tylko to, że na czele tego okrutnego i pysznego niewolniczego państwa stoją zli politycy, duszący wolność, rozdeptujący ludzką godność i niszczący narodową kulturę, ale i to, że w państwie z władzą sowieckiego typu, inni politycy rządzić nie mogą. I to nie jest żadna historycznie przejściowa osobliwość, to prawdziwość sowieckiej i w ogóle każdej faszystowskiej koncepcji... To, co dzieje się w Chinach albo w Hiszpanii, Albanii albo Egipcie, w Polsce albo w Afryce Południowej, różni się od sowieckiej normy w takim stopniu, w jakim cechy narodowe pozwalają na większe czy mniejsze nasilenie nonsensu i drapieżności.

Sowiecka władza jest niepoprawna, nie do uleczenia; nie może być inną, niż jest: mściwą, nietolerancyjną, kapryśną, pyśkającą i krzykliwą.

Odrzucam bardzo rozpowszechnioną, połowiczną, liberalną opinię: jesteśmy zwolennikami sowieckiej władzy plus elektryfikacja całego kraju, minus zupełnie niepotrzebna i nawet szkodliwa, drobiazgowa opieka nad twórczą inteligencją. Utrzymuję, że władza sowiecka jest niepoprawna i że należy z nią walczyć. Z jej ideologią i polityką, metodologią i sposobem myślenia. Ale największe niebezpieczeństwo grozi, jeżeli zapomnimy o strasznych doświadczeniach tej władzy: o dążeniu do „wyższego celu” przy pomocy metod, w których tkwi choćby odrobina niemoralnej postawy i gwałtu nad człowiekiem.

Po aresztowaniach, rozprawach sądowych, gwałtach i ekspulacjach, jakie na rozkaz Centralnego Komitetu rozpoczęły się natychmiast po jubileuszu pięćdziesięciolecia Rewolucji Październikowej, sowiecka inteligencja, a raczej ta jej część, która nie wysługuje się wszystko niszczącej władzy, posiada możliwości oporu znacznie bardziej ograniczone. Uwielbiany rząd obchodzi

tryumfalnie swoje zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem — myśłącą częścią ludzkości. Przymrużonym okiem śledzi rozwój prześladowań i ponownie upewnia się w sprawdzonej doświadczeniem słuszności swoich metod: zdruzgotać wszelki opór, zanim zdał sobie sprawę z swojej własnej siły.

Rząd druzgoce wszelki opór zarazem z pobudek państwowych i osobistych, które, jak wiadomo, w każdym prawdziwie sowieckim człowieku stanowią nierozdzielłą całość.

Tak właśnie stało się z dwójgiem prawdziwie sowieckich ludzi — Konstantynem Aleksandrowiczem Fiedinem, który pełni obowiązki klasyka literatury sowieckiej, i Leonidem Iljiczem Breżniewem, zwykłym sowieckim człowiekiem i metalowcem.

Ten prosty sowiecki człowiek i metalowiec mordował, ile mógł, i wsadzał do więzień w dobrych, stalinowskich czasach (niech będą przekłete!) a później, gdy nastały dni liberalizmu (niech będą przekłete!), po przeprowadzeniu męczącego treningu z udziałem sześciu owczarek (chodziło o wyrobienie w sobie humanitarnego stosunku do ludzi), postanowił stać się mędrcem i państwowym działaczem. Z powyższych względów, po aresztowaniu Siniawskiego i Daniela, Breżniew we wściekłych sporach w Prezydium CK (kierownictwo kolektywne i demokracja) ujawnił się jako zwolennik bardziej skutecznej metody: uduścisł po cichu wszystkich wrogów antysowieckich, zamiast iść na rozgłos procesu przeciw zaledwie dwóm pisarzom.

Aby umocnić się w swojej decyzji i dać ludowi lekcję pokazową, Leonid Iljicz postanowił zaaranżować historyczne spotkanie.

Konstantin Aleksandrowicz również przywiązywał wielkie znaczenie do tego historycznego spotkania.

Konstantin Aleksandrowicz Fiedin, bohater opowiadania Siniawskiego-Terca, „Grafomani”, aż jęczał we śnie, opanowany życzeniem, żeby swoimi własnymi, sztucznymi zębami wyrwać oko nędzemu antysowieckiemu oszczercy (a potem drugie oko, a potem jeszcze jedno!), i w szaleńczym zaślepieniu nie domyślił się, po co zjawił się u niego człowiek z metalurgiczną duszą autentycznie sowieckiej produkcji.

Pogadali o tym i owym, o zachodnoniemieckich odwetowcach i izraelskich ekstremistach, o maoistach i podłych rewizjonistach, po czym Pierwszy Sekretarz Centralnego Komitetu KPZS zapytał Pierwszego Sekretarza Zarządu Związku Pisarzy, co myśli o tym i owym, a zwłaszcza o szykującym się procesie pasażerów, które przez całe dziewięć lat pełzały po zdrowym i czystym ciełe sowieckiej literatury.

Dopóki omawiano zagadnienie imperializmu, Konstantin Aleksandrowicz potrafił do pewnego stopnia zachować spokój, a nawet znalazł w sobie dość fizycznych i moralnych sił, żeby opanować się przy omawianiu konieczności podjęcia pilnych decyzji, dotyczących gwałtownego wzrostu ludowego antysemityzmu; gdy jednak usłyszał nazwisko odszczepieńca i oszczercy, eks-członka Związku Pisarzy ZSSR, w rozwścieczeniu wyskoczył z własnych

spodni, ze zgrzytaniem wypłuł w kierunku Pierwszego Sekretarza sztuczne szczęki dziewiczego delikatnie różowo-białego koloru i zaczął wykrzykiwać opętane słowa, wśród których najczęściej powtarzały się takie jak „tortury”, „stos”, „łamanie kołem”, „ćwiartowanie”, „wypalanie kwasem” i „rekiny imperializmu”.

Potem nieco przyszedł do siebie, wlaźł z powrotem w spodnie, wsadził sztuczne szczęki i ponownie stał się klasykiem i Prezesem Towarzystwa Przyjaźni Sowiecko-Niemieckiej.

I tak oto siedzieli naprzeciw siebie dwaj pierwsi sekretarze w literackich zaspach stacji Pieriediełkino.

Nie domyślając się, o co chodzi, sekretarz uporczywie i przekonująco udawał drugiemu sekretarzowi, który wszystko już zrozumiał, że na danym etapie imperializmu, będącego wyższym stadium kapitalizmu, kończącego się kolonializmem i ofensywą rewizjonizmu, w chwili, gdy osobliwie nie wolno dopuszczać się dyskredytowania w jego osobie sowieckiej literatury, jego, który spełnia powierzony mu przez partię i naród trudny, lecz zaszczytny obowiązek klasika, należy jak najszybciej i jak najsurowiej rozprawić się z dwoma nikczemnymi, antysowieckimi odszczepieńcami. I udowodnił.

Proces, który poprzedniego dnia był odłożony, został wyznaczony na 10 lutego 1966 roku.

Akurat tego dnia, przed stu dwudziestu dziewięciu laty został zabity Puszkina i przed siedemdziesięciu pięciu laty urodził się Pasternak.

Rząd sowiecki zawsze śmiertelnie obawiał się, aby jakieś komplikacje nie rzuciły cienia na jego tryumfalne uroczystości. Nawidzi tych, którzy psują mu świąteczne okazje. To dlatego w stalinowskich czasach w przededniu świąt więzienia wypełniały się po brzegi, obecnie zaś zmontowano w Leningradzie procesy przeciw ludziom, którzy rzekomo zamierzali zorganizować na pięćdziesięciolecie szereg aktów terrorystycznych.

Rząd sowiecki, po odniesieniu zwycięstwa (jest przekonany, że już zwyciężył) nad inteligencją, obchodzi swój tryumf. Uważam, że właśnie przyszła najbardziej odpowiednia chwila, aby popuszczać mu to jasne, sowieckie święto.

Piszę ten list, aby udowodnić, że rosyjska inteligencja żyje, walczy, nie sprzedaje się, nie poddaje się, że zachowała swoje siły.

Nie jestem członkiem waszej partii. Nie korzystam z żadnych przywilejów, prócz tych, z jakich korzysta każdy pracujący człowiek w waszym państwie. Nie mam żadnego urzędu i żadnych odznaczeń. Nie zasłużyłem na waszą łaskawość, przychyłność i pochwały, i bardzo się z tego cieszę. Nie próbujcie mnie zawstydząć tym, że z najjaśniejszej łaski waszej władzy otrzymałem wyższe wykształcenie, mieszkanie i szpital w razie choroby. Nie wymawiajcie mi chleba, który jem, i słoniny, której nie lubię. Odpracowałem ten chleb i dach nad głową w ciągu trzynastu lat więzień i obozów, gdy byłem numerem 1-B-860, którym mnie obdarzyliście. Po to, aby się uczyć, mieć dach nad głową i chleb,

nie potrzebna jest sowiecka władza, jej więzienia i cenzura. To wszystko mają nawet te narody, które jęczą pod jarzmem imperializmu.

Nie potraficie inaczej, jak tylko przechwalać się, wysuwać zarzuty, sądzić i niszczyć. Spaliliście moje stare książki i nie wydajecie nowych. Ale nawet wy, nawet teraz, w artykułach, którymi strzelaliście do pierwszych stron mojej ostatniej książki (już sam tytuł wywołuje w was drgawki — „Kapitulacja i zguba sowieckiego pisarza, Jurij Olesza”), nawet wy nigdy nie twierdziлиście, że moje piśmiennictwo jest złe, niepoważne, pozbawione talentu.

Mówiliście zawsze co innego. „W waszych książkach — mówiliście — jest zbyt wiele niewłaściwej odrazy do przemocy, nietolerancji i fanatyzmu”. Pytaliście, pchając palec w stronę o inkwizycji: „A to co — aluzja, tak? To o nas, tak?”. Kraina niewolników, kraina panów... Przeraża życie obok was, czytanie waszych książek, chodzenie po waszych ulicach.

Na szczęście, jedyne co mnie z wami łączy, to należenie do bezwzględnej organizacji, do Związku Pisarzy ZSSR, który, razem z waszymi partyjnymi biskupami, waszą bezpieką, waszą armią, narzucającą wojny i niewolnictwo innym krajom, zatruwał nędzarzki, nieszczęśliwy, żałosny, posłuszny naród. Ta łączność, ten jedyny z wami kontakt, wywołuje we mnie wstręt. Pozostawiam was waszym zachwytom nad niebywałymi zwycięstwami, nadwyzczajnymi osiągnięciami, nigdy nie znanymi zbiorami, fantastycznymi zdobyczami, zadziwiającymi dokonaniem i nieogarniętymi rozumem decyzjami. Ale już beze mnie! To rozstanie nie przyniesie smutku i goryczy ani mnie ani wam. Zaś rozprawić się ze mną zdążyte najbliższą nocą.

Zwracam wam legitymację członka Związku Pisarzy ZSSR, ponieważ uważam, że pozostawanie w organizacji, która z oddaniem psia służy najbardziej okrutnemu, nieludzkiemu i bezlitosnemu reżymowi politycznemu wszystkich czasów w dziejach ludzkości, jest niegodne uczciwego człowieka.

Artyści i uczeni tego zamęconego, sponiewieranego kraju, wszyscy, którzyście zachowali uczciwość i godność osobistą, ocknijcie się, przypomnijcie sobie, że jako pisarze należycie do wielkiej literatury, że nie jesteście funkcjonariuszami zgnitego reżymu. Rzućcie im w twarz wasze literackie legitymacje, wycofajcie swoje rękopisy z ich wydawnictw, przestańcie brać udział w planowym, z całą złośliwą premedytacją prowadzonym niszczeniu indywidualnego człowieka, wykażcie im pogardę, wykażcie im swoją pogardę, wykażcie pogardę temu bezpłodnemu i bezlitosnemu, oszłamniającemu nieustannym hałasem państwu, bijącemu w niemilknący bęben swoich zwycięstw i sukcesów.

Arkadij W. BIELINKOW

(Przetłumaczył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

Do Konstantina Fiedina

Znamy się od czterdziestu ośmiu lat. Za młodu byliśmy przyjaciółmi. Mamy prawo osądzać siebie nawzajem. To nie tylko prawo, więcej — to obowiązek. Twój byłeś przyjacielem niejednokrotnie zastanawiali się, jakimi powodami kierowałeś się w swoim postępowaniu, gdy w naszym życiu literackim rozgrywały się na zawsze pamiętne wydarzenia, które jednych z nas zahartowały, a innych zamieniły w posłusznych urzędników, jakże oddalonych od prawdziwej sztuki.

Któż nie pamięta, na przykład, bezmyślnej i tragicznej sprawy powieści Pasternaka, sprawy, która tak wiele szkody wyrządziła naszemu krajowi! Zaangażowałeś się w tę sprawę tak dalece, że musiałeś udawać, iż nie dowiedziałeś się o śmierci poety, który był twoim przyjacielem i mieszkał obok ciebie przez dwadzieścia trzy lata. A może nie widziałeś ze swego okna, jak w kondukcje szedł wielotysięczny tłum, jak trumnę niesiono na rękach koło twojego domu?

Jakże się to stało, żeś nie tylko nie udzielił pomocy, aleś zadławił *Moskwę Literacką*, almanach, który tak bardzo był potrzebny naszemu piśmiennictwu? Przecież jeszcze w przeddzień zebrania w Domu Aktorów Filmowych, gdzie zgromadziło się półtora tysiąca pisarzy, chwaliłeś to czasopismo. Mając już w kieszeni gotowe, zdradzieckie i napastliwe przemówienie, chwaliłeś naszą pracę, nie znajdując w niej ani śladu niełojalności politycznej!

To tylko parę przykładów, gdyż nie zamierzam podsumowywać wyników twojej działalności społecznej, dostatecznie znanej w środowisku literackim. Nie przypadkowo, gdy na zebraniu w celu uczczenia 75-lecia Paustowskiego wymieniono twoje nazwisko, odpowiedziała kompletna cisza. Nie zdziwiłbym się, gdyby teraz, gdy wiadomo, że za twoją sprawą *zakazano ogłoszenia w „Nowym Świecie” powieści Sołżenicyna „Pawilon chorych na raka”*, już złożonej, następne twoje zjawienie się przed pisarskim audytorium wywołało gwizdy i tupanie.

Oczywista, stanowisko, zajmowane przez ciebie w literaturze, powinno było do pewnego stopnia przygotować nas do przyjęcia tej zadziwiającej decyzji. Wypada cofnąć się głęboko w przeszłość, by odszukać ten przełomowy moment, w których zaczęły się duchowe deformacje i nieuniknione zmiany. Przez całe lata rozwijały się one niejako gdzieś w głębi, nie ujawniając jaskrawych sprzeczności ze stanowiskiem, którego zajęcie można jeśli nie usprawiedliwić, to przynajmniej jakoś wyjaśnić na tle historycznym.

Ale co spowodowało twoje obecne posunięcie, w wyniku

którego nasze piśmiennictwo znowu poniesie ciężkie straty? Czy naprawdę nie rozumiesz, że sam fakt wydrukowania „Pawilonu chorych na raka” rozładowałby niesłychane napięcie w naszej literaturze, poderwałby niezashużoną nieufność do niej, otworzyłby drogę innym książkom, wzbogacając piśmiennictwo?

Leży rękopis znakomitej powieści A. Bieka, początkowo dozwolonej, następnie zabronionej, którą pochlebnie, bez żadnych zastrzeżeń oceniał najwybitniejszy nasz pisarz. Leżą dzienniki wojenne K. Simonowa. Nie ma bodaj ani jednego poważnego pisarza, który by nie miał w szufladzie manuskryptów, dojrzałych, dobrze przemyślanych, a jednak zakazanych z jakichś powodów, których wyjaśnienie nie mieści się w granicach zdrowego rozsądku. Za kulisami rzekomego błogostanu, o którym meldunki idą do władz, wyrasta mocna, oryginalna literatura, stanowiąca duchowe bogactwo kraju, konieczna, oczekiwana z ostrą i natarciwą niecierpliwością. Czy naprawdę nie dostrzegasz, że olbrzymie doświadczenie dziejowe wymaga twórczego wyrazu, a ty przyłączasz się do tych, którzy w imię własnego dobrobytu usiłują powstrzymać rozwój nieuniknionego procesu?

Ale wróćmy do powieści Sołżenicyna. W każdej redakcji, w każdym wydawnictwie wszyscy wiedzą i mówią, że Markow i Woronkow wypowiedzieli się na rzecz ogłoszenia powieści i że skład został stopiony wyłącznie na skutek twojego zdecydowanego sprzeciwu. Znaczy to, że powieść zacznie w tysiącach odpisów wędrować z rąk do rąk, i że będą one sprzedawane, jak mówią, za grube sumy. Znaczy to, że zostanie ogłoszona zagranicą. Oddamy tę powieść czytelnikom włoskim, francuskim, angielskim, zachodniemieckim, czyli stanie się właśnie to, przeciw czemu niejednokrotnie i energicznie protestował sam Sołżenicyn.

Możliwe, że w zarządzie Związku Pisarzy znajdują się ludzie, którzy uważają, iż ukarzą pisarza, jeśli oddadzą go zagranicznej literaturze. Tak, ukarzą go światową sławą, a ta zostanie wykorzystana dla politycznych celów przez naszych przeciwników. A może są i tacy, którzy żywią nadzieję, że Sołżenicyn „poprawi się” i zacznie pisać inaczej? Śmieszna nadzieja, skoro chodzi o twórcę wyjątkowego, dającego nam przykład, twórcę, który przypomina nam nieustannie, że pracujemy dla literatury, posiadającej Czechowa i Tolstoja.

Ala twoja decyzja ma jeszcze jedno znaczenie. Bierzesz na siebie odpowiedzialność, nie zdając sobie najwidoczniej sprawy z jej ogromu i znaczenia. Pisarz zarzucający stryczek na szyję drugiego pisarza — to postać, która pozostanie w historii literatury zależnie nie od tego, co sam napisał, lecz wyłącznie od tego, co napisał ten drugi. Być może, sam nie podejrzewasz, że stajesz się ośrodkiem wrogości, oburzenia i niezadowolenia w kołach literackich.

To może ulec zmianie jedynie w wypadku, jeżeli znajdziesz w sobie tyle siły i odwagi, by wycofać swoją decyzję.

Nie mam wątpliwości, że zdajesz sobie sprawę, z jakim trudem przyszło mi napisanie do ciebie tego listu. Ale nie mam prawa milczeć.

Wienjamin KAWIERIN

25 stycznia 1968

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

Do przyjaciela-Moskala

Drogi Zenia!

Wczoraj otrzymałem Twój list. Piszesz w nim o naszej prawdziwej przyjaźni. Masz rację: jesteśmy przyjaciółmi w całym tego słowa znaczeniu. Wspominasz o dwóch moich książkach, które niedawno ukazały się u Was w Kijowie a które, jak piszesz, jeszcze bardziej wzmocniły naszą przyjaźń. Zapewniaś mnie też, że Ty, jako obywatel radziecki stoisz w tej ciężkiej chwili naszego kraju ramię przy ramieniu z wiernymi komunistami czechosłowackimi (a więc, podkreślasz, ramię w ramię ze mną), i że ZSRR, cały obóz radziecki nie dopuści... nie pozwoli... zabroni itd.

Miły Zenia, rozumiem że chciałeś mnie pocieszyć i podnieść na duchu. Ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, jak trudno mi będzie przekonać Cię, że wcale nie sprawiłeś mi radości, przeciwnie, jak mnie Twój szczerzy list zaniepokoił. Dlatego zdecydowałem się, że odpowiem Ci na łamach naszej prasy; z jednej strony dlatego że nie jestem pewien czy mój prywatny list dotarłby do Ciebie, z drugiej, i to głównie dlatego, że pragnę, aby odpowiedź moją znało jak najwięcej Twoich i mych rodaków.

Poznaliśmy się Zenia w roku 1957 podczas wspaniałego Światowego Festiwalu Młodzieży w Moskwie. Wiesz o mnie, że jestem komunistą od siedemnastego roku życia, tj. od roku 1945, że moje poglądy formowały się już wcześniej pod wpływem otoczenia rodzinnego, okupacji i bohaterskiej walki Armii Czerwonej przeciwko Niemcom, pod wpływem twardych doświadczeń w nazistowskim *Arbeitslagerze*.

Obawiam się jednak (wiedz, że czytam Waszą prasę od stycznia bieżącego roku o wiele uważniej niż dawniej), że wiesz bardzo mało, a praktycznie w ogóle nic nie wiesz o rzeczywistej sytuacji w naszym kraju i o tym co się u nas dzieje.

Zenia, jeszcze nigdzie na świecie nie miał miejsca wypadek, aby partia komunistyczna zwyciężyła na podstawie swobodnej deklaracji woli większości narodu, drogą demokratyczną — jak to stało się w roku 1946 w wyniku wyborów w Czechosłowacji,

a później, w konfrontacji z siłami antysocjalistycznymi, w lutym 1948 r. We wszystkich innych krajach, łącznie z Rosją Lenina, idee socjalistyczne mogły zwyciężyć jedynie w drodze walki zbrojnej, wojny domowej, dyktatury mniejszości w stosunku do większości. Już ten oto podstawowy fakt charakteryzuje specyfikę warunków czechosłowackich wobec innych krajów socjalistycznych. Specyfika ta nie spadła sama z nieba. Jest uwarunkowana rozwojem historycznym, faktem że już przed 90 laty powstała u nas legalna robotnicza partia marksistowska, że już przed 70 laty klasa robotnicza wywalczyła sobie niezbędne, podstawowe, *prawa obywatelskie*, jakimi są wolność słowa, wolność prasy, zgromadzeń itd. W historii były różne próby zmierzające do ograniczenia lub zniesienia tych podstawowych swobód, ale nigdy warstwom rządzącym nie udało się przeprowadzić tego na dłuższy okres czasu, a tym bardziej na zawsze. Czechosłowacka partia marksistowska już w 90 latach ubiegłego wieku wykorzystywała te swobody nie tylko w walce z kapitalistami ale i w swoim życiu wewnętrznym, wewnątrz własnej organizacji i wobec własnego kierownictwa. Coś niecoś od nas zapożyczył Lenin i wprowadził do partii rosyjskiej, która prowadziła wtedy swą działalność w warunkach konspiracyjnych. Demokracja nie istniała w społeczeństwie rosyjskim i z konieczności nie mogła też istnieć wewnątrz partii. Lecz mimo tych trudnych warunków w partii rosyjskiej spory, polemiki i odważne głosowanie były nie tylko dopuszczalne, ale stały się zjawiskiem normalnym. Ileż to razy Lenin znalazł się w mniejszości, był w opozycji do poglądów Zinowiewa, Kamienewa, Stalina, Trockiego, a przecież nadal zaliczał ich do swych towarzyszy walki i nawet mu na myśl nie przyszło walczyć przeciwko nim inaczej niż siłą swych argumentów. Fatalny zwrot nastąpił dopiero po śmierci Lenina.

Podobnie stało się po zwycięstwie Komunistycznej Partii Czechosłowacji w roku 1948. Wówczas to partia nasza miała kapitalną możliwość historyczną: w naszych warunkach dowieść praktycznie, że socjalizm stanowi nie tylko większą sprawiedliwość socjalną, ale prawdziwą gwarancję swobód obywatelskich dla wszystkich, gwarancję swobodnego rozwoju każdego człowieka. Tylko wówczas socjalizm ma sens, jeżeli potrafi zapewnić owe podstawowe wartości godnej ogzystencji ludzkiej; tylko wtedy jest rzeczywiście doskonalszym ustrojem niż kapitalizm. — Ale, niestety, stało się inaczej. Narzucono nam z zewnątrz system, o którym głoszone, że jest jedynie możliwą i właściwą formą socjalizmu *dla wszystkich*. Wmuszono go nam siłą, nadużyto naszej nieświadomości i zapалу rewolucyjnego. W wyniku, po upływie krótkiego czasu szły na śmierć lub do więzień setki i tysiące komunistów i zwykłych obywateli. Przyznam Ci, że ja sam, podobnie jak wielu innych, nie wiedziałem, względnie nie rozumiałem, do jakiego upadku prowadzi tak rozumiany socjalizm. Byłem młody, niewykształcony, niedoświadczony, czym mniej *wiedziałem*, tym bardziej ślepo *wierzyłem*.

Ale dziś nie jesteśmy już naiwnymi dziećmi, dziś jesteśmy

dorośli, wykształconymi ludźmi, którzy w systemie tym przeżyli dwadzieścia lat, tj. połowę swego produktywnego życia. Już od dłuższego czasu podliczamy bilans. Jest on smutny...

W ciągu ostatnich 20 lat tempo wzrostu ekonomicznego w naszym kraju było mniejsze niż w podobnych lub nawet biedniejszych krajach kapitalistycznych. Stopa życiowa naszych robotników, rolników i inteligencji jest niższa niż we wszystkich pozostałych krajach europejskich, z którymi możemy się (lub dawniej mogliśmy) porównywać. Nasza gospodarka znalazła się na skraju przepaści. Nasza kultura (jako pisarz komunistyczny wiem to najlepiej) była uciskana tzw. ideologicznym kierowaniem i cenzurą. Podstawowe prawa obywatelskie — wolność słowa, prasy, poruszania się — były *de facto* zniesione. I tak oto, w tym tzw. socjalizmie lud nasz miał mniej praw, niż przed 100 laty w feudalnie kapitalistycznym cesarstwie austriackim, które uciskało narody. Porządek prawny podeptano, a dziesiątki tysięcy niewinnych obywateli było nieprawnie więzionych i torturowanych. Życie każdego obywatela było otoczone nie kontrolowaną biurokracją, publiczna działalność obywateli i działalność partyjna komunistów prawie że znikły, w kraju przy pomocy wszechmocnej tajnej policji nieograniczoną władzę sprawował jeden człowiek wraz z wąską grupą osób. Zamurowano nas, odizolowano od świata, nasza nauka i technika stale cofały się. Nasz pieniądź jest zniszczony. Przez 20 lat nie byliśmy w pełni suwerennym państwem, nie mieliśmy własnej polityki zagranicznej. Stopniowo poznawaliśmy rzeczywistość. Ale o faktach w warunkach ogólnego ucisku nie można było mówić. To, co przyniósł styczeń bieżącego roku z inicjatywy postępowego skrzydła KC KPCz i przeważającej części członków partii, to co z szybkością błyskawicy wykryli i nazwaliśmy dziś „demokratycznym socjalizmem w warunkach czechosłowackich” jest od dawna pulsującym, samozachowawczym ruchem narodu, który pragnie żyć i mimo wszystko znów i lepiej budować socjalizm.

Zapytuję Cię Zenia: Czy można reżym, który Ci w kilku słowach opisałem, który doprowadził nasz kraj bez mała do ruiny gospodarczej i polityczno-moralnej katastrofy, nazywać socjalizmem. Czyż wypaczenia jego nie są tak ogromne, że właściwie zmieniły samą treść socjalizmu w coś innego? Odpowiem Ci: niestety tak. Pięćdziesiąt lat po Wielkiej Rewolucji Październikowej socjalizm marksistowski jest ciągle jeszcze nieureczywistnionym snem. *Upaństwowienie* przemysłu nie oznacza jeszcze, w praktyce, przekazania produkcji i jej zarządzania producentom, nie oznacza rzeczywistego oswobodzenia i władzy klasy robotniczej. Przejście władzy wykonawczej z rąk jednej biurokracji do rąk innej biurokracji (bez względu na hasła ideologiczne z tym związane) nie oznacza jeszcze oswobodzenia pracujących. Karol Marks byłby dziś wielce zdziwiony tym wszystkim, co w jego imieniu uczyniono.

Dlatego nie wierź miły Zenia histerycznym okrzykom o rewizjonistach czechosłowackich. Tak, to prawda chcemy rewido-

wać określoną praktykę. Największej rewizji i nowego zastosowania marksizmu dokonał Lenin — od tego czasu minęło 50 przełomowych lat. Nasz narodowy poeta, Jan Neruda, już przed 90 laty napisał: „Kto chwilę stał, już stoi opodał!” Dotyczy to wszelkiej działalności ludzkiej, a tym bardziej takiego sposobu poznawania i przekształcania świata, który nazywa siebie naukowym i dialektycznym.

To są powody dlaczego list Twój mnie zaniepokoił. Piszesz, Zenia, że jako obywatel radziecki stoisz w tej ciężkiej chwili u boku wszystkich wiernych komunistów, a więc i przy mnie. Ale ja bardzo się boję, że nie znając faktycznego stanu rzeczy uważasz za „wiernych komunistów” tych, którzy według mnie komunistami nie są, a jeżeli są wierni czemuś, to tylko swym błędom lub posadom. My tym „wiernym temu co było wczoraj” absolutnie nie wierzymy, nie uznajemy ich, i mówiąc szczerze nienawidzimy ich. Tak to jest Zenia. I jeżeli zależy Ci na mojej przyjaźni, to musisz mnie (i nas wszystkich) akceptować takich, jacy jesteśmy, jacy chcemy być. A musisz wiedzieć że przeważająca większość obywateli tego kraju, wraz z nami, komunistami, nie chce już dalej żyć w takim systemie, w jakim żyliśmy do bieżącego roku. Ty może się temu dziwisz, może system ten uważasz za właściwy, albo dogodny. To jest Twoja sprawa i nie będę się do tego wtrącać. My w systemie tym nie chcemy i nie będziemy żyć i nikt nas do tego nie może zmusić. O sposobie naszego życia może decydować tylko i wyłącznie wola Czechów i Słowaków, do których ten kraj należy.

Byłoby upokarzające gdybym miał Cię znów zapewniać, że nie zejdziemy z drogi socjalizmu. Jest to tak oczywiste jak to, że słońce świeci i trzeba mieć bardzo czarne okulary, aby tego nie zauważyć. Dycydującym składnikiem przyjaźni jest wzajemne zaufanie. Twoja przyjaźń jest dla mnie droga, ale i ona ma swoją granicę: droższą od niej jest mi niezawistość, wolność i szczęście mego narodu. Te dwie wartości nie wykluczają się, na odwrót, życzę sobie, aby się harmonijnie uzupełniały. Ale to również w dużym stopniu zależy od Ciebie, miły Zenia.

Twój

Pavel HANUS

(*Młoda Fronta*, 11. VII. 1968)

Odpowiedź polskiemu koledze

Szanowny kolego Machnicki,

W 24-tym numerze „Studenta” przeczytałem wasz artykuł zatytułowany „Prawo do informacji”. Ponieważ nie podał Pan swe-

go dokładnego adresu, a trudno mi przypuszczać aby jakieś z polskich czasopism studenckich zechciało wydrukować inny pogląd na te sprawy, nie mogą zareagować inaczej niż pisząc ten list.

Niedawno powróciłem z Pana ojczyzny w której przez lata byłem na studiach, i miałem możliwość oglądać na własne oczy przebieg tzw. „wydarzeń marcowych”. Przeżyłem zarówno to co je poprzedzało, jak i widziałem następstwa. W przeciwieństwie do Pana nie przyjmuję „z zaufaniem wszystkiego tego co zostało wydrukowane czarno na białym”, a przede wszystkim odrzucam wypowiedzi Pana przyszłych kolegów — dziennikarzy, którzy zarówno w czasie demonstracji jak i po nich potrafili — niewątpliwie z dużą dozą osobistej i obywatelskiej odwagi — określać to co było czarne jako białe i na odwrót. Jeśli nie wie Pan o czym myślę, to chętnie przypomnę Panu pierwsze artykuły na temat demonstracji jakie ukazały się w „Życiu Warszawy”, „Kurierze Polskim”, „Dzienniku Polskim” itd. Chciałbym jednocześnie aby Pan przypomniiał sobie, że studenci palili te gazety przed gmachem uniwersytetu wśród okrzyków „PRASA KŁAMIE!”. Często gdy czytałem w rannej prasie o demonstracjach, których byłem świadkiem poprzedniego dnia, nie wiedziałem po prostu czy nie śnię. Różnica w widzeniu tych samych faktów przeze mnie i przez autora danego opisu była więcej niż wstrząsająca. Wspominam o tym na marginesie Pana ostatniego zdania w którym powołuje się Pan na dobro czytelników, „których prawo do informacji zostało tak poważnie naruszone przez „Studenta”.

Powróćmy jednak do ważniejszych ustępów Pana artykułu. Twierdzi Pan, że istnieje przepaść między radosną reakcją członków Klubu Babel na wiadomość o zwycięstwie Izraela a oskarżaniem polskiego społeczeństwa o antysemityzm. Według Pana do potępienia tej radosnej reakcji doszło jedynie dlatego, że była skierowana „przeciwko naszym uczuciom, przeciwko naszej solidarności...”, itd. Nie ma sensu dyskutować tu o samym konflikcie, o prawie Izraela do tego, co Pan nazywa agresją. Jest to bowiem sprawa różnicy poglądów. Chociażby między nami dwoma. Nie wiem czy pisząc swój artykuł zdawał Pan sobie sprawę że reakcja polskich kół oficjalnych mogła być przyjęta przez polskich Żydów jako atak na ich uczucia i na ich solidarność z walką narodu izraelskiego. Inna sprawa jednak gdy dane społeczeństwo potępia swych współobywateli innej rasy za to tylko, że nie protestują przeciwko walce swoich braci w Izraelu o prawo do życia. Jeżeli społeczeństwo wyklucza tych ludzi nie jako przeciwników politycznych ale jedynie dlatego, że są Żydami, gdy większość osób prześladowanych w czasie demonstracji i głównie po demonstracjach to Żydzi.

Jak potrafi mi Pan wytłumaczyć fakt, że w kraju tak religijnym w głównym piśmie katolickim „Słowo Powszechne” ukazał się w pierwszych dniach „wydarzeń marcowych” artykuł, który mógłby być śmiało zamieszczony w każdym piśmiadle Trzeciej Rzeszy? Co więcej ten artykuł został powielony i w formie plaka-

tów rozlepiony na domach wszystkich większych miast polskich, przy czym niektóre jego ustępy (mówi się w nim m.in. „o pewnych ludziach z dziwnymi nie polskimi nazwiskami”) naprawdę są dalekie od walki ze syjonizmem. Mógłbym Panu przytoczyć tutaj dziesiątki innych przykładów ale na pewno wystarczy jeden, który najbardziej mną wstrząsnął. Władysław Gomułka, pierwszy sekretarz naszej Partii, w przemówieniu do aktywu partyjnego w ustępie o zagadnieniu żydowskim mówi (cytuje):

„Towarzysze, należy przyznać, że na naszych wyższych uczelniach studiuje pewien procent studentów pochodzenia żydowskiego”.

Niech Pan zwróci uwagę, panie kolego, Gomułka mówił wtedy o Żydach jako o narodowości — nie o syjonistach, ale na sali rozległy się krzyki a raczej ryki od których ciarki przechodziły po plecach: „precz z nimi!”, „wygnać ich!”, „syjoniści do Izraela!”, itd. — Władysław Gomułka musiał kilkakrotnie prosić o spokój i przerywać swoje przemówienie.

A potem spotkania i rozmowy z ludźmi: ze studentami, robotnikami i z inteligencją.

Na początku demonstracji były słowa potępiające dążność oficjalnych kół do rozpętania antysemityzmu (niech się Pan nie łudzi, że ktokolwiek wierzył słowom o walce ze syjonizmem, każdy — powtarzam — każdy Polak, z którym zetknąłem się w tym okresie, całą tę tak zwaną anty-syjonistyczną ofensywę rozumiał absolutnie jednoznacznie — jako atak skierowany przeciwko Żydom), później nieśmiało uwagi o niebezpieczeństwie syjonistycznym, a na koniec stare argumenty o Żydach, którzy rujnują polską gospodarkę, którzy stanowią niebezpieczeństwo dla państwa polskiego itd. Często spotykałem się z otwartym, prymitywnym antysemityzmem. Niestety także wśród młodych ludzi. Nie mogę tu zacytować innych ustępów z Pana artykułu, choć wiele z nich wpawiło mnie w zdumienie. Przytacza Pan ustępy z czasopisma studenckiego i chyba nie zdaje Pan sobie sprawy jak często są one dwuznaczne i jak dużo ma Pan racji (jestem przekonany, że niechcący). Ale na Boga, niech Pan nie próbuje wyjaśniać marcowych wydarzeń jako godnej pożałowania pomyłki, do której doszło w wyniku opanowania i wprowadzenia w błąd masy studentów przez kilku nieodpowiedzialnych syjonistów, rewizjonistów, inicjatorów i reakcjonistów.

Pavel HRISNY

(Student, Praga, 10. VIII. 1968)

Znamienna napaść

Miesięcznik „Oktiabr” („Październik”), wychodzący w Moskwie od roku 1924 jako organ Związku Pisarzy RSFSR, ma zasłużoną

opinię najbardziej reakcyjnego i dogmatycznego czasopisma literackiego w Rosji Sowieckiej. Naczelnym redaktorem, Koczetow, uważany jest za typowego sowieckiego politruka, żandarma, więziennego dozorcę, odkomenderowanego do spraw literatury. Godnym kolega Surkowa, Fiedina, Michałkowa... Poziom czasopisma, głównej ostoi sztywnego soc-realizmu, jest na ogół bardzo niski, nawet jak na stosunki sowieckie. Od chwili upadku Chruszczowa i objęcia władzy przez Breżniewa i Kosygina „Październik” stał się heroldem powrotnej fali stalinizmu i „żdanowszczyzny” w oficjalnej polityce kulturalnej.

W czerwcowym numerze „Października” ukazał się obszerny artykuł niejakiego Władimira Bielajewa, pod tytułem „Dalszy ciąg zbrodni”. Artykuł dotyczy zamachu na życie komunistycznego pisarza ukraińskiego, Jarosława Hałana, ale przy okazji poruszone zostały również sprawy polskie, a nawet emigracyjne, stąd też zasługuje on również na uwagę polskiego czytelnika.

Sowieccy publicyści lubią powoływać się na społeczeństwo, na masy, występować w roli pracowników pióra, wykonywujących „zamówienie społeczne”. Przed swoim artykułem Bielajew zamieścił list do redakcji, wysłany z Łucka, list, najprawdopodobniej zainspirowany. Oto jego treść:

„Urodziłem się i wychowałem na pograniczu Zachodniej Ukrainy i Polski. Kiedy hitlerowskie hordy wdarły się do Związku Sowieckiego, pozostałem na okupowanym terytorium, biorąc udział w walce partyzanckiej, prowadzonej z niemieckim faszyzmem przez dwa bratnie, sąsiedzkie narody — byłem łącznikiem w zgrupowaniu Antona Bryńskiego, Bohatera Związku Sowieckiego. Jest rzeczą naturalną, że przejmuję mnie do głębi wszystko, co dzieje się nie tylko na mojej ojczystej ziemi, ale i w bratniej Polsce. I kiedy po przeczytaniu przemówienia towarzysza Gomułki i polskiej prasy, dowiedziałem się, że nasi wrogowie atakują polskich pisarzy, usiłując wykorzystywać dla swoich celów najbardziej chwiejnych, przypomniałem sobie jak w pierwszych latach po wojnie atakowano z wściekłością ukraińskiego pisarza-komunistę, Jarosława Hałana. A kiedy ciemnym mocom reakcji nie udało się złamać woli pisarza, wrogowie włożyli siekiere w ręce morderców i przecięli nić świetlanego życia Hałana.

Wydaje mi się, że w toczącej się obecnie walce ideologicznej, gdy następuje rozgraniczenie dwóch sił — światła i mroku, właśnie Jarosław Hałan może być uznany za wzór pisarza-obywatela. Czy nie należałoby szczegółowo opowiedzieć o tym, jak zginął? Swego czasu informacje o jego zamordowaniu były bardzo skąpe. A przecież opowiadanie o życiu i zagładzie Jarosława Hałana mogłoby stać się wyrazistym wzorem dla uznanych pisarzy, a zwłaszcza dla literackiej młodzieży. Opowiadanie to ukazałoby jednocześnie oblicze tych mrocznych zdrajców ojczyzny, którzy na służbie CIA w dalszym ciągu prowadzą próby naruszenia naszej jedności, przy użyciu różnych metod — szantażu, ideologicznej dywersji, świadomego oszczerstwa. Opowiedzieć zatem o życiu i śmierci mojego ziomka, Jarosława Hałana”.

Jewgienij Bondarczuk (Łuck)

Oto typowa sowiecka inspiracja społecznego „zapotrzebowania”. Towarzysz Bondarczuk prosi, towarzysz Bielajew wykonuje. Wszystko odbywa się „spontanicznie” i „żywiotowo”.

Okoliczności, w jakich nastąpił zamach i śmierć Hałana, Bielajew opisuje długo i rozwlekle, podając mnóstwo takich szczegółów, o których absolutnie nie mógł wiedzieć. Ale najpierw trzeba podać kilka danych o Hałanie. Urodzony w roku 1902 w Dynowie koło Przemyśla, lata pierwszej wojny światowej spędził jako młody chłopiec w Rostowie nad Donem i tam przejął się ideologią komunistyczną. W roku 1918 wrócił w rodzinne strony, studiował na Wszechnicy Jagiellońskiej, po czym osiedlił się we Lwowie, gdzie przymknął do grupy ukraińskich pisarzy komunistycznych, skupiających się przy czasopiśmie „Wikna”. Już przy końcu lat dwudziestych stał się funkcjonariuszem KPZU i w tym charakterze należał do głównych organizatorów słynnego Kongresu Antyfaszystowskiego we Lwowie (1936). Był bardzo czynny za pierwszej okupacji Lwowa, w 1941 uciekł w głąb Rosji, a po trzech latach zjawił się ponownie. Ukraińskie podziemie antykomunistyczne wydało na niego wyrok śmierci, który po paru nieudanych próbach został wykonany w październiku 1949 roku.

Bielajew przedstawia sprawę tak, jakoby nacjonałści skazali Hałana na śmierć z racji jego działalności publicystycznej i literackiej. Nie jest to ścisłe. Wartość artystyczna utworów Hałana jest bardzo niska. Może najlepsze wyniki osiągał w pamfletach polityczno-społecznych, nie pozbawionych pasji i energicznego stylu. W większych pracach, o pewnych ambicjach literackich (dramat „Weronika”, powieść „Góry dymią”) często staczał się do zwykłej grafomanii. Znienawidzono go nie za to, co pisał, lecz za działalność. Już podczas pierwszej okupacji sowieckiej Hałan dał się wciągnąć do ścisłej współpracy z NKWD, a po powrocie do Lwowa pod koniec wojny, współpraca ta zacieśniła się jeszcze bardziej. W rok później pojechał do Niemiec Zachodnich, gdzie starał się spenetrować obozy dipisów, zamieszkałe przez Ukraińców. I we Lwowie i w Niemczech nie cofał się ani przed denuncjacją, ani przed aktami prowokacyjnymi. To był główny powód, dla którego postanowiono go zgładzić.

Bielajew nie ograniczył się do przedstawienia zamachu, zbudował ponadto całą konstrukcję polityczną. Nacjonałści ukraińscy, którzy zabili Hałana, byli — według Bielajewa — tylko narzędziem, natchnienie szło z daleka, „inni szatani byli tam czynni”. Okazuje się, że cały antykomunistyczny, antysowiecki i antyrosyjski nacjonalizm ukraiński był dziełem wywiadu amerykańskiego. Ukraińska Armia Powstańcza — również.

Idąc konsekwentnie po tej linii, Bielajew dochodzi do logicznego wniosku, że w zabójstwie Jarosława Hałana maczały ręce dywersyjne ośrodki w Stanach Zjednoczonych, Monachium oraz... Watykan. Pod sam koniec artykułu, i żeby było ładniej, przyfastrygowani zostali do tego nacjonalizmu... izraelscy syjoniści. A w ogóle ukraińscy nacjonałści uczyli się metod terrorystycznych od polskiej dwójki, z którą żyli w przykładnej zgodzie. Głównym specjalistą od terroru towarzyszył Bielajew mianuje Józefa Becka. Godne uzupełnienie tego zbioru bajeczek stanowi twierdzenie, że rząd sanacyjny, wbrew sztucznie tworzonemu

pozorem, popierał ze wszystkich sił rozwój nacjonalizmu ukraińskiego, widząc w nim zaporę przeciw komunizmowi.

Bielajew z dużą swobodą porusza się po terenie polskich spraw, wie nawet co dzieje się na emigracji, w polskim Londynie. Powołuje się na pamiętniki Adama Pragiera, wymienia bezbłędnie nazwiska i tytuły. A jednocześnie łączy — bezwstydnie, z całą świadomością i premedytacją. Metoda wypróbowana: szczypta prawdy, beczka kłamstwa. Twierdzi na przykład, że Pawło Szandruk, udekorowany przez generała Andersa orderem Virtuti Militari, brał ze swoimi ludźmi udział w tłumieniu powstania warszawskiego oraz w masowej eksterminacji Polaków i Żydów w obozach śmierci. Przy okazji towarzysz Bielajew rzucił się z całą wściekłością na paryską *Kulturę*.

Oto odpowiedni fragment jego artykułu. Po dłuższych wywodach na temat rzekomej solidarności Izraela z ukraińskim nacjonalizmem Bielajew pisze, co następuje:

„Nie tylko syjoniści wyciągają ku ukraińskim nacjonalistom przyjacielskie ręce, zbroczone krwią arabskich narodów. W swoim przemówieniu do partyjnego aktywu miasta Warszawy, w dniu 19 marca 1968 roku, pierwszy sekretarz KC PZPR, Władysław Gomułka, bardzo dokładnie określił rolę paryskiej *Kultury*, finansowanej przez wywiad amerykański, a „reprezentującej” inny kierunek polityki reakcyjnej, bardziej podstępny i bardziej dostosowany do rzeczywistego stosunku sił”.

„Już od dawna paryska *Kultura* tworzy wspólny blok z ukraińskimi nacjonalistami. Na jej stronicach drukował Pawło Szandruk i jeden z jego opiekunów, były minister z Bonn, polityczny kierownik specjalnego batalionu „Nachtigall”, Teodor Oberlander. Kiedy światowa opinia wypowiadała się przeciw Oberlanderowi, na łamach tejże *Kultury* wystąpił w charakterze jego adwokata nacjonalista Borys Lewyckij, syn byłego petlurowskiego premiera i współpracownika Gestapo w latach niemieckiej okupacji Francji. Ponadto *Kultura* wychwala ukraińską „partyzantkę”, czyli UPA-ę i jej głównego komendanta, Tarasa Czuprynę (Romana Szuchewycza). A przecież *Kultura* doskonale wie, że Jarosław Hałana zabity został na sygnał dany z Monachium, przejęty przez Szuchewycza, pod którego rozkazami działał Szczepanskyj.

Nacjonalistyczne mameluki przedostają się na łamy *Kultury* głosząc na wszystkie sposoby chwałę UPA-y i dywizji SS „Hałyczyna”. Monachijskie koła OUN nazywają Romana Szuchewycza „patronem armii europejskiej”. A jednocześnie nakazują swoim mamelukom szyć przy użyciu wszelkich metod nieboszczyka Hałana, kontynuując zbrodnie, popełnioną przy ulicy Gwardyjskiej, zbrodnię którą opisaliśmy szczegółowo. W 1962 roku w wydawnictwie kanadyjskim „Ligi Wyzwolenia Ukrainy” ukazała się oszczercza książka niejakiego Petra Tereszczuka, który stara się — prawdą, nieudolnie i bezskutecznie — oczernić świetlaną postać pisarza-komunisty, głównie za to, że dążył do pokoju i przyjaźni między wszystkimi narodami”.

Można sobie darować humorystyczne próby wiązania UPA-y z amerykańskim wywiadem, z Watykanem, z izraelskimi syjonistami. Znamienna jest natomiast napaść na paryską *Kulturę* za jej stanowisko w sprawie ukraińskiej. Słowa o „wspólnym bloku z ukraińskimi nacjonalistami” musiały paść, bo to należy do propagandowego rytuału. Istotne jest co innego. Współpraca

polsko-ukraińska a nawet wzajemna wymiana zdań już stanowi niebezpieczeństwo, a zatem inicjatywę zbrodniczą. Współpracę taką można tolerować wyłącznie w jej komunistycznej, „bratniej” formie, pod opieką i ścisłą kontrolą „starszego” rosyjskiego „brata”.

Natomiast każda próba dogadania się poza kontrolą tego „starszego brata” automatycznie staje się dywersją, kierowaną i finansowaną przez ośrodki międzynarodowej reakcji. Bielajew cytuje w zakończeniu swego artykułu fragment szkicu tegoż Jarosława Hałana na osiemsetlecie założenia Moskwy.

„Miasto Moskwa” — pisał Hałan — „obchodzi swoje osiemsetlecie. To na pewno jedyne miasto, do którego nikt nie ustosunkowuje się obojętnie. Przed trzydziestu laty ludzkość rozbiła się na dwa obozy: na tych którzy Moskwę kochają i na tych, którzy Moskwę nienawidzą. Nie ma neutralnych: linia podziału przechodzi przez każdy kontynent, zahacza o serce każdego człowieka. Nie może być inaczej. Kochać Moskwę — znaczy kochać ludzkość, wierzyć w nią, wierzyć w jej dzień jutrzejszy, w imię tego dnia pracować, walczyć, a jeśli trzeba — zginąć w boju. Nienawidzić Moskwy — znaczy być wrogiem ludzkości, wrogiem jej najszczytniejszych dążeń, wrogiem nadchodzących pokoleń”.

Moskwa jako ostateczny drogowskaz i orientacja — oto dogmat dla każdego prawowierznego komunisty. Dla komunistycznego pisarza ukraińskiego najpierw Moskwa, dopiero potem Kijów; dla polskiego — najpierw Moskwa, potem Warszawa. Na tym polega szlachetny internacjonalizm; kto schodzi z tej drogi natychmiast dostaje się na manowce zdrożnego kosmopolityzmu lub nacjonalizmu, zależnie od odchylenia w jedną czy drugą stronę.

Towarzysz Bielajew niby zna się na swojej robocie, wie kiedy pedały trzeba przyciskać mocniej, a kiedy zaledwie muskać. A jednak nie ustrzegł się pewnych łatwych do uniknięcia potknięć. Kilkakrotnie rozdziera szaty nad barbarzyństwem zamachowców, którzy zamordowali Hałana w sposób — według autora artykułu — wyjątkowo okrutny. A w pewnej chwili rzuca mimochodem uwagę, że przywódca nacjonalistów ukraińskich na emigracji, Stepan Bandera, padł ofiarą „zagadkowego zabójstwa”.

Oczywista rachuba na bezkarność, na brak odpowiedniej informacji. W śmierci Bandery nie było absolutnie nic zagadkowego. Został zgładzony przez agenta NKWD, który w jakiś czas później stanął przed sądem zachodnoniemieckim, przyznał się do winy i udzielił szczegółowych informacji.

A co do wybranej metody... Zamachowiec, Mychajło Stachur (pseudo — „Stefko”), zabił Hałana huculską siekierką. Już po pierwszym uderzeniu Hałan stracił przytomność, następnych ciosów nie czuł, ekspertyza lekarska wykazała że prawie wszystkie były śmiertelne. Bandera zginął zatruty cyjankiem potasu, rozpylonym z maleńkiego aparaciku w kształcie zapalniczki. Upřednio identyczną śmierć NKWD zadało innemu ukraińskiemu działaczowi, Lwowi Rebetowi. Jak widzimy, różnica techniki: co

innego prymitywna siekierka, co innego sprytnie skonstruowany mechanizm. Podobno jednak dmuchnięte w twarz cyjankali powoduje zgon w okropnych męczarniach, choć trwają one krótko. Może więc siekierka Stachura była narzędziem bardziej humanitarnym?

„Dalszy ciąg zbrodni...” Ależ oczywiście! Już sam fakt, że ludzie zostali na emigracji, przesądza o zbrodni, nie mówiąc o politycznej działalności antysowieckiej. Jednocześnie mentalność komunistyczna nie pozwala na dopuszczenie możliwości, aby antysowieccy działacze nie byli inspirowani, finansowani i kierowani przez obce ośrodki dywersyjne i wywiadowczo-spiegowskie. Do niedawna wskazywano na trzy główne ośrodki: Stany Zjednoczone (CIA), Niemcy Zachodnie (neohitlerowscy rewizjoniści i odwetowcy), reakcyjny Watykan. Obecnie doszedł międzynarodowy syjonizm z główną ekspozyturą w postaci Izraela.

Ach, to zainteresowanie polskimi sprawami ze strony najbardziej dogmatycznego czasopisma literackiego w Sowietach! Jakiś towarzysz Bondarczuk, zamieszkały w Łucku, troszczy się o losy polskich pisarzy, poddanych dywersyjnym naciskom i pisze list, ale nie do Kijowa, co byłoby bardziej naturalne, lecz do Moskwy i akurat do redakcji „Października”, a jakiś towarzysz Bielażew nie tylko zna na pamięć przemówienia Gomułki, ale ponadto ma do dyspozycji komplet numerów paryskiej Kultury.

Zaiste, zdumiewające zbiegi okoliczności!

Józef ŁOBODOWSKI

Kronika kulturalna

Dwugłos o Sępie-Szarzyńskim i baroku

Ukazały się ostatnio dwie monografie, francuska i polska, poświęcone Sępowi-Szarzyńskiemu. Wcześniejsza z nich, Claude'a Backvisa, ogłoszona w r. 1966 pod przydługim tytułem *En marge d'un problème actuel: „Maniérisme” ou Baroque à la fin du XVI^e siècle. Le cas de Mikołaj Sęp-Szarzyński*, jest, technicznie rzecz biorąc, artykułem (zamieszczonym w XVII tomie brukselskiego *Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves*). Zarówno jednak rozmiary tego artykułu — siedemdziesiąt stron — jak i przede wszystkim rodzaj opracowania sprawiają, iż jest to w rzeczy samej zwięzła monografia poety.

W rok później wyszła w Krakowie spora książka Jana Błońskiego *Mikołaj Sęp-Szarzyński a początki polskiego baroku*. Studium Backvisa pojawiło się zbyt późno na to, aby Błoński mógł je uwzględnić w swych wywodach. Ale w aneksie do książki zdążył on jeszcze przedyskutować najbardziej kontrowersyjny aspekt tego studium, przypisanie przez Backvisa Sępowi wierszy z kodeksu Biblioteki Zamoyskich.

Tak jedna jak i druga praca jest znakomita i wysoko wybija się ponad bieżącą produkcję krytyczną w zakresie staropolszczyzny. Pojawienie się każdej z nich z osobna byłoby wydarzeniem. Ukazanie się ich obu niemal że równocześnie daje też okazję do ciekawych konfrontacji. Obie bowiem uzupełniają się, i to dość paradoksalnie. Najsilniejszą stroną studium belgijskiego uczonego jest jego wirtuozyjna analiza stylistyczna, imponująca zarówno doskonałym zżyciem się autora z szesnastowieczną polszczyzną, jak i zawsze czujną i bystrą wrażliwością artystyczną. Błoński w swej książce rycersko stwierdza, że nie stać go na taką analizę stylistyczną, jaką zademonstrował Backvis. Ta zaś polska książka jest zjawiskiem tak odświeżającym nowym i odkrywczym w dużej mierze dlatego, że wyrosła z inspiracji nowszej historiografii francuskiej, że rodzaj pytań jakie stawia i sposób w jaki stara się na nie odpowiedzieć umiejscawiają ją w zasięgu

wpływów szkoły paryskich *Les Annales*, a w szczególności współzałożyciela tego kwartalnika, Lucien Febvre'a.

Febvre był wybitnym znawcą historii kulturalnej XVI w., umysłowością niepospolicie bystrą i oryginalną. W swoich książkach i licznych recenzjach walczył on zawzięcie ze schematyzmem i z anachronizmami w rozumieniu przeszłości, tępił próby narzucania ludziom dawnych wieków kategorii myślowych, właściwych czasom historyka a ich epoce obcych, i świetnie umiał je demaskować. Jego książka o religii Rabelais'go, która dziś, w ćwierć wieku po pojawieniu się, osiągnęła rangę jednego z klasycznych dzieł historiografii francuskiej naszego wieku, jest polemiką z jego poprzednikiem na katedrze w Collège de France, Abilem Lefrancem. Lefranc z niewątpliwych a czasem i mocno ryzykownych żartów Rabelais'go na tematy dogmatów religijnych wywnioskował, że autor *Gargantui i Pantagruela* był ateistą. Febvre w świetnie udokumentowanym wywodzie pokazał, że żarty te to tylko rezultat spoufalenia się Rabelais'go ze światem dogmatów, życia z nimi na codzień, a nie w odświętnym ceremoniale tylko; udowodnił też, że spotkać się z taką facecjoniastyką można i u pisarzy o nie kwestionowanej religijności. Co ważniejsze, unaoczniał on czytelnikowi, że Rabelais po prostu nie mógł być ateistą, bo w wiedzy o świecie ludzi jego czasów i środowiska brakło dla takiego ateizmu przesłanek. Polemika Febvre'a nie miała w sobie akcentów wyznawczych, wyrosła wyłącznie na gruncie lojalności wobec badanej epoki.

Wyróżniał też Febvre'a *esprit de finesse*, który godził się jakoś u niego z zadzierzystym temperamentem i z żywym, kolokwialnym stylem przedstawienia. Zakochany w bogactwie życia, miał ambicję uchwycenia go w całej skomplikowanej płatańinie jego różnorodnych motywów i aspektów, tępił ryczałtowe ujęcia-etykiety. Był pisarzem wspaniale stymulującym, płodnym i rzutkim, a że wyróżniał się też inicjatywą wydawniczą, wywarł duży wpływ na współczesną historiografię francuską, zwłaszcza w zakresie historii kulturalnej XVI w.

Książka Błońskiego powstała w tej zapładniającej atmosferze i świetnie wyzyskała jej bodźce dla analizy atmosfery kulturalnej i mentalności Polaka pierwszych lat kontrreformacji. Przynosi też dużo więcej niż zapowiada tytuł. Dwa ostatnie jej rozdziały, „Od Kalwina do Loyoli: historia nawrócenia” i „Sęp a początki baroku”, w których autor stara się pokazać Sępa na tle kryzysu religijnego XVI w. i znaleźć jego miejsce w dziejach rozwoju poezji polskiej i analogie zachodnie, bogate są w oryginalne spostrzeżenia na temat kultury Złotego Wieku w ogóle i kierunków rozwoju literatury tych czasów. Niektóre ujęcia literackie są kontrowersyjne, ale wszystkie te uwagi są świeże, pobudzające, otwierające nowe horyzonty i powinny sprowokować dyskusję. Byłaby ona tym bardziej pożądana, że w naszych studiach o Polsce Zygmunto-wskiej tyle jest jeszcze nieprzewietrzonych zakamarków, tyle szablonowych, schematycznych ujęć.

Sęp był pisarzem namiętnie religijnym, autorem najznakomit-

szych polskich liryków religijnych przed Mickiewiczem i bez wgrzyzenia się w jego swoistą religijność nie ma mowy o dogadaniu się z jego poezją. Ale Błoński w wywodach swoich idzie dalej. Stawia tezę, iż ludzie XVI w. tak mocno angażowały sprawy religijne, iż nie można ludzi tych rozumieć bez zorientowania się w rodzaju ich religijności. Na gruncie polskim jest to dziś teza rewolucyjna. Daleko już, na szczęście, odeszliśmy od czasów, kiedy renesans polski ustawiło się przy pomocy kilku szablonowych formulek. Ale pozostały po tych latach jakieś swędy uprzedzeń wobec problematyki religijnej. Poloniści w kraju często traktują ją tak, jak krytyka wiktoriańska traktowała życie seksualne: taktownie jest udawać, że ona nie istnieje, a kiedy już niesposób jej wyminąć, należy załatwić się z nią jak najbardziej ogólnikowo i z dystansu. A trafiają się i próby rozprawienia się z nią metodami, które, zaiste, warto było zostawić „okresowi błędów i wypaczeń”. Błoński cytuje jedną taką wypowiedź — z 1963 r.! — zaskakującą prostactwem myślowym i dezynwolturą w operowaniu faktami, a tym bardziej żenującą, że wyszła spod pióra nie jakiegoś ciury naukowego, ale Bohdana Suchodolskiego.

Błoński subtelnie i głęboko zanalizował sytuację człowieka pierwszego pokolenia kontrreformacyjnego, który był żarliwie katolicki, ale na którego postawie religijnej poważnie zaważył kryzys reformacyjny z jego przesunięciem akcentów z instytucjonalnej więzi kościelnej na indywidualny stosunek jednostki do Boga. Była to religijność pełna dramatycznych akcentów, przerastana paradoksami, z gruntu pesymistyczna w ocenie natury ludzkiej, zła kniona obecności Boga, „Dei absconditi”. Książka Błońskiego bez porównania głębiej i wnikliwiej niż jakiekolwiek inne studium poświęcone poecie zanalizowała świat duchowy Szarzyńskiego, zakresliła jego horyzonty, uzmysłowiła nam swoistą logikę i spójność myślową w spiętrzeniu przepaściściwych paradoksów tej poezji.

Jeśli Błoński postawił sobie przede wszystkim za zadanie odpowiedzieć na pytanie, co właściwie wyraża poezja Szarzyńskiego, to ambicją Backvisa było nade wszystko odsłonięcie mechanizmu wymyślnych zabiegów poetyckich, które takiej ekspresji literackiej służą, strategii zaskakiwania czytelnika nieoczekiwanym słowem, zanalizowania splecionej a mającej swoje uzasadnienie artystyczne składni i nerwowej rytmiki tej poezji.

Dykacja Szarzyńskiego jest gęsta, jak chyba u nikogo innego z poetów staropolskich, i wymagająca skupionej lektury. Wdzięczny to obiekt interpretacji, bo pozwalający odśłaniać nieprzeczuwalne w pobieżnej lekturze finezje tekstu, ale też i trudny, bo Sęp jest mistrzem w sprowadzaniu czytelnika na błędne tropy, w operowaniu zaskoczeniem i wieloznacznością. Dobrym przykładem takich pułapek są początkowe strofy ody na cześć Bato-rego. Warto przyjrzeć się im bliżej i dlatego iż, jak się zdaje, oba studia w analizie tego właśnie tekstu zatrzymały się w pół drogi. Oto tekst ich w brzmieniu — najpoprawniejszego — wydania Sinki:

*Królowi hymn możnemu śpiewajmy, Kamaeny,
Bogu naprzód: bez Boga nic nie godno ceny;
On stworzył, on sprawuje, on oświeca tego
Żywotem, szczęściem, sławą. Król sam zna samego.*

*I to cel jego sprawom: On w pierwszej ojczyźnie,
Gdy moc błąd wziął bezbożny, sam się oparł, iż nie
Zgasa powszechna wiara. Stąd go łaski swojej
Pan naczyniem uczynił, w pokoju, we zbrojei,*

Więszym obojga szczęścia.

Co znaczy tutaj enigmatyczne zdanie „Król sam zna samego”? Sinko tłumaczy je: „Król sam (Batory) zna samego (prawdziwego) Boga”. Zdaniem Backvisa należy je odczytać: „Król zna siebie samego”. Błoński interpretuje je w sensie: „Król zna samego Boga”. Wydaje się jednak, że aby uchwycić intencje poety, należy uznać zdanie to za świadomie niejasne, niedookreślone, tak aby w dwóch różnych kontekstach mogło ono znaczyć dwie różne rzeczy.

Swego czasu w szkicu ogłoszonym w księdze ku czci Maxa Vasmera starałem się pokazać, jak Sęp wyzyskał dla subtelnej gry znaczeń tę okoliczność, że do Kochanowskiego przerzutnia (*enjambement*) była wersyfikacją polskiej nieznana, że więc każdy wers musiał być wtedy całością składniową i znaczeniową. W ósmym dziesiątku wieku, w latach, w których Sęp tworzył, przerzutnie były więc jeszcze innowacjami i czytelnik tradycyjnym nawykiem percypował każdą linię jako pewną całość znaczeniową. Otóż w szkicu swym starałem się dowiedzieć, że Sęp w szeregu wypadków gra na tym tradycyjnym nawyku: wers, jeśli go przeczytać w izolacji, ma pewien swój sens, kiedy jednak przechodzimy do następnego wersu, okazuje się, iż zdanie dopiero tam się kończy i że sens tego zdania, rozłamanego na dwa wersy, jest w jakiejś mierze różny od tego, jaki sugeruje wers w izolacji. Błoński w swej książce uzupełnił jeszcze listę podanych przeze mnie przykładów.

Otóż wydaje się, iż w odzie na cześć Batorego mamy do czynienia z czymś analogicznym, ale w innej skali, strofy, co tym naturalniejsze, że strofa zazwyczaj jest taką zamkniętą całością składniowo-znaczeniową. Spróbujmy odczytać pierwszy czterowiersz w izolacji od reszty tekstu. W takim kontekście słowa „Król sam zna samego” wyglądają jak wniosek, wypływający z tego, co je poprzedza. Król zawdzięcza wszystko Bogu. Bóg go „stworzył żywotem”, „sprawuje szczęściem”, „oświeca sławą”: Bóg, królem sam będąc, wie jakie łaski zlać na ziemskiego monarchę, aby był godny swego majestatu. „Król” jest tu synonimem Boga.

Ale oda nie kończy się na pierwszym czterowierszu. A kiedy przechodzimy do strofy drugiej, to okazuje się, że musimy sens przytoczonych wyżej czterech słów zmienić. „Jego” w wersji

piątym może odnosić się tylko do Batorego: to on w Siedmiogrodzie, „pierwszej ojczyźnie”, wziął katolicyzm, „powszechną wiarę”, w obronę przeciwko reformacji, „błędowi bezbożnemu”. A w takim razie „królem” z wersetu czwartego jest Batory i zdanie „Król sam zna samego (Boga)” najprawdopodobniej należy w kontekście ody rozumieć w ten sposób, że król sam jest dobrze świadom tego, iż wszystko zawdzięcza Bogu (i dlatego, jak czytamy w strofie drugiej, jest gorliwym obrońcą „powszechnej wiary”).

Świat Szarzyńskiego jest światem paradoksów. Tak ma się też rzecz i tutaj. Oda, jak to słusznie podkreśla Błoński, jest tworem rojalisty, przekonanego o sakralnym charakterze monarchii. I dlatego wielbiąc wszechmoc boską, Sęp równocześnie zaciera w wyrazie słownym różnicę między tym co boskie a tym co królewskie. W zdaniu „Król sam zna samego” „król” może oznaczać Boga, ale w ostatecznym rozrachunku oznacza Batorego. Ten sam zaimek „sam”, „samego” odnosi się raz do króla, a raz do Boga. Bóg jest królem na niebie, tak jak król Bogiem na ziemi. Myśl w rzeczypospolitej szlacheckiej zuchwała i zuchwała jej wyraz językowy.

Skoro jesteśmy już przy sprawach spornych, warto też zaprezentować przeciwko jednemu z ujęć Błońskiego, tym bardziej że dotyczy ono pewnego bardzo swoistego rysu psychiki Sępa. „Mówić o nostalgii śmierci — to w przypadku Sępa nieporozumienie” — pisze on w swojej książce (s. 75). Można się z tym twierdzeniem zgodzić tylko o tyle, że w rzeczy samej ani w pieśniach, ani w sonetach taka nostalgia śmierci otwarcie nie doszła do głosu. Inaczej jednak ma się rzecz z jego dwiema odami bohaterскими, „Pieśnią o Frydruszu” i „Pieśnią o Strusie”. Obie pieśni opiewają ludzi, którzy zmarli w walce z niewiernymi, Tatarami. W obu wypadkach podkreślona jest dobrowolność tej śmierci. Służą temu celowi przedśmiertne monologi bohaterów. I Frydrusz, i Struś mają bowiem możliwość ocalenia życia i możliwości tę odrzucając. Chcą walczyć nadal. Nie dla osiągnięcia zwycięstwa. I tu, i tam klęska jest już zgóry przesądzona i w obu wypadkach bohater jasno zdaje sobie z tego sprawę. I Frydrusz, i Struś wyzyskują szansę dobrowolnego opuszczenia tego padołu grzechu i nieszczęścia, korzystają z wyjątkowej okazji, pozwalającej im na popelnienie religijnie usankcjonowanego samobójstwa. Ten charakter obu wierszy szczególnie wyraźnie wychodzi na jaw w końcowym dystychu „Pieśni o Frydruszu”, ważkim właśnie dlatego, że jest końcowy, że ma charakter podsumowania sensu całości:

*Z lepszym Ojczyzny szczęściem, wieczny Panie,
Racz mi naznaczyć tak prętkie skonanie.*

„Tak prętkie” jest tu nieoczekiwanym i dlatego właśnie najbardziej poetycko nośnym określeniem dystychu. Wiersz dyszy nostalgią śmierci.

Rozprawa Backvisa otwiera też na nowo zdawałoby się zamknięty rozdział sporu o kanon poezji Sępa. Wiersze niewątpliwego autorstwa Sępowego wydał w r. 1601, w dwadzieścia lat po śmierci autora, jego brat Jakub w tomiku pt. *Rytmy*. W liście dedykacyjnym Jakub Szarzyński pisze, że to co wydaje, to tylko cząstka obfitej twórczości zmarłego poety. Pod koniec ubiegłego wieku Brückner znalazł w jednym z rękopisów Biblioteki Zamoyskich sporą wiązaną wierszy, poprzemieszanych z wierszami bezspornie Sępowymi, które w r. 1891 wydał jako „Sępa Szarzyńskiego wiersze nieznane”. Od poezji *Rymów* wiersze te są bardzo różne i tematycznie, — są to erotyki, — i stylowo. Brücknerowskie atrybucje są z reguły apodyktyczne, oparte przede wszystkim na wyczuciu, a nie na systematycznej analizie. Przyjęcie autorstwa Sępa tych wierszy narzucałoby swoiste ukształtowanie biografii duchowej poety: miałby on zacząć od pisanja gładkich madrygałów, a potem w swym krótkim życiu — urodził się gdzieś w połowie wieku — przejść przez kryzys duchowy, który by radykalnie zmienił charakter jego poezji.

Lat temu czterdzieści, w r. 1928, Sinko zaatakował Brücknerowską atrybucję jako opartą na zbyt wątpliwych przesłankach. Backvis wznawia proces. Zdaniem jego erotyki kodeksu Biblioteki Zamoyskich wyszły spod pióra Sępa. Posługuje się on tu przede wszystkim dwoma argumentami. Nuta „frasunku”, dowodzi, przewijająca się poprzez te erotyki, łączyłaby je z dojrzałą, pełną pesymizmu twórczością Sępa. Argument ten jednak łatwo obrócić przeciwko jego autorowi. Prawda, „frasunek”, „frasunk”, „frasowanie” należą do kluczowych słów erotyków z rękopisu Zamoyskich: trzykrotnie występują w tytułach wierszy, wielokrotnie w tekście. Ale w wierszach Sępa tych słów właśnie nie uświadczyć. W tej funkcji występują u Sępa „kłopoty” i „ciężkości”. Sępowego autorstwa dowodzi też Backvis argumentem, że erotyki te musiały wyjść spod pióra nie byle jakiego majstra w rzemiośle poetyckim, pisarza o wielkiej sprawności technicznej. Ten dowód udało mu się przeprowadzić, i to świetnie, w analizie najambitniejszego z tych erotyków, wiersza „Do Kasie”. Ale argument ten jest obosieczny. Bo jeśli spodziewalibyśmy się znaleźć i w juvenaliach tak znakomitego poety jak Sęp jakieś zapowiedzi jego wielkiego talentu, to skąd u młodzieńckiego poety, jeśli to Sęp, taka sprawność techniczna, takie panowanie nad materią poetycką?

Ostatecznie najpoważniejszym argumentem, na którym hipoteza o Sępowym autorstwie tych wierszy się opiera, jest pojawienie się ich w przemieszaniu z wierszami Sępa w rękopisie Biblioteki Zamoyskich. Ale szesnastowieczni i siedemnastowieczni miłośnicy poezji nieraz przepisywali wiersze, które im się podobały, mało troszcząc się o ich autorstwo. Stąd to tyle kłopotów i zamieszania z ustaleniem metryk autorskich wierszy tych rękopisów. Ostatnio Tadeusz Witczak pokazał w *Pamiętniku Literackim* jak to Szymonowicowi na dokładniej tej samej zasadzie zbyt pochopnie przypisano autorstwo trzech wierszy religij-

nych, które związane są pochodzeniem z okolicami Krakowa i musiały najprawdopodobniej być tworem jakiegoś duchownego.

Bez względu jednak na to, czy godzimy się czy też nie z hipotezą Backvisa co do autorstwa tych wierszy, pozostanie jego zasługą, że zwrócił uwagę na — niedocenioną — klasę literacką tych erotyków, że je wnikliwie i subtelnie zanalizował.

Oba studia wyraziście unaoczniają czytelnikowi, że w poezji Sępa mamy do czynienia ze sztuką bardzo a bardzo różną od tej, jaką reprezentuje twórczość jego wielkiego poprzednika, Kochanowskiego. Inna, pod wielu względami przeciwstawna, jest tu postawa poety wobec świata, inna konstrukcja bohatera lirycznego, inna strategia poetycka. Backvis mówi w związku z Sępem o „zerwaniu” (*rupture*) z tradycją renesansową, i teza ta jest w jego studium bogato i przekonująco umotywowana. Najoczywiście, Sęp inauguruje w polskiej tradycji literackiej nowy styl, renesansowemu przeciwstawny.

Co to za styl? Błński uważa Sępa wraz z Grabowieckim i może Skargą za przedstawicieli polskiego manieryzmu. Termin „manieryzm” przyjęty został przez historyków literatury z historii sztuki i stał się ostatnio, co tu dużo mówić, modny. W świeżo np. wydanej porównawczej literaturze słowiańskiej D. Tschizewskiego, *Vergleichende Geschichte der Slavischen Literaturen*, mamy we wstępnym rozdziale wykres następstw stylów w literaturach europejskich. Manieryzm figuruje tam jako styl przejściowy między renesansem a barokiem. Ale, rzecz znamienna, przy omawianiu poszczególnych literatur słowiańskich XVI w. autor ani razu pojęciem „manieryzmu” się nie posługuje. I trudno mu się dziwić. Termin to w nauce o literaturze tak proteuszowej zmienności, tyle różnych i sprzecznych rysów uśłowiano nim objąć, że jego wartość poznawcza jest właściwie żadna. Stwierdzić to można i na Błńskiego wywodach o manieryzmie. Pisze on w swej książce, że hiszpański „Escorial nasuwa nieodparcie skojarzenie z „manieryzmem” — jeśli manieryzmem nazwać ów pobożny, skupiony i surowy styl początków kontrreformacji”. Ale na tejże stronie (228) cytuje on z aprobatą zdanie francuskiego badacza, V. L. Tapié: „manieryzm okazuje się więc jednocześnie badaniem tajemnicy stylu, techniki czy smaku oraz poszukiwaniem wdzięku, starannej elegancji i wyrafinowania”. Ale przecież w świecie wdzięku, starannej elegancji i wyrafinowania jesteśmy na antypodach stylu surowego i skupionego. Dla Błńskiego manieryzm to par excellence sztuka pierwszego, żarliwego w wierze pokolenia kontrreformacji. Świeżo wyszła drukiem ciekawa angielska książka Johna Shearmana *Mannerism*, traktująca przede wszystkim o sztukach plastycznych (a marginalnie tylko o literaturze i muzyce). Jeśli wierzyć Shearmanowi, to kontrreformacja właśnie położyła kres manieryzmowi, widząc w nim niebezpieczeństwo dla sztuki religijnej. Manieryzm charakteryzuje bowiem według Shearmana „sterylizacja uczuć”. Manierysta — dowodzi on — nie chce wzruszać. Ambicją jego jest zachwycenie widza swoim artyzmem, pomy-

słowością w rozwiązywaniu trudnych problemów technicznych. Religijny temat był więc dla manierysty tylko pretekstem i dlatego kontrreformacja styl ten zwalczała. Nie zmieścić Sępa w tak pojętym manieryzmie.

Zapewne, w określeniu wszystkich stylów, epok literackich, panuje duża rozbieżność zdań. Nic łatwiejszego nad przykłady. Ale poprzez tę rozbieżność utarł się pewien consensus, usankcjonowany przez zwyczaj językowy. Nikt nie nazwie *Gargantui* powieścią realistyczną, *Odprawy posłów greckich* barokowym dramatem, a *Balladyny* klasyczną tragedią. Dlatego terminy te, jeśli tylko posługujemy się nimi ostrożnie, mają pewną, ograniczoną, wartość poznawczą, umożliwiają nam porządkowanie świata zjawisk literackich (czy w ogóle artystycznych). W odniesieniu do manieryzmu consensus taki, jeśli idzie o literaturę, nie istnieje. I dlatego lepiej zostawić go opiece historyków sztuki.

Błoński nie ma w sobie nic z pedanta, opętanego manią szuladkowania, nalepiania etykiet. Przeciwnie, jest on szczególnie wyczulony na bogactwo, różnorodność, wieloaspektowość zjawisk historycznych i ma też wyostrzoną świadomość tego, jak nie-szczelnie wszelkie nasze kategorie systematyzacji przylegają do ujmowanych przez nie zjawisk i przez to wypaczają je. Model manieryzmu, jaki sobie zbudował, skonstruowany został wokół Szarzyńskiego i ad usum Szarzyńskiego. Dzięki temu w niczym nie wypacza analizy poezji Sępa: nic nie trzeba było w tej analizie naginać. Ale przez to też jest zbyteczny, jest metodologicznym pleonazmem.

Albo raczej w ogólnej strategii książki jest metodologicznym eufemizmem. Ostatnie zdanie Błońskiego roboczej definicji manieryzmu brzmi: „Manieryzm to jakby poetyka baroku w materiale renesansu” (s. 254 — podkreślenia Błońskiego). Nie bardzo wiadomo, co rozumieć tu przez „materiał”. Jeśli świat przedstawić, to jest on w wypadku Sępa bardzo różny od renesansowego. A jeśli idzie o wzory antyczne i renesansowe, to poeci siedemnastego wieku równie gorliwie wertowali i parafrazowali Horacego, jak ich poprzednicy z w. XVI, a Wacław Potocki czytywał się w Erazma na pewno nie mniej usilnie niż Kochanowski. Ale mniejsza o to. Ostatecznie styl utworu literackiego wyznacza jego poetyka i jeśli „manieryzm to jakby poetyka baroku”, to jesteśmy w domu: Sęp był pierwszym polskim poetą barokowym. Że zajmuje w polskim baroku pozycję odrębną, cóż w tym dziwnego? Był przecież wybitnym poetą, ostro zarysowaną indywidualnością pisarską. I uformował się w sytuacji historycznej różnej od tej, w jakiej przyszło żyć pisarzom, powiedzmy, połowy XVII w.

Książka Błońskiego nosi tytuł *Mikołaj Sęp Szarzyński a początki baroku polskiego*. Końcowy jej wydźwięk to „przypisek zupełnie nienaukowy” w obronie baroku przeciwko tym naukowym bigotom, którzy wystawiają epokom kulturalnym cenzurki, w obronie przeprowadzonej w imię zasady, że „wszystkie bez wyjątku wieki wnoszą wiarę swą i myśl we wspólny skarbiec”.

Studium Backvisa, jak sam jego tytuł uprzedza, zmierza ku temu, aby odpowiedzieć na pytanie, jaki to właściwie zakręt w dziejach rozwoju poezji polskiej wyznacza twórczość Sępa. Odrzuca „manieryzm” jako określenie wieloznaczne, wprowadzające zamieszanie. Etap przejściowy między renesansem a barokiem? Nie. Wywody Backvisa zmierzają ku temu, aby przekonać czytelnika, że mamy tu do czynienia z ostrzejszym skretem, z „zerwaniem” z tradycją renesansu (... „dans une partie nécessairement cardinale — une rupture dans le flux de la continuité”, s. 153), z estetyką w pełni i świadomie barokową („une affirmation première, souveraine et consciente d'une esthétique délibérément baroque”, tamże). Warto przytoczyć końcowy ustęp jego studium. Słowa są tu starannie i ostrożnie wyważone i dlatego najlepiej będzie przytoczyć je tu w oryginale:

„En tant qu'artiste Sęp-Szarzyński est un fils de la Renaissance; ce qu'il nous a laissé a plein droit de figurer au tableau d'honneur de ce que les cultures littéraires slaves doivent à l'Humanisme. Mais je crois qu'il faut reconnaître aussi bien qu'il a été plus que le précurseur d'un art baroque sortant de la Renaissance, bénéficiant de ses leçons et les tournant déjà contre elle. Introduire à son propos la catégorie transitoire de maniérisme ce serait brouiller les perspectives, ce serait affaiblir ce que son cas offre de plus saisissant: une discontinuité résolue à la fois passionnée et calculée, qui intervient dans le cadre de la continuité d'une culture” (s. 220).

A zatem: znakomity poeta barokowy, którego twórczość rozkwitła już w ósmym dziesięcioleciu XVI w. Przeciwnie tak wczesnemu datowaniu początków baroku wyczuwało się pewne opory wśród historyków literatury polskiej. Dla Jadwigi Sokołowskiej, której zawdzięczamy warszawskie wydanie poezji Sępa z r. 1957, „Szarzyński obok Kochanowskiego to jeden z nielicznych poetów renesansowych, który stworzył własny styl poetycki”, co najwyżej prekursor baroku, ale poeta renesansowy, i odrębna barwa stylowa jego poezji jest tylko świadectwem, przemawiającym na korzyść „bogactwa kultury Renesansu”. Dla Juliana Krzyżanowskiego, autora najlepszej, jaką rozporządzamy historii starszej literatury polskiej, *Historia literatury polskiej. Alegoryzm — preromantyzm*, w tym sensie (zwrotu do katolicyzmu) jest Sęp zwiastunem, a częściowo nawet pionierem baroku, jakkolwiek pisarzem barokowym w pełnym znaczeniu tego wyrazu nazwać go niepodobna. „W poezji jego — czytamy u Krzyżanowskiego — przeblaskują promienie zachodzącego słońca renesansu”.

Analogiczne wahania i zastrzeżenia znaleźć można i poza granicami Polski. Znakomity włoski polonista Giovanni Maver charakteryzował wprawdzie w wydanym w r. 1958 zwięzłym zarysie *Letteratura polacca* sztukę Sępa jako „l'arte (...) involuta, ermetica-barocca”, ale jeszcze w cztery lata wcześniej w studium „Considerazioni sulla poesia di Mikołaj Sęp Szarzyński” miał poważne wątpliwości co do tego, czy można Sępa bez zastrzeżeń zaliczać do baroku.

Łatwo wątpliwości te zrozumieć. Sęp umarł na trzy lata przed Kochanowskim. Poezja jego jest więc współczesna z apogeum polskiej poezji renesansowej. *Psalterz* Kochanowskiego wyszedł drukiem w r. 1579, *Treny* w r. 1580, a *Fraszki* i *Pieśni* już po śmierci Szarzyńskiego. Wygląda więc na to, że pierwszy i chyba najznakomitszy polski poeta barokowy tworzył w momencie największego rozkwitu polskiej poezji renesansowej. Jak to wszystko pogodzić z jakąś „porządną” periodyzacją literacką?

Co więcej, przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że prądy literackie docierały do Polski z Zachodu z opóźnieniem. Tak się miała rzecz z renesansem. Podobnie było i z oświeceniem. O ileż później utorowało ono sobie drogę do Polski niż np. do Niemiec. Toż samo obserwujemy przy narodzinach romantyzmu. Za przełomową datę uważa się u nas pojawienie w r. 1822 pierwszego tomiku *Poezji* Mickiewicza. Jest ona o bez mała ćwierć wieku późniejsza od daty pojawienia się *Lirycznych ballad* Coleridge'a — *Wordswortha* czy *Hymnów do nocy* Novalisa. Jeśli więc przyjmujemy, że przed rokiem 1581 tworzył w Polsce znakomity poeta barokowy, mielibyśmy tu do czynienia z sytuacją wyjątkową. Tym razem nie byłoby żadnego opóźnienia w recepcji nowego prądu literackiego z Zachodu.

W niechęci do uznania tak wczesnej recepcji baroku wyczuwa się też pewne opory emocjonalne: czy nie wyrządzamy w ten sposób despektu renesansowi, stylowi, który w świadomości ogółu kojarzy się ze Złotym Wiekiem rozkwitu kultury staropolskiej? — Zrozumiała to reakcja: „Verweile doch, du bist so schön!” Ale trzeba też uświadomić sobie, że tak szybka recepcja baroku to jeden więcej tytuł chwały polskiej tradycji renesansowej. Renesans polski był prądem o wąskiej postawie społecznej, ale mimo to bardzo dynamicznym i intensywnie przeżywanym. I jest wielką zasługą pisarzy renesansowych, że w ciągu dwóch pokoleń potrafili nadrobić nie tyle jakie zaległości kulturalne i stworzyć atmosferę kulturalną, w której był możliwy rozkwit wielkiej sztuki Sępa, ideałom renesansowym w znacznej mierze przeciwstawiającej się. Podobnie długowieczność polskiego baroku, który u nas dożywał swych dni jeszcze głęboko w wieku XVIII, jest dowodem zastoju kultury polskiej pod koniec XVII i pierwszej połowy XVIII w., rozluźnienia się jej więzów z Zachodem.

Nie należy też sobie, rzecz prosta, zmiany stylów literackich wyobrażać jak zmiany warty wojskowej: z chwilą pojawienia się nowej kompanii wartowniczej stara znika z placu. W życiu literackim — na szczęście — sprawy te tak prosto nie wyglądają. Dla autora tych słów ostatnim wybitnym osiągnięciem polskiej poezji renesansowej są *Sielanki* Szymonowica, które pojawiły się drukiem w trzydzieści trzy lata po śmierci Sępa. Szymonowcowi barok nie był obcy i nie mógł być obcy, zważywszy na lata, w których przyszło mu żyć. Toteż jego wcześniejsza poezja łacińska jest wyraźnie barokowa. Ale w *Sielankach* Szymonowic postanowił nawiązać do tej tradycji, którą reprezentowali „dawni dobrzy kantorowie”, i *Sielanki* są cyklem, utrzymanym w ra-

mach poetyki renesansowej, z tym tylko zastrzeżeniem, że ich kunsztowna prostota jest, mówiąc z angielska, *self-conscious*, że czuje się tu świadomą stylizację.

Narodziny zatem poezji barokowej w ósmym dziesięcioleciu XVI w. nie stanowią jeszcze automatycznie daty, zamykającej okres literatury renesansowej w Polsce. Ale sam fakt narodzin wtedy tej poezji po studiach Backvisa i Błońskiego nie może podlegać wątpliwości. Oba one uświadomiły nam bowiem w sposób szczególnie sugestywny i przekonujący swoistość i odrębność liryki Sępa, pierwszego polskiego poety barokowego i drugiego obok Kochanowskiego wielkiego poety Złotego Wieku.

Wiktor WEINTRAUB

Międzynarodowa wystawa sztuki gotyckiej w Paryżu

Paryska wystawa sztuki gotyckiej Europy, ostatnia z czasowych wystaw Luwru* budzi bardzo sprzeczne wrażenia.

Niewątpliwym jej walorem jest zgromadzenie znacznej ilości wybitnych dzieł oraz ukazanie sztuki środowisk mało dotąd znanych, a odznaczających się oryginalnością i bardzo wysokim poziomem artystycznym. Dotyczy to w pierwszym rzędzie zabytków Norwegii — tak malarstwa ołtarzowego jak zabytków złotnictwa czy rzeźby.

W sumie jednak wystawę trudno uznać za sukces, zwłaszcza wobec leżącego u jej podłoża niezwykle ambitnego zamiaru ukazania syntetycznego obrazu gotyku, jednej z niewątpliwie najważniejszych i najbardziej twórczych epok sztuki zachodnio-europejskiej.

Zorganizowanie wystawy pod auspicjami Rady Europy ułatwiło niewątpliwie dotarcie do zbiorów najcenniejszych kolekcji muzealnych wielu krajów, tym więc bardziej szkoda, że szansa ta zastała tylko częściowo wykorzystana.

Wyda się że u podstawy tego faktu leżą różne przyczyny, od czysto technicznych poczynając.

Wystawa eksponowana w Pawilonie Flory, jednym chyba z najbardziej nieodpowiednich wnętrz do tego celu, nie mogła uzyskać jasnego i logicznego układu pozwalającego odczytać bez wątpliwości ideę przewodnią jej autorów. W dodatku małe wnętrza rozłożone na kilku poziomach dawały bardzo ograni-

* Europe Gothique — 2. IV. - 1. VII. 1968.

czoną możliwość kontaktu z eksponatami, szczególnie o monumentalnej postaci, skomponowanymi do wnętrza o wręcz przeciwnych właściwościach. Te mankamenty, jakkolwiek istotne nie wydają się najważniejsze. Źródła wątpliwości leżą znacznie głębiej i dotyczą problemów zasadniczych dla pojmowania zjawisk przeszłości artystycznej.

Jakkolwiek muzealnictwo jest bezpośrednio związane z historią sztuki nie jest jednak jej integralną częścią, jest specyficzną gałęzią wiedzy, mającą swe własne prawa i tradycje, które choć powinny opierać się na przesłankach historycznych, mają swą autonomię i ulegają jedynie powolnej modyfikacji w ślad za postępującym rozwojem wiedzy historycznej.

Już sam paradoksalny fakt, że muzealnictwo jest dziedziną znacznie starszą niż historia sztuki, która właściwie wyrosła na jego podłożu, powoduje jego konserwatyzm.

Zresztą nikt nie neguje praktycznej niezbędności oparcia klasyfikacji zbiorów na przesłankach może uproszczonych, ale odznaczających się jasnością i obiektywizmem.

Jednak w organizowaniu wystaw o charakterze *sensu stricto* historycznym metoda muzealna zawodzi. Podstawą bowiem w klasyfikowaniu dzieł sztuki w sensie stylistycznym jest dla niej wyłącznie chronologia. Tak więc w jej rozumieniu gotykiem jest to wszystko co powstawało w krajach zachodniej tradycji kulturalnej między rokiem 1150 a 1400.

Pomijając utylitarne podstawy takiej klasyfikacji przyznać trzeba, że opiera się ona na wiedzy historycznej ubiegłego stulecia, kiedy to w myśl Micheletowsko-Burkhardowskiej historiografii wszystko to co pochodziło z XV stulecia kwalifikowano do renesansu, lub też uważano za epigonizm średniowiecza, którym nie warto zaprzątać sobie uwagi.

Oba te punkty widzenia są dziś co najmniej wątpliwe.

Historiografia owych czasów analizę renesansu opierała na kulturze Włoch, o tyle nie miarodajnej, że chociaż był to rejon, w którym renesans najwcześniej zaczął kiełkować, był on jednocześnie obciążony tradycją antyku i ciągłości, a gotyk właściwie jedynie otarł się o jego kulturę i to niemal wyłącznie w części północnej, przede wszystkim w Lombardii.

Tym niemniej francuscy muzealnicy ten tradycyjny punkt widzenia stosują bez zastrzeżeń, mimo że w samej Francji najwyraźniej ujawnia się jego nieadekwatność w stosunku do materiału historycznego. Tu przecież renesans ugruntował się szczególnie późno — bo dopiero w drugiej ćwierci XVI stulecia, w wielu dziedzinach (np. w architekturze miejskiej) w ogóle nie zapuszczając korzeni.

Wskutek więc wyłączenia z wystawy materiałów XV stulecia skazano na nieobecność zabytki o ogromnym znaczeniu, często należące do szczytowych osiągnięć owej epoki...

Z drugiej strony włączanie do wystawy wczesnych zabytków opierając się na przesłankach chronologicznych spowodowało, że na wystawie oglądaliśmy wiele, znakomitych zresztą, dzieł

nie z gotykiem nie mających wspólnego, reprezentujących najzupełniej romańską konwencję formalną i estetyczną.

Dotyczyło to zwłaszcza kapitalnych malowideł ołtarzowych, pochodzących z Katalonii, zarówno z jej hiszpańskiej obecnej jak i francuskiej części.

Zabytki te często znajdujące się w prowincjonalnych kościołach czy muzeach są bezpośrednio trudno osiągalne dla widza, a jednocześnie z tego rejonu pochodzi duży i stosunkowo kompletny zespół malowideł dający historyczny obraz stylu malarstwa tablicowego epoki romańskiej, malarstwa które bądź całkowicie uległo zagładzie gdzie indziej, bądź też zachowało się jedynie w niezwykle fragmentarycznej postaci.

Włączanie ich jednak do epoki gotyku jest oczywistym nieporozumieniem. Istotnie, w czasach z których one pochodzą gotyk już istniał i nawet dominował w architekturze czy witrażownictwie, ale obok niego stale współistniała konwencja sztuki romańskiej, szczególnie silna w malarstwie czy miniaturstwie. Tu więc przesłanki stylistyczne winny być decydujące, szczególnie że wystawa adresowana jest do szerokiego grona odbiorców, którzy winni znaleźć w niej także możliwie szeroką i dokładną informację.

Innym mankamentem wystawy jest jej bardzo nierównomierna reprezentacja środowiskowa. Oczywiście dobrze się stało, że uniknięto nadmiernego eksponowania sztuki francuskiej i tak powszechnie znanej, ograniczając się do jej szczególnie charakterystycznych elementów. Dobrze też, że starano się ukazać sztukę środowisk mało znanych, co jest szczególnie ważne dla historyków kultury, w sumie jednak wystawa nie spełnia swej głównej roli, nie daje kompletnego i syntetycznego obrazu sztuki gotyku, ani w jej podstawowych ani w szczególnych elementach.

Pozostawmy jednak na razie przy pozytywach. Do najważniejszego z nich należy ukazanie w bogaty i wszechstronny sposób zabytków skandynawskich, szczególnie Norwegii i Danii, w znacznie mniejszej mierze Finlandii i Szwecji.

Sztuka tego regionu stosunkowo słabo dotąd spopularyzowana poprzez reprodukcje, odznacza się dwoma niezwykle istotnymi wartościami — wysokim, wyrównanym poziomem techniki artystycznej, w niczym nie ustępującym sztuce środowisk uważanych za „wzorcowe” dla tej epoki, i oryginalnością wielu motywów zdobniczych, czerpanych z tradycji rzeźby w drzewie i zdobnictwa okrętowego. Przykładem są zwłaszcza relikwiarze zdobione zwieńczeniami naśladowującymi rzeźbione dzioby łodzi.

Wystawa obrazuje w zasadzie wszystkie dziedziny bogatej w różnorodność form sztuki średniowiecznej, a więc malarstwo tablicowe i ściennie, rzeźbę kamienną i drewnianą, odlewnictwo, czy wreszcie złotnictwo (w postaci relikwiarzy i sprzętów kościelnych) czy witrażownictwo i malarstwo książkowe.

Jakkolwiek dominujący akcent położono na różnych formach malarstwa monumentalnego i rzeźby, wszystkie wystawione dzieła

dziny cechuje staranny dobór eksponatów, bardzo wyrównany pod względem ich wartości artystycznej.

Oczywiście omawianie i szczegółowa analiza choćby najważniejszych z nich miałyby się tu z celem — jak zwykle nieobce będzie nam tu (i celowe chyba) podjęcie odwiecznego problemu „słoni a sprawa polska”.

Otóż sztuka polska na wystawie nie jest reprezentowana. Zasadniczym powodem jej nieobecności jest chronologiczne ograniczenie wystawy do końca wieku XIV. Polska, jak wiemy, nie posiada zabytków gotyckiego malarstwa z okresu poprzedzającego wiek XV. A raczej posiada je, ale tu powstają pewne problemy — mianowicie problemy dziedzictwa — czy i w jakim stopniu sztukę z okresu podziału dzielnicowego, powstałą na obszarach które nie weszły o obręb państwa polskiego w okresie XIV-towiecznego zjednoczenia można uważać za sztukę polską (szkoły — śląska i pomorska)... Niewątpliwie słusznie Michał Walicki, publikując zabytki XV wieku wyłącza z nich zabytki śląskie uwzględniając pomorskie dopiero z drugiej połowy stulecia. Postawą klasyfikacji były tu fakty historii politycznej, ale wiek XIII i pierwsza połowa XIV mają inne oblicze, fakt nieistnienia wówczas zjednoczonego państwa polskiego nie powinien stać na przeszkodzie pokazaniu sztuki księstw dzielnicowych, nawet jeśli przynależność etniczna ich twórców jest problemem otwartym — chodzi przecież o Europę, taką jaką wówczas była.

Pomijając ten moment wystawa nie ograniczała się do malarstwa monumentalnego, a przecież zasoby polskiego malarstwa miniaturowego z XIII i XIV wieku, czy zabytków sztuki użytkowej stanowią materiał w pełni umożliwiający udział w wystawie.

Wspomniane poprzednio ograniczenie chronologiczne odebrało też najważniejszy atut sztuce niemieckiej, podobnie jak polska najpełniej wypowiadającej się w wieku XV, tym niemniej ukazano z niej sporo.

Oczywiście polskie malarstwo książkowe jest dopiero dziś przedmiotem intensywniejszych studiów, ale stopień w jakim jest ono znane jest w pełni wystarczający jako podstawa do zorganizowania odpowiedniej ekspozycji.

Stoimy tu więc wobec jeszcze jednego znaku zapytania trudnego do wyjaśnienia.

Znając ambicje Muzeum Narodowego trudno przypuścić, że chodzić tu może o zwykłe przeoczenie szansy. Wystawa nie ograniczała się też w sensie organizacyjnym do Zachodniej Europy — mieliśmy na niej bogato reprezentowane malarstwo czeskie w postaci dzieł pochodzących głównie z praskich zbiorów.

Malarstwo czeskie jeszcze raz potwierdziło w konfrontacji ze sztuką całej Europy swe walory — wysoki poziom warsztatu, a szczególnie wartości kolorystyczne i własną indywidualność.

Wystawa mimo braków w pełni uzmysłowiła zwiedzającym fakt jedności kultury zachodniej w tej odległej epoce. Sam często byłem uderzony dziwną znajomością wielu obrazów czy

miniatur, nasuwających tyle analogii z zabytkami znanymi z Polski, aby po odczytaniu tabliczki informacyjnej przekonać się że eksponat pochodzi z np. południowej Kastylii...

Mimo różnych lokalnych szczegółów jedność gotyku od Półwyspu Iberyjskiego aż po Skandynawię jest oczywista i wystawa w pełni ją uwidoczniła.

Adam SUTKOWSKI

Niezbędne przypomnienie

Poniższy artykuł prof. Tadeusza Kotarbińskiego, napisany w okresie czytelni profesorskiej na Uniwersytecie Warszawskim po rewolucji studenckiej, został (jak nas informują) odrzucony przez szereg pism w kraju. Znalazł w końcu gościnę w majowym numerze (20) Biuletynu Towarzystwa Kultury Moralnej, małego piśmiątka wydawanego techniką powielaczową. Tekst prof. Kotarbińskiego otwiera numer Biuletynu.

W obliczu teraźniejszości wiele osób godnych szacunku domaga się, aby zostały przypomniane istotne postulaty warstwy nauczycielskiej i tych wszystkich, którzy się solidaryzują z jej stałymi zadaniami. Albowiem wykonywanie tych zadań wymaga określonych warunków. Spróbujmy dokończyć ich przegląd.

Ktokolwiek ma czelegokolwiek nauczać, w szkole czy drogą publikacji, musi posiadać dość pełne i autentyczne informacje o rzeczywistości. Brak informacji, informacje cząstkowe tylko, zwłaszcza jednostronne, a nade wszystko informacje niezgodne z rzeczywistością zniekształcają funkcję nauczania: jej produkt, zamierzona podobizna bytu, staje się tego bytu deformacją. A nauczyciel jest niejako portrecistą rzeczywistości i nie może jej portretować inaczej, jak tylko tak, jak ją widzi. To znaczy musi ją opisywać zgodnie z własnym o niej przekonaniem. Trzeba tedy urabiać przekonania warstwy nauczycielskiej w kierunku ich racjonalizacji, by za prawdziwe miano nie złudne mniemanie, lecz tezy prawdziwie obiektywne. Środkiem do tego niezastąpionym, oprócz dostarczania wiedzy niespornej i ustalonej, jest dialog, rzeczowa i logiczna perswazja. Ta zaś dochodzi do skutku tylko jeżeli uczestnicy rozmowy nie mają powodu do obaw, że ich wypowiedzi staną się dla nich przyczyną życiowych utrudnień i jeżeli nie będzie we wspólnym roztrząsaniu tematów nietykalnych, gdyż wszystko wiąże się ze wszystkim i wszelkie bariery tematyczne paraliżują pełnię analizy. Jeśli systematycznie są wyróżniane dodatnio oznajmienia określonej treści a ujemnie oznajmienia z nimi niezgodne, powstaje okazja do głoszenia nie tego, w co się wierzy, lecz tego, co się podoba oceniałcem. Zaczyna się szerzyć nieszczerłość wypowiadających swoje rzekome przeświadczenia i uzasadniona nieufność oceniałcych te wypowiedzi do ich autorów. A ludzie rzetelni popadają wtedy łatwo w milkiwość i przestaje się mieć z nich pożytek mimo ich kompetencji. Straty mogą się stać niepowetowane, jeżeli milczenie przymusowe lub milkiwość samoobronna paraliżują produkcję wypowiedzi znawców i specjalistów w danej dziedzinie niezastąpionych.

Kwestie dydaktyczne łączą się nader ściśle z kwestiami wychowawczymi, te zaś z kwestiami etycznymi. Wszystkie te kwestie obchodzą jak najżywiej świat nauczycielski. Nie może on sobie nie cenić objawów uznania, szacunku i zachęty, zastępujących często osobom z tego świata należyte świadczenia materialne.

Ważny jest tedy ogromnie stosunek ogółu do wypracowanych przez danego kogoś zasług. Wszelako w ferworze zmagani społecznych często właśnie zasługi, zwłaszcza dawniejsze, ulegają zapomnieniu lub przeoczeniu a małą zyskują wagę przy ocenie działań poszczególnej osoby w porównaniu z tym, co ściągnęło na siebie ocenę negatywną. Traci się wtedy współdziałanie ludzi wysoce umiętnych, do marnotrawstwa dołączając niesprawiedliwość. Błędem w ocenach sprzyja, a zarazem bywa ich skutkiem nader niepożądanym, jeżeli łatwy znajdują posłuch i łatwo przechodzą w fazę realizacji oceny negatywne ferowane na mocy oskarżeń bez wysłuchania obrony, zwłaszcza jeżeli obrona w ogóle nie została umożliwiona. A cóż jeśli oskarżony musi się tłumaczyć nie z tego, co sam uczynił, lecz z tego, co od niego bynajmniej nie zależy, na przykład ze wskaźników antropologicznych i tym podobnych parametrów.

Tadeusz KOTARBIŃSKI

ALEKSANDER WAT CIEMNE ŚWIECIDŁO

Poezje zebrane
Okładka Jana Lebensteina
Stron 244.

CENA: We Francji Frs. 20,00
W Anglii Sh. 30/-
W USA i innych krajach \$ 4,25

Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:
LIBELLA
12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE-PARIS IV

Straty kultury polskiej

Dwaj Ledniccy

Być może, nie powinienem pisać tego wspomnienia. Po pierwsze, Aleksandra Lednickiego poznałem dopiero gdy był człowiekiem starym, kiedy swoją epokę „bohaterską”, aktywną, czynną już miał za sobą, gdy ponadto żył już w innej epoce, w innym otoczeniu, w innych warunkach od tych, wśród których przypało mu działać i odgrywać rolę. *La vieillesse est un naufrage* — powiada francuskie przysłowie, a Lednickiego poznałem, gdy był już po sześćdziesiątce. Po drugie, mam wobec śp. Aleksandra Lednickiego osobiste długi wdzięczności. Jako młodego chłopaka, nie znającego nikogo w Warszawie, zapraszał mnie, i okazywał mi stale życzliwość: sam w niczym nie mógł mej „kariery” życiowej pomóc, ale gdyby mógł, myślę, że byłby to z pewnością uczynił. Jeszcze więcej życzliwości okazał memu bratu, który bodaj że przez kilka miesięcy kręcił się u niego w domu, za studenckich swych czasów, w charakterze archiwisty czy sekretarza — nie skleję, bo sam wówczas przebywałem na drugiej półkuli. Jeżeli jednak zabieram się tak późno do skreślenia mych wspomnień o Aleksandrze Lednickim i jego synie, to czynię to w interesie przyszłych historyków — nekrologi są u nas pisane zwykle albo w formie panegiryków, straszliwie przesadnych, albo też w formie paszkwili, niesmacznych, a często także kłamliwych. Póki żył śp. Wacław Lednicki, nie było sposobu napisania obiektywnego zdania o jego ojcu; jego miłość synowska, wzruszająca, godna szacunku, była jednak najbardziej namiętą, najbardziej bezwzględna, z jaką dane mi było kiedykolwiek się spotkać: postać ojca była dla Wacława Lednickiego świętością nad świętościami; najlżejsza wątpliwość, co do trafności jego roli, czy chociażby niewiara w niećność jego przeciwników już była dostatecznym powodem, by zrobić sobie z niego wroga do końca życia.

Próżno go nawoływałem, prywatnie i listownie, by dał spokój swej zjadliwej polemice z także zmarłym w międzyczasie płk. Wasilewskim *ex re* sporu, który kiedyś dzielił obu ich ojców: W. Lednicki pozostawał nieubłagany; każdy krytyk czy antagonyista jego ojca był dla niego tylko „oszczercą”, tylko „łotrem” i „kłamcą”.

Wydaje mi się, że Aleksander Lednicki odegrał pewną rolę, rolę dodatnią przed wojną i po wojnie, choć nie tak wielką i nie tak ważką, jak się to zdawało jego synowi; że więc wrażenie, które wywarł po wojnie na młodym studencie, później młodym człowieku, może rzucić pewne światło na kwestię, dlaczego Aleksander Lednicki nie zdołał odegrać żadnej roli w niepodległej Polsce. Nienawisć, którą go ściagała „Endecja”, sama nie wystarcza do wytłumaczenia tego fenomenu.



Kijów był za daleko od Moskwy i Petersburga, byłem poza tym za młody — sztubak u Naumienki, później w polskim gimnazjum na Rylskim zaułku — by działalność Lednickiego, jako prezesa Komisji Likwidacyjnej, była mi bliżej znana, bym się nawet z nią osłuchał. Gdy staram się te wspomnienia z czasów kijowskich odtworzyć, to widzę postaci cara, Trockiego, Rakowskiego; trupy wykopywane tuż za naszym ogrodem z masowych grobów Czerwyczy; płaczą mi się po głowie różne mniejsze nazwiska i postaci, ale Bogiem a prawdą nie pamiętam, bym nad Dnieprem kiedykolwiek się nad rolą Lednickiego pochylił, cóż dopiero zastanowił. W Polsce utrzymanie się na powierzchni, po katastrofie majątkowej i każdej innej, skończenie szkół średnich, matura, dostanie się na uniwersytet zaabsorbowały wszystkie me siły: dopiero w Krakowie zacząłem terminować jako student, jako obywatel, i bardzo wcześnie, bo już na 3-im roku prawa, jako współpracownik „Czasu”, jako beniaminek tego czcigodnego organu, i jako ulubiony uczeń trzech ostatnich Stańczyków, Jaworskiego, Estreichera i Krzyżanowskiego. W „Czasie” zacząłem się wcześniej osłuchiwać z nazwiskiem Lednickiego, jako jednego z warszawskich „przyjaciół” tego organu. Gdy w Krakowie o tych warszawskich przyjaciółach „Czasu” była mowa, to oczywiście zawsze na pierwszym miejscu wymieniano Sikorskiego i Aleksandra Skrzyńskiego, potem Ignacego Rosnera, który był szwagrem Estreichera, potem jeszcze b. premierów Rady Regencyjnej Steczkowskiego i Kucharzewskiego, potem jeszcze kilku magnatów, aż wreszcie dochodziło się do Lednickiego. Może najcieplej odzywał się o nim Estreicher, który miał żywszy, bardziej wojowniczy temperament, niż Beaupré czy Adam Krzyżanowski,

i który upatrywał w Lednickim ofiarę złośliwej i krzywdzącej nagonki „Endecji”, a tej Rektor szczerze nie lubił, specjalnie do czasów, gdy jej miejsce w jego antypatiach zajęła „Sanacja”, którą uważał za kwintesencję niepraworządności.

Dość, że gdzieś w roku 1925, Lednicki zjechał do Krakowa, i redakcja „Czasu” urządziła obiad na jego cześć w Starym Teatrze. Przydywał oczywiście Beaupré, „Beauprus”, jak go nazywał Boy-Zeleński, ze swą piękną głową i lwią, białą czupryną autentycznego francuskiego markiza, był Excellencja Jaworski ze swą rurką i chrapliwym głosem, był Adam Krzyżanowski ze swą kozią bródką, był Franciszek Potocki ze swą długą szyją, zezem i rasową sylwetką, był Edward Zadora-Paszkowski, ongi redaktor „Dziennika Kijowskiego”, teraz emeryt „Czasu”, redagujący tam przenużdy ale zacny „Przegląd Prasy”, i byłem ja, smarkacz, wobec tylu dostojnych starców, z których najmłodszy był ode mnie starszy o lat 40 czy 50. Lednicki się spóźnił, czekaliśmy z kolacją, i Estreicher, obok którego siedziałem, wyraźnie się niecierpliwił. Wreszcie zjawił się Lednicki, którego ujrzałem po raz pierwszy w życiu. Wydał mi się barczysty i bardzo gruby, nosił jakiś rodzaj surduta czy tużurka, który wówczas był jeszcze modny u starszych panów: krój tego stroju żywo mi przypominał Naumienkę, założyciela i dyrektora mego rosyjskiego gimnazjum. Lednicki miał bardzo wielki brzuch i bardzo krótkie nogi, był dość czerwony na twarzy pod siwą czupryną, ostrzyżoną na jeża, z już mocno bardziej siwą bródką, co go trochę upodobało do Strońskiego: ale Stroński wyglądał dużo bardziej dobrodusznie; twarz, spojrzenie Lednickiego miały coś ostrego, drapieżnego. Wszyszczyśmy wstali na jego powitanie, przypadek zrządził, że Lednicki zaczął od przywitania się z Paszkowskim, który znalazł się najbliżej niego. Paszkowski, Kijowianin, był czarny, choć siedemdziesięcioletni, szczupłutki, chudziutki, schorowany, małeńki, prawie że znikł w objęciach Lednickiego, który go wyściskał z dubeltówki, cmok w jeden policzek, cmok w drugi, potem jeszcze trzeci raz. Po tylu latach pamiętam dokładnie wyraz przerażenia i cierpienia w oczach pozostałych biesiadników, zamknęli oczy, by nie widzieć tych strasznych „rosyjskich” obyczajów, od których im wyraźnie niedobrze się robiło. Specjalnie pamiętam, jak witał się potem z Lednickim Estreicher: zrobił z tej okazji swój najbardziej serdeczny uśmiech, co jego zmarszczonej, jakby ze średniowiecznego drzeworytu, twarzy nie przychodziło najłatwiej, i widziałem, jak ściskając i potrząsając rękę Lednickiego, Estreicher jednocześnie trzymał go na odległość: Lednicki już-już otwierał ramiona do nowych uścisków, ale w ostatniej chwili się połapał, i już tylko ściskał rękę wszystkim obecnym.

Z rozmowy pamiętam tylko, że była ciągle mowa o różnych personaliach, sejmowych i rządowych, że była mowa o procesie, który wówczas Lednicki wygrał bodajże z „Gazetą Warszawską”, ale to wszystko widzę czy słyszę, jak przez mgłę, natomiast ten kontrast „zapadników” i „Rosji” przy tym powitaniu utkwił mi na zawsze w oczach. Lednicki wydał się mnie, synowi Ukrainy, ale już dobrze oszlifowanemu krakowską tresurą, uosobieniem Wschodu, tej Rosji, o której w Krakowie nie mówiono inaczej, jak ze wstrętem i abominacją, jako o uosobieniu barbarii. To że ta Rosja była Sowiecka — to była *la moindre des choses*, detal prawie: chodziło o to, że wszystko co tchnęło Rosją czy obyczajem rosyjskim było dla „Galicjan”, dla epigonów monarchii Habsburskiej absolutnie nie do zniesienia. I od tej pory jestem najgłębiej przekonany, że to co uniemożliwiło Lednickiemu zrobienie kariery w Polsce, to był ten jego lakier czy pokost rosyjski: jego akcent wydał mi się nie wileński, jak u Piłsudskiego, Mackiewicza czy Meysztowicza, ale moskiewski, jego ubiór miał też coś z Moskwy czy Petersburga, i jego mentalność wydała mi się też jakaś zupełnie obca polskiej. Rusycyzmy, pojęcia prawne, dobór słów, akcent, przeciąganie — wszystko to czemuś mnie od Lednickiego odpychało, i nigdy tej instynktownej reakcji do tego pokostu przezwyciężyć nie zdołałem.

Chętnie wierzę, że Lednicki położył w Rosji dla sprawy polskiej zasługi, choć myślę, że jego rola, jak i wszystkich innych działaczy polskich, czy to w Dumie czy w Radzie Państwa, czy w czasie rewolucji, była bardzo przesadzona: decydujący był tylko fakt klęski wojennej Rosji — bez tej klęski stara rosyjska nienawiść do Polski zawsze wylazłaby na wierzch i unicestwiła wszystkie wysiłki i starania, obojętne skądkolwiek by pochodziły. Antypolskie intrygi Izwołskiego w Paryżu, na długo po opuszczeniu przez niego carskiej ambasady we Francji — to był prawdziwy stosunek Rosji do nas; inna sprawa, że nawet Izwołskij był dla nas mniej groźny od tej wielkiej i dynamicznej siły, którą reprezentował bolszewizm, a czegośmy, niestety, wówczas nie rozumieli. Jestem też przekonany, że wyrządzono Lednickiemu wielką krzywdę, uważając go za „germanofila”, którym nigdy nie był. Słuszne czy niesłuszne, chwilowe taktyczne względy sprawiły, że w roku 1918 był on przedstawicielem Rady Regencyjnej w Rosji, ale oczywiście sympatiami, kulturą, przeszłością, stosunkami był on niezmiernie bliski Rosjanom, a z Niemcami nigdy absolutnie nie miał wspólnego, nie znał ich, nie rozumiał, nie miał żadnego zainteresowania dla kultury czy języka niemieckiego. Germanofilami prawdziwymi byli w Polsce tylko Stańczycy, oraz niektórzy Żydzi, specjalnie galicyjscy, którym Niemcy, kultura niemiecka, imponowały. Tak samo u Studnickiego a jeszcze

bardziej u St. Mackiewicza „germanofilia” była tylko pochodną ich rozdzielenia jaźni w stosunku do Rosji, ich typowego *hate-love* stosunku do narodu rosyjskiego. Ze wszystkich ofiar terroru hitlerowskiego zawsze najtragiczniejszą wydaje mi się Stanisław Estreicher: jeszcze dzisiaj słyszę, jak mawiał: „Francuzi, proszę pana, są bardzo błyskotliwi, świetnie piszą, ale to są felietoniści: prawdziwa nauka prawa, historii czy filozofii, proszę pana, to Niemcy, to Gettynga, Lipsk, Monachium”. I tak dalej, i tak dalej. To tak jakbym ja miał kiedyś zginąć z rąk Francuzów, jako „wróg Francji”, podczas gdy jestem jednym z ostatnich Polaków naprawdę duchowo sfrancuziałych.

Kiedym się przeniósł do Warszawy, w roku 1926, Lednicki mnie kilkakrotnie zapraszał, czasem na rozmówkę w cztery oczy, czasem na większe przyjęcia. Gdzieś w zimie 1926-27 zadzwonił do mnie mówiąc: „Panie Wacławie, zapraszam pana, dajmy na to we środę i czwartek, we środę frak, we czwartek smoking, godzina 9-ta wieczór, liczę na pana, niech pan będzie punktualny”.

W owych czasach miałem i frak i smoking, których teraz nie posiadam już od lat 30-tu. U Lednickiego, w jego pięknym mieszkaniu na 1-ym piętrze przy ulicy Pięknej, na rogu Ujazdowskich, zjawiłem się w oznaczone dni i w przepisany stroju. Pierwszego dnia, otwiera mi lokaj w wielkiej liberii, sam Lednicki we fraku, obwieszony orderami, wita mnie serdecznie u wejścia do salonu per *Mon cher ami*. Jest kardynał Kakowski, ówczesny premier Bartel, ambasador francuski, nuncjusz, z pół kopy innych szefów misyj, księżne, hrabiny, super-snobizm, sama francuszczyzna, tylko szampan, itd. *Bon*. O północy, upity, splendorem wyższych sfer, udałem się na spoczynek.

Nazajutrz, wdziałem mój smoking, i znowuż na piechotkę popędziłem do dobrego pana Aleksandra. Te same drzwi do mieszkania otworzył mi lokajczyk w jakiejś zielonej kurtce. Lednicki stał znowu we drzwiach, tym razem jego gruby brzuch aż wypływał ze starego smokinga, orderów nie było śladu. „Jak się MACIE?” zawołał siarczyście Lednicki, mocno ściskając mi rękę, i oprowadził mnie po gościach zebranych dookoła skromnego bufetu, z wódką zamiast szampana: pamiętam, że tam poznał Rzymowskiego, Andrzeja Struga, Sieroszewskiego i wielu innych tuzów lewicy.

Lednicki był człowiekiem ambitnym, miał żylkę do polityki, ona była jego prawdziwą pasją, dużo bardziej niż adwokatura, prawo czy interesy. Był to człowiek poglądów konserwatywno-liberalnych, ale chciał mieć anteny do wszystkich obozów, i to mu w końcu zaszkodziło: przesadzano z jego siedzeniem na kilku stołkach, i w końcu nikt, zdaje się, nie miał do niego prawdziwego zaufania. W ten sposób robiło się w Paryżu kariery za Trzeciej

Republiki, ale w Polsce Pomajowej — ten styl nie popłacał, i myślę, że gdyby Lednicki trzymał się bardziej w rezerwie, to może lepiej by zaspokoił swoje ambicje.

Pamiętam jeszcze jeden incydent z moich stosunków z Lednickim. Było to kiedyś latem, ale którego roku? Zapewne w 1927. Przeczytałem w gazetach wiadomość, że Lednicki został wybrany na prezydenta m. Wilna. Zatelefonowałem do „Pana Prezesa” z gratulacjami z powodu wyboru. „Niech pan do mnie zajdzie, to o tym pogadamy” — powiedział mi Lednicki, i w pół godziny później byłem u niego. Siedział w swym gabinecie za biurkiem, przed nim leżał tekst depeszy od rady miejskiej w Wilnie. Był ciepły wieczór, okno na szerokie, zadrzewione podwórze było otwarte, to samo okno, z którego później popełnił samobójstwo, rzucając się na bruk. Miał na sobie jakąś szarą lśniąca kurtkę alpagową, dość popularną w tych czasach. Lednicki wydał mi się tego dnia jakiś bardziej serio, bardziej zamysłony, niż normalnie.

Przeczytał mi tekst depeszy, dość długiej, którą podpisał prezes Rady Miejskiej — czy nie nazywał się Władysław Folejewski? Nie pamiętam, ale takie jakieś nazwisko w związku z tym epizodem po głowie mi chodzi.

„No, i co pan by zrobił na moim miejscu?”, zapytał Lednicki, patrząc na mnie bacznie, i jakby surowo, przez swoje szkła krótkowidza, co go znowu upodobiło do Strońskiego, tylko na mniej dobrotliwie i na mniej jowialnie.

Pamiętam, że byłem bardzo połączony tym pytaniem, że mocno się skupiłem, i że powiedziałem, iż oczywiście bym prezydenturę Wilna przyjął.

Lednicki się zachnął i zawołał dosłownie: „Więc co, ja z całą moją przeszłością, miałbym się, na stare lata, jatkami miejskimi zajmować?”

Na to rzekłem, że w Krakowie prezydent miasta był zawsze wielką figurą, że Zybkiewicz, Smolka itd. tak właśnie zaczęli karierę, że Joe Chamberlain był Lordem-Mayorem Birminghamu, że wreszcie, dodałem zniżając głos, marszałek Piłsudski bardzo Wilno kocha, więc może to być okazją, ciągnąłem, dla Pana Prezesa, zbliżenia z Marszałkiem, a więc i większej kariery...

Lednicki słuchał uważnie, ale jego decyzja była powzięta: uważał, że przyjęcie prezydentury miasta byłoby dla niego *capitis diminutio*, redukcją z roli czołowego polityka do lokalnego administratora, poza tym nie chciał opuścić Warszawy, gdzie wciąż liczył, iż może uda mu się odegrać jakąś rolę pośrednika czy mediatora między „Sanacją” a Lewicą.

Jeszcze dzisiaj, po 40-u latach, myślę, że Lednicki się wów-

czas omylił. Większej roli w Polsce w owych czasach zapewne odegrać nie mógł, należał do innej epoki, i nowej ani nie czuł, ani nie rozumiał. Polityk musi mieć zawsze poważną bazę terytorialną. Tę Lednicki mógł znaleźć tylko w Wilnie, nigdy w Warszawie. Oczywiście, łudziłem się myśląc, że prezydentura Wilna mogłaby być okazją do zbliżenia między Marszałkiem a Lednickim. Dla Piłsudskiego Lednicki był na pewno osobistością zbyt odległą, zbyt obcą, zbyt odmienną, nigdy by nie widział w nim swego człowieka, ani też człowieka sobie bliskiego. Stary „kadet” rosyjski był człowiekiem ery sejmowładztwa, nie ery pomajowej. Lednicki ofertę rady miejskiej Wilna odrzucił, ale nigdy już żadnej innej oferty mu nie zrobiono.

Potem przebywałem szereg lat zagranicą, i wróciłem do Warszawy dopiero na krótko przed tragicznym zgonem samobójczym Aleksandra Lednickiego w sierpniu 1934 roku. Nie pamiętam, czym w tym czasie zdążył Lednickiego odwiedzić. Wydaje mi się, że nie, że gdy do niego zaszedł czy zadzwonił, nie było go w Warszawie. Jeżeli go zobaczyłem, to przelotnie, nic mi z tego spotkania nie utkwiło w pamięci.

Natomiast pamiętam doskonale, że zaraz po samobójstwie Lednickiego zadzwonił do mnie Matuszewski, i prosił mnie, bym go odwiedził. Powiedział mi, że „młody” Lednicki wyzwał go na pojedynek w związku z jego (Matuszewskiego) artykułem o Żyrardowie, i dodał: „Oczywiście służę mu pojedyńkiem każdej chwili, i bardzo cenię tego młodego człowieka, że tak broni pamięci ojca, ale wiem, że pan znał dobrze i ojca i syna, i chciałbym, by pan młodego Lednickiego zapewnił, że nic nie wiedziałem o tym, iż stary Lednicki jest doradcą prawnym Żyrardowa, że ten artykuł nie był w niego wymierzony, i że mogę gwarantować, iż Lednickiemu nigdy by włos z głowy nie spadł, nie miałby nigdy z powodu Żyrardowa ani żadnego innego najmniejszych przykrości. Tragiczne nieporozumienie, nic więcej”. Jestem przekonany, że Matuszewski mówił prawdę, że Lednicki niepotrzebnie się zdenerwował, podczas gdy mógł spać najspokojniej (nie myślę zresztą ani chwili bronić sprawy żyradowskiej, która była bardzo głupią i szkodliwą intrygą antyfrancuską, w którą Matuszewski wpłatał się najniepotrzebniej w świecie). Tegoż wieczoru byłem u „Wacia” Lednickiego, który o niczym nie chciał słyszeć: był przekonany, że „Sanacja” chciała zamordować jego ojca, że samobójstwo było upozorowane, że *de facto* stary pan Aleksander był zamordowany przez Becka osobiście etc. Dwa lata temu, gdyśmy po raz ostatni widzieli się w Paryżu, biedny „Wacio” Lednicki, już staruszek, już sam nad grobem, jeszcze raz mi tę samą historię z uniesieniem i pasją powtarzał: „oni” chcieli śmierci mego ojca, „oni” go zamordowali etc. Wszelka dyskusja była

bezelowa: Wacław Lednicki był do końca zaślepiiony miłością do ojca i żądzą pomszczenia wszystkich jego krzywd, w moim przekonaniu w znacznej części urojonych.

Syn był człowiekiem dużo mniej wybitnym od ojca. Nie mówiąc o jego karierze, która była na dużo dalszym, skromniejszym i bardziej stonowanym planie, Wacław Lednicki był mniejszą indywidualnością od ojca. Był to człowiek wykształcony, kulturalny, płodny, pracowity, dobrze wychowany, ale nic więcej. Stanisław Mackiewicz nazywał go zawsze wielkim rusycystą: chętnie w to wierzę, ale oczywiście nie mam najmniejszych kwalifikacji, by zabierać głos w tej sprawie. Rozmawiałem z nim kilka razy o Puszkynie, o Lermontowie, o Dostojewskim, o licznych Tołstojach: wszystko co mówił wydawało mi się rzetelne, rozsądne, ale bez lwiego pazura. W tym co pisał, zarzuciłbym mu przede wszystkim rozwlekłość, poza tym sądy jego wydawały mi się blade, z pamięci nie potrafiłbym przytoczyć ani jednego urywka czy opinii spod jego pióra. Ale pod jednym względem wolałem syna od ojca. Wacław Lednicki wychował się w Rosji, był rusycystą: nigdy ani śladu rosyjskości w nim nie dostrzegłem. Miał odrobinę akcentu wileńskiego, ale nie rosyjskiego. Miał odrobinę staroświeczyzny w manierach, ale to była maniera staro-warszawska, trochę jak u St. Balińskiego, nic w niej nie zatęczało Moskwę. Był zachodnim rusycystą, znał Rosję literacką, książkową, ale był w każdym calu człowiekiem Zachodu.

Może ta notatka pozwoli jakiemuś przysiemu historykowi umiejscowić obu Lednickich, ojca i syna, w epoce międzywojennej, zdać sobie sprawę, jak na nich reagował młody człowiek, który normalnie powinienby mieć z nimi, specjalnie z Aleksandrem, wspólne anteny, *des atomes crochus*, jak mówią Francuzi. Niech obaj spoczywają w pokoju. Obaj byli ludźmi dobrej woli, i obaj znacznie przerastali przeciętną naszego wileńskiego ziemiaństwa, naszych polityków, naszych profesorów, naszych działaczy. Gdy chodzi o Aleksandra, trzeba będzie szczegółowo przeanalizować jego rolę u Kadetów, zbadać, czy wywierał rzeczywiście jakiś większy wpływ w tym środowisku, zastanowić się też nad szczegółami jego działalności w Rosji w epoce trudnej, niebezpiecznej i burzliwej. Od kilku wieków koncentrujemy całą naszą uwagę na kilku postaciach czołowych: można by pomyśleć, że za epoki Napoleońskiej byli tylko Kościuszką i Księżem Józefem, a że Książkiewicz, Fiszer, Dąbrowski, Sokolnicki, Chłopicki, Zajączek, setki innych, w ogóle nigdy nie istnieli. Tak samo, jeśli idzie o okres Niepodległości, wszystkie neony są zanadto skoncentrowane na Piłsudskim i Dmowskim, z pominięciem wszystkich innych aktorów tego dramatu. Może ten drobny szkic, bez

wszelkich pretensyj do monografii czy epitafii, posłuży innym pamiętnikarzom do skreślenia sylwetek ludzi których znali, które nie byłyby ani świętkami, ani herosami, ani karykaturami.

W. A. ZBYSZEWSKI

Wspomnienie o Profesorze

Domy na Euclid w Berkeley są białe, stare, hiszpańskie architektura. Roztacza się stąd widok na zatokę, na San Francisco, na Golden Gate. Mgła która ciągnie po nocach od Pacyfiku zasnuwa wzgórze Berkeley, zawadza o domy na Euclid, rano świeci kropkami na kwiatach, palmach, cyprysach.

W domu pod numerem 783 mieszkał jeden z największych sławistów Polaków, Wacław Lednicki, który przywędrował do Kalifornii po ostatniej wojnie. Spotkałem go tutaj.

Lednicki lubił ten dom pełen pamiątek uratowanych jeszcze z Rosji, pamiątek po ojcu Aleksandrze, wielkim prawniku i działaczu społecznym, po siostrze Maryli, rzeźbiarce. Kolekcje sztychów, dziesiątki rzeźb, stare srebra, pozostałości serwisów rodzinnych, świeczniki i książki. Książki jakie mu nadsyłały wydawnictwa, biblioteki, wydziały slawistyczne i wielbiciele z całego świata. Wertując je znajduję dedykacje Marii Dąbrowskiej, Tuwima, Iwaszkiewicza, Sigrid Undset, Petrażyckiego, Kiereńskiego, Rosjan, Francuzów, Anglików, Włochów.

Pamiętam go siedzącego zwykle na krześle koło kominka na którym nigdy nie było ognia. Pracującego tam, czy też delektującego się cygarem, albo koniakiem. W wielkim pokoju wyglądającym jak sala muzeum odbywała się większość dyskusji, spotkań. Tu wysłuchiwało się opowieści i gawęd gospodarza. Trafiały one przedzej czy później do obszernych tomów *Pamiętników* jakie pisał i wydawał. W tym pokoju na fortepianie w rogu grywał Artur Rubinstein zaglądający na Euclid kiedy bywał z koncertami w San Francisco.

Lednickiego można określić jako profesora starej daty, jednego z wielkich, jakich pozostało już niewiele, na pewno ostatniego w Berkeley. Nosił ubrania z kamizelką, zegarek na łańcuszku, chusteczkę w kieszonce marynarki, drogie spinki u krawata

i w mankietach. Pogardzał konfekcją nawet najlepszą o ile nie była na miarę, na zamówienie. Takie musiały być jego koszule, takie ubrania, czy angielskie wełny na nie. Ludzi jak on trudno określać jako eleganckich. Słowo elegancja ma w sobie coś z blichtru. Na Lednickim, w Lednickim wszystko leżało solidnie, od dawna, od urodzenia i naturalnie. Leżało, jak by to on lubił określić, „na wielkim panu”. „Panu” w pojęciu innych czasów, stosunków, środowiska. Jego ulubionym pisarzem był Oscar Wilde.

Mężczyzn jak Lednicki nie można sobie wyobrazić na przykład nieogolonych, bo nigdy by się nie ukazali, nie wyszli nawet do najbliższych bez uprzedniego spojrzenia w lustro. Średniego wzrostu, o okrągłej twarzy i bystrych, piwnych oczach nie wyglądał na swój wiek. Chyba że był bardzo zmęczony. Chyba że uważnie przyjrzało się jego dłoniom.

Na kampusie widywało się go najczęściej w kapeluszu, z laską, albo parasolem, no i przez wiele lat z pieskiem Jebbem.

Odkąd go znałem mieszkał sam, sam chodził koło domu, sam przyrządzał sobie posiłki. W tym ostatnim mało kto był mu w stanie dogodzić. Należał do smakoszy, bywalców najlepszych restauracji obu kontynentów. Gotowanie stanowiło jego hobby, a z doborem mięs, krabów, jarzyn, sałat, owoców było podobnie jak z ubraniami. Pamiętam jak kiedyś, na zapytanie przedstawiciela ambasady reżymowej z Waszyngtonu, dlaczego nie przeniesie się do kraju odpowiedział: „A cóż ja bym tam jadł?”

Do Polski jednak jeździł chętnie i był tam kilka razy od Października. Ciągnęły go Warszawa, Kraków, przyjaciele, chęć spotkań z profesorami, materiały w archiwach. Bolał nad trudnościami ekonomicznymi, dnia codziennego Polski, drażniła go komunikacja, obsługa turystów, pustki w sklepach, ogonki, ale cieszyły różne drobiazgi. Był zawsze zażenowany ustępowaniem mu miejsca w tramwajach, podrywaniem się młodych na widok starszego pana. Zwłaszcza, że Lednicki nie czuł się starszym panem.

W Polsce potrafił go wzruszyć stary kelner w hotelu w Krakowie, który go poznał i przypomniał jak to „myśmy tu pana profesora przed wojną pieścili”. Albo celnik na lotnisku, który na widok nazwiska w paszporcie zaczął mówić o Moskwie, Komisji Likwidacyjnej i ratowaniu Polaków w czasie rewolucji przez Aleksandra Lednickiego.

Wizytę swoją u Marii Dąbrowskiej w sierpniu 1963 roku zanotował w następujący sposób:

„Zatelefonowawszy do mnie następnego dnia pani Dąbrowska swoją

uprzejmość posunęła jeszcze dalej, oświadczywszy, że przyjdzie na stację aby mnie spotkać i dodała: 'Możemy się nie poznać, a więc zobaczy mnie pan w białym berecie i z piaskiem' — a ja na to: 'Będzie to więc bardzo romantyczne spotkanie'.

Po opuszczeniu pociągu ujrzałem od razu filigranową postać pani Dąbrowskiej i zostałem uderzony jej całkiem młodą twarzą. Ofiarowałem jej jakieś skromne kwiaty i udaliśmy się do jej domu, znajdującego się niedaleko stacji... Po komplementach na temat domu, przeszedłem do komplementów na temat gościnności pisarki. Dostałem bowiem wódkę, pomidory i szproty na przekąskę, następnie zjedliśmy doskonałą kurę z sałatą, do której podano butelkę białego wina, a po poziomkach przeszliśmy do bawialnego pokoju na kawę. Tam właściwie rozpoczęła się nasza rozmowa dla której przyjechałem do Komorowa¹.

Raz na Placu Narutowicza jakieś dziewczęta wydały mu się zagubione. Były to rosyjskie turystki, którym nikt nie chciał pokazać drogi. Lednicki nie tylko że im wy tłumaczył gdzie są, ale ponieważ wypadło im wsiąść do tego samego tramwaju, rozgadał się na całego. Kiedy poznał w nich Gruzinki zaczął opowiadać o przygodach nad Morzem Czarnym, Eupatorii do której jeździli Lednicy z Moskwy. Zaznaczył, że to dawne, przedboleszewickie czasy, jakie pamiętają ich matki. I spotkał się z uwagą, że nie matki, bo i ich na świecie nie było, a babki!

Profesor opowiadał tę historię, bo jak się okazało on sam, owe turystki, a zapewne i szereg innych pasażerów tramwaju nie zauważyli jak przejechali centrum miasta i dojeżdżali do końca linii tramwajowej. No i dlatego jeszcze, że nie mógł pojąć złości jaką na ten śmieszny epizodzik „z czarnulkami”, zareagowali później jego przyjaciele. Cieszyli się z arogancji przechodniów na placu Narutowicza i twierdzili: „My nienawidzimy, nienawidzimy Rosjan!”

Lednicki był od dziecka, z urodzenia, po ojcu i z pochodzenia rzecznikiem porozumienia i współpracy polsko-rosyjskiej. Zbyt dobrze pamiętał swych „przyjaciół Moskali” wśród których wyrastał, gimnazjum Miedwiednikowowów w Moskwie, jedno z najlepszych w Rosji, Uniwersytet i samą Moskwę. Wyrastał w środowisku liberalnym. Salony domu jego rodziców stały się miejscem w którym nie tylko spotykała się elita polska, ale i niejednokrotnie wszystko co było postępowe w ówczesnym imperium. Nazwiska takie jak S. A. Muromcew, F. J. Rodiczew, I. I. Pietrunkiewicz, P. N. Milukow, D. N. Anuczin, W. J. Skołon, F. F. Kokoszkin, księżęta D. I. Szachowski, Paweł i Piotr Dołgorukowowie, S. N. Trubecki, to ludzie którzy odgrywali decydującą rolę w wolnościowym ruchu elity rosyjskiej. Odgrywali oni nie małą rolę i w kształtowaniu się sprawy polskiej i innych

1. W. Lednicki. Notatki osobiste i korespondencja. Nieopublikowane. W posiadaniu rodziny.

mnijomości narodowych Rosji. Poprzez Dumy do Manifestu Rządu Tymczasowego z marca 1917 roku, w sprawie utworzenia niepodległego państwa polskiego.

Do Rosji, do rodzinnej Moskwy Lednicki nie pojedzie już jednak nigdy. Mimo, że mógłby, że miał zaproszenia i okazje po temu. Od rewolucji i po tylu latach zbyt mu jest ona obca, trudna do pojęcia. Drogie miejsca chce zatrzymać w pamięci takimi jakimi były na początku stulecia. Takimi jak je opisał:

„Za czasów mojego dzieciństwa *Sobacza Ploszczadka* była szerokim, nieregularnym placem, który miał — powiedziałbym — kształt szynki. Okna naszego jadalnego, gabinetu i salonu wychodziły na południe. Zachodnią stronę placu zamykał duży, brzydki dom z cegły, w którym mieścił się szpital Czerwonego Krzyża. Na północnej stronie placu, od wschodu, stał pretensjonalny pałac w fałszywym gotyckim stylu, ze szlifowanej cegły, z francuską dachówką, należący do bogatego moskiewskiego kupca Mazurina. Po drugiej stronie, naprzeciwko naszego domu, biegł szereg małych osobniaków. W środku placu była pompa koło studni, budka i szereg koryt na wodę. Moskiewskie *izwoszczyki*, chłopcy z różnymi wózkami i saniami w zimie i inni furmani poili swoje konie i grzali się w budce lub dookoła ogniska, które paliło się w czasie wielkich mrozów. Wodopój ten był centrum życia placu. Dokoła pompy i koryt od wczesnego ranka do późnego wieczora gromadzili się tłumnie ludzie, konie, psy i... wróble, które wybierały ziarno spod koni ze śniegu.

... Dla nas, dzieci, wodopój ten był sceną najrozmaitszych sensacyjnych wydarzeń. Przede wszystkim był to nasz barometr i termometr. Mam przed oczami furmanów w ich olbrzymich szubach, w grubych żółtych rękawicach bez palców i w ciężkich, brunatnych walonkach, z czapami i baszлыкami zawiązanymi dookoła szyi i głowy, z brodami pokrytymi szronem i z parą wychodzącą z ust; konie z gęstą i długą zimową sierścią, także pokryte szronem, sople lodowe wiszące z ich nozdrzy. Okna, przez które obserwowaliśmy te pełne ruchu sceny na placu, były również ozdobione iskrzącym się w promieniach mroźnego słońca szronem — trzeba było dmuchać na szyby, albo nawet zdrapywać szron paznokciami, ażeby móc widzieć. Palące się rano ognisko oznaczało, że mróz przekroczył dwadzieścia stopni. Nieraz przekraczał i trzydzieści. Furmani klepali rękami ramiona, przystupywali, a konie — mimo pary wychodzącej z ich oszronionych nozdrzy — chciwie piły lodowatą wodę. Czerwone słońce świeciło poprzez mgłę strasznego mrozu. Wrony skakały na śniegu, wróble zbierały spod koni owies z dymiącego nawozu. Widzę to²¹.”

Do swych wybranych Rosjan Lednicki pozostanie wierny do końca życia. Mało, dla niego nazwiska wielkich liberałów rosyjskich, przyjaciół jego ojca, ideały jakim służyli nie miały odpowiednika w nacjonalistycznej Polsce 20-tolecia. W *Pamiętnikach* znajduje takie zdania:

„Na procesie mojego ojca z Wasilewskim Dmowski oświadczył wy-niosłe:

— Ja przywożem Polsce Traktat Wersalski!
(nie uznał jednak za właściwe powiedzieć, kto mu Traktat Wersalski przy-

2. W Lednicki *Pamiętniki* (Tom I, str. 27, 28)

gotował, i że gdyby nie przewrót bolszewicki, polskie interesy w Wersalu reprezentowałby — obok Paderewskiego — najpewniej mój ojciec).

Ojca odpowiedź była znamienita:

— Ja zaś walkę o Polskę łączyłem z walką o wolność powszechną.

Tego rodzaju ideologia była Dmowskiemu obca. Egoizm narodowy — oto hasło, które prowadziło jego zastępy.

Wykpiwali endecy 'walkę o wolność powszechną', kojarząc ją stale z jakimiś 'międzynarodowymi mafiami'²¹.

Endecja, a za nią i sanacja uniemożliwiła działalność polityczną i społeczną ludziom takim jak Aleksander Lednicki. Ludzi takich nie dopuszczano w Polsce do stanowisk. Znający te czasy aż nazbyt dobrze Wacław Lednicki, już w Ameryce powie: „Służyłem i służyć będę Polsce, sprawie polskiej idealnej, nie zaś Polsce empirycznej, bo ta mnie przerażała i przeraża”.

Lednicki służył jednak i tej Polsce „empirycznej”, przyziemnej. Nie mówiąc o nauczaniu w szkołach polskich w Moskwie w okresie pierwszej wojny, czy pracy w Przedstawicielstwie Rady Regencyjnej, w roku 1918 walczył jako ochotnik na froncie ukraińskim. Po kampanii otrzymuje Krzyż Walecznych, przechodzi do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W lipcu 1920 roku ponownie zgłasza się do wojska. Ten, stosunkowo krótki okres w swym życiu, opisze bardzo obszernie. Może dlatego, że były to ciężkie, przełomowe lata dla Polski, a dla niego samego wojsko, czy referat w ministerstwie stanowiły rzeczy jakże dalekie od rzeczywistych zainteresowań, ambicji. Trudno nie przytoczyć dwu fragmentów z „ulańskiego” okresu Lednickiego:

„Starzy żołnierze byli przeważnie niechętnie do ochotników usposobieni i korzystali z rozmaitych przywilejów. Najlepsze konie np. dostali podoficerowie, kaprale, plutonowi, nam zaś dano najgorsze. Niechęć do nas przybierała nieraz cechy mściwości. Pamiętam, że tydzień bodaj spędziłem pod Gródkiem Jagiellońskim w majątku pp. Pragłowskich... Postój w tym majątku stał się dla nas odpoczynkiem... Mnie jednak wypadło tu właśnie doświadczyć, jeżeli nie 'cukania' w stylu Mikołajewskiej Szkoły Petersburskiej, czy też naszej późniejszej szkoły w Grudziądzu, to specyficznego traktowania ochotników przez wachmistrzów, plutonowych i podoficerów... Działo się to przed samym Bożym Narodzeniem. Pragłowski dowiedziawszy się kim jestem (okazało się, że o ojcu moim dużo słyszał), zaprosił mnie na Wilię do siebie. Tego mi nasi bezpośredni przełożeni nie darowali. Toteż na noc pierwszego dnia Świąt dostałem rozkaz spędzenia jej w stajni. Uprzedzono mnie, że stale powinienem zbierać nawóz koński i podłogę posypywać piaskiem, ponieważ rano „Panowie oficerowie” odbędą inspekcję. Przekonałem się szybko, że nakazane mi obowiązki stanowiły prawdziwą mękę. Konie nie regulują swoich żołądków, stąd co chwila musiałem biec pod ogon tego, czy innego z osiemnastu czy stu koni, zbierać na szufel owe produkty, zanosić je na dużą kupę nawozu i następnie przynosić piasek.

3. W. Lednicki *Pamiętniki* (Tom II, str. 625), Londyn 1967.
1967.

Owa kupa nawozu była zresztą jedynym miejscem dla mego spania... Wy-szedłem ze stajni zmachany i wspaniale uperfumowany”.

A oto fragment drugi:

„Poszedłem i wszedłem na swoją klacz. Na folwarku kręciło się dużo żołnierzy... Ranek był śliczny. Słońce świeciło. Ziemię pokrywał iskrzący się śnieg. Siedząc na klaczy wyciągnąłem, pamiętam, swoją srebrną papierośnicę z kieszeni i właśnie w tej chwili padł strzał armatni. Żołnierze na podwórzku podnieśli głowy i po chwili powiedzieli:

— Przeleciał. Następny nie doleci, a trzeci trafi. Istotnie. Rozległ się drugi strzał — nie doleciał. W tym czasie wyciągnąłem papierosa i gdy wkładałem go do ust odniosłem wrażenie naraz, że zamiast papierosa do ust mi wpada pocisk. Rozległ się straszny wybuch koło mnie. Zostałem zasypany śniegiem i błotem, papierośnica wypadła mi z rąk, ale nie mi się nie stało... Wy tłumaczono mi później, że ja i klacz moja tak cudownie ocalailiśmy właściwie dlatego, że pocisk padł tak blisko mnie”.

Wacław Lednicki od 1921 roku wraca do studiów i na Uniwersytecie Jagiellońskim robi doktorat z filologii romańskiej. Literaturę, język francuski kochał. Jeszcze w gimnazjum został odznaczony medalem *Alliance Française* za opanowanie języka. O romanistyce myślał zapisując się na uniwersytet w Moskwie w 1913 roku. Myślał o niej nadal w Polsce i o ile przerzucił się na rusycystykę, to wyłącznie ze względów praktycznych. Jak mówił, profesorowie W. Folkierski i St. Wędkiewicz przekonali go, że ze względu na dużą ilość romanistów nigdy się nie doczeka katedry w Polsce.

Na polu rusycystyki Lednicki, poza znacznie starszym Marianem Zdziechowskim wydawał się nie mieć konkurenta. Zwłaszcza gdy zaczęły się ukazywać jego kolejne prace o Puszkynie, Tołstoj, Dostojewskim. Habilitował się u Zdziechowskiego, który był wtedy w Wilnie, a więc na Uniwersytecie Stefana Bato-rego. Zaraz potem obejmuje katedrę języków i literatur słowiańskich na Uniwersytecie Brukselskim. Później przychodzi profesura na Uniwersytecie Jagiellońskim, dzielenie tej katedry z Brukselą, działalność na polu stosunków polsko-francuskich i polsko-belgijskich, Order Leopolda I-go, oczywiście stałe pobyty i we Francji i coraz liczniejsze kontakty z naukowcami krajów zachodnich.

Lednicki nigdy nie wyrzekł się literatury francuskiej, tak jak z czasem coraz więcej uwagi i czasu poświęca literaturze i sprawom kultury polskiej. A już szczególnie kiedy przychodzi mu osiąść w Ameryce. Okres ostatniej wojny, podobnie jak pierwszej wojny światowej jest okresem bardzo czynnego udziału Lednickiego w życiu politycznym. Jest w kontakcie z Sikorskim,

otrzymuje propozycje przyjazdu i objęcia stanowiska w Londynie, wyjazdu z ambasadorem St. Kotem do Moskwy, współpracuje z ambasadorem w Waszyngtonie J. Ciechanowskim. Jest jednym z inicjatorów utworzenia Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, rozpoczyna też zakrojoną na olbrzymią skalę propagandę sprawy polskiej. Organizuje, wygłasza odczyty, konferencje, udziela wywiadów, pisze artykuły, polemizuje, dociera do najdalszych miast tego kontynentu, do uniwersytetów, zawiera znajomości, szuka dróg do ludzi wpływowych i sposobów dotarcia do świadomości najszerszych warstw społeczeństwa amerykańskiego. Raz po raz stwierdza z przykrością, że poza sąsiedztwem okręgów polonijnych Amerykanie wiedzą mało, albo nie wiedzą zgoła nic o Polsce. Upatruje w tym jeszcze jeden z fatalnych błędów polityki przedwojennej MSZ.

Takich jak Lednicki było w Ameryce za mało, zjawili się tutaj za późno. Amerykanie, a co najistotniejsze środowiska akademickie, tradycyjnie liberalne, pozostały pod wpływem kampanii prosowieckiej, wzrastającej w miarę pochodzenia Armii Czerwonej na zachód. Lednicki wyklada w Harvardzie, coraz trudniej walczyć mu o Polskę, politycznie od Jałty sprawa ta jest na Zachodzie przegrana. Za swą działalność Lednicki otrzymuje listy z wyrazami uznania od Prezydenta R.P. W Raczkiewicza, generałów Andersa, Sosnkowskiego, później przychodzi order Polonia Restituta. Z Harvardu musi jednak odejść. I wyjeżdża do Kalifornii, do Berkeley, gdzie jest stary G. Noyes, jego przyjaciel, znany sławista amerykański i tłumacz Mickiewicza. Lednicki obejmuje katedrę po nim. Od 1945 roku do końca życia pozostanie przy Uniwersytecie Kalifornijskim. Znajduje tutaj spokój, atmosferę dla pracy naukowej, jakiej mu potrzeba. Pod jego kierunkiem wydział sławistyczny w Berkeley staje się szybko najważniejszym centrum sławistyki w USA. Co najważniejsze jednak, Lednicki po raz pierwszy w Berkeley na nogi stawia polonistykę.

O ile chodzi o ostatnie zaczynać musi od podstaw. Od zabiegania o podręczniki, o właściwe zestawy książek polskich w bibliotece, od starania się o tłumaczenia, lektorów, asystentów, od wzbudzania zainteresowania literaturą polską studenta. Identyfikacja nie jak kiedyś w Brukseli w początkach swojej kariery profesorskiej, zmusza słuchaczy do brania kursów rosyjskich i zawsze jednego polskiego. Spotyka się z oporami. Wydział, jak wszystkie inne wydziały sławistyki w Ameryce są domeną Rosjan, Ukraińców, Czechów, a nawet Niemców. Znajduje jednak przyjaciół wśród nich. Przyjaciół sprzed wojny, z Europy.

Obok literatury rosyjskiej sam wyklada i będzie wykladać do końca literaturę polską. Dopiero po jego przejściu na emeryturę i na skutek nacisku tych młodych amerykańskich naukow-

ców jakich ukształtował, Uniwersytet Kalifornijski zgadza się wyodrębnić literaturę polską i stworzyć polską katedrę. Podobnie dzieje się na innych uniwersytetach.

Lednicki równocześnie dużo pisze. Publikuje przede wszystkim po angielsku. Obok dziesiątków artykułów, w okresie powojennym ukazują się także jego książki jak *Life and Culture of Poland, Russia, Poland and the West, Pushkin's Bronze Horseman, Bits of Table Talk on Pushkin, Mickiewicz, Goethe, Turgenew and Sienkiewicz, Zygmunt Krasiński, Romantic Universalist, an International Tribute, Tolstoy between War and Peace*.

W książkach tych uderzają przede wszystkim sprawy polskie, polskiej literatury, kultury, dziejów politycznych. Świadom, że nie zainteresuje inaczej czytelnika anglo-saskiego swym krajem, przyciąga go łączeniem tematyki polskiej z rosyjską, literatury polskiej i rosyjskiej. Z czytelnikiem postępuje podobnie jak ze studentem — zmusza go do czytania Mickiewicza przy Puszkynie, Sienkiewicza przy Turgeniewie.

Po ukazaniu się *Tolstoy between War and Peace* krytyka zarzuca Lednickiemu, że wprowadza czytelnika w błąd, że książka powinna mieć tytuł „Tolstoy and Poland”.

Lednicki popełnia tego rodzaju „błędy” bez przerwy. Zresztą, jego podejście do literatury rosyjskiej, jej wielkich przedstawicieli jest oryginalne, w pełni nowatorskie, nie traci przez „polskość”, a przeciwnie, owa „latarnia” polska rozświetla często lepiej sprawy dotąd nieuchwytnie, niedostrzegalne a ważne, niż cokolwiek innego. Przecież Rosja była zlepkim narodowości, narodowości ujarzmionych. Lednicki zdaje sobie też sprawę z tego jakie miejsce literatura rosyjska zajmuje w hierarchii kultur. Wyczuwa proporcje do literatury rosyjskiej, jak i do innych literatur, literatury rodzimej. Idealnie potrafi zachować te proporcje, by nie razić środowiska o którego zdobycie zabiega. Wie przy tym doskonale, że i literatura rosyjska niełatwo została usadowiona, stosunkowo niedawno dotarła do Zachodu. W odpowiedzi udzielonej K. Zbyszewskiemu w roku 1955 pisze:

„Nie — nie z nieba spadła na Rosję jej wielka literatura — wyrosła ona z jej gleby bogatej, wyrosła ponad mury autokratycznego więzienia i stała się wynikiem współżycia rosyjskiej elity umysłowej nie tylko z owymi różnorodnymi plemionami i narodami zasiedlającymi Rosję — lecz z intymnego współżycia elity rosyjskiej z Europą. Geniusz narodowy rosyjski gdy go dotknęła Europa swoją różdżką czarodziejską — stworzył te wszystkie cuda. Pojawiły się plejady poetów i pisarzy znakomitych, na europejską skalę wielkich i z nich urodziły się te trzy olbrzymy: Turgeniew, Tolstoj i Dostojewski, którzy położyli swoje niezatarte piętno na obliczu literatury europejskiej i amerykańskiej. I myli się K. Zbyszewski gdy mówi o 'szalonym wzięciu literatury rosyjskiej w zeszłym stuleciu'... 'szalone wzięcie' nastąpiło dopiero w naszych czasach. Nie łatwa droga do tego prowadziła.

Pionierami byli: Mérimée ze swoim kultem Puszkina; Turgeniew — prawie stale przebywający w Paryżu — i jego przyjaciele obcy Flaubert, Maupassant, Goncourtowie, Henry James; M. de Vogüé ze swoim *Roman russe*; rozmaici uczeni sławiści i pisarze, jak Rambaud, Leger, Hauman, Liron-delle, Dupuy, Duchesne, Legras, Mazon, Mauriac... Przyszły wreszcie — dopiero w latach dwudziestych naszego stulecia — integralne przekłady francuskie i angielskie. A przyjęcie tej inwazji przez Europę — poprzedziły wielkie wstrząsy i przemiany duchowe w Europie⁵⁷...

Wacław Lednicki w środowisku polskim uchodził, był często uważany, za rusycystę. Miał o to pretensje, tego rodzaju pomniejszanie bolało go zawsze i czyżby nie miał racji? Przecież nie kogo innego, a właśnie tego „rusycystę” powołano na przewodniczącego polsko-amerykańskiego komitetu obchodów 100-tniej rocznicy śmierci Mickiewicza. Dokonał wtedy olbrzymiej, trzyletniej pracy, organizując wydanie w języku angielskim książki monumentu *Adam Mickiewicz in World Literature*. Udało mu się wciągnąć do współpracy i studiów nad Mickiewiczem najwybitniejszych przedstawicieli literatury zachodniej, sławistów i komparatystów. Korespondencja sama jaką prowadził jako przewodniczący komitetu mogłaby liczyć szereg tomów. Wszystko to zrobił bezinteresownie.

A mógł być czas ten, w ogóle czas jaki poświęcał sprawom polskim w Ameryce zużyć inaczej. Przyjemniej, albo korzystniej w sensie materialnym. Sam mówił, że przy tym wzroście zainteresowania Rosją na świecie, łatwo jest pisać i puszczać na rynek jakieś sensacyjki o Dostojewskim, Tolstoj, czy choćby współczesnej literaturze sowieckiej. Lednicki nie stał się „polskim” Nabokowem dlatego, że wołał Mickiewicza, Krasińskiego, Sienkiewicza, a potem Norwida, Paskę, Frycza-Modrzewskiego, Piotra Skargę wreszcie. Lednicki nigdy nie zrobił pieniędzy, tacy jak on nigdy ich nie robią. Po przejściu na emeryturę, w liście do jednego ze swych przyjaciół w roku 1963 napisze:

„... Żyję nie w getcie polskim w Anglii, która sama przeszła wojnę i została przez nią mocno dotknięta, lecz w środowisku amerykańskim... Jeżeli bym Ci podał cyfry, to byś łatwo mógł się przekonać jak naprawdę moja sytuacja wygląda. Nadmienię tylko, że np. podatek za dom wynosi około \$ 500 rocznie, że ubezpieczenie samochodu kosztuje około \$ 150 rocznie, że za gaz, elektryczność, telefon, świadczenia miejskie płacę miesięcznie ponad \$ 70. Murzynka, która przychodzi tylko raz na tydzień na kilka godzin dostaje \$ 20, albo \$ 25 miesięcznie, a kasa chorych, a lekarstwa (nie-raz płacę 20 i 30 \$ za rozmaite tabletki i pigułki), a ubezpieczenie domu, a przymusowe przycinanie szpalerów w ogrodzie. Za mieszkanie nie płacę, to prawda, ale dom mój jest dla mnie wielkim ciężarem. Na trzeźwo należałoby go sprzedać, ale co wtedy zrobić ze wszystkimi swoimi 'zbiorami' — bo mam tego jednak dużo... Jak sobie to wszystko policzysz, to wtedy zobaczysz, że emerytura wynosząca \$ 350 miesięcznie może ledwo na to

wszystko wystarczyć. A dodaj, że do Polski pieniądze posyłam córce i lekarstwa rozmaitym osobom... Mógłbym za te pieniądze żyć z pewnością łatwiej w Europie, ale jak Ci pisałem, Uniwersytet Kalifornijski daje mi tego rodzaju pomoce i ułatwienia, których nigdzie nie znajduję, a one właśnie umożliwiają mi pracę. Wspomnę jeszcze o wyjazdach do Europy. Na wszystkie moje wyjazdy otrzymywałem rozmaite subwencje, ... Tak więc wygląda to tu na to patrząc, moja sytuacja materialna. I jeszcze jedna uwaga — niestety nie nie zarabiam, a moje książki żadnych honorariów mi nie przyniosły, a nawet przeciwnie, muszę płacić za egzemplarze, które temu czy innemu posyłam⁶.

Lednicki dostał za to najwyższych zaszczytów i wyróżnień w środowisku akademickim Ameryki. W roku 1963 otrzymał tytuł Doctor Honoris Causae Uniwersytetu Kalifornijskiego. W roku 1966 uniwersytet ten siódmą serię dorocznych odczytów poświęcił slawistyce i dedykował ją jego imieniem. Lednicki zasiadał w licznych komitetach, był członkiem honorowym wydawnictw i publikacji w wielu językach nie tylko w Stanach, ale we Francji, Belgii, Anglii i Polsce. Z wyróżnień polskich na tym kontynencie otrzymał dyplom Fundacji Kościuszkowskiej, a ostatnio specjalną nagrodę im. A. Jurzykowskiego jako: „Międzynarodowo uznany za jednego z czołowych światowych uczonych w dziedzinie literatur słowiańskich, za głębokiego interpretatora kultury słowiańskiej”.

Pisząc o Wacławie Lednickim, profesorze, trudno mi nie dodać jeszcze jednego. Mianowicie tego, że Lednicki właściwie nigdy nie był w pełni zadowolony ze swej kariery... profesora.

Po maturze wybrał romanistykę, ponieważ lubił Francuzów, ich język i literaturę. W pewnym sensie w Rosji należało to nadal do dobrego tonu. Ojciec zmuszał go do pójścia na prawo, wiedząc o powodach jakimi jednak się kieruje. Gdy naciski nie odniosły skutku, zaznaczył, że ustąpi, ale pod warunkiem, że „o ile literatura, to i profesura!”

W czasie wojny Wacław, kręcący się wśród arystokracji zarówno Moskwy jak i Petersburga, korzystający pełną garścią z życia, mając coraz więcej do czynienia z polityką, zaczyna myśleć o dyplomacji.

W Polsce ze względu na niechęć do jego ojca, kariera w MSZ-cie okazuje się niemożliwa. W najlepszym razie może jechać do... Japonii, a i to na podrzędne stanowisko. Sprzeciwia się temu kategorycznie żona. Po habilitacji wyjeżdża do Brukseli, gdzie katedra jest utrzymywana z funduszy nie Ministerstwa Oświaty, a Spraw Zagranicznych. Jest więc profesorem i w pewnym sensie polskim attaché kulturalnym, co mu odpowiada.

Lednicki nigdy nie potrafił się zżyć, zbliżyć do środowiska

profesorskiego. Mówił, że nużyło go ono, nie było ciekawe. Wyróżnia wielu naukowców, jak W. Borowego, szanuje T. Zielińskiego, M. Zdziechowskiego, czy L. Petrażyckiego, ale przeraża go ich życie pozauniwersyteckie, ich... żony. Woli polityków, jakby krytycznie nie był ustosunkowany do spraw jakim służyli. Przebywa więc najczęściej i przyjaźni się z ludźmi takimi jak W. Grzybowski, W. Günther, W. Kamieniecki, R. Knoll, a w Brukseli A. Mühlstein. Bywa przecież u A. Zaleskich, J. Szembeków, St. Grabskich, Al. Skrzyńskich, K. Morawskich, czy u Laroche'ów w ambasadzie francuskiej. Nade wszystko zaś Lednicki przedkłada kręgi ziemiańskie. Jest zżyty z Z. Lubomirskimi, Z. Tarnowskimi, W. Zamoyskimi, F. Potockimi, D. Radziwiłłami.

Z ziemiaństwem i sferami rządowymi wiązały go stosunki, pozycja i majątek ojca, małżeństwo wreszcie. Ojciec jego (jak i wielu jego przyjaciół) długo łudzi się szansą odegrania czynnej roli na arenie państwowej Polski.

Profesurę na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1928 Wacław Lednicki przyjmuje bez entuzjazmu. Dlatego, że odciąga go ona od Warszawy i Brukseli do prowincjonalnego Krakowa, no i jakby nie było, oznacza mniejsze pobory, konieczność oszczędzania, pewnych wyrzeczeń. W latach następnych i aż do wojny będzie starał się „dzielić” U.J. z Brukselą, wykładając i tu i tam.

Wacław Lednickiego, po śmierci jego ojca używa jeszcze do pewnej delikatnej misji premier M. Zyndram-Kościałkowski. Chodzi o pertraktacje ze środowiskami uniwersyteckimi w sprawie utworzenia katedr ukraińskich przy Uniwersytecie Lwowskim. I to już chyba ostatnia tego rodzaju „misja” polityczna, jakich zresztą ani on, ani jego ojciec nie otrzymywali wiele. Nic dziwnego, że w okresie wojny, w Ameryce, na gruncie nowym Lednicki włączy się tak aktywnie do spraw społecznych. Zwłaszcza, że ma dane na zadośćuczynienie, spodziewa się oczyszczenia atmosfery polskiego życia politycznego. Jałta przekreśla wszelkie nadzieje. Nie tylko Lednickiego. Pozostaje emigracja, Kalifornia, Berkeley i służenie do końca życia owej „Polsce idealnej”.

Z ostatniego pobytu w Europie i Polsce w lecie 1967 roku Lednicki wrócił zmęczony. Nie pomogło już Montecatini, Morze Śródziemne, nie zabawił go Paryż. Zgnębiło go to co zastał w kraju. Powiedział, że dojdzie tam niedługo do wybuchu o wiele groźniejszego niż Październik 1957 roku, do „rosyjskiego Wietnamu”. Jego pesymizm pogłębiała i sytuacja w prawdziwym Wietnamie, nastroje antyamerykańskie w Europie Zachodniej, widoczne konsekwencje polityki de Gaulle'a, perspektywa wycofywania się Stanów z kontynentu europejskiego. Dowodził, że każdą tego rodzaju próżnię prędzej czy później wykorzystają Rosjanie. Tych ostatnich przed zajęciem Berlina, całej Europy

6. W. Lednicki. Notatki osobiste i korespondencja. *Ibid.*

z wyjątkiem może Hiszpanii czy Anglii nie powstrzyma nikt. Nawet Niemcy, o ile Rosjanie będą mogli rozprawić się z nimi szybko i na miejscu bez obaw odwetu atomowego USA. Identyfikacja może się stać na Bliskim Wschodzie z Izraelem.

Powiedział o spotkaniach z intelektualistami rosyjskimi. Ciekawe jak bardzo ci ostatni obawiają się teraz wzrostu nacjonalizmu, zarażania się nim mas rosyjskich, nacisków ze strony armii, domagającej się zdecydowanej i agresywnej roli ZSSR w konfrontacji z Zachodem. W tej atmosferze rosyjscy neo-liberałowie wydają się być osamotnieni, wyobcowani jak przed pół wiekiem.

A i to co zastał w Ameryce przynębiało go.

Może ten stary człowiek w widocznych na świecie rysach przeczuwał zachwianie się równowagi sił wielkich mocarstw i zbliżenie się nowej epoki, nowych kataklizmów, czy przewrotów?



Na Euclid z kuchni schodziło się do baru i po wina. Stoją tu jeszcze na pół zaczęte armaniaki, na półkach leżą burgundy. A z tyłu jest małe patio otoczone kwiatkami i miętą wśród której profesor podawał *cocktail'e*. Małą sadzawkę obrastają liście papirusu, sterczy krzak bambusu i drzewo awakadosu. Awakados złamał ostatni wiatr. Jest zima. Na Euclid nie ma już Profesora.

Luty, 1968.

Boyden MARISON
(Zaporowski)

Ze świata

Dynastia Kennedy'ch

Ojciec zamordowanego Prezydenta, Joseph P. Kennedy, zrobił wielki majątek i miał liczną rodzinę: czterech synów i pięć córek. Przekazał im nie tylko fortunę, ale także pewną atmosferę, klimat i reguły życia. Założył rodzinę niezwykle solidarną, zapewnił jej zupełną niezależność materialną a, co najważniejsze, wdrożył jej samodyscyplinę i zaszczerpił ambicje — osobiste i publiczne.

Jego dziad przybył do Bostonu z Irlandii w połowie XIX stulecia i z trudem zaczął się urządzać w Nowym Świecie, jako ubogi ale pracowity imigrant. Jego syn, Patrick Joseph, urodzony w Bostonie w r. 1858, nabył pod koniec stulecia parę barów (*saloons*) i przedsiębiorstwo węglowe, a wreszcie założył mały bank. Był rzetelny i pracowity. Troje swoich dzieci uczył, że powinni być zawsze pierwsi, gdyż zajęcie drugiego miejsca równa się niepowodzeniu. Zalecał, by nie popełniali błędów i nie czynili nic, co by mogło rzucić cień na ich charakter lub reputację uczciwości. Te reguły wymagały ścisłej dyscypliny i znacznej dyskrekcji.

Joseph P. Kennedy, syn Patricka, odziedziczył po ojcu wybitne zdolności finansowe i polityczne, a w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości obracał się stale w świecie finansów i polityki, gdyż Patrick należał do miejscowego kierownictwa partii demokratycznej, był członkiem stanowej izby reprezentantów a następnie stanowym senatorem. Dzięki swej pracowitości i niezwykłym talentom matematycznym Joseph szybko i łatwo przeszedł przez lata szkolne i uniwersyteckie w Harvard. Jeszcze jako student nabył do spółki z kolegą autobusy w Bostonie i zrobił na tym dobry interes. W r. 1914 ożenił się z Rose Fitzgerald, córką czynnego demokrata bostońskiego. Był już wtedy najmłodszym w Stanach prezydentem banku, który sam nabył, a przez wprowadzenie nowego typu pożyczek osiągnął niebywałe powodzenie i zaczął błyskawicznie robić majątek. Po wybuchu wojny z Niemcami został wice-dyrektorem stoczni w Bostonie, nie zapominając nigdy o giełdzie. W r. 1919 przeszedł do firmy

maklerów giełdowych w Nowym Jorku, gdzie zrobił fenomenalną karierę: kiedy miał lat trzydzieści majątek jego sięgał już 30 milionów dolarów. Stał się właścicielem 30 kin w Nowej Anglii, a wkrótce wzięt się do milionowych interesów w Hollywood. W ciągu jednego roku stał się jednym z największych w świecie producentów filmów i ich sprzedawcą: obsługiwał 700 największych kin w Stanach. Został doradcą *Pathé-Film Company* i innych i powiązał je z *Radio Corporation of America*, *General Electric* i *Western Electric*, dzięki czemu wszystkie kina, jakimi zarządzał, miały uprzywilejowany dostęp do udoskonalonych dźwiękowych, synchronizacji i telewizji. Nabył wtedy rezydencję letnią w Hyannisport, która jest do dnia dzisiejszego letnią rezydencją rodziny. W r. 1929 odbył z żoną podróż po Europie w sprawach filmowych i teatralnych, a po powrocie był już potentatem w tej dziedzinie. W sierpniu tegoż roku zaskoczył Wall Street sprzedażą wszystkich akcji, jakie posiadał — na kilka tygodni przed wielkim krachem.

W roku 1930 związał się z Franklinem Rooseveltem, wspierał jego kampanię finansowo i był w niej bardzo czynny. Dziwiono się, że znany spekulant giełdowy popiera postępowy *New Deal* Roosevelta, ale dla Kennedy'ego najważniejsze było stać po stronie człowieka wygrywającego, przed którym stała przyszłość. Kiedy nowy Prezydent utworzył Komisję Papierów Wartościowych i Wymiany Pieniężnej — *Securities and Exchange Commission* — powołał Kennedy'ego na jej organizatora i kierownika. Zabrał się on do dzieła z niebywałą energią pracując po szesnastu godzin dziennie. Dobrał kilkuset biegłych, których rozesłał po całym kraju, wprowadził normy postępowania dla maklerów giełdowych w celu zabezpieczenia publiczności przed nadużyciami, zajął się specjalnie rekinami naftowymi, którzy robili miliony na naiwnych. Po zakończeniu tej pracy został na życzenie Prezydenta doradcą *Foreign Aid Lend-Lease Program* i na tym stanowisku nabrał jeszcze większego rozgłosu. Następnie zrobił go Roosevelt prezesem Komisji Marynarki Handlowej z zadaniem przywrócenia flagi amerykańskiej na morzach świata. Zaopatrzonej w potężną władzę dawania lub cofania subsydiów, postanowił Kennedy zlikwidować linie niesprawne lub zbyt ciężkie, wzmocnić i skonsolidować silniejsze i zredukować ilość amerykańskich linii morskich do kilkunastu najwyżej — i to linii wielkich — zdolnych do podjęcia z konkurencją światową walki o każdą szlak, o każdy ładunek. Właścicielom linii okrętowych oświadczył publicznie, że nie zamierza subsydiować lenistwa, złej administracji, marnych wyników. Marynarka Handlowa była wtedy w bardzo krytycznej sytuacji. Błędy i zaniedbania wielu lat poprzednich nie pozwalały na nagłe dokonanie zmiany na lepsze. Kennedy walczył w Kongresie o nowe ustawodawstwo, które by mogło pomóc. Pomimo wielkich trudności działalność Kennedy'ego okazała się korzystną dla marynarki. Ale on od chwili wyboru Roosevelta oczekiwał ciągle na powołanie go do Gabinetu; miał na myśli Sekretariat Skarbu. Roosevelt miał go na

oku, korzystał z jego rad, ale do Gabinetu brać nie zamierzał. Na jesieni 1937 r., ówczesny ambasador Stanów w Londynie zachorował, wrócił do kraju i złożył dymisję. Kennedy natychmiast dał znać Prezydentowi przez przyjaciół, że go to stanowisko interesuje i wkrótce uzyskał nominację.

Ambasador Stanów Zjednoczonych przy królewskim dworze św. Jakuba, przyjeżdżający do Londynu z żoną i dziewięciorgiem dzieci, stał się nad Tamizą pewną osobliwością. Ale sam piastun tej godności był szczerze zadowolony z nowego tytułu, który nie tylko na niego, ale także na jego dzieci rzucał aureolę dostojności i wagi. Postanowił nie ulegać brytyjskim zwyczajom i modzie i pozostać w każdym calu Amerykaninem. Pierwszych reporterów przyjął z nogami na biurku — co się spodobało. Zyskał na statucie, gdy w pierwszej grze golfa okazał się mistrzem. Ale na audiencję do Króla nie włożył przepisowych krótkich spodni z pończochami tak, że prasa zauważyła, że na tej audycji długie spodnie miał tylko ambasador amerykański i niektórzy mniej ważni służący. Zresztą obowiązki swoje traktował bardzo poważnie i z miejsca uprzedził personel ambasady, że nie zamierza być ambasadorem jedynie od funkcji reprezentacyjnych, że będzie wszystkim kierował. Wkrótce zbliżył się do premiera Chamberlaina i popierał jego politykę w stosunku do Niemiec, myśląc, że będzie można się dogadać z Hitlerem. Z tego powodu nie był popularny w Londynie, zwłaszcza, że w swych publicznych wystąpieniach dawał do zrozumienia, że w razie wojny Ameryka udziału w niej nie weźmie. W tym też duchu pisał raporty do Waszyngtonu, jakkolwiek po wybuchu wojny był za udzieleniem Anglii pomocy.

W myśl solidarności rodzinnej zatrudnił najstarszego syna Joe, jako swego sekretarza. John, późniejszy Prezydent, studiował Europę: był w Hiszpanii, odwiedził Niemcy, Rosję i Polskę. Córka Kathleen wyszła za markiza of Hartington, najstarszego syna Duke of Devonshire.

Joe, jr. wstąpił do lotnictwa morskiego.

W lipcu 1944 r., po odbyciu dwóch rund służbowych, dostał rozkaz powrotu do domu, ale przed wykonaniem tego rozkazu zgłosił się na ochotnika do wykonania niezwykle niebezpiecznej misji: samolot typu Liberator miał być naładowany 22 tysiącami funtów materiałów wybuchowych i dolecieć na odległość strzału do legowisk niemieckich łodzi podwodnych w Belgii; wtedy mieli lotnicy wyskoczyć ze spadochronami nad kanał La Manche, a samoloty towarzyszące miały za pomocą odległej kontroli wystrzelić pocisk na łodzi podwodne. Przed samym wyskoczeniem Joe Kennedy i jego kolegi nastąpił wybuch i obaj zginęli bez śladu. Młody Kennedy miał 29 lat. Wiadomość o katastrofie doszła ojca 2 sierpnia 1944 r. i zupełnie go złamała: najstarszy syn, w którym były lokowane największe nadzieje! Stary Kennedy niemal zmałał po tym ciosie, który mu zabrał część własnego życia. Ta śmierć zaważyła na całej rodzinie. Młodszy John, przyszły Prezydent, żył w cieniu starszego brata, uważanego za

dziedzica nazwiska, obowiązków rodzinnych i ambicji służby publicznej.

W kilka miesięcy później zginął na froncie markiz Hartington, mąż Kathleen Kennedy. Ona sama w cztery lata później padła ofiarą katastrofy lotniczej we Francji.

Na rok przed śmiercią Joe, John Kennedy został przydzielony do oddziału łodzi motorowych i w sierpniu 1943 r. znalazł się w patrolu na wodach wysp Salomona. Japoński kontr-torpedowiec łódź jego zatopił. John wraz z dziesięcioma uratowanymi po piętnastu godzinach przebywania w wodzie, schronił się na małej wysepce, okupowanej przez Japończyków. Ludność miejscowa okazała im pomoc i po czterech dniach ciężkich przepraw zostali uratowani.

Wobec przedwczesnej, tragicznej a bohaterskiej śmierci Joe, John Kennedy, jako z kolei najstarszy brat, wchodził na jego miejsce. Kandydował do Kongresu w 1945 r., by objąć mandat, jaki był pierwotnie przeznaczony dla poległego brata. Pomimo, że w Bostonie nazwisko Kennedy miało rozgłos i wagę, a fortuna jaką ta rodzina rozporządzała, wzmacniała jeszcze pozycję kandydata, nie zanedbano niczego, by Johnowi zapewnić zwycięstwo. Cała rodzina z ojcem na czele pilnowała sprawy i prowadziła — każdy na swoją rękę i na swój sposób — czynną agitację. Najdyskretniej zachowywał się ojciec, który „tylko” przez telefon tłumaczył liczным znajomym, przyjaciółom, klientom, że John jest jedynym, na kogo powinni głosować. Siostry chodziły od domu do domu. Kandydat pracował od rana do późnej nocy, wygłaszał przemówienia, ścisnął dłonie tysięcy współobywateli a jego wdzięk osobisty i fama morskiej przygody wojennej dodawały jeszcze blasku do samego nazwiska milionera i syna sławnego ambasadora. Zwycięstwo było całkowite i John znalazł się w Kongresie.

Ojciec tymczasem krytykował „doktrynę” Trumana i pomoc dla Grecji i Turcji; sprzeciwiał się wspomaganie Europy Zachodniej, przewidując jej szybkie przejście do orbity sowieckiej; opowiadał przeciwko wojnie koreańskiej, zajmując w tej sprawie stanowisko izolacjonisty; był przeciwny zaciąganiu przez Stany nadmiernych zobowiązań międzynarodowych; negatywnie się ustosunkował do Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako podważonej przez prawo weta; uważał nawet za bezcelowe trzymanie się Berlina, który musi wpaść w ręce Sowietów. Sądził, że im więcej państw dostanie się pod sowieckie panowanie, tym prędzej i łatwiej nastąpi rewolta i wyzwolenie. Tak było jeszcze w roku 1950.

Zajmował się w dalszym ciągu robieniem interesów. Skupywał nieruchomości, zaciągał na nie pożyczki hipoteczne a uzyskaną gotówkę lokował w interesach naftowych. Jego zmysł finansowy i wielkie szczęście przynosiły coraz większe miliony.

Johnowi nie odpowiadała pozycja Reprezentanta: nie dawała mu dostatecznego pola do inicjatywy i twórczej pracy. Dusił go system starszeństwa, którego nie można było przeskoczyć. Wo-

bec tego cztery dni w tygodniu spędzał w swoim stanie Massachusetts, objeżdżając możliwie wszystkie miejscowości i dając się poznać, a tylko trzy dni był w Waszyngtonie, by zaznaczyć swoją obecność. W r. 1952 zgłosił swą kandydaturę do Senatu, mając zaledwie 34 lata. Przeciwnikiem jego był Henry Cabot Lodge, dziadek którego zwyciężył w wyborach dziadka Johna — Fitzgeralda. Uważano kandydaturę młodego Johna za zuchwałe szaleństwo i beznadziejną próbę powalenia Lodge'a. Odradzano Kennedy'emu-ojcu wkładania pieniędzy w straconą sprawę. Ale właśnie te trudności podniecały i ojca i syna, którzy postanowili wygrać. Jak stwierdzono współcześnie, ówczesna kampania Johna była ze wszystkich kampanii w Massachusetts „najbardziej metodyczną, najbardziej naukową, najdokładniej w szczegółach opracowaną, najbardziej zdyscyplinowaną i świetnie działającą”. Ojciec Kennedy działał poza sceną, ale stale, czujnie i skutecznie, decydując o najważniejszych posunięciach. Matka Rose urządziła przedwyborcze przyjęcie dla czterech tysięcy kobiet. W całym stanie pracowało 286 „sekretek” kandydata i przeszło 20 tysięcy ochotników. Kandydat przewyciężył wielką przeszkodę w postaci ciężkiej choroby kręgosłupa, uszkodzonego jeszcze na uniwersytecie przy sportach, stan którego pogorszył się po przygodzie wojennej na Pacyfiku. W r. 1951 przebywał długo w szpitalu a w okresie kampanii chodził o kulach, zdejmując je jedynie, gdy pokazywał się publicznie. Nigdy do tej dolegliwości się nie przyznawał i starał się ją ukryć. Został senatorem.

Rozbieżność poglądów pomiędzy ojcem i synem, zwłaszcza w zakresie polityki zagranicznej, była taka, że ojciec postanowił siedzieć cicho, by synowi nie przeszkadzać, a John mówił, że z ojcem nigdy o polityce nie rozmawia, gdyż byłoby to bezcelowe. Nie podzielał przekonania liberalnych intelektualistów, że idee są motorem polityki. Zapytany kiedyś, dlaczego chciałby być Prezydentem, odpowiedział: bo to jest ośrodek władzy. Uprawiał politykę nie w celu popierania jakiejś ideologii, lecz dla satysfakcji sprawowania władzy.

Od chwili, kiedy John wszedł do Senatu, ojciec już myślał o jego kandydaturze na Prezydenta. Gdy w r. 1956 namawiano Johna, by kandydował na wice-prezydenta przy Stevensonie, ojciec się na ten pomysł oburzał i radził czekać, kiedy będzie chwila odpowiednia by kandydować na Prezydenta. Nie posłuchał ojca, dał się skusić i przegrał u demokratów. Nauczony tym gorzkim doświadczeniem, zaczął natychmiast metodycznie przygotowywać się do następnej kampanii jako kandydat na Prezydenta: praca w tym kierunku trwała całe cztery lata. A ojciec łożył wielkie pieniądze na akcję przygotowawczą przed konwencją Demokratów, która wybrała Jacka na kandydata.

Cała rodzina Kennedy'ch zebrała się w Los Angeles na czas konwencji, ale ojciec ze względów taktycznych i politycznych pozostał w cieniu. Po zwycięstwie Johna jeden z przywódców republikanów zawołał: oto mamy dowód, że każdy amerykański młodzieniec może zostać Prezydentem, szczególnie, jeżeli jego

ojciec ma 400 milionów dolarów. Wniosek niesłuszny: Kennedy zawdzięczał wybór przede wszystkim własnym talentom, wyprawie, politycznej wiedzy, metodycznej i wytrwałej pracy, ale także nieograniczonym niemal środkom materialnym.

Joseph Kennedy święcił tryumf nie mniejszy od tryumfu syna: ziszczył się pragnienia całego życia, urzeczywistniony został cel gromadzenia pieniędzy — syn zajął pierwsze miejsce w Ameryce, może w świecie. Dzień inauguracji nowego Prezydenta był dniem niewystowionego szczęścia dla jego rodziców — szczęścia i dumy — ukoronowaniem największych marzeń, najśmielszych planów.

Już po wyborze Johna do Senatu ojciec Kennedy starał się pozostawać w cieniu i „wysunąć synów na scenę”. Zasady tej trzymał się tym bardziej, gdy John został Prezydentem. W rok później — w grudniu 1961 — usunęła go choroba: atak mózgowy sparaliżował go prawostronnie i odebrał mu mowę. Dopiero w dwa i pół lat później zaczął chodzić, ale już nigdy nie wrócił do dawnej formy. Zachował jednak świadomość wydarzeń. Pamiętał, że Robert był Attorney General; zrozumiał, że Edward został senatorem w listopadzie 1962 r. Wszyscy synowie osiągnęli więc wielkie stanowiska. Rodzinne ambicje i marzenia ojca w pełni zostały urzeczywistnione.

Tragiczna śmierć Prezydenta w 1963 r. była ciosem druzgoczącym. Jak w każdej rodzinie solidarnej i mającej wytknięty cel i drogę, nawet ta tragedia nie złamała zmysłu dynastycznego — odwrotnie — wzmocniła go. Prezydent mówił, że wszedł do polityki w miejsce przedwcześnie poległego brata Joe, dodając „a gdyby mnie zabrakło, będzie Robert — gdyby jego zbrakło, będzie Edward”.

Nazwisko rodziny, tak ciężko dotkniętej zabójstwem Prezydenta — i uwielbianego brata, otoczone zostało nową aureolą — męczeństwa w służbie publicznej i legendą zamordowanego Prezydenta, która natychmiast powstała i trwa nadal. Dwie najbardziej zdruzgotane postacie, to była wdowa Jacqueline i brat Robert. Szczególnie Robert uciął na czas dłuższy i najwidoczniej szukał ukojenia w pracy i zbierał siły na działalność życiową.

Unieruchomiony ojciec Kennedy przeżył wiele osobistych tragedii. Stracił podczas wojny najstarszego syna, stracił córkę, stracił syna Prezydenta; najstarsza córka Rosemary, o której się nigdy nie mówi, jest umysłowo zapóźniona, od lat przebywa w specjalnym zakładzie, w życiu nie bierze udziału. Z dziewięciorga dzieci pozostało pięcioro: dwóch synów i trzy córki. Teraz Robert był głową rodziny, głównym dziedzicem nazwiska, tradycji i obowiązku rodzinnego służenia sprawie publicznej; dziedzicem także ambicji ojcowskich i ambicji nieżyjących braci.

Nie można jednak i nie należy zapominać o siostrach, jakkolwiek nie odgrywały one ani odgrywać nie będą żadnej roli politycznej. Stanowią jednak ważne i żywotne ogniwa w łańcuchu

rodzinnych fortyfikacji, które promieniują i działają w interesie rodziny i szerzą jej popularność i wpływ.

Jean Kennedy wyszła za Stephen Smith'a z bogatej nowojorskiej rodziny właścicieli barek i holowników. Mąż jej przystąpił do jednego z przedsiębiorstw ojca Kennedy, zajmującego się skupem nieruchomości i handlem nimi, i wyszkolił się w administracji finansowej, której jego szwagrowie nie lubili. Zajmuje się obecnie kierowaniem i nadzorowaniem majątku rodziny Kennedy'ch, co nie jest małym zadaniem. W jego wspólnym biurze, w drapaczu nieba Pan American nad dworcem kolejowym Grand Central, koncentrują się wielkie interesy finansowe rodziny. Ale Smith pilnuje także bardzo interesów politycznych całej rodziny.

Eunice Kennedy, starsza od Jean, jest żoną Sargenta Shriver, związanego z jej rodziną jeszcze przed małżeństwem, był on bowiem zastępcą dyrektora Merchandise Mart, wielkiego przedsiębiorstwa chicagowskiego należącego do ojca Kennedy, a następnie na życzenie jego udał się do Waszyngtonu pomagać Eunice w jej pracy społecznej nad przestępczością nieletnich. Owa pomoc skończyła się na małżeństwie. Shriver był kierownikiem *Office of Economic Opportunity* oraz *Peace Corps*, a obecnie jest ambasadorem w Paryżu.

Wreszcie Patricia wybrała sobie na męża aktora angielskiego Peter Lawford. Jej ojciec powiedział mu, że nie chciałby mieć zięcia aktora, a co gorsza aktora angielskiego. To nie odstraszyło córki. Osiedlili się w Kalifornii, zamieszkali w pięknym pałacu i dobrze im się powodzi. Solidarność rodzinna nie doznała szwanku przez to małżeństwo.

Ale — oczywiście — dwaj pozostali przy życiu synowie — Robert (Bob) i Edward (Ted) — mają wagę zupełnie inną aniżeli ich siostry. Odgrywają i odgrywać jeszcze będą dużą rolę w wewnętrznej polityce amerykańskiej.

Historia kariery politycznej Teda Kennedy jest bardzo pouczająca. Kiedy John został Prezydentem i opróżnił się jego mandat w Senacie, gubernator stanu Massachusetts miał mianować jego następcę na pozostałe dwa lata kadencji. Prezydent dał mu znać, że sam wskazuje następcę do mianowania. Wśród demokratów stanowych było kilku poważnych kandydatów. Prezydent — ku zaskoczeniu wszystkich — wskazał nieznanego nikomu Ben Smith'a. Okazało się, że był to jego kolega szkolny, z którym mieszkali w jednym pokoju. Został mianowany, z tym, że po upływie dwóch lat nie będzie ponownie kandydował. Nie powiedziano mu jednak wyraźnie, że ten fotel senatorski jest przeznaczony dla Teda Kennedy, który dopiero w r. 1962 kończył 30 lat — wiek minimalny, uprawniający do kandydowania do Senatu. Papa Kennedy niemal natychmiast po objęciu Prezydentury przez Johna i stanowiska Attorney General przez Roberta uznał, że teraz kolej na danie odpowiedniego stanowiska najmłodszemu z braci. Przez mianowanie do końca bieżącej kadencji podstawiono a w polityce nie zainteresowanego człowieka, zapewniono fotel senatorski dla Teda. Kiedy jednak przy-

sza kampania 1964 r. a brat-Prezydent już nie żył, Ted z właściwą całej rodzinie energią, metodycznością i pracowitością prowadził swą kampanię wyborczą tak, jak gdyby wcale nie był pewien wyniku. Sprawdziło się wówczas zdanie Prezydenta, że Ted jest najzdolniejszym politykiem w całej rodzinie, gdyż politykiem z natury. Ujawnił te zdolności w najwyższym stopniu i pomimo, że jego młody wiek działał przeciwko niemu, że w wielu oczach szkodziło mu przekonanie niektórych, że jedynym jego atutem był fakt, że jest bratem legendarnego Prezydenta, zyskał sympatię a nawet entuzjazm wyborców swoim wrodzonym wdziękiem, umiejętnością trafiać do przekonania, pracowitością i wielką zabiegalnością o każdy głos. Jakkolwiek głosił, że kandyduje jedynie na własny rachunek, nie zapominał powoływać się często na zamordowanego brata, a gloria samego nazwiska i siła stojących za nim milionów stwarzały niestychanie sprzyjające warunki. Pomimo, że miał za rywala bratanka potężnego *speaker'a* Izby Reprezentantów, McCormacka, zwyciężył znakomitą większością głosów i zajął w Senacie miejsce starszego brata. Po jego zwycięstwie znany współpracownik *New York Times'a*, James Reston, surowo krytykował to rodzinne posunięcie, choć był adoratorem Prezydenta Kennedy. Pisał: „Kennedy'owie stosowali zasadę najlepszy człowiek na każde stanowisko — ale nie do siebie. Głośne nagłówki o zwycięstwie Teddy wywołują niesmak... zbyt wiele żąda dla siebie, za wcześnie i na bardzo nikłej podstawie... najgorsza, że Kennedy'owie tego nie widzą: gdy chodzi o ich rodzinę, uprawiają stary nepotyzm”...

Te uwagi były zasadniczo zupełnie słuszne. Stwierdzono jednak, że Ted ujawnił podczas kampanii wielki czar osobisty i wybitne zdolności polityczne. Miał także niezmiernie sprawną organizację wyborczą, znakomicie naoliwioną pieniędzmi, zaopatrzoną w liczny i znakomity personel. Pewien pisarz polityczny* na tle tej kampanii uczynił między innymi zasadniczą uwagę, że w życiu amerykańskim panuje coś nierealnego, gdyż Amerykanie podlegają zupełnie ekstrawaganckim oczekiwaniom i przesadzają własną zdolność kształtowania świata. „Pseudo-wydarzenia zdają się wpływać na myślenie i odczuwanie Amerykanów. Pseudo-wydarzenia są planowane celem rozpowszechniania, są bardziej dramatyczne, aniżeli wydarzenia rzeczywiste; dają się powtarzać jak trzeba; ich koncipowanie jest kosztowne i odpowiada ludzkiemu pragnieniu, by być oświeconym. Sprzyja im radio a zwłaszcza telewizja, która łączy pozory z rzeczywistością, a fakt, że miliony szukają złudzeń prowadzi do tego, że coraz trudniej odróżnić rzecz prawdziwą od fałszywej, rzeczywistą od nierealnej i coraz trudniej tworzyć ideały”. „W tym nowym świecie” — mówi — „w którym wszystko właściwie może być prawdą, społeczne powodzenie ma sztuka sprawiania, że rzeczy

wyglądają na prawdziwe. Bracia Kennedy i ludzie pomagający im w ich karierach i kampaniach opanowali sztukę stwarzania cieni i wykorzystywania istoty rzeczy”.

Bracia Kennedy to jednak nie są „cienie”, lecz żywi, bardzo żywotni i realni ludzie. Tendencja do stwarzania „cieni” może się w stosunku do nich wyrażać w wyolbrzymianiu ich postaci, w stwarzaniu opinii, że są rzeczywiście personifikacją legendy zamordowanego Prezydenta, że w szczególności są uosobieniem wszystkich najlepszych stron tej legendy. Ta legendarna aureola istotnie towarzyszy wszędzie i Edwardowi i Robertowi Kennedy. Toruje im drogi dla wielu innych zamknięte. Tworzy także pewne niebezpieczeństwo, gdyż ludzie są skłonni stosować w ocenie ich działalności bardzo wysokie i surowe kryteria. Edward jako młody senator zdał egzamin dobrze. Dostosował się do tradycji, która nakazuje nowicjuszowi siedzieć cicho i skromnie przez czas dłuższy. W czerwcu 1964 r. uległ katastrofie samolotowej, w której zginął kierownik jego biura, a on sam doznał złamania jednego kręgu i uszkodzenia dwóch, złamania dwóch żeber, przekrwienia płuc i ogólnych dotkliwych potłuczeń. Przeszło pół roku leżał w szpitalu w specjalnie zbudowanym łóżku, unieruchamiającym kręgosłup a umożliwiającym ruchy rąk i nóg. Ze stoickim spokojem i wielką wytrzymałością znosił trudną kurację. Tragiczna śmierć o piętnaście lat starszego brata-Prezydenta i własna katastrofa lotnicza, zakończona długą chorobą, wycisnęły na młodym senatorze głębokie piętno, przyspieszyły jego wewnętrzne dojrzewanie i umocniły charakter. Długo musiał nosić specjalny gorset, ale jego atletyczna budowa, siła fizyczna i doskonały ogólny stan zdrowia umożliwiły stosunkowo szybki powrót do normalnej pracy. Zajął się specjalnie zmianą ustawodawstwa migracyjnego i kierował przeprowadzeniem nowej w tej dziedzinie ustawy. Zajął się także uporządkowaniem stosunków w partii demokratycznej w stanie Massachusetts i przyczynił się do jej wewnętrznego wzmocnienia. W 1965 r. i ponownie na początku roku bieżącego jeździł do Wietnamu. Po ostatniej wizycie dał wyraz wielkiemu zaniepokojeniu z powodu korupcji, jaką znalazł „na wszystkich poziomach administracji”, uważając, że te niezdrowe objawy nie tylko podważają rząd Południowego Wietnamu, ale ponadto dają stronie przeciwnej znakomity materiał propagandowy. W udzielonym po powrocie wywiadzie zwrócił uwagę na konieczność położenia przez Amerykanów większego nacisku na polityczną stronę zagadnienia wietnamskiego, nie ograniczając się jedynie do strony czysto militarnej. Przez stronę polityczną rozumiał skłonienie Wietnamczyków, by sami podjęli skuteczną walkę z korupcją, sami dokonali niezbędnych reform, poszerzyli swe oparcie o lud: gdyby bowiem tego nie chcieli lub nie potrafili uczynić, Amerykanie musieliby poddać rewizji całą swą postawę wobec Wietnamu. Głos jego dołączony do licznych i ostrzejszych krytyków obecnej polityki wzmacnia obóz jej przeciwników.

Pozostając w cieniu brata Roberta, nie wkraczając nigdy na

* Daniel Boorstin, *The Image of What Happened to American Dream*, New York, 1962.

teren, którymi on się zajmuje, przestrzegając zasady, że jest zawsze drugim, Edward wyrabia sobie powoli, ale systematycznie i wytrwale własne miejsce w Senacie i w życiu publicznym w ogóle. Rozumie i pamięta, że jest następnym po Robertcie, że jest w „rezerwie” rodzinnej, która powinna być zawsze gotowa.

ROBERT KENNEDY jest obecnie głową rodziny, pomimo że ojciec jeszcze żyje — ale od chwili udaru w r. 1961, musiał się wycofać z czynnego życia. Jest głową rodziny od tragicznej śmierci starszego brata, Prezydenta. W myśl rodzinnego założenia i ojcowskiego wskazania objął następstwo po Prezydencie. Pamięta ustęp inauguracyjnego przemówienia John F. Kennedy:

„Niech popłynie z tą chwilą i z tego miejsca słowo — do przyjaciół i wrogów zarówno — że pochodnia przeszła do nowego pokolenia Amerykanów — pokolenia urodzonego w tym stuleciu, urobionego przez wojnę, zdyscyplinowanego przez trudy i gorzki pokój, dumnego ze swego dawnego dziedzictwa”.

Robert uważał za swój obowiązek niesienie dalej tej pochodni, która przedwcześnie wypadła z rąk starszego uwielbianego brata, nad zgonem którego załamało się jego własne życie, legendę którego uważał za świętą niemal spuściznę. Pielęgnował tę legendę i tę spuściznę jak najcenniejsze dobro i nosił w sobie głębokie przekonanie, że jest powołany i przeznaczony do kontynuowania przerwanej drogi Prezydenta, do rozwijania i wykonywania jego niedokończonych planów. Uważał, że lepiej niż ktokolwiek inny z żyjących zna te plany i zamierzenia nie tylko dlatego, że jest bratem, ale przede wszystkim z tytułu ściślejsz z nim współpracy i w czasie kampanii wyborczej, którą kierował i w okresie prezydentury, kiedy był *Attorney General* i najbliższym, codziennym doradcą Prezydenta.

Nominacja na stanowisko *Attorney General* wywołała u obu braci pewne wątpliwości: wahali się czy było właściwe, by nowy Prezydent mianował własnego brata i to bardzo wtedy młodego bez żadnego doświadczenia prawniczego (miał 34 lata). Przeważała opinia i zdecydowana wola ojca. Dla Prezydenta ważne było, że dzięki nominacji brata pozyskiwał w swej trudnej nowej roli bardzo zaufanego i — według przekonania obu — wybitnie zdolnego doradcę i pracownika.

Funkcja *Attorney General* jest zupełnie odmienna od funkcji ministra sprawiedliwości na kontynencie europejskim. O ile wszystkie inne departamenty w rządzie amerykańskim mają przedmiotowo określone funkcje, o tyle Departament Sprawiedliwości jak gdyby wkracza w działalność wszystkich innych departamentów i urzędów (*agencies*), Kongresu a nawet sądów. *Attorney General* ma czuwać nad ścisłym i wiernym stosowaniem i wykonaniem ustaw, nie mając sobie przeznaczonych, określonych zadań administracyjnych; ma się zajmować „ciężkimi sprawami”, które nie dają się załatwić w drodze normalnej przez inne departamenty czy urzędy. Stąd rola *Attorney General* stała się wybitnie polityczną: musi decydować i udzielać Prezy-

dentowi rady w sprawie oskarżeń, apelacji i śledztw, które z konieczności pomagają jednym a uderzają w innych.

W książeczce *The Pursuit of Justice*, stanowiącej przegląd działalności Roberta na tym stanowisku, dał on wyraz pewnym poglądom natury ogólnej. Pisał w niej, że „jednostka, w ręce której demokracja musi złożyć swoją wiarę i swój los, jest zdolna do wielkich i górnych osiągnięć”, a istotą odpowiedzialności, jaką taka jednostka na siebie bierze, jest stawianie dobra publicznego ponad wszelkie korzyści osobiste. Zauważył wówczas, że po raz pierwszy w dziejach mają Stany Zjednoczone środki niezbędne dla pokonania wszelkich form ubóstwa, biedy i wszelkich ich symptomów.

Przed wszystkim zajął się rolą rządu federalnego w zwalczaniu ubóstwa, które dotyka nie tylko Murzynów, stanowiących dziesięć procent ludności, ale i białych — ogółem około dwudziestu procent. Był zdania, że zagadnienie ubóstwa jest zarazem zagadnieniem młodzieży. Skierował swoją uwagę na zapobieganie przestępczości nieletnich, wzrost której przypisywał rozkładowi wielu rodzin amerykańskich, brakowi opieki nad dziećmi i częstemu wychowywaniu ich poza domem rodzicielskim. Wskazywał na potrzebę utworzenia wewnętrznego korpusu pokoju (*peace corps*), który by przyzwyczaił młodzież do służenia sprawie społecznej a miał na myśli wędrownych robotników (przeważnie Meksykańczyków, Indian, Eskimosów na Alasce). Był zatroskany „wolną przedsiębiorczością” w dziedzinie zorganizowanej przestępczości, a widział ją nie tylko w nielegalnych zyskach z hazardu, ze sprzedaży narkotyków, ale również w infiltracji wielkiego *business'u* przez elementy kryminalne, za co płaci szeroki ogół. Zwalczał skrajną prawicę i skrajną lewicę, broniąc jednocześnie *zmiany* jako prawa życia. Skrajni są niebezpieczni nie dla tego, że są skrajni, lecz że są nietolerancyjni; nie z powodu tego, co głoszą o swojej doktrynie, lecz z powodu tego, co mówią o swych przeciwnikach. Amerykańską odpowiedzią ludziom nietolerancyjnym jest różnorodność, wywodząca się z wolności religijnej. Wołał o całkowite równouprawnienie Murzynów, którzy tego jeszcze potrzebują. Wzywał świat prawniczy, by zapewnił wszystkim obywatelom równość wobec sądu i równość praw publicznych. Był za zniesieniem dawnych kwot imigracyjnych a „inwestowanie w nowych imigrantów” uważał za pierwszorzędną sprawę na przyszłość. W związku z kryzysem berlińskim wyraził przekonanie, że wpływ idzie z Zachodu na Wschód, z demokracji do komunizmu, a nigdy na odwrót.

Działalność w charakterze *Attorney General* dała mu pierwsze, ale bogate doświadczenie. Uzupełniła je jednoczesna codzienna styczność z całym spletem zadań i problemów Prezydenta.

Miał nadzór nad wywiadem zagranicznym, był doradcą Prezydenta w sprawach międzynarodowych, wykonywał poufne misje dyplomatyczne, był łącznikiem Prezydenta z kierownikami partii demokratycznej w poszczególnych stanach i czołowymi polityka-

mi w całym kraju, dysponował wieloma stanowiskami i posadami. Jednym słowem był w samym centrum rządzenia, stał się znany i wpływowy, poznał mnóstwo ludzi ważnych, wszedł w nurt życia politycznego i administracyjnego. Była to praktyka różnorodna, odpowiedzialna i na najwyższym szczeblu.

Pękło to nagle z chwilą zabójstwa Prezydenta Kennedy'ego. Nie od razu Robert opuścił swe stanowisko. Przez jakiś czas pozostawał w rządzie nowego Prezydenta. Już w styczniu 1964 r. delegował go Johnson do Japonii w misji, która miała na celu doprowadzenie do zawieszenia broni pomiędzy Indonezją a Malajami. Odwiedził wtedy również Południową Koreę. Był wszędzie przyjmowany więcej niż życzliwie — nie tylko jako wysłannik i przedstawiciel urzędującego Prezydenta, ale zwłaszcza jako brat świeżo zamordowanego Prezydenta, już wtedy legendarnego. Podróż ta była tryumfem osobistym, uczyniła Roberta popularnym i nadała mu rozgłos światowy. Szczególny entuzjazm wywoływał wśród młodzieży japońskiej, którą wzywał do walki z głodem, chorobami i ubóstwem, przekonywając słuchaczy, że młodzież — do której sam się zalicza — dźwiga w tej dziedzinie odpowiedzialność specjalną.

W tym samym roku 1964 chciał zostać ambasadorem w Południowym Wietnamie, ale Johnson odrzucił tę propozycję, uważając, że nie ma prawa narażać życia członka rodziny Kennedy'ch.

Po opuszczeniu stanowiska Attorney General, nie mając ani ochoty ani szans wejścia do rządu Johnsona, zdecydował się ubiegać o mandat senatora. Jego rodzinny stan Massachusetts już był reprezentowany w Senacie przez brata Edwarda. Wybrał więc Nowy Jork, pomimo, że nie miał do tego formalnego tytułu: mieszkał w New Yorku bardzo krótko i nie był z nim niczym związany. Sięgniecie po ten mandat w niewłaściwym okręgu i na terenie politycznie obcym a mającym znaczną ilość Demokratów i dosyć skłócone kierownictwo partyjne, zaskoczyło wszystkich, bez względu na przynależność partyjną, i zostało uznane za zamach na ustalone zwyczaje polityczne oraz śmiałe usiłowanie zdobycia mandatu z niezmiernie ważnego okręgu metropolii jak również za dość przejrzyście zapowiedź, że będzie dążył do zostania szefem Demokratów w Nowym Jorku. Nie podołało się to żadnemu z dwu skrzydeł kierowników stronnictwa, jakie prowadziły ze sobą utarczki o przeważające wpływy. Te przeszkody i trudności nie zrażały młodego Kennedy'ego — przeciwnie, prawdopodobnie były dlań zdrową podniecią. Ludzie znający go i jego ambicje już wtedy tłumaczyli sobie jego nowojorską kandydaturę zamiarem traktowania fotela senator-skiego jako kroku wstępnego do późniejszego zabiegania o Prezydenturę. Kampanię wyborczą prowadził sam, to znaczy był jej bezpośrednim kierownikiem i robił to ze zręcznością zawodowca. Nie zabłysnął jako wybitny mówca. Ale maszyna organizacyjna i propagandowa działała bez zawodu. Prasa była pełna jego wystąpień, przemówień i wywiadów. Słyszeli go ludzie przez radio, widzieli ciągle na telewizji. Podobno radio i telewizja

kosztowały go w tej kampanii do Senatu milion dolarów. Prezydent Johnson, który odniósł wtedy wielkie zwycięstwo w wyborach na drugą kadencję, popierał kandydaturę Kennedy'ego do Senatu i przybył pod koniec kampanii do Nowego Jorku, by to poparcie publicznie zmanifestować. Został wybrany i wszedł do Senatu. W tym dostojnym zgromadzeniu zasada starszeństwa panuje z żelazną bezstronnością i konsekwencją. Nowy Senator — pomimo, że nosił słynne nazwisko — znalazł się na 96-tym czy 97-tym miejscu w kolejności starszeństwa. Zauważono jednak, że czasami dawano mu pewne drobniejsze uprawnienia, które mu się przy tym jego słabym „starszeństwem” nie należały. Podobno, gdy ktoś zrobił z tego powodu zastrzeżenie czy wprost zadał pytanie dlaczego? — miał dostać odpowiedź od tego, kto tych szczególnych uprawnień udzielał, że on po prostu traktuje Kennedy'ego tak, jak traktowałby każdego przyszłego Prezydenta.

Do zwycięstwa wyborczego w roku 1964 przyczyniła się także słabość organizacyjna partii demokratycznej w Nowym Jorku, wśród kierowników której panował spór pomiędzy dwoma odłami. Była to wyjątkowa okazja dla Roberta Kennedy, by tę osłabioną w swym kierownictwie partię zdobyć dla siebie i stopniowo ją opanować. To był jeden z taktycznych celów nowego Senatora, pomijając już fakt obiektywny, że mandat senatorski z nowojorskiej metropolii jest zawsze drogą do wyższych stanowisk, nie wyłączając Prezydentury.

Gdy wszedł do Senatu Robert Kennedy miał 39 lat. Powszechnie stwierdzono, że — choć młody — jest w stanie stałego rozwoju i dojrzwiania. Zajął w Senacie stanowisko szczególne: nie tyle w obradach plenarnych czy pracach komisyjnych, ile jako indywidualny senator, cieszący się popularnością poza Senatem. Tę popularność podtrzymywał różnymi sposobami. W marcu 1965 roku, po wyborze do Senatu, wszedł na szczyt Mount Kennedy w Kanadzie, najwyższej góry w Północnej Ameryce dotąd przez człowieka nie zdobytej. Uczynił to, aczkolwiek nie był alpinistą — była to pierwsza jego poważna „wspinaczka”. W listopadzie tego samego roku pojechał na połów ryb w głęb doliny Amazonki. Wykazał często rodzaj obsesji, by udowodnić odwagę fizyczną. Nie wahał się brać na siebie dużego ryzyka.

Tego samego roku, w czasie długiej podróży odwiedził Peru, Chile, Argentynę, Brazylię i Wenezuelę, by sprawdzić działanie amerykańskiej *Alliance for Progress*, po czym, na wiosnę 1966 r., dał w Senacie krytyczną, choć nie pesymistyczną ocenę dotychczasowych osiągnięć tego przedsięwzięcia. Podróż jego do Ameryki Południowej była wielkim tryumfem osobistym i znowu przyczyniła się do jego rozgłosu światowego. Pamiętamy także jak był przyjmowany w Warszawie i Krakowie.

W czerwcu 1966 r. zjawił się w Południowej Afryce. Ku zdziwieniu wielu obserwatorów, polityków i korespondentów spotkało go tam przyjęcie, które rozmiarami i napięciem przeszło wszelkie oczekiwania. Jak pisał jeden z miejscowych korespon-

dentów, w oczach ludności Robert Kennedy reprezentował młodą generację politycznych przywódców i nowe idee młodzieży. Korespondent z Addis-Ababy twierdził, że jego wizyta była „jak powiew świeżego powietrza” i że jej skutki będą przez długo odczuwane. „Nazwisko Kennedy znaczy we Wschodniej Afryce znacznie więcej aniżeli przedstawiciele prasy mogli sobie wyobrazić — przeniknęło ono do najdalszych okolic, gdzie panuje analfabetyzm”.

Takie podróże do różnych krajów i po kilku kontynentach dawały Kennedy'emu coraz to nowe i coraz głębsze doświadczenie, a ich fama, należycie podtrzymywana i szerzona, podbudowywała jego popularność i otaczała jego nazwisko, owiane legendą zamordowanego Prezydenta, nimbem czegoś niezwykłego — już na jego osobisty rachunek.

W Senacie zajmował się obroną interesów konsumentów, brał udział w dochodzeniach w sprawie „kryzysu miast”, w swych ważniejszych przemówieniach (styczeń 1966) podniósł sprawę Indian amerykańskich, ubogich Murzynów i ich dzielnic w miastach, dolę niedorozwiniętych dzieci a także problemy polityki zagranicznej. Rozległość jego zainteresowań, ilość i różnorodność zagadnień, jakimi się zajmował, stawiała przed zespołem jego współpracowników bardzo trudne i mozolne zadania. A była tych współpracowników znaczna liczba. W samym tylko biurze senatorskim zatrudniał trzydzieści osób, nie licząc prywatnego biura w Waszyngtonie, a jeszcze kilkanaście osób w Nowym Jorku i w Syrakuzach. Oprócz tego stale powoływał do współpracy młodych prawników, młodych profesorów, *businessmenów*, którzy opracowywali dla niego poszczególne zagadnienia i przygotowywali rozmaite projekty.

Pomimo takiej żywej działalności i tak żywotnej pracy Kennedy — według tych, co go znają blisko, źle się czuł w roli senatora: jest ona zbyt obserwacyjnej natury, nie daje pola i tytułu do *skutecznej akcji*, która jest możliwa jedynie na odpowiedzialnych stanowiskach w rządzie.

Robert Kennedy nie był z natury człowiekiem parlamentu, ciała dyskusyjnego; był człowiekiem akcji, czynu. Nie był skłonny do teoretycznych rozważań, woli konkretne projekty. Wielkie idee go nudziły, nie lubił wielkich planów. Uczyć się wolał z rozmów ze znawcami przedmiotu, aniżeli z książek a jednak przeszedł kurs szybkiego czytania. Jego ojciec mówił, że o ile Prezydent John starał się ludzi przekonywać, o tyle Robert ma skłonność do rozkazywania, do wtrącania się i do rządzenia. Był impulsywny, niecierpliwy a jednocześnie twardy i uparty; z natury nieufny, lecz lojalny dla przyjaciół. Od dawna zarzucono mu bezwzględność, zarozumiałość i arogancję. Z tych wrodzonych wad podobno stopniowo, w miarę wieku i wyrobienia w sprawach publicznych, „wyrastał” — wydawały się zanikać. Opinia wskazuje, że te wady miał, albo jeszcze ma, nie jedną rzecz mu utrudniała. Wady te występują raczej w jego stosunku do bezpośredniego otoczenia, nie są widoczne w wystąpieniach publicz-

nych: odwrotnie — na zewnątrz był niezmiernie uprzejmy, uśmiechnięty, łagodny, prawie nieśmiały.

Opanowanie i poddanie sobie partii demokratycznej w Nowym Jorku nie okazało się łatwe: miał w tej dziedzinie kilka przykrych zawodów, a wybór na mera metropolii liberalnego republikanina Lindsay'a był pewnego rodzaju polityczną jego porażką. W niektórych sferach liberalnych uważano go przez jakiś czas za zimnego, bezwzględnego i pozbawionego zasad politycznego operatora — ten nastrój minął jednak ze wzrostem opozycji w stosunku do Prezydenta Johnsona: zaczęto widzieć w Kennedy'm symbol i wyraziciela tej opozycji.

Jego droga do opozycji była stopniowa. W Senacie w komisji spraw zagranicznych wypowiadał się za poddaniem rewizji polityki w stosunku do Czerwonych Chin, za budową „mostów” do Rosji i Wschodniej Europy, przeciwko pomocy w sprawach wojskowych dla Ameryki Południowej, natomiast popierał *Alliance for Progress*. W sprawie Wietnamu mówił jeszcze w roku 1964: „Tego rodzaju wojna może być bardzo długotrwała i kosztowna, ale jeżeli komunizm ma być zatrzymany to jest konieczna. I zamierzamy doprowadzić ją do końca”.

W lutym 1966 roku przeszedł w tej sprawie do opozycji, wypowiadając się za rozwiązaniem w myśl którego komuniści, anty-komuniści i neutralni objęliby łącznie władzę w Południowym Wietnamie w drodze porozumienia bez zarządzania wyborów. Za „negocjowane rozwiązanie” uważał takie, gdzie każda strona „poczyni ustępstwa w sprawach ważnych, by zachować pozycję, które są istotne”. Formuła taka jest na tyle elastyczna, że może się wyrazić w rozmaitych rozwiązaniach natury praktycznej, zaś powyżej przytoczona jego propozycja ma wszelkie cechy idealistycznego pobożnego życzenia, zawierającego w sobie wiele naiwności w stosunku do komunistów — naiwności, dającej się wyjaśnić przez okoliczność, że wówczas nie ponosił Kennedy żadnej odpowiedzialności, a jego propozycja miała charakter czysto teoretyczny. Już w marcu 1967 r. wysunął w Senacie inny plan dla Wietnamu: proponował mianowicie wstrzymanie bombardowania, międzynarodowe zapewnienie dotrzymania zgody obu stron na niezwiększanie sił zbrojnych w czasie rozmów pokojowych oraz przywrócenie w Wietnamie wolności w życiu politycznym. Mówił to w czasie, kiedy znaczna większość ankiet wykazywała, że opinia publiczna wypowiadała się przeważnie na rzecz dalszego bombardowania i presji wojskowej celem wygrania wojny.

Na początku 1967 r. Robert Kennedy spowodował powołanie Theodora Sorensena, najważniejszego współpracownika zmarłego Prezydenta a obecnie adwokata nowojorskiego, na przewodniczącego komisji partii demokratycznej, mającej opracować plan wzmocnienia stronnictwa na najbliższą przyszłość. Było to bardzo wskazane, gdyż partia demokratyczna jest w stanie organizacyjnego kryzysu nie tylko w Nowym Jorku, ale także i w domenie rodziny Kennedy'ch — w stanie Massachusetts, skąd

senatorem jest Edward. Dotąd trudno dostrzec, by powyższy zabieg dał jakieś rezultaty. Wygląda na to, że Kennedy nie miał dostatecznej cierpliwości, by się pilnie i metodycznie zajmować tak nudną i tak „małą” sprawą, jak uporządkowanie lokalnych stosunków partyjnych.

Autor jednej z licznych książek o Robercie Kennedy'm twierdzi, że był on człowiekiem, którego najbardziej boją się w świecie politycznym Nowego Jorku. Oczywiście „strach” ten można rozumieć jedynie w tym sensie, że był on dużą polityczną siłą, w swoich posunięciach nieobliczalną i swym ciężarem politycznym wywołującą nieoczekiwane wstrząsy i naruszenie dotychczasowego stanu rzeczy.

Zapatrzonzy we własne interesy polityczne, kierowany przesadnym często poczuciem własnego „przeznaczenia” czy powołania do prowadzenia Ameryki na nowe tory, Kennedy gotów był dokonywać nagłych i gwałtownych decyzji, ryzykując ich konsekwencje, przeważnie trudne do przewidzenia, ryzykując trudności i przeszkody, choćby na razie nie wiedział, czy i jak je zwalczy, wierzył bowiem niezłomnie, że wszystko mu się powiedzie.

Arogancja, jaką wielu i często zarzucało Robertowi Kennedy, tłumaczy się w znacznym stopniu tym, że należał on do małego i dosyć zamkniętego świata ludzi bardzo bogatych, który prowadzi życie, jak gdyby w schronie i trzyma się — zwłaszcza jego kobiety — trybu właściwego arystokracji brytyjskiej. Stwarza to poczucie „naturalnej” wyższości i dyktuje postawę, która przeciętnego Amerykanina razi jako „arogancja”. Kennedy wiedział o tym i w swoich wystąpieniach publicznych starał się tej wady unikać, na ogół z dużym powodzeniem.

Przez cały rok 1966 i cały rok 1967 wielokrotnie i z całą stanowczością oświadczał publicznie, że nie będzie kandydował na Prezydenta w bieżącym roku 1968. W marcowym zeszycie miesięcznika *Fortune*, wydawanego przez wielki *business*, ogłoszono z nim długi wywiad, w którym na pytanie postawione wprost, odpowiedział, że nie zamierza kandydować. „Czy w chwili obecnej?” — zapytano. Odpowiedź była: „Po prostu nie zamierzam”.

Nagle, 16 marca, szumnie oznajmił swą kandydaturę.

Już dwa lata temu zajmowano się tym zagadnieniem. Tygodnik *Time* pisał we wrześniu 1966 r., że byłoby wariactwem ze strony Bobby Kennedy'ego sięgać po Prezydenturę w r. 1968 — żaden, nawet najsłabszy Prezydent nie przegrał w wyborach na drugą kadencję, a Johnson ma za sobą — pisał ten tygodnik — niezwykle dokonania w sprawach wewnętrznych, w czym prześcignął wszystkich innych Prezydentów. Toteż powszechna opinia sądziła, że Robert sięgnie po najwyższe w Stanach stanowisko dopiero w roku 1972. Nawet najbliżsi jego współpracownicy i doradcy jeszcze w tym roku odradzali mu kandydowanie. Wyżej wymieniony Sorensen mówił, że wysunięcie w tym roku jego kandydatury zraziłoby część partii demokratycznej, czyli ludzi, których pomoc byłaby niezbędna w kampanii wyborczej.

Inny przyjaciel i doradca, Goodwin, mówił o tych, którzy go namawiali na kandydowanie: „Chcą, by wyskoczył przez okno”. Sytuacja Kennedy'ego w łonie partii była dosyć szczególna; w czasie, gdy partia ma rząd w ręku i swego Prezydenta, on był szefem rządu niewidzialnego — *shadow government* — wewnątrz tej samej partii. Gdyby się starał obłaskawić, zdobyć oficjalnych kierowników aparatu partyjnego, łatwo zraziłby sobie swych liberalnych zwolenników, którzy — pomimo wszystko — nie zapomnieli doszczętnie jego przeszłości konserwatywnej (komisja J. McCarthy).

Oświadczenie z 16 marca 1968 r., że kandyduje, podziało jak przedwczesny wybuch bomby czasowej: była nastawiona według powszechnego przekonania na rok 1972 — sprawiła kłopotliwą niespodziankę.

Zgłaszając swą kandydaturę Robert Kennedy świadom był trudności, wobec jakich wówczas stawał. Miał skutecznie zważyć kandydaturę na drugą kadencję urzędującego Prezydenta, będącego szefem tej samej partii demokratycznej, przełamać tradycyjny zwyczaj wybierania Prezydenta na drugą kadencję i zdobyć poparcie robotniczych związków zawodowych, stanowiących zwolenników Johnsona, oraz świata *business'u* nieprzyjawnie dla Roberta usposobionego. Wysłunięcie tej kandydatury łącznie z drugą opozycyjną kandydaturą demokratyczną senatora Eugene McCarthy wywoływało rozłam w partii demokratycznej, co mogło sprzyjać republikanom, którzy na to poważnie liczyli.

Kennedy wierzył w swą siłę atrakcyjną: nazwisko, legenda zamordowanego Prezydenta, za piastuna i rzecznika której był uważany, olbrzymie środki finansowe, tradycyjnie mistrzowska organizacja kampanii — składały się na podstawy tej wiary. Wiedział, że wzbudzał entuzjazm wśród młodzieży, wśród kobiet, wśród Murzynów, wśród ludności ubogiej; wiedział, że poważny atut daje mu opozycja przeciwko wojnie w Wietnamie w formie, w jakiej jest prowadzona.

Ale największą jego siłą wewnętrzną i na zewnątrz było namiętne dążenie do „restauracji” Kennedych, do ich powrotu do Białego Domu; jego wiara, że oni przede wszystkim mają obowiązek i mogą wyprowadzić Amerykę z kryzysu wewnętrznego i międzynarodowego. Oni są powołani do stworzenia „nowej Ameryki”, zarysy której były wszakże w jego wypowiedziach mgławicowe i niejasne. Ale on ją „wyczuwał” i chciał młodych, tę przyszłość narodu, ku niej prowadzić. Jego przemówienia, wygłaszane przeważnie na uniwersytetach, wzbudzały fanatyczny entuzjazm. Pełne były górnych zwrotów, malowały w ponętnych, idealistycznych barwach ową Amerykę „nową”, jaką zapowiadał i przepowiadał, a do stworzenia której czuł się szczególnie powołany.

Zrezygnowanie przez Johnsona z ubiegania się o drugą kadencję zmieniło radykalnie sytuację. Odpadła opozycja przeciwko urzędującemu Prezydentowi. Prawie że odpadła okazja krytykowania wojny z chwilą, gdy się zaczęły rokowania z Północnym

Wietnamem. Kennedy musiał zmienić swą taktykę. Odbił nawet rozmowę z Prezydentem, szukając drogi do „zjednoczenia Ameryki” a przynajmniej partii demokratycznej. Jednak ta zmiana sytuacji nie osłabiła jego energii a usunięcie się najpoważniejszego rywala w osobie Johnsona zdawało się otwierać nowe możliwości. Senator McCarthy zdobył wielu zwolenników, nawet wśród tych którzy dotąd popierali Kennedy'ego. Nie był jednak na tyle groźnym rywalem, by mógł zasadniczo podważyć szanse Kennedy'ego. Kampania Roberta rozwijała się z właściwym mu impetem, a w wyborach pierwsiastkowych (*primaries*) zdobywał on taką ilość głosów, która rokowała mu wielkie szanse na sierpniowej konwencji demokratów. Ważne były wybory pierwsiastkowe w Kalifornii, która rozporządza liczną grupą delegatów na konwencję. Właśnie tam odniósł Kennedy znaczny sukces, który go ucieszył, umocnił jego zwolenników i był okazją do wielkiej i radosnej na jego cześć manifestacji w Los Angeles. W kilka sekund po tej manifestacji, gdy z niej wychodził przez kuchnię hotelową, został niespodziewanie postrzelony i padł śmiertelnie ranny u boku żony. Miliony ludzi obserwowały na telewizji i scenę tryumfu i scenę zamachu, i nie odchodziły od telewizji czy radia czekając na wynik operacji.

Wstrząs, jaki wywołała wiadomość o jego zgonie, da się porównać jedynie z tym, co nastąpiło po zabójstwie jego brata Prezydenta. Może był nawet większy i silniejszy — było to bowiem zabójstwo drugiego już z kolei Kennedy'ego, który mógł być zostać Prezydentem w listopadzie tego roku. Przeszła przez Stany fala grozy, oburzenia i głębokiego smutku. Przewiezienie zwłok do Nowego Yorku, stolicy stanu, z ramienia którego był senatorem, i wystawienie ich w katedrze św. Patryka dało okazję do zupełnie spontanicznej pielgrzymki tłumów do tej świątyni celem oddania hołdu Zmarłemu. Nowy York przez dwa dni co najmniej zawiesił normalne życie, oddając się całkowicie żałobie. Tragedia Ameryki łączyła się ściśle z tragedią rodziny Kennedy'ch, ponownie tak okrutnie doświadczonej. A była to rodzina — zdawało się — u szczytu powodzenia: w ciągu ostatnich ośmiu lat miała w osobach trzech braci trzech senatorów, jednego Prezydenta i kandydata na drugiego Prezydenta. Zabójstwo Roberta nie tylko zgasiło jego młode życie, nie tylko zamknęło niedokończoną księgę jego możliwości, ale nagle stworzyło nie oczekiwaną przez nikogo nową sytuację polityczną w tym przedziwnym roku wyborów Prezydenta, pełnym niekończących się niespodzianek.

Na uroczystym nabożeństwie żałobnym w katedrze św. Patryka wystąpił, z żałobnym przemówieniem brat zamordowanego — ostatni z czterech i najmłodszy — senator Edward. Przemówienie jego było godne i taktowne. Polegało głównie na przytoczeniu pewnych wypowiedzi zmarłego. Było wszakże uderzające z innego powodu: zostało powszechnie zrozumiane jako wykonanie powiedzenia Prezydenta Johna: „gdyby mnie nie stało, będzie Robert, gdyby Robert zmarł, będzie Edward”. I oto Edward ujawniał się natychmiast jako nowy rzecznik rodziny, jako naturalny

następca braci, którzy odeszli, jako kontynuator tradycji rodzinnej, przejmujący niedokończone zadania i obowiązki braci. On był też „gospodarzem” w pociągu, który przewoził ciało zabitego do Waszyngtonu wraz z przeszło dwoma tysiącami uprzywilejowanych gości żałobnych.

W przeszło tydzień po pogrzebie ukazała się na ekranach telewizyjnych grupa rodzinna, złożona z obojga rodziców Zmarłego i senatora Edwarda. Ustami naprzód Edwarda, a następnie matki, dziękowali wszystkim za okazane współczucie i udział w uroczystościach żałobnych i pogrzebowych. Stary Kennedy, częściowo sparaliżowany od końca roku 1961 i pozbawiony mowy, brał w tym wystąpieniu udział bierny — był właściwie statystą. Ten pokaz telewizyjny uważano z wielu stron za zupełnie niepotrzebny, a nawet w pewnym sensie nieprzyjemny.

Natychmiast też zaczęły się rozważania, co teraz zrobi senator Edward. Ludzie, którzy byli blisko rodziny zamordowanego bezpośrednio po tragedii, twierdzą jakoby rodzina chciała, by Edward wycofał się z życia politycznego: jest rzeczą zrozumiałą, że mogą mieć dosyć tych nieszczeń. Cokolwiek jednak może chcieć czy mówić strapiiona rodzina, jest bardzo mało prawdopodobne, by Edward, istotnie głęboko wstrząśnięty zabójstwem drugiego już brata, zamierzał usunąć się z życia publicznego. Byłoby to w rażącej sprzeczności z zasadami, w jakich się wychował, z poczuciem obowiązku wobec służby publicznej, jakie mu wpojono, z przywiązaniem do tradycji rodzinnej, która nakazuje nie zrażanie się niczym i wytrwałe kroczenie raz wytkniętą drogą. Byłoby sprzeczne z filozofią rodziny, która patrzy na życie jako na nieustanną walkę z trudnościami, w celu ich przezwyciężenia. Gra tutaj także owa niemal królewska solidarność rodzinna Kennedy'ch, widząca w interesie rodziny coś znacznie ważniejszego, aniżeli los jej poszczególnego członka. Kiedy Edward był niebezpiecznie chory po katastrofie samolotowej, Robert mówił do otoczenia, że wszystko będzie dobrze, a na czyjąś uwagę na czym to opiera, miał odpowiedzieć: „nas jest znacznie więcej, aniżeli kłopotów i zmartwień, jakie nas spotykają”.

Senator Edward ma dzisiaj 36 lat. Podobno uważa się obecnie za opiekuna piętnastoorga dzieci: trojga własnych, dwojga po Prezydencie i dziesięciorga po Robercie — a jedenaste jest spodziewane pod koniec roku. Pomimo poważnych konsekwencji wypadku lotniczego jest w doskonałym zdrowiu: bardzo wysoki, atletycznej budowy, łatwego i przyjemnego sposobu bycia, uzdolniony, ale mniej od Roberta błyskotliwy, za to bardziej opanowany i równy, odznacza się wybitną zdolnością uczenia się z doświadczenia życiowego i stałego dojrzwania.

Jako dziedzic nazwiska, wielkich rodzinnych ambicji i tradycji służby publicznej; jako obciążony poczuciem obowiązku rodzinnego i rodzinnej solidarności, nie mógłby łatwo wymknąć się z tej zawitej sieci, nawet, gdyby chciał. Nie ma wszakże żadnych danych, by do tego zmierzał. Przeciwnie, podobno pragnie szyb-

ko wrócić do swych normalnych prac i obowiązków w Senacie.

Ale inni, zwłaszcza byli współpracownicy i Prezydenta i Roberta oraz ich liczni wielbicieli i zwolennicy, już myślą o nim jako o czynnym polityku o słynnym i świetnym nazwisku, który — w interesie dobra publicznego — powinien być wkrótce należycie wykorzystany. Niemal na drugi dzień po zabójstwie Roberta, senatorzy i członkowie Izby Reprezentantów zaczęli dostawać telefony i listy, proponujące, by wysunąć Edwarda na kandydata na wiceprezydenta przy Hubercie Humphrey, który ma wszelkie szanse zostania kandydatem demokratycznym na Prezydenta. Są nawet głosy, że należy wysunąć kandydaturę Edwarda na Prezydenta. Te wszystkie propozycje nie uwzględniają jednak okoliczności, że on jest jeszcze za młody na jakiegokolwiek z tych stanowisk i że jest mało prawdopodobne, by tak bezpośrednio po wielkiej tragedii osobistej i — niejako w jej cieniu — chciał ubiegać się o nowy, wysoki urząd obieralny.

Głosy te są jednak znamienne przez to, że świadczą o wielkiej sile atrakcyjnej samego nazwiska Kennedy, o szerokim przywiązaniu do tej rodziny i zaufaniu do zdolności i czynnej inicjatywy jej młodych przedstawicieli.

Ciekawe jest stwierdzenie, że najbliżsi współpracownicy dwu zamordowanych braci, jak na przykład wspomniany już Theodore Sorensen, zajmują na razie stanowisko wyraźnie wyczekujące: Sorensen, będący sam kandydatem na delegata na konwencję partii demokratycznej, ogłasza że on i kilku innych kandydatów pojadą na konwencję nie związani z którymkolwiek z obecnych kandydatów na Prezydenta; że są zwolennikami „konwencji otwartej” i będą głosować na człowieka, który wypełni lukę, jaka powstała wskutek śmierci Roberta, który najlepiej potrafi przejąć spuściznę ideową po nim i wykaże zdolności przywódcy.

W takim ujęciu można się dopatrzeć wiary, że zanim się konwencja zbierze w sierpniu, wiele nastąpić może zmian i że nie jest nieprawdopodobne ani wykluczone, że dziedzic nazwiska, tradycji i dążeń zmarłych braci może jeszcze wypłynąć na konwencji w takim lub innych charakterze.

Dynastia trwa. Nie tylko w osobie Edwarda, ale również w przekonaniu wielu Amerykanów.

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

Książki

Z zeszytu lektury

Ziemia Obiecana

Można sparafrazować początek *Mitu Syzyfa* Camusa: „Bogowie skazali człowieka na bezustanne poszukiwanie Ziemi Obiecanej, i oddalają go od niej ilekroć widać ją wreszcie na horyzoncie. Uznali z pewną słuszością, że nie ma straszniejszej kary nad daremny i beznadziejny trud”. Mit Ziemi Obiecanej jest tematem krótkiej i pięknej powieści Andreja Płatonowa *Dżan*. Nazar Czagatajew, prowadząc mały koczowniczy naród *dżan* przez Ziemię Jałową pustyni turkietańskiej ku życiodajnej oazie Ziemi Obiecanej, przychwytuje się któregoś dnia na dziwnym uczuciu: „Zdawało mu się, że posuwa się wciąż w kierunku wytkniętego celu i że coraz bardziej się od niego oddala”.

Informacje o życiu i twórczości Płatonowa są skąpe i fragmentaryczne. Urodził się w roku 1899 na przedmieściach Woroneża jako syn ślusarza. Zaczął drukować około roku 1920. Pierwsze satyryczne nowele o nowej biurokracji sowieckiej wywołały oburzenie krytyki mniej lub więcej oficjalnej. Ze szczególną zajadłością tępiło go Rosyjskie Stowarzyszenie Pisarzy Proletariackich (RAPP): był oskarżany o „anarchizm” i „nihilizm”, o „odchYLENIE prawe” i „lewe”. Usunął się w cień, pisał dalej i dużo ale już niemal wyłącznie do szuflady. Cenili go wysoko Gorkij, Lu-kacs, Hemingway. Umarł na gruźlicę w Moskwie w roku 1951. Wydobywane stopniowo ze schowków i depozytów manuskrypty stawiają go w rzędzie najciekawszych porewolucyjnych pisarzy rosyjskich, rośnie też z każdym dniem w Rosji liczba jego admiratorów. *Nowyj Mir* zapewnia piórem Paustowskiego: „Gdyby utwory Andreja Płatonowa i Michaiła Bułgakowa ukazywały się wtedy kiedy były pisane, życie duchowe naszych współczesnych stałoby się niepomniernie bogatsze”. *Dżan* powstał około roku 1935. Ujrzał światło dzienne po trzydziestu przeszło latach, na łamach miesięcznika wydawanego w Ałma-Ata.

Powieść Płatonowa nazwano „misterium średniowiecznym”. Czytając ją zapomina się istotnie o wszystkim, co ma w niej

związek z określonym czasem i miejscem. Taką stylistyczną intencją kantaty czy chorału posiadają utwory pozaczasowe, bliższe parabolom niż aluzji. Proza rozpięta jest na strunie poetyckiego przyspiewu, każdy fragment opisowy brzmi jak samodzielne *canto*, w dialogach zwykła kolokwialność przybiera formę modulowanych świadomie „głosów” moralitetu, losy ludzkie odstawiają się w całej swojej ahistorycznej i prawie biblijnej nagości.

Zapomina się więc że Nazar Czagatajew, urodzony w pustynnej jurtce syn Turkmenki Gjulczataj i żołnierza rosyjskiego, zostaje po ukończeniu moskiewskiego Instytutu Ekonomii odesłany przez partię do Taszkientu jako jeden z pionierów „budowy socjalizmu”. Prawdziwe misterium Płatonowa mogłoby się i obyć bez tego, i odbyć gdziekolwiek i kiedykolwiek. Zaczyna się ono wówczas gdy Nazar wyrusza na pustynię z nakazem odszukania i wyprowadzenia zabłąkanego narodu *dżan*, w którym niedgdy wydała go świat Gjulczataj. W podziale „głosów” misteryjno-moralitetowych Nazar jest nowym zwiastunem Ziemi Obiecanej, a naród *dżan* odwiecznym pielgrzymem Ziemi Jałowej.

Na szlaku pustynnego pościgu za narodem *dżan* Nazar odnajduje najpierw dogorywającego wielbłąda. Przynosi mu kilka suchych krzewów, wędrujących grzbietami wydm z wiatrem i piaskiem, układa się obok niego na noc do snu jakby dotykem własnego ciała chciał w półmartwym zwierzęciu obudzić na nowo wolę życia.

„Wszystko było dlań dziwne w tym istniejącym świecie, stworzonym niby dla szyderszej igraszki. Ale kpiarska igraszka trwa długo, wiecznie, i nikt nie ma już ochoty z niej się śmiać, nie potrafi się śmiać. Pusta ziemia, wielbłąd, nawet żalosne zielska wędrownie, wszystko to powinno być poważne, wielkie i triumfujące; w sercach nędzarzy żyje przecucie innego szczęśliwego losu, koniecznego i nieuchronnego; co każe im tak cierpieć i oczekiwać Bóg wie czego? Czagatajew zwinął się w kłębek pod wielbłądem brzuchem i usnął, napelniała go zdumieniem przedziwna i niezwykła rzeczywistość”.

Ta „przedziwna i niezwykła rzeczywistość” jest naturalnie, jak we wszystkich mitach i parabolach, czystą konwencją symboliczną. Obraz Ziemi Jałowej u Płatonowa niewiele się różni od *The Waste Land* Eliota (w przekładzie Miłosza):

*Tu nie ma wody tutaj tylko skała
Skała i nie ma wody i droga piaszczysta
Wije się wyżej między ścianą gór
Góry są skalne góry są bez wody
Gdyby tu była woda stanąć by i pić...*

Mikrokosmosem doli człowieczej, skrótem symbolicznym a nie narodem, jest w powieści Płatonowa sam *dżan*. Liczy siedemdziesiąt siedem osób. Składa się z Turkmenów, Karakalpaków, Uzbeków, Kazachów, Persów, Kurdów, Beludżów i „innych którzy już zapomnieli skąd pochodzą”; ze zbiegów, z sierot, ze starych niewolników przepędzonych przez swoich panów, z wiarołomnych żon, z dziewcząt oplakujących zmarłych kochanków, z ludzi

bez Boga i zatrutych pogardą dla świata, ze zbrodniarzy którym udało się uciec z więzień... Według ludowych wierzeń turkmeńskich *dżan* oznacza duszę w poszukiwaniu szczęścia. Koczownicy *dżan* posiadają tylko „serce gdy bije, ciało gdy się jeszcze porusza, złudzenie życia”. Kiedyś byli we władzy okrutnych chanów i bejów, teraz są bezgranicznie wolni na pustyni. Suchy i gorący wiatr dmie w oczy, nogi grzęzną w piasku, spękane wargi piją chłód nocy zamiast wody; dopóki bije wciąż słabo serce i porusza się ciało, dopóki tli się złudzenie życia, pustynia jest jedyną drogą duszy poszukującej szczęścia.

Camus twierdzi, że Syzyf jest „bohaterem absurdalnym”. I dodaje: „Jest nim zarówno poprzez swoje namiętności, jak poprzez swoje męki”. Namiętności Syzyfa to pogarda dla bogów, nienawiść do śmierci i miłość do życia. Karą za nie jest nadludzki wysiłek, w którym nie osiąga się niczego. „Bohater absurdalny” napina wszystkie mięśnie i zrasta się niemal ze swym głazem, wtaczając go pod górę. Wznosi się nad swój los, schodząc spokojnie i w milczeniu w dół by powtórzyć „daremny i beznadziejny trud”. W egzystencjalnej interpretacji Camusa „samo wdzieranie się na szczyt starczy, by wypełnić serce człowieka”.

W powieści Płatonowa *dżan* jest narodem absurdalnym. Jego namiętnością jest wolność, jego głazem jest pustynia, jego męką jest wieczne poszukiwanie Ziemi Obiecanej.

Nazar dociera wreszcie do swego narodu i staje na czele pochodu. Wędrowcy są u kresu sił, stara Gjulczataj ledwie poznaje syna. „Jaka wizja podsycata świadomość całego tego wlokącego się przed siebie narodu, co sprawiała że zdolny był znosić swój los?”. Niebo zieje pustką, trudno uwierzyć w istnienie realnego świata. Wiezorami, gdy słońce znika jak strumień w piaskach pustynnych, zza martwej smugi cienia dochodzą rzadkie i niewyraźne dźwięki, znak że gdzieś trwa życie. Lecz w pielgrzymach Ziemi Jałowej rodzi się powoli pragnienie śmierci. „Najpierw zniszczenie atakuje duszę, potem poddaje się także ciało, i wtedy człowiek szuka schronienia w ziemi i śmierci jak w twierdzy czy kryjówce”. Naród *dżan*, wolny na pustyni i równocześnie uwięziony w jej potrzasku, chce umrzeć. Jest to punkt kulminacyjny misterium Płatonowa: jak na freskach średnio-wiecznych, orszak kościotrupów zamiera w bezruchu oczekując od śmierci ostatecznego wybawienia.

A jednak *dżan* podnosi się do dalszego marszu. Nazar doprowadza w końcu koczowników do zielonej kotlinki, gdzie życie wydaje się możliwe. Powstają pierwsze lepianki, przybłąkuje się stadko zdziczałych owiec, nadchodzi pomoc z najbliższego osiedla ludzkiego. Któregoś dnia o świcie Nazar budzi się w opustoszałym obozowisku. Ze szczytu wzgórza ogarnia wzrokiem na rozległej równinie maleńkie i samotne figurki „oddalające się na wszystkie strony świata. Jedni szli w kierunku Persji, inni w kierunku Morza Kaspijskiego, jeszcze inni w stronę Amu-Darii. Nie widać już było tych którzy szli na północ i na wschód przez Ust-Urt, i tych którzy oddalili się zanadto w ciągu nocy. Czaga-

tajem westchnął i uśmiechnął się: swoim małym sercem i umysłem, swoim entuzjazmem, chciał stworzyć tutaj prawdziwe życie. Ale ludzie wiedzieli lepiej, jaka droga jest dla nich najlepsza. Dość że im dopomógł pozostać przy życiu: niech sami szukają szczęścia za horyzontem". Można znowu sparafrazować *Mit Syzyfa*: „Samo nieustanne poszukiwanie Ziemi Obiecanej starczy, by wypełnić serce człowieka”.

Zapomniałszy o wszystkim co przypowieść Płatonowa wiąże z określonym czasem i miejscem, pamięta się przecież ciągle w trakcie lektury o jednym: że ta namiętna apoteoza wolności absolutnej i bezgranicznej wyszła spod pióra pisarza rosyjskiego w połowie lat trzydziestych, w najgłębszych mrokach niewoli.

Papież Celestyn V

4 kwietnia 1292 roku umarł w Rzymie papież Mikołaj IV. Święte Kolegium Kardynałów zebrało się kilka razy na *conclave* w Santa Maria Maggiore i na Awentynie, ale musiało się rozwiązać nie wybrawszy następcy: w Rzymie wybuchła epidemia dżumy. 18 października 1293 roku *conclave* wznowiło przerwane obrady w Perugii. Święte Kolegium, w liczbie dwunastu kardynałów, podzieliło się na dwa wrogie obozy: jeden pod wodzą kardynała Orsini, drugi pod wodzą kardynała Colonna. Czas mijał, do wyboru było z każdym dniem dalej. Nic nie pomagały ani wiadomości o rozruchach w Rzymie, ani napływające zewsząd protesty i skargi że tron papieski nie może pozostawać tak długo pusty. Wreszcie, po dwudziestu siedmiu miesiącach bezowocnych obrad i głosowań, Duch Święty oświecił kardynałów których liczba zmalała w międzyczasie do dziewięciu: znaleziono kompromis w osobie kandydata spoza obu zwalczających się frakcji. Był nim światobliwy zakonnik abbruzyjski, Fra Pietro da Morrone. Nowy papież przybrał imię Celestyna V.

Urodził się w roku 1215 w ubogiej rodzinie chłopskiej, jako przedostatnie z dwunastorga dzieci. W wieku sześciu lat stracił ojca. Bardzo wczesnie wstąpił do zakonu benedyktynów, gdzie otrzymał dość powierzchowne wykształcenie. Z opactwa benedyktyńskiego w Faifoli udał się do Rzymu, tam wyświęcono go na kapłana. Nie zabawił jednak długo w Rzymie. Czuł pociąg do życia pustelniczego. Pięć lat spędził w pieczarze na stoku góry Morrone, w pobliżu Sulmony. Później szukał schronienia w miejscach bardziej oddalonych od osiedli ludzkich, uciekając przed rosnącą wciąż popularnością. Kronikarze opisują go jako „mężczyznę rosnącego i silnego, o pogodnym i wesołym usposobieniu”. Około roku 1240 Fra Pietro da Morrone przerwał na pewien czas życie pustelnicze i zaczął organizować w małe wspólnoty swoich coraz liczniejszych zwolenników. Reguła wspólnoty była podobna do franciszkańskiej, kładła nacisk na prostotę, ubóstwo, niechęć do władzy świeckiej Kościoła, doskonałość rozwoju duchowego i ścisłe przestrzeganie elementarnych cnót chrześcijańskich. Nowa kongregacja została uznana *de facto* przez papieża Urbana IV

w roku 1263, ale po śmierci Urbana zezwolenie cofnięto. W roku 1275 Fra Pietro pośpieszył do Lyonu, na odbywający się tam sobór, i uzyskał od papieża Grzegorza X zgodę na odzyskanie kongregacji. Odtąd skupionych wokół niego braciszków nazywano *frati di Pietro da Morrone* albo prościej *frati morronesi*, przyznano im nawet prawo do specjalnego habitu zakonnego. W roku 1294, kiedy Fra Pietro stał się Celestynem V, zakonnicy z jego kongregacji zmienili nazwę na *celestini*. Krótko trwał okres ich świętości, jak krótko trwał pontyfikat ich ojca duchowego i protektora. Celestyn V był papieżem zaledwie kilka miesięcy. Przekonał się że nie ma sposobu na ograniczenie świeckich apetytów Kościoła i przywrócenie mu pierwotnej treści ewangelicznej i chrześcijańskiej, że Stolica Apostolska coraz dalsza jest od nauk pierwszych Apostołów i od Królestwa Bożego nie z tej ziemi a coraz bliższa walce o władzę i o Królestwo Ludzkie z tej ziemi, złożył dobrowolnie tiarę papieską i podpisał akt abdykacji. Na tronie papieskim zasiadł po nim Benedetto Caetani, jako Bonifacy VIII: człowiek ambitny i bezwzględny, zwolennik średniowiecznej zasady *plenitudo potestatis*, domagającej się „pełni władzy” dla Kościoła i całkowitego podporządkowania papieżowi świeckiej władzy królów i książąt. Perypetie Celestyna V nie skończyły się jednak na abdykacji. Bonifacy VIII, obawiając się że jego poprzednik zostanie porwany na rozkaz Filipa Pięknego i zmuszony do odwołania aktu abdykacji, postanowił uciec króla Francji: sam kazał ścigać ukrywającego się w górach Fra Pier Celestino (jak nazywano obecnie światobliwego braciszka który był niespełna pół roku papieżem). Schwytanie uciekiniera nastąpiło w maju 1295 roku, po jego nieudanej próbie przeprawy się łodzią rybacką do Grecji. Fra Pier Celestino był najpierw więziony w Anagni, w pałacu rodzinnym książąt Caetani. Kiedy stało się jasne że nie pójdzie na żadne ustępstwa i nie udzieli poparcia swemu następcy, Bonifacy VIII odciął go od świata w podziemiach twierdzy Fumone. Tam, w małej celi bez okien, Fra Pier Celestino zmarł w maju 1296 roku jako osiemdziesięcioletni starzec. W siedemnaście lat później, w maju 1313 roku, nowy papież Klemens V obwołał go świętym w Avignonie.

Celestyna V miał przypuszczalnie na myśli Dante, pisząc w *Boskiej Komedii* o tym który *fece per viltade il gran rifiuto*. Dla Dantego „wielka odmowa” była zapewne „tchórzostwem” dlatego, że nienawidził Bonifacego VIII i sądził że jego poprzednik na tronie papieskim powinien się być śmiało przeciwstawić teokratycznym tendencjom Kościoła. Petrarca natomiast podziwiał bez zastrzeżeń akt abdykacji Celestyna V. W nowszych czasach Giovanni Papini skłonił w hołdzie głowę przed *gran rifiuto* w swoim *Giudizio Universale*. Ostatnio powtórzył ten gest Ignazio Silone w dramacie *L'avventura d'un povero cristiano*.

Podczas lektury nowej książki Silonego trzeba mieć na uwadze dwie rzeczy: po pierwsze że *Przygoda biednego chrześcijanina* jest pozornie tylko utworem teatralnym, a w rzeczywistości długą dysertacją prawie publicystyczną ujętą w formę dialogów

scenicznych; po drugie, że napisał ją człowiek który niegdyś był wraz z Gramscim animatorem włoskiego ruchu komunistycznego, a dziś (jak sam o sobie powiada) jest socjalistą „odkrywającym na nowo dziedzictwo chrześcijańskie”. Dopiero wtedy łatwo zrozumieć siłę polemiczną, z jaką Silone broni aktu abdykacji Celestyna V. Eremita abbruzyjski, jeszcze jako papież, mówi do kardynała Caetani, przyszłego Bonifacego VIII: „Dla chrześcijan najwyższą wartością są sumienia, to one i tylko one zasługują na najwyższy szacunek”. Kardynał Caetani zamysła się: „Dziwne, doprawdy dziwne. Nie wyobrażałem sobie, że może istnieć człowiek tak odporny na pokusy władzy”. Celestyn V uśmiecha się wyrozumiale: „I ja za młodu znałem te pokusy, ale udało mi się je z pomocą Bożą przezwyciężyć”. W przeddzień abdykacji Celestyn V znowu rozmawia z kardynałem Caetani. Celestyn V: „Sprawowanie władzy ujarzma, poczynając od tych którzy ją sprawują. Pozostaje do wyjaśnienia zagadka, dlaczego tyłu chciałoby ją sprawować”. Kardynał Caetani: „Wyjaśnienie jest proste. Człowiek pragnie władzy bardziej, niż wolności i cnoty. Należy znać człowieka”. Celestyn V: „Kto pogardza człowiekiem, zachęca go by był godny pogardy. Chrześcijański obraz człowieka jest szlachetniejszy”. Jest to obraz, w którym „nieśmiertelne są ludzkie dusze, a nie instytucje, nie królestwa, nie wojska, nie kościoły i nie narody”.

W pewnym sensie *Przygoda biednego chrześcijanina* jest najbardziej autobiograficzną książką Silonego i podsumowaniem całej jego twórczości. Rachunek odbywa się w rodzinnych Abbruzach autora *Fontamary*, *Chleba i wina*, *Nasienia pod śniegiem*, *Szkoły dyktatorów* i *Wyboru towarzyszy*, w wielkim cieniu papieża „wielkiej odmowy”. Skrzyżowanie socjalizmu z dziedzictwem chrześcijańskim wydaje bardzo włoski i piękny owoc anarchizmu, w tradycji tych włoskich anarchistów którzy niegdyś lubili się określać jako *refrattari*, „oporni”. Oporni wobec wszelkich form przemocy i gwałtu, przeciwni zwalczaniu kłamstw jednych ideologii półprawdami innych ideologii, nie tyle apolityczni co programowo antypolityczni. Silone chętnie i często powtarza słowa Simone Weil: „Trzeba być zawsze gotowym do zmiany stron walczących jak sprawiedliwość, ta uciekinierka z obozu zwycięzców”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Encyklopedia Litewska

Otrzymałszy 34 pokaźne tomy *Litewskiej Encyklopedii* (rozpoczęcie pierwszego zdania od imiesłowu od razu nadaje pewien

koloryt lokalny) zacząłem szukać w nich poloników. Z pobieżnego przeglądu odniosłem wrażenie, że będzie tego... kilka tysięcy stron.

Tyle wypadków ze wspólnej historii, tyle wybitnych postaci, ma pełne prawo obywatelstwa nie tylko w polskiej encyklopedii, ale również i w litewskiej, że gdyby nie fakt napisania tych ksiąg w Ameryce — można by je określić również jako dzieje Polski — widziane z Kowna.

Encyklopedia Litewska została wydana w Bostonie w latach 1953-1967, wyłącznie staraniem emigracji. Drugi tom przynosi nazwiska około 5 tysięcy subskrybentów rozsiadanych po całym świecie, z wyjątkiem Litwy. Poszczególne tomy wielkiego formatu 6 na 9 zawierają po 500-700 stron — całość około 20 tysięcy stronic, w tym sporo ilustracji. W każdym tomie jest lista współpracowników, przeważnie przekraczająca setkę. Większą część stanowi lituanistyka, a znacznie mniejszą — treść normalnej encyklopedii powszechnej. Poziom opracowań dosyć nierówny. O wartości dzieła przesądza niezmiernie bogactwo informacji o ziemiach i ludziach b. W. Xsięstwa Litewskiego, zwłaszcza o Litwie etnograficznej i o Litwinach rozsiadanych po świecie. Tom 15 o Litwie, ponoć jest przeredagowywany, toteż niniejszy przegląd obejmuje 34 tomy, od 1 do 35-go. Cena kompletu wynosiła ponad 200 dolarów w przedpłacie.

Zacznijmy poszukiwanie poloników od pierwszego tomu na literę „A”: Władysław Anders, polski generał urodzony na Litwie... Podczas gdy w rzeczywistości gen. Anders urodził się w Krośniewicach pow. Kutno, ziemi warszawskiej, a jego związek z Litwą jest taki, że rodzice generała przed rokiem 1915 mieszkali w Taurogach, ziemi kowieńskiej. W kilkunastuwierszowym życiorysie jest jeszcze parę nieścisłości większego kalibru, więc pierwsze wrażenie usposabia do encyklopedii nieco krytycznie.

Po rozpatrzeniu się jednak w całości nasuwają się pewne uwagi. Pierwsze trzy tomy wydano pod redakcją prof. W. Birżyski, jednego z trzech braci profesorów, którzy — by użyć zapożyczonego z tejże encyklopedii zwrotu, „nie pisali o sprawach polskich obiektywnie”. Poza tym posiadano materiały do pierwszych tomów sporządzone jeszcze w Kownie, a nowszymi wypadkami widocznie uzupełniano je bez sprawdzania źródeł.

Lecz wróćmy do pierwszego tomu „A”. Jest tam wymieniona miejscowość Alsėdžiai, w polskim brzmieniu Olsiady. Co ta nazwa mówi polskiemu czytelnikowi? Nic. Nie znajduje się jej prawdopodobnie w żadnej encyklopedii. A jest to gmina, gdzie urodził się i wyrósł pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz. Pierwszy kościół tam zbudowano w roku 1471 (dla bardzo świeżej daty chrześcijan, którym daleko jeszcze do Milennium). Potem Olsiady stały się stolicą diecezji żmudzkiej a biskup Giedroyc założył tam seminarium. Na Litwie było aż trzech biskupów Giedroyciów, toteż powiadano, że co Giedroyc, to biskup. W wojsku litewskim w r. 1567 było 74 Giedroyciów.

W wieku XIX było „tylko” dwóch generałów i jeden pułkownik, a w powstaniu styczniowym odznaczyło się 5 Giedroyciów.

Skoro już zahaczyliśmy o Giedroyciów to idźmy dalej śladami praszczurów zespołu „Kultury”. Miłosz Czesław ur. 1911, w Szatejniach, gm. Surwiliszki pow. kiejdański. Polski poeta, powieściopisarz i eseista. Jeden z najwybitniejszych w nowej polskiej literaturze. Dalej pół strony o twórczości, przy czym podano, że współpracował z litewskim tygodnikiem „Naujoji Romuva”. Zbiór jego poezji był tłumaczony na język litewski. Dalej dwie i pół strony o Oskarze Miłoszu, „poecie litewskim piszącym w języku francuskim”. Trochę genealogii, że wywodzi się z Łabunowa, pow. kiejdańskiego. A z Surwiliszek i Łabunowa jeden krok do Kałnaberzy i samych Kiejdan należących w początkach XIX wieku do Czapskich. Autor „Ze wspomnień sybirskiego zesłańca” żali się, że niesłusznie nazywano go ciemniętylem chłopów, lecz ta wersja trafiła i do litewskiej encyklopedii. Wymienia ona czterech Czapskich głównie jako zbieraczy, założycieli muzeów i szkół.

Skoro wszystkie drogi prowadzą do Kiejdan, to może nieco i o tym miasteczku, zwłaszcza, że w odróżnieniu od wielu innych są one znane czytelnikom z „Potopu”.

Imponujące są w *Encyklopedii* istniejące monografie o prawie każdym miasteczku. Np. Kiejdanom poświęcono 5 stron (a Wilno 70) prócz tego 4 strony układowi kiejdańskiemu o unii litewsko-szwedzkiej Janusza Radziwiłła.

Czego tam nie ma wśród informacji. Podano w którym roku powstał klub szachistów i kółko pszczelarskie. Największy rozkwit Kiejdan był za czasów tegoż Janusza Radziwiłła. Kościół katolicki został przejęty przez kalwinów, następnie katolicy z powrotem go wyprocesowali, a Radziwiłł zbudował wspaniały kościół kalwiński. Kiejdany były wówczas stolicą protestantyzmu na Litwie. Przybyło tam nawet sporo Szkotów. Powstała drukarnia, biblioteka i gimnazjum w którym wykładano języki: polski, łacine, francuski, hebrajski, niemiecki i grecki. Litewskiego nie wykładano, ale jeden z kaznodziejów musiał znać ten język. A że Janusz Radziwiłł ożenił się z księżniczką mołdawską, więc zbudowano dla niej cerkiew. Gdy w parę wieków później Kiejdany otrzymał obrońca Sewastopola Todtleben, widocznie przywiozł z sobą krymskich Tatarów, bo zbudował dla nich meczet. W międzyczasie ośrodek kalwiński i szkoły zostały zlikwidowane. Kiejdany odzyskały znaczenie ośrodka kulturalnego dopiero, gdy Czapski założył gimnazjum z polskim językiem wykładowym.

Warto nadmienić, że za Janusza Radziwiłła Żydzi mieli pełne równouprawnienie, a gdy objął rządy Bogusław (jak wiemy mocno znimczony) zamknął Żydów do getta. Dla badacza genealogii nietolerancji może to być ciekawy przyczynek. Jako największego znawcę dziejów protestantyzmu na Litwie *Encyklopedia* wymienia prof. St. Kota.

Skoro okrężną drogą doszliśmy znów do nazwiska spotykającego w wydawnictwach „Instytutu Literackiego” to wymienimy,

że członkiem naczelnego komitetu stronnictwa „Białych” na Litwie był Jeleński. Tom na literę „G” ukazał się przed kilkunastu laty, gdy Gombrowicz był jeszcze mniej znany, więc nie posiada osobnej wzmianki. W omówieniu byłoby może podkreślenie jego częściowo litewskie pochodzenie.

O red. Okuliczu z pow. poniewieskiego, czytamy, że współpracował z gen. Żeligowskim, ale na emigracji pisał o Litwie „dosyć obiektywnie”. O prof. W. Wielhorskim dowiadujemy się, że należał do P.O.W. na Litwie i pisał o Litwie nieprzychylnie. Co do ścisłości tych danych można by mieć pewne wątpliwości. P.O.W. na Litwie wykryto w r. 1919, a proces kilkudziesięciu przywódców odbył się dopiero pod koniec roku 1922, a w tym czasie Wielhorski był czołowym publicystą „Dnia Kowieńskiego”. Ze względu na rolę jaką odgrywał w polskim społeczeństwie, mógł on być albo jednym z przywódców — i siedziałby wówczas w więzieniu — albo nie był członkiem organizacji.

O M. Wańkowiczu króciutko i bez przypomnienia jego związków rodzinnych z Kowieńszczyzną. Podobnie jak w wypadku Cata-Mackiewicza — odczuwa się pewien chłodek w stosunku do pisarzy którzy powrócili do Kraju.

W omówieniu „Słowa” wileńskiego zaznaczono, że z tego zespołu jedynie Józef Mackiewicz był przyjaźnie usposobiony do Litwinów. Żartobliwie powiedziałbym, że Litwini odwzięczyli się „rehabilitując” Mackiewicza, a raczej wiarygodność jego twierdzeń. W powieści „Lewa Wolna” wspomniany jest jakiś komisarz bolszewicki wywodzący się z majątku Konców-Siesiki. Podczas gdy właścicielem Siesik był Oskar Dowgiałło, a przedtem jego ojciec, bodajże Dominik. Więc wydawało się że podany dokładnie szczegół jest nie zgodny z prawdą, co poddawało w wątpliwość całą bogatą dokumentację. W *Encyklopedii Litewskiej* znalazłem, że majątek Siesiki do niedawna należał do Kończy, a więc i komisarz mógł się wywodzić z majątku Kończy. Czyżniono Mackiewiczowi zarzuty, że w tejże powieści oczernił P.O.W. i żandarmerię wileńską z r. 1919. W litewskim pamiętnikarstwie (nie *Encyklopedii*) ta żandarmeria jest przedstawiona w bardzo czarnych barwach, jako odznaczająca się brutalnością, a nawet zabieraniem kosztowności w czasie rewizji. Pech chciał, że ci rewidowani to była litewska elita, późniejsi ministrowie, profesorowie, artyści, pisarze. Kilka nazwisk najzacieklejszych polakożerców pochodzących z polskich rodzin zastanowiło mnie. Skąd to się u nich wzięło? Gdy znalazłem ich w spisie „rewidowanych” w roku 1919, doszedłem do wniosku, że chociaż litewscy pamiętnikarze zapewne przesadzali, to jednak Józef Mackiewicz w swej ogólniejszej charakterystyce nie oczernił zbyt żandarmerii.

Mówiliśmy o pisarzach, a uprzednio i o ich genealogii, więc nie od rzeczy będzie wspomnieć i o fundatorach nagród literackich. Julian Godlewski wywodzi się z Godlewa (Garliava), jest coś i o tym. W początkach XIX wieku Godlewski, właściciel rozległych dóbr, nie był zadowolony ze swej rezydencji, więc przy gościńcu, lecz wśród lasu, wybudował kościół, a nawet bóżnicę

(zawsze mieli rozmach w fundowaniu) i wokół powstało wnet miasteczko nazwane przezeń Godlewo. W blisko sto lat potem powstała tam jakaś spółdzielnia (*Encyklopedia* takie rzeczy skrętnie notuje). Jednym z jej założycieli był Gawroński, którego majątki rozciągały się od granic Godlewa aż pod Kowno. Z tej to rodziny wywodził się polski dyplomata, który również piórem się para.

O wielu Polakach są ciekawe informacje, pozbawione „polrealizmu”, a zabarwione „lit-realizmem”. Weyssenhoff (którego ludność okoliczna zwała Vajsonas) powiadał, że o Litwinach pisał poetycznie, a o Polakach satyrycznie. O Kościuszcze słyszeliśmy jako o bohaterze polskim i amerykańskim, a w *Encyklopedii* czytamy: „szlachcic pochodzenia białoruskiego, który uważał się za Litwinów”.

O premierze M. Zyndram-Kościałkowski z Poniedela pow. Rakiszki, podano, że z jego szafy trafiły w ręce litewskiego wywiadu szyfry i raporty P.O.W. na Litwie, co umożliwiło zlikwidowanie tego spisku.

O min. T. Romerze z Antoszewa pow. jezioroski, krótki życiorys bez żadnych rewelacji. O gen. Żeligowskim, wojewodach Bocińskim i Kirtiklisie — prawie w takim tonie, jak u nas o Murawiewie. Z wielką goryczą o min. A. Meysztowicz (pow. Poniewieski) i nie wiele lepiej o jego synu ks. W. Meysztowicz. Z muzyków wymienieni jako urodzeni na Litwie (etnograficznej): Emil Młynarski, Adolf Guzewski (pow. telszewski), Grażyna Bacewiczówna (pow. szakiowski) jak również jej ojciec i siostra Wanda. M. Karłowicz trudno było znaleźć, bo występuje jako Karlavicius. Miejsce urodzenia niepodane, ale ojciec jego, autor licznych prac z dziedziny lituanistyki urodził się w Mereczu pow. olicki.

Pomijamy tu omówienia licznych pisarzy polskich nie mających z Litwą nic wspólnego, a są one obszerne np. o Sarbiewskim około trzech stron.

Lecz gdy mowa jest o Litwie, można znaleźć ciekawe uwagi. O Czertwanie, bohaterze powieści Rodziewiczówny „Dewajtis”, czytamy: „Jest to apoteoza litewskiego szlachcica o polskiej kulturze, którego Rodziewiczówna stawia jako wzór, ponieważ w polskim społeczeństwie takiego nie może znaleźć”.

O Adamie Mickiewiczu jest 10 stron, w tym parę o litewskich tłumaczeniach jego utworów. Ciekawa jest odpowiedź dr. Basanaviciusa na twierdzenie poznańskiego „Dziennika Polskiego” w r. 1883, że Polacy rozstawili na świecie historię Litwy. Lecz kto, zapytajmy, stworzył te pieśni o litewskiej przeszłości, kto rozsławił w Europie polską poezję? Odpowiedź krótka — Litwini: Adam Mickiewicz, L. Kondratowicz, J. I. Kraszewski, T. Lenartowicz, Chodźko, Odyniec, Asnyk i liczni pomniejsi pisarze (piewcy) mają litewskie nazwiska, są Litwinami, pochodzą z Litwy, w ich żyłach płynie krew litewska. A że nie piszą w języku litewskim temu winien jest polski wpływ na litewską twórczość”. Sprawdzam w tejże *Encyklopedii*. Rzeczywiście prawie wszyscy

pochodzą z b. W. X. Litewskiego. Lecz nie ma wzmianki o litewskim pochodzeniu Asnyka, autora poematu „Kiejstut”, ani też Lenartowicza nazwanego tu piewcą Mazowsza.

Encyklopedia podkreśla kontrowersyjność zagadnienia narodowości Mickiewicza, a nawet pewną paradoksalność, gdyż czasem Polacy uważają go za Litwinów, a Litwini za Polaka. Autor zdaje się przechręcać do słuszności, nieaktualnej już dziś definicji: „Gente Lituanus, natione Polonus”. Przyjęło się u nas łączenie z Litwą jedynie Mickiewicza spośród wielkiej trójki poetów romantycznych. Juliusz Słowacki spędził dwa niemowlęce lata na Wołyniu, dwa w Warszawie, kilkanaście lat we Francji, Szwajcarii, Włoszech itd., a osiemnastoletni formatywny okres dzieciństwa, młodości i studiów uniwersyteckich przeżył w Wilnie. Chcąc go gdzieś umiejscowić, wypadłoby chyba nazwać go Wilnianinem, i w dodatku synem redaktora „Kuriera Litewskiego”. *Encyklopedia* podkreśla liczne motywy litewskie w jego twórczości.

A co łączyło z Litwą trzeciego z wieszczów, Zygmunta Krasińskiego? — Matka Radziwiłłówna.

Omawiając materiał historyczny pominiemy szczegóły i cytaty, poprzestając na ogólnych tendencjach, też zresztą nie zawsze jednolitych, gdyż nie znać na *Encyklopedii* twardej ręki redaktora. Jeden autor używa nazwy niemieckiej, a tylko w nawiasie doda Chojnice, inny użyje tylko polskiej itd. Aczkolwiek nauka operuje szkieletem mędrca, to jednak mędrzec też jest człowiekiem i czasem używa szkieletu powiększających, a czasem pomniejszających.

Przed półwiekiem historycy litewscy widzieli epoki Mendoga-Witolda oraz nowoczesnego odrodzenia narodowego — przez powiększające szkło, a okres 1430-1830 przez pomniejszające — prawie przemilczany. W nowej *Encyklopedii* okres Rzeczypospolitej Obojga Narodów jest bardzo obszernie ujęty z przyznaniem się do ciągłości dziejów i wspólnoty losów. Historia polska, która do niedawna obejmowała losy obu narodów, obecnie w Kraju widzi dzieje W. X. Litewskiego przez pomniejszające szkło, właśnie tak, jak litewska przed półwiekiem.

Polacy mają mit „Przedmurza”. Ale Litwini też go mają. Od zachodu był napór niemiecko-krzyżacki, który wytępił pruskie plemiona, zagarnął część ziem polskich oraz Łotwę i Estonię. A na Litwie zęby złamał. Jako bastion otoczony z dwóch stron — Litwa się ostała. Od wschodu szła nawała tatarska, opanowała i zhołdowała większą część Rosji i zatrzymała się dopiero u granic Litwy i jej protektoratów obejmujących Nowgorod, Wiazmę, Połtawę i wybrzeże Morza Czarnego. Ciekawe jest porównywanie „Polski Jagiellonów” Jasienicy z *Encyklopedią*. Te same fakty historyczne komentowane są u Jasienicy niezmiennie, że Polacy mieli rację, a Litwini ich skrzywdzili, a w *Encyklopedii* wręcz odwrotnie. Wbrew twierdzeniom Jasienicy o genialności posunięcia — oderwania Ukrainy od Litwy, a przydzielenia jej do Korony, Litwini wskazują, że wyznaniowo i językowo tolerancyj-

ne rządy litewskie miały na Ukrainie pełne poparcie ludności, a w następstwie wcielenia tych ziem do Korony nastąpiła kolonizacja i polonizacja, która już w sto lat spowodowała bunt kozackie, będące pra-początkiem upadku Rzeczypospolitej. Podobnie Jasienica zarzuca Litwinom, że po Grunwaldzie nie pomagali Polsce w ostatecznym zwyciężeniu Krzyżaków. A Litwini zarzucają, że Polacy nie pomagali w niedopuszczeniu do konsolidacji Moskwy, co okazało się największym niebezpieczeństwem.

Polityka ks. Janusza Radziwiłła jest przedstawiona w sposób następujący: Nie widział on innej prócz Szwedów siły pomocnej w obronie Litwy przed Rosjanami, którzy zajmowali naówczas trzy ćwierci W. Xięstwa, z Wilnem włącznie. A że nie był kapitulantom i stawiał twarde warunki Szwedom, więc oni sami przyczynili się do jego upadku.

Na zakończenie jeszcze ostatni przykład różnicy interpretacji wypadków z dawnej przeszłości. Z polskiej historii wygląda, że dobry król Jagiełło wciąż miał kłopoty ze swym krewniakiem Witoldem, który się buntował, a nawet sprzymierzał z Krzyżakami. W litewskim ujęciu wygląda to tak, że Witold po pierwszych kilku burzliwych latach, potem, przez lat 30 współpracował względnie lojalnie z... mordercą swego ojca, Kiejstutą.

Z kolei przejdźmy do obszernego materiału informacyjnego.

O 49 Radziwiłłach jest 25 stron, o Sapiechach i Potockich po kilkanaście. O Platerach, Tyszkiewiczach, Pacach, Ogińskich też po kilka. Nie dotyczy to wyłącznie rodów magnackich, gdyż znajdujemy też 9 Rabinowiczów, a minister i rektor Staniewicz jest 19-tym tego nazwiska posiadającym osobną wzmiankę. Warto przy tym podkreślić, że przychylną — co rzadko się zdarza w stosunku do Polaków z Kowieńszczyzny zajmujących wysokie stanowiska w Polsce odrodzonej.

Monografie miasteczek zawierają często ciekawe poloniki. Np. Połaga, gdzie ongiś Adam Mickiewicz spędzał wakacje letnie, i gdzie praszczur Marszałka Piłsudskiego, wspólnie z Tyzenhauzem, projektował budowę portu morskiego, któremu chciał nadać nazwę Stanisławowo lub Stanislausburg. A z pobliskiej Kretyni (niegdyś rezydencji hetmana Chodkiewicza) pochodzi Berek Joselewicz, który poległ już jako podpułkownik wojsk Xięstwa Warszawskiego.

Prócz tego, że historie powstań mają po kilkanaście stron, monografie miasteczek wymieniają nazwiska powstańców, daty i opisy potyczek, jak też niespodziewanie liczne nazwiska wikarych, więzionych i wydalanych za współudział w powstaniu 1963 roku na Żmudzi. Z owych dat potyczek, tym razem na przełomie XVII i XVIII wieku, odnosi się wrażenie, że naówczas sytuacja na Żmudzi przypominała wojnę w Wietnamie. Najpotężniejszy ówczesny wojownik, król szwedzki Karol XII uganiał się przez kilka miesięcy za partyzantkami oddziałami Ogińskiego.

Te militarne wspominki stanowią tylko drobną część dziejów miasteczek, czy raczej całych okolic. Pełno tam nazwisk właścicieli dóbr, fundatorów kościołów, proboszczów, czy kanoników.

Natomiast monografie większych miast są ujęte jakby w przewidywaniu modnej dziś „Student Power”. Od zarania dziejów, i jak świat szeroki, gdzie tylko studiowali na uniwersytetach jacyś Litwini zawsze będzie o tym wzmianka. W omówieniach zachodnioeuropejskich miast uniwersyteckich podane są nazwiska studiujących tam licznych panów litewskich w epoce późno-jagiellońskiej. Jak widać, w złotym wieku rządząca elita tej „barbarzyńskiej” Litwy, miała przeważnie zagraniczne wykształcenie uniwersyteckie.

Encyklopedia zawiera niezliczone życiorysy profesorów, tak dawnej akademii jezuickiej, jak też uniwersytetu wileńskiego za czasów Czarotoryskiego, a natomiast znacznie mniej profesorów tegoż uniwersytetu z lat 1920-1939. Wzmianki są chyba o każdym mieszkańcu b. W. Xięstwa Litewskiego, który wydał coś drukiem (przeważnie po polsku), był malarzem, archeologiem, znającym architekturę itd. Poza tym każdy historyk polski, który wymieniał w swych pracach słowo — Litwa (a chyba innych nie było) już ma osobną obszerną wzmiankę. Np. prof. Konopczyński w *Litewskiej Encyklopedii* ma 46 wierszy, a w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN* tylko — 17. Historycy W. Kamieniecki lub J. Jakubowski — w litewskiej omówieni, w polskiej pominięci. Jako że jedna encyklopedia jest anty-sowiecka i raczej anty-rosyjska, a druga wręcz przeciwnie, więc obie się dobrze uzupełniają. Wydawnictwa w Kraju ignorują zasięg polskiej ekspansji na wschód, a w litewskiej znalazłem ciekawe dane, że w przededniu pierwszej wojny światowej 46 tysięcy czyli 9 % mieszkańców Rygi podało w urzędowym śpisie ludności narodowość polską.

Wiele trudu włożono w opracowanie życiorysów cudzoziemców mających jakiś związek z Litwą. Np. brat Sir John Gielguda, pisarz angielski podkreślał swe pochodzenie litewskie i zamieszczał utwory w litewskim czasopiśmie (chyba w tłumaczeniu?). Z tak zwanej Małej, czyli pruskiej Litwy wywodzili się: filozof Kant, który napisał w serdecznych słowach przedmowę do słownika niemiecko-litewskiego, laureat Nobla Behring, oraz carski minister Plehwe, który miał krewnych tegoż nazwiska w Kowieńszczyźnie mówiących w domu po litewsku i po polsku. Podkreśla się też, że rodzina Dostojewskiego wywodzi się z W. Xięstwa Litewskiego. A urodzili się tam: Chagall, Soutine, Lipschitz, Brenson, Chaifetz i in.

Feliks Dzierżyński redagował jakiś czas nielegalne pismo „Robotnik Kowieński”. Tu można wyrazić uznanie z powodu lojalnego przytoczenia dowodu polskości miasta Kowna.

O zasięgu informacji dotyczących koneksji litewskich niech świadczy mały przykład. Gdy sydneyjska rozgłośnia państwowa nadaje czasem koncerty muzyki polskiej, speaker zapowiada, że objaśnień udzieli autorytet w tej dziedzinie Mr. de Noskowski. Bratanek kompozytora, w młodości sekretarz Paderewskiego, później recenzent muzyczny prasy australijskiej i ostatni konsul R.P. w Sydney, jest rzeczywiście znawcą muzyki w ogóle, a w

szczegółowości polskiej, tym bardziej zaś twórczości i działalności swego stryja, a jednak o tym, że Zygmunt Noskowski pomagał w przygotowaniu do druku zbioru pieśni litewskich — dowiedział się dopiero teraz z *Litewskiej Encyklopedii*.

Przejdźmy z kolei do nowszych czasów. O ile współzycie polsko-litewskie do roku 1918 jest przedstawione z litewskiego punktu widzenia, lecz beznamytnie, nie można tego powiedzieć o późniejszym okresie, aczkolwiek ton jest znacznie powściągliwszy, niż np. przed 30 laty. O Marszałku Piłsudskim jest zaledwie jedna stroniczka, niewiele więcej niż o Bronisławie Piłsudskim, a mniej niż np. o F. Ruszczycu, i utrzymana w tonie bardzo powściągliwym. Podkreśla się pochodzenie żmudzkie Giniotów, którzy władając majątkiem Piłsudy przybrali nazwisko Piłsudski. Dopiero ojciec „polskiego dyktatora” otrzymał w posagu żony Żułów i przeniósł się ze Żmudzi na Wileńszczyznę. Młody Józef jakiś czas przebywał w jednym z matczyńskich majątków, Tenenie na pograniczu prusko-żmudzkim, gdzie sprzyjał przemysłom nielegalnych druków litewskich.

Generacja polska jest wymieniona bardzo licznie. Nie tylko dawny Książewicz urodzony w Mitawie, ale i gen. Sosnowski ur. w gub. Suwalskiej, Dowbór-Muśnicki „ze szlachty litewskiej”, Januszajtis (bez rodowodu) Haller, Dreszer — bo walczył z Litwinami i inni. Nie ma natomiast gen. St. Kopańskiego związanego blisko pochodzeniem z Litwą. Jest tylko to, że w r. 1880 Kopański (prawdopodobnie ojciec generała) powiększył i odnowił kościół w Wodoktach.

Podejście, że nic co ma jakiś związek z Litwą nie jest nam obojętne, ma jeden wyjątek: Polaków w Republice Litewskiej. Eugeniusz Romer czołowy działacz Polonii Litewskiej, biorący też skromny udział w lokalnych organizacjach rolniczych jest wymieniony, lecz z pominięciem polskiego odcinka działalności. Podobnie jego małżonka Romer-Dembowska jest wymieniona jako znana malarka, ale czytelnik nie domyśliłby się jej narodowości. Trafił też do *Encyklopedii* Mikulicz-Radecki, ale jako członek zarządu Związku aptekarzy. O Szumkowskim „dobroczyńcy Wenezueli”, jak pisał „Wiadomości” ani wzmianki.

Są dzieje Niedzing, w powiecie olickim — jak to polski dzieje zwalczał litewskich księży, a o tym, że jego syn T. Żyliński był wice-rektorem i pierwszym dziekanem wydziału włókienniczego politechniki łódzkiej i autorem prac tłumaczonych na język angielski — nie ma ani wzmianki. Chociaż wśród innych tytułów miał też i — szeregowca rezerwy armii litewskiej.

Ledwo mogłem się doszukać króciutkich wzmianek o paru polskich organizacjach, jak „Pochodnia” i „Lauda” i o tygodniku „Chata Rodzinna”, ale nic o polskim dzienniku ukazującym się ponad 20 lat, pod różnymi zresztą nazwami, o miesięczniku, organizacjach sportowych, rolniczych, rzemieślniczych i in. o zamykaniu szkół, aresztach itd.

Sienkiewicz rozstał z Laudę, jednak na Litwie była jeszcze inna okolica i to bardziej polska — Wędiagoła. Czytamy o niej

w *Encyklopedii*, że po pierwszej wojnie światowej było w okolicy dużo spolszczonej szlachty, która w okresie niepodległości stopniowo znów się zlitwinizowała. Majątek w początkach XIX wieku należał do Chłopickich. W roku 1918 okoliczni mieszkańcy próbowali ogłosić niepodległą republikę wędziagołską. Dodajmy, że inna taka krótkotrwała polska republika powstała w Bobtach.

Aby odpocząć od tego wyciągu z kilku tysięcy stron poloników, rozpatrzmy inne właściwości *Encyklopedii*. Pod pewnymi względami jest ona jedyna w swoim rodzaju, gdyż jest „Who is who” litewskiej emigracji i parafrazując wyrażenie Bobkowskiego „Kosmopolacy” — encyklopedią kosmolitewską. Najlepiej to zilustruje następujący przykład: W *Wielkiej Encyklopedii PWN* jest stronica o Filadelfii i na zakończenie 4 wiersze o pięciocyfrowej ilości Polaków i mieszkańców polskiego pochodzenia. W litewskiej encyklopedii też jest o Filadelfii, a poza tym 10 stronic o Litwinach w tym mieście, których jest 10 razy mniej niż Polaków. Podana jest historia napływu Litwinów, pierwszych organizacji, ich rozwój, nazwiska działaczy, osiągnięcia zbiorowe i indywidualne itd. Opisom miast na różnych kontynentach towarzyszy historia powstałej tam litewskiej kolonii, naturalnie nazwiska studentów Litwinów itd. Geografia Niemiec i Austrii jest upstrzona monografiami obozów litewskich DP w pierwszych latach powojennych, a geografia Rosji zawiera opisy skupisk litewskich uchodźców w czasie pierwszej wojny.

Może dla zjednania sobie kilku tysięcy subskrybentów, w dziesięciokrotnie mniej licznej emigracji niż nasza, trzeba było wymienić nieco więcej nazwisk i osiągnięć, niżby to było potrzebne w encyklopedii, tym niemniej jest to osiągnięcie godne podkreślenia, bo u nas dziedzina geografii i historii uchodźstwa, zwłaszcza cywilnego, jest zaniedbana.

Otwórzmy na odmianną księgę zażeń i przerzucmy ją bardzo pobieżnie. Henryk Bukowiecki powstaniec z roku 1863, ze Żmudzi, jeden z dyrektorów Muzeum w Rapperswilu przekazał liczne zbiory zebrane w Szwecji, jako depozyt, by kiedyś zostały przekazane muzeum w Litwie. Polacy wszystko zabrali do Muzeum Narodowego w Warszawie i tam zaprzepaścili.

Prałat Narjauskas przebywał w czasie pierwszej wojny światowej w Rzymie i szperając tam w archiwach watykańskich zebrał dokumenty (czy też sporządził odpisy) dotyczące stosunków Litwy z papieżem. Gdy po wojnie wracał przez polski korytarz, Polacy mu wszystkie dokumenty zabrali. Litewskie Towarzystwo Św. Kazimierza o działalności charytatywnej i oświatowej rozszerzyło swą działalność na województwo wileńskie, a także na nowogródzkie i białostockie. W tych dwóch ostatnich oddziały były nieliczne, gdyż tam najtrudniej było uzyskać zezwolenie władz polskich. Do końca 1937 roku władze polskie zamknęły 474 oddziały litewskiego T-wa Św. Kazimierza, liczącego 18 tysięcy członków. Cytowane są liczne wypadki aresztów, rewizji, tytuły zamykanych gazet litewskich (czasem w języku polskim)

itd. Przy czym opisy bywają bardzo szczegółowe, zawierające daty, nazwiska i przebieg całej sprawy.

Dla czytelników nie zorientowanych w ówczesnych stosunkach — mała przypowieść już nie z *Encyklopedii*, a kursująca w Kownie w r. 1937. Doszło do konfliktu między dwoma dorożkarzami. Jeden zdzielił batem pasażera swego oponenta, ten rewanżując się zaczął okładać pasażera przeciwnika. I tak trwała walka zupełnie bezbolesna dla obu dorożkarzy. Tymi dorożkarzami byli oba rządy, a tymi pasażerami mniejszości narodowe polska i litewska w obu państwach.

Toteż gdy jest mowa o administracji w Wileńszczyźnie, ocena jest zawsze ujemna, ale czasem dzięki temu ciekawa. Np. pod „Pikieliszki” czytamy, że był to dwór Marszałka Józefa Piłsudskiego, lubiącego na starość tam przyjeżdżać na letnie wakacje, spotykać się z ludźmi pracującymi w polu i pogadać o ich biedach. Po takich rozmówkach, gdy pojechał do Wilna robił wyprawki (obłajał) wojewodzie. Na skutek tego przyszło zarządzenie by ludność pozostawała w domach gdy Marszałek wychodzi na spacer. We dworze był stały posterunek policji.

Uszczypliwości można tu znaleźć dużo, ale gdy weźmie się pod uwagę podkład historyczny i psychologiczny, nie należy spodziewać się bardzo obiektywnych ocen.

Np. inny przykład: dział literatury polskiej opracowanej bardzo obszernie i na ogół bezstronnie prowadzi przeważnie poeta J. Kekstas. Ma on ciekawe przygotowanie: Polonistyka na Wolnej Wszechnicy w Warszawie, dwie rany i odznaczenia w korpusie Andersa, przedtem 3 lata więzienia na Łukiszkach i rok Berezę.

W odróżnieniu od goryczą zaprawionych informacji, podanych przez osoby poszkodowane, teksty opracowane przez dyplomatów bywają beznamienne. O sławetnej umowie suwalskiej, prócz materiału informacyjnego — krótki komentarz. Złamanie jej przez Polaków spowodowało usprawiedliwione zerwanie stosunków między Litwą a Polską na długie lata, co stworzyło skuteczną zapórę dla polskich wpływów na Litwie.

Encyklopedia przynosi bardzo obszerne opisy, z mapami, walk polsko-litewskich pod Szyrwintami, Giedrojciami itd. Byłoby to ciekawe dla polskich historyków, gdyż ponoć Marszałek Piłsudski, pragnąc by te bratobójcze walki poszły jak najprędzej w zapomnienie, polecił nie sporządzać ich obszernych opracowań. Pomijając dłuższe opisy większych bitew zacytujemy krótką notatkę: „W dniach 19-20 listopada 1920 roku patrol polskich ułanów dotarł aż do Kurkl. Litewscy partyzanci próbowali obrony nad rzeką Świętą ostrzeliwując ze starych niemieckich okopów szwadrony polskich ułanów. Litewski samolot ostrzeliwał Polaków i rzucał bomby. Po czym Polacy się cofnęli. Wnosząc z daty, o ile jest ona ścisła, była to chyba ostatnia polsko-litewska potyczka. Dopiero w dwadzieścia kilka lat później miały miejsce drobne potyczki między oddziałami AK i litewskimi batalionami.

Encyklopedia przynosi dużo wiadomości z ostatniej wojny,

na ogół mało znane, gdyż wypadki ważne dla Litwy, zbiegały się zazwyczaj z wypadkami doniosłymi w światowej skali, które je przyćmiewały.

A więc sowieckie ultimatum, które doprowadziło do inkorporacji, zbiegło się z datą zdobycia przez Niemców Paryża. Obwieszczenie przez rozgłosnię kowieńską o odbudowaniu państwowości litewskiej miało miejsce dnia 23 czerwca 1941 roku, gdy wszystko przyćmiewał wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, rozpoczętej dnia poprzedniego. Ten rząd litewski nie został przez Niemców uznany i niebawem się rozwiązał, a dopiero w listopadzie 1943 roku powstał rząd podziemny tzw. VLIK.

W roku 1944, obfitym w ofiary terroru, liczone w Europie na miliony, w kacie w Stuthoff było 1.200 Litwinów, z których tylko stu przeżyło. W kacie Flossenburg Litwinów było 2.480. Wreszcie w okresie późniejszym, gdy dogorywała III Rzesza, a na Litwę znów wkroczyły wojska sowieckie, wybuchło tam masowe powstanie — partyzancka. Bilans jej — 2.700 zabitych, 4.000 rannych i 15.000 deportowanych. Powstanie było bardziej krwawe niż wszystkie poprzednie walki z bolszewikami, Polakami i Bermontczykami łącznie.

W „bratnich” republikach radzieckich, poza litewską, zamieszkują obecnie 170.000 Litwinów — których płon wydawniczy równa się zeru, a 60 tysięcy uchodźców, w oparciu o starą emigrację, wydało ową encyklopedię.

Obecnie Litwini projektują wydanie w streszczeniu działu lituanistyki w języku angielskim. Podobnie ujęta encyklopedia wiedzy o Polsce w języku angielskim przydałaby się młodzieży uchodźczej, starej emigracji i cudzoziemcom interesującym się Polską.

E. ŻAGIELL

Lietuvių Enciklopedija. Lithuanian Encyclopedia. Encyclopedie Lithuanienne. Redaktorzy: Antanas Bendorius, Juozas Girnius, Vladas Kulbokas. Wydawca: Juozas Kapocius. Lithuanian Encyclopedia Press. 361 Broadway, South Boston, Mass. 02127, U.S.A.

Jak blisko ziemi?

Dzieje wszystkich znanych nam cywilizacji wskazują w jak poważnym stopniu religia i sztuka wzajemnie się wzbogacały i uzupełniały. Czym dalej cofniemy się w przeszłość, czy to naszej cywilizacji chrześcijańskiej, czy też naszej cywilizacji antycznej, tym trudniej jest rozróżnić między artystycznym wyrazem

kultu a doktrynalną jego treścią. Rozwój sztuki w czasach nowych dowodzi jednak, że te dwie dziedziny nie są nierozłączalne, że mianowicie sztuka może istnieć samodzielnie jako wyraz czysto estetycznych upodobań człowieka, choć z drugiej strony, trudno sobie wyobrazić religię, któraby była zupełnie pozbawiona walorów artystycznych. Najprostsza modlitwa skandowana na polanie leśnej już posiada cechy spektaklu teatralnego.

Dzisiaj, kiedy autonomiczność sztuki jest powszechnie uznana i bardzo mały procent dzieł sztuki stanowi bezpośrednie odbicie wymagań i dążeń określonej religii, łatwo jest doszukać się konfliktu lojalności tam gdzie dawniej byłby nie do pomyślenia. W debiutanckim tomiku ks. Bonifacego Miążka pt. *Ziemia otwarta* (Instytut Literacki, Paryż, 1967) znajdujemy wiersz „Rachunek sumienia” poprzedzony cytata z wiersza Ojca Chabrowskiego. Chabrowski powiada „Nie pisz samych wierszy, ważny jest pa-cierz” i tę myśl Miążek wiernie rozwija w swoim utworze:

*Powiedz sam: co ci dadzą metafory
wyrastające w twoich wierszach
jeżeli w duszy przygaśnie Boży płomień?*

*Czym będą kościoły zbudowane
na trudnych ławkach w seminarium
kiedy pustka zaleje ich wnętrza?*

*Uklękni — w twoim życiu
ważniejsza jest czarna sutanna
i uśmiech na lekcjach katechizmu
niż wiersze*

Ale chyba nawet ksiądz katolicki ściśle związany kodeksem swej religii może pisać utwory, które w żaden sposób nie muszą kolidować z jego obowiązkami duchowymi. Poza cytowanym tekstem nie widzę w poezji Miążka problematyki, która wskazywałaby na nieunikniony konflikt sumienia. Zastanawiam się więc, czy dylemat, który Miążek przedstawia w „Rachunku sumienia” ma istotną podstawę. Ostatecznie nawet z punktu widzenia ściśle religijnego działalność poetycka Miążka jest usprawiedliwiona: Ewangelia przecież krytycznie ocenia tych, którzy zakopują swoje talenty. Z drugiej jednak strony mamy przykład jezuitę angielskiego Hopkinsa, który z pełną świadomością ograniczał swoją twórczość poetycką i przebywał w warunkach, które doprowadziły go do przedwczesnej śmierci. Nie ma wątpliwości że najlepsze utwory Hopkinsa wynikają z niegasnącego konfliktu między kuszącymi pięknościami sztuki a nieludzką wprost dyscypliną jezuicką.

Opisując półkę z książkami w „Moim mieszkaniu” Miążek powiada:

*Krzysztof Kamil Baczyński
i Rainer Maria Rilke
stwarza świat w srebrnej wyobraźni*

Jasne jest, że melodyjny język i miękkość wyimaginowanych krajobrazów utworów Baczyńskiego miały duży wpływ na twórczość Miążka, u którego czytamy:

*W czarnym płomieniu gołąb
pochylił łódkę dłoni
ważąc czułość jak dzień szeroką
rozpałił drzewa
i echem przez krwioobieg
w tętnicach oliwnych opadł
aż po wąwozy milczenia*

*Oni nieśli białe latarnie jak jagnięta...
Oni nieśli białe muszle ramion w wodospadach
drżące dotykami wynajdywali imiona pod drzewem rodzaju*

*W muzycznej litanii lasów płynąc płynąc
odległy barwom mijania
a przecież
rzeka chwyciła ręce i czas nam imiona zieleni*

Na ten płynny, zmitologizowany krajobraz nałożony jest też język „Pieśni nad pieśniami” oraz słownictwo liturgii i tradycji Kościoła. A więc spotykamy tu często ornaty, winnice, jęczmienne placki, mleko oślic, plastry miodu, różańce, świece, katedry, litanie i „kłęzące” ogrody.

Jeżeli Miążek miewa jednak wyrzuty sumienia być może jest to właśnie dlatego, że język, który wytwarza te bliżej niesprecyzowane krajobrazy wyobraźni, nie pozwala mu narazie wyrazić problematyki bardziej związanej z życiem codziennym. Ta forma wyrazu okazuje się nieadekwatna dla opisania dzieciństwa poety w latach ostatniej wojny:

*Zanim przybyłem tutaj
ktoś pachnący tytoniem kładł mnie na ramiona
patataj patataj i czerwony kapturek
potem niebo runęło ogniem
ziemia się wściekla
wył strach rozstrzeliwany pod murem*

To nie ziemia się wówczas wściekała ani nie wył strach. Za ten kataklizm odpowiedzialni byli ludzie i ludzie, a nie abstrakcje i personifikacje, padli ofiarą tego kataklizmu. Jego „Ojczyzna” dowodzi jednak, że autor potrafi operować słownictwem oczyszczonym z nadmiernego patosu i retoryki, że zna walory prostoty i bezpośredniości wyrazu:

*Kawałek ziemi
kilka domów
i rzeki*

rzucane w drzewa
a przecież
nie uciekniesz

nie obronisz się
przed tym

Mniej udaną, bo i bardziej ambitną, próbą uproszczenia poetyckiego wyrazu jest wiersz na s. 10, w którym poeta opisuje wizytę u chorego na gruźlicę:

Na stoliku czarna książeczka
jej grzbiet wytłuszczał od użycia
papierosy dzbanek z kompotem Anioł Stróż
na ścianie niebieskie palmy
niżej
Brigit Bardo nad raną lat dwudziestu

i tak ją komentuje:

Oprócz owoców i czekolady nic tam nie zostawiłem
wszystkie brzegi były odległe
wyszedłem
z pustką pod sercem
z rękami w kamiennym stropie

Poetykę zaczarowanych ogrodów nie łatwo dostosować do opisów scen szpitalnych. Język jest tu surowy, nie dostatecznie sprecyzowany, metafora „wszystkie brzegi były odległe” jest zbyt oklepana i dość przypadkowo wykorzystana (tzn. nie czuje się, że jest ona w wierszu konieczna) i to samo odnosi się do „pustki pod sercem”.

Problemy warsztatu Miążka są typowe dla debiutującego poety: jak wydrzeć się z magii słów, z tej magii, pod której urokiem przecież każdy poeta rozpoczyna swą pracę twórczą, jak ten język skonkretyzować, nie popadając jednocześnie w banalną prozaiczność. W takiej sytuacji wyjściem z impasu okazać się może dawka humoru, satyry lub autoironii.

Ale humor jest darem rzadko przyznawanym poetom, zaś poeta, który jak Miążek, tworzy pod patronatem Pisma Świętego i Krzysztofa Baczyńskiego, a pragnie w swych utworach przedstawić szarą codzienność, stoi wobec szczególnie trudnego zadania. Język Pisma Świętego, choć w pewnym sensie prosty i bezpośredni, uderza nas dziś raczej swoją archaicznością, opisuje świat tak różny od naszego, że jeżeli można ten język w ogóle użyć, to tylko w celu podkreślenia jakiegoś kontrastu między światem cudów, mitów i bohaterów czynów, a naszą sytuacją egzystencjalną, w której mity religijne zostały zastąpione przez mity ekonomiczne socjalistów i kapitalistów, w której wiarę w cuda i siły nadprzyrodzone zastąpiła wiara w efektywność technologicznego rozwoju.

Podobny problem przedstawia dla debiutującego poety warsztat Baczyńskiego. Można nawet twierdzić, że twórczość Baczyńskiego stanowi porażkę i przez to winna być lekcją ostrzegawczą dla poetów którzy Baczyńskiego chcą obrać swoim mistrzem. Twórczość Baczyńskiego stanowi porażkę w tym sensie, że jego patetycznej poetyce zabrakło ostrości wyrazu, bez której dramat okupowanej Warszawy został ograniczony do mglistej wizji apokaliptycznej. Zapewne, gdyby Baczyński ocalał, styl jego uległby wielkim zmianom, ale w tym, co zdążył napisać najcenniejsza jest śpiewność liryczna, niesłychanie bogata wyobraźnia. Są to cechy urzekające, nie dziwię się, że uległ im Miążek, ale jeśli Miążka dręczą skrupuły i chce przejść do opisu świata gruźlików, będzie musiał dokonać wielkiego wysiłku, aby swą poetykę do tych celów dostosować.

Adam CZERNIAWSKI

Albumy Historyczne PWM

Niewątpliwie żadne z wydawnictw działających w Polsce po wojennej nie zebrało tylu komplementów i „dobrej prasy” co w ciągu przeszło dwudziestu lat swego istnienia krakowskie *Polskie Wydawnictwo Muzyczne*... Trudno by cytować wszystkich co znaczniejszych publicystów — najwierniejszym i najbardziej entuzjastycznym z nich był i jest Stefan Kisielewski.

Oczywiście trzeba koniecznie należeć do jego pokolenia aby w pełni docenić ów rodzaj cudu dokonany tuż po wojnie przez Tadeusza Ochlewskiego, który nagle i w tak trudnych warunkach polską muzykę uczynił „z pisanej drukowaną”. Ponownie w tym samym Krakowie, po trzech stuleciach przerwy, co więcej zapewniając z miejsca druk całej bieżącej twórczości kompozytorów polskich, działających tak w kraju jak za granicą (Spisak, Szalowski).

Przed wojną, przyznać trzeba, sytuacja pod tym względem była fatalna i to bynajmniej nie z winy wydawców. Po prostu w Polsce nie było żadnego poważniejszego wydawnictwa muzycznego — kompozytorzy mogli liczyć tylko na nieliczne okazje wydawania za granicą. Wyjątkiem był jedyny Szymanowski wydany przez najznakomitszych wydawców: wiedeńskie „Universal Edition” i paryskiego „Eschigga”. Ale jak wiemy „jaskółka nie czyni wiosny”...

Wprawdzie niektóre wielkie firmy wydawnicze, np. „Gebethner i Wolff”, miały jeszcze z XIX stulecia tradycję wydawania mu-

zyki, ale nie były one w stanie w tej dziedzinie wyjść poza sporadyczne inicjatywy. W warunkach rynkowych przezwyciężenie impasu możliwe było tylko przez subwencjonowanie początków akcji, a na to polskie firmy były ekonomicznie zbyt słabe. Czynniki państwowe pod tym względem wykazywały też więcej niż brak zainteresowania — jedyna w kraju *Filharmonia Warszawska* pozostawała w stałym zagrożeniu bankructwem i musiała się ratować współpracą „łżejszej muzy”...

Po wojnie sytuacja uległa zmianie — rygorystycznie autarkiczna i antyimportowa gospodarka pozwoliła na uruchomienie wydawnictwa i w dziedzinie muzyki.

Co ciekawsze, założycielem i inicjatorem PWM-u był Tadeusz Ochlewski, przed wojną profesor warszawskiego konserwatorium, wybitny znawca muzyki kameralnej, całkowicie daleki od związków z czynnikami partyjnymi. Pamiętajmy jednak że w pierwszych latach powojennych siłą faktów musiały one ograniczać swą działalność do programowania i kontroli pozostawiając nawet na stanowiskach ważnych i dających możliwość inicjatywy ludzi *ancien-régime'u*... Większej zmiany sytuacji uległa gdy w roku 1949 przystąpiono do szerokiej ofensywy „kulturkampfu” prowadzonego pod auspicjami „socjalizacji” społeczeństwa. Jak powszechnie wiadomo jego bezpośrednimi realizatorami w dziedzinie gospodarki i wojska byli „radzieccy doradcy”, a w dziedzinie nauki i kultury „grupa gubernatorska” złożona z działaczy, starannie przeszkolonych w Moskwie w końcowym okresie wojny i latach bezpośrednio powojennych a mająca swój ośrodek dyspozycyjny w „specjalnych departamentach” U.B. W stosunku do niej nawet osoba Bieruta zdawała się mieć jedynie autorytet „namiestnikowski”...

Jak wiemy, w muzyce rola wszechwładnego „gubernatora” przypadła Zofii Lissie przysłanej z Moskwy do Warszawy pod koniec okresu „krzepnięcia władzy ludowej” i robiącej natychmiast zawrotną karierę na polu naukowym i „wdrażania założeń socrealizmu”. Mimo to jednak Ochlewski zdołał się utrzymać. Grały tu rolę różne i złożone czynniki — w przeciwieństwie do przemysłu czy administracji nie można było mechanizmu „awansu społecznego” zastosować do środowiska twórczego. Wysiłki szły więc w kierunku nawrócenia kompozytorów na socrealizm, ostatecznie na eliminację skazywano jedynie najbardziej opornych. Ze zdaniem więc tego środowiska należało się liczyć, a Ochlewski cieszył się jego nieograniczonym poparciem. Wykazał też wiele zmysłu dyplomatycznego tworząc dział teoretyczny i zapewniając Lissie druk wszystkich, płynących wartkim nurtem, elukubracji, mających stanowić „rozpracowanie” na polskim gruncie doktryny żdanowizmu. Trzeba też przyznać, że wybór osoby był tu trafny; posiadając dobre przygotowanie filozoficzno-dialektyczne wyniesione z „burżuazyjnego” uniwersytetu lwowskiego Lissa potrafiła przemawiać językiem, który kryjąc ten sam nonsens nadawał jednak jej wywodom dyskursywną kul-

turę argumentacji, pozytywnie odbijającą od prymitywizmu sowieckich „filozofów”...

Oczywiście i tu pewien rodzaj „awansu” zaistniał, jak wyniesienie do rangi kompozytorów różnych „aranżerów” w rodzaju Sygietyńskiego i Kiessewettera czy producentów pieśni masowej, których nazwisk nie warto przypominać.

W sumie jednak chodziło o „dusze” autentycznych kompozytorów, a do tych należało przemawiać w języku, który miałby chociaż szanse być wysłuchanym...

Przyznać zresztą trzeba, że efekty owego „ideologicznego szkolenia” okazały się zupełnie mizerne, jedynym ze znaczniejszych kompozytorów szczerze i autentycznie nawróconym był Jan Maklakiewicz... W stosunku do innych zastosowano też wkrótce ostrzejsze środki...

Powracanie do tych odległych już spraw wydać się może czytelnikowi nie na temat. Tak jednak w istocie nie jest, zwłaszcza dziś, w sytuacji gdy w Polsce rysuje się oczywista tendencja do nawrotu neostalinizmu, a rozgrywki między klanami partyjnego dyktatoratu wyraźnie wykazują, że ówczesne linie podziału i *rodowody władzy* są sprawą jak najbardziej aktualną...

Tak więc dzieło Tadeusza Ochlewskiego zyskawszy wszechstronne poparcie stało się potężną machiną, monopolizującą działalność wydawnictw muzycznych i na temat muzyki. Dodać trzeba, że w ciągu niewielu lat stało się całkowicie samowystarczalne tak w sensie redakcyjnym jak technicznym, posiadając dziś bogato wyposażoną i opartą w dużej mierze o własne pomysły drukarnię muzyczną. A przyznać trzeba, że drukarstwo muzyczne jest problemem niesłychanie złożonym, gdyż podstawową trudnością jest niemożliwość zmechanizowania w większej mierze wytwarzania matryc. To też powoduje, że druk dzieł muzycznych oparty w ogromnej mierze na ręcznej grafice jest na Zachodzie tak nieprawdopodobnie drogi. PWM zdołał te procesy w pewnej mierze „zmanufacturować”, co pozwala mu dziś na znaczną współpracę z wydawnictwami zagranicznymi.

Rzecz paradoksalna, druk muzyki był najbardziej „przemysłowy” w wieku XVI-tym gdy realizowano go, jak i inne, przy pomocy czcionki. Później natomiast coraz bardziej komplikujący się charakter muzyki stworzył impas z którego drukarstwo muzyczne wyszło dopiero w końcu XVIII stulecia wraz z wynalazkiem rytowania na płytach cynkowych i kamieniu litograficznym.

Tak więc wiek XVII i XVIII był „wiekiem rękopisów” nie tylko w literaturze ale i muzyce tego okresu, a Polska nie była tu bynajmniej wyjątkiem...

Powróćmy jednak do zasadniczego tematu. Jak wspomnieliśmy PWM dając absolutny priorytet bieżącej twórczości stworzył tym samym bardzo silne podwaliny swej egzystencji, jakkolwiek od początku nie ograniczał się wyłącznie do niej. Najlepszym może przykładem jest tu realizacja „narodowego wydania” dzieł Chopina oraz kontynuacja zapoczątkowanej jeszcze w roku 1928 serii

Wydawnictwa Dawnej Muzyki Polskiej. Ta ostatnia, poświęcona dziełom dawnych polskich kompozytorów, głównie renesansu i baroku, kontynuowana jest po dziś dzień w skromnej co prawda ilości kilku zeszytów rocznie i właściwie nie bardzo wiadomo w jakim celu skoro jej założenia redakcyjne (wyrastające z tradycji nader skromnych możliwości realizującego ją przed wojną nielicznego stowarzyszenia i dostosowane do potrzeb pionierskich początków zainteresowania dawną muzyką) są od dawna zdeaktualizowane, tak z naukowego jak praktycznego punktu widzenia.

Główną słabością dotychczasowych inicjatyw PWM-u w dziedzinie wydawania muzyki dawnej jest ich rozproszenie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przybyły nowe serie jak: „*Florilegium Musicae Antiquae*”, „*Źródła do Historii Muzyki Polskiej*”, „*Symfonie Polskie*” — wszystkie poza ostatnio wymienioną pozostające we wzajemnie dosyć nieustalonym stosunku i siłą rzeczy powtarzające ten sam typ materiału. Sprawia to, że czytelnik pragnący skompletować jakąś całość interesującego go działu dawnej muzyki polskiej znajduje ją (oczywiście jeśli jest wydana) rozproszoną w kilku seriach, często bardzo różniących się rodzajem redakcyjnego opracowania.

Być może zresztą, że wszystkie wymienione serie traktowano jako swego rodzaju materiał uzupełniający podczas gdy główny korpus zabytków dawnej muzyki miał się ukazać w monumentalnej wieloseryjnej publikacji „*Monumenta Musicae in Polonia*”, planowanej przy współpracy naukowej Instytutu Sztuki PANu.

Tu jednak, mimo imponujących zamierzeń, efekty okazały się mizerne: dotąd zdołano wydać jedynie fac-similowe wydanie *Tabulatury Jana z Lublina* (opr. K. Wilkowska-Chomińska) oraz pierwszy zeszyt zbioru „*Offertorów*” Mikołaja Zieleńskiego (opr. Wł. Malinowski), najbardziej reprezentatywnego polskiego mistrza z przełomu renesansu i baroku.

Dotychczasowe tempo publikowania „Monumentów” wymagałoby setek lat aby dokonać pełnej realizacji redakcyjnych zamierzeń... Tu jednak w sukurs, chyba niespodziewany, przyszła inicjatywa wydawania okolicznościowych, bibliofilskich albumów dawnej muzyki. Pierwszy z nich wydał PWM w roku 1954 (przedrukowany następnie w rozszerzonej wersji obcojęzycznej w latach 1955 i 1956) z okazji obchodów „Polskiego Odrodzenia” i poświęcony wyłącznie muzyce tej epoki.

Z muzycznego punktu widzenia album ten spotkał się, szczególnie za granicą, z nader krytycznym przyjęciem. Dotyczyło ono tak historycznej interpretacji publikowanych zabytków, jak metody ich redakcji. Album ukazał się wprawdzie „pod firmą” dwojga autorów: Zofii Lissy i Józefa Chomińskiego, ale drugiemu z nich przypadała tu w pierwszym rzędzie bardziej trudna i „niewdzięczna” rola przygotowania materiałów muzycznych i ich opracowanie. W ten sposób spadł też nań niezasłużony „zaszczyt” firmowania wstępu. Tenże, skomponowany wedle wszelkich wymagań i kanonów „bohaterskiego”, „cytatologicznego” stalinow-

skiego „historiopisarstwa” był rzadkim koncertem przeinaczania prawdy. Najtrafniej ujął to zresztą Czesław Halski w swej recenzji, zamieszczonej w jednym z angielskich pism muzycznych: „czytelnik z łatwością przejdzie do porządku nad marksistowsko-leninowską interpretacją historyczną” — dodajmy, że dotyczyło to już wydania angielskiego gdzie wiele sformułowań zostało znacznie złagodzonych.

Niestety jednak strona muzyczna pozostawiała też wiele do życzenia gdyż przeważnie przedrukowano dawne opracowanie różnych autorów, bez ich istotnej weryfikacji i korekty, jak również wprowadzono wiele arbitralnych cięć w tekście kompozycji, co ograniczyło do minimum ich przydatność naukową.

Tym niemniej „*Muzyka Polskiego Odrodzenia*” spotkała się z zainteresowaniem, gdyż była jedynym „syntetycznie” zredagowanym źródłem informacji dla wielu, jak się okazało, zainteresowanych. Pierwszoplanowym elementem powodzenia czytelnicze-go była też niewątpliwie świetna szata graficzna (stała mocna strona wydawnictwa PWMu) oparta na reprodukcjach renesansowej polskiej grafiki książkowej.

Nic dziwnego więc, że tę formę postanowiono kontynuować — dziś przybyły dwie dalsze, dużo bardziej wartościowe pozycje.

Pierwsza z nich to „*Muzyka w Dawnym Krakowie*” (wydana w roku 1964 pod redakcją krakowskiego muzykologa Zygmunta Szwejkowskiego jako wkład PWMu do obchodów sześćsetlecia Uniwersytetu Jagiellońskiego) a druga to „*Muzyka Staropolska*” (wydana w roku 1966 z okazji festiwalu „*Musica Antiqua Europae Orientalis*”) pod redakcją Hieronima Feichta...

W zasadzie układ i tematyka obu tych zbiorów nie różnią się co sprawia że łącznie (oczywiście materiały w nich zawarte nie powtarzają się) w wybitny sposób wzbogacają ilość dostępnych dziś zabytków dawnej polskiej muzyki.

Temat pierwszego z albumów („*Muzyka w Dawnym Krakowie*”) potraktowany został (chyba słusznie) dość metaforycznie, wskutek czego znalazło się w nim wiele dzieł nie figurujących w zabytkach krakowskich lub z Krakowem związanych. Ostatecznie miasto to aż po wiek XVII było stolicą życia muzycznego, a i potem wiele swych stołecznych funkcji utrzymywało, tak więc istniał tu wystarczający powód, aby dokonać wyboru materiału nie tylko ze wszystkich polskich źródeł, ale też ze źródeł obcych zawierających dzieła polskich kompozytorów (szczególnie muzyki lutniowej) czy też aby umieścić kompozycje autorów obcego pochodzenia działających w Polsce (Bekfark, Schacchi itd.)...

Nie istniała też konieczność ograniczenia wyboru do jednej epoki wskutek czego antologia zawiera dzieła powstałe między początkiem XV a końcem XVIII stulecia.

Oczywiście tak rozległa skala chronologiczna niosła poważne ryzyko, gdyż wymagała ustalenia założeń redakcyjnych dostosowanych w elastyczny sposób do tak bardzo różniących się między sobą muzyki oraz doboru licznego i kompetentnego grona współpracowników. Za punkt wyjścia przyjęto tu ambitną i

słuszną zasadę wykorzystania wyłącznie materiałów specjalnie w tym celu opracowanych i przeważnie transkrybowanych po raz pierwszy na współczesną notację.

Ponieważ drugi z omawianych albumów opiera się na identycznych założeniach redakcyjnych celowe jest łączne scharakteryzowanie ich zawartości.

Główną wartością obu publikacji, traktowanych jako całość, jest dokonanie trafnego przekroju zachowanych zabytków dawnej polskiej twórczości muzycznej od końca wieku XI poczynając. Pod tym względem „*Muzyka Staropolska*” przynosi cenne uzupełnienie w postaci najdawniejszych, nigdy poprzednio nie publikowanych zabytków polskiej monodii liturgicznej oraz polifonii z końca XIII i z XIV stulecia. W sumie więc mamy tu kompletny obraz tendencji stylistycznych, reprezentowanych przez polską twórczość na przestrzeni siedmiu stuleci, obraz oczywiście fragmentaryczny i niepełny, ale taki jaki odnajdujemy w znanych dziś zabytkach, których ilość udało się zresztą w powojennym okresie wydatnie rozszerzyć przez liczne i istotne odkrycia w bibliotekach krajowych i zagranicznych.

Szczególnie ważnym elementem obu albumów jest udostępnienie znacznej liczby zabytków polskiej polifonii XV stulecia, znajdującej w twórczości Mikołaja Radomskiego w pełni „europejski wymiar”, choć opracowanie średniowiecznej polifonii należy w obu wydaniach do najbardziej dyskusyjnych z muzykologicznego punktu widzenia wskutek bardzo arbitralnego potraktowania jej oryginałów przez autora transkrypcji na dzisiejszą notację (Mirosław Perz).

Dotyczy to w szczególnej mierze kompozycji Radomskiego gdzie został zarówno zmieniony istniejący w oryginałach związek między tekstem liturgicznym i muzycznym, jak też uległa modyfikacji postać brzmieniowa wielu fragmentów. Punktem wyjścia był tu najwyraźniej nie oryginalny rękopis, ale pewna *idée préconçue* do której postać kompozycji została ostatecznie nagięta.

Nie tu zresztą miejsce na specjalistyczne dyskusje, a lojalnie trzeba przyznać, że „przekład” muzyki średniowiecznej na współcześnie używaną notację budzi wśród badaczy najwięcej dyskusji a w wydaniach tych samych utworów dokonanych przez różnych autorów nie spotyka się prawie identycznych rozwiązań...

Podobnie dość ryzykownym eksperymentem było wprowadzenie partytur renesansowych utworów wokalnych, zrekonstruowanych na podstawie ich parafrazy organowych. Tu jednak w większości wypadków osiągnięto wyniki nie budzące poważniejszych zastrzeżeń i jakkolwiek opracowania te nie mają większej wartości jako źródło naukowe, pozwalają przywrócić wykonawstwu szereg dzieł nie zachowanych w ich autentycznej postaci.

W sumie obie antologie dają trafne odzwierciedlenie poziomu i cech stylistycznych dawnej polskiej twórczości muzycznej tak w okresie jej niewątpliwie świetności od średniowiecza aż po późny barok jak też w epoce jej „prowincjonalizmu” przy-

padającej na epokę klasycyzmu i to mimo że zasada niepowtarzania materiałów poprzednio publikowanych nie pozwoliła na uwzględnienie szeregu unikalnych dzieł najwyższej wartości, jak choćby dramatyczne oratorium „*Audite Mortales*” Bartłomieja Pękiela, dzieło powstałe w kręgu bezpośredniego mecenatu Władysława IV...

Znaczenie obu albumów jest więc doniosłe tak dla międzynarodowego kręgu badaczy przeszłości europejskiej, jak (i to w pierwszym rzędzie) dla wykonawców zyskujących łatwo dostępny i obszerny wybór dzieł w postaci antologii, szczególnie przez nich lubianej i przydatnej ze względów praktycznych. A ponieważ wykonawstwo muzyki dawnej jest dziś (łącznie z jej nagraniami płytowymi) prawdziwym „przemysłem” zwrócenie się w szczególnej mierze ku temu adresatowi było ze wszech miar trafne i wskazane.

Przydatność wykonawcza zbiorów jest tym większa, że zawierają one materiał nie tylko bardzo zróżnicowany pod względem chronologicznym i stylistycznym, ale też obejmujący wszystkie niemal kultywowane w przeszłości gatunki. Znajdujemy tu tak muzykę liturgiczną jak utwory organowe i lutniowe, dalej muzykę kameralną na zespoły instrumentalne aż po jej postaci należące do popularnej tradycji — odpowiednik późnorenansowej mieszczańskiej liryki i sowizdrzańskiej farsy teatralnej...

Jakkolwiek obie antologie opierają się na podobnych zasadach doboru materiału i zostały przygotowane przez niemal to samo grono muzykologów różnią się między sobą w pewnej mierze opracowaniem redakcyjnym. Dotyczy to tak wstępów historycznych jak sposobu publikacji tekstu utworów. Różnice te odzwierciedlają odmienną osobowość redaktorów — Zygmunta Szwejkowskiego i zmarłego w ubiegłym roku Prof. Hieronima Feichta. Różnice osobowości odzwierciedlają też różnice metod „starej” i „nowej” muzykologii. Pierwsza w przygotowaniu dzisiejszego wydania dzieł dawnej muzyki za punkt wyjścia przyjmuje nie jego kształt przekazany przez źródło epoki, ale normy teoretyczne techniki kompozytorskiej, wszelkie odstępstwa od nich traktując jako błędy i „korygując” je. Druga przeciwnie, przyjmuje za punkt wyjścia wiarygodność źródeł korygując jedynie oczywiste pomyłki pisarskie. Niewątpliwie też ta druga metoda ma wszelkie cechy historycznej wiarygodności.

Różnice między obu antologiami rysują się też wyraźnie we wstępach historycznych opracowanych przez obu redaktorów. Jakkolwiek oba teksty mają charakter informacyjnego wprowadzenia o ogólnym charakterze, w opracowaniu Szwejkowskiego znajdujemy też trafnie ujętą syntetyczną charakterystykę stylu publikowanych dzieł, podczas gdy wstęp do „*Muzyki Staropolskiej*” ogranicza się do ujęcia encyklopedycznego, nie wolnego zresztą od niedokładności rzeczowych. Niewątpliwie przyczyna poza „stylem indywidualnym” autorów leżała w tym, że opracowanie prof. Feichta, „konserwatywnego” ale niewątpliwie wybit-

nego badacza pochodzi z ostatnich miesięcy jego życia, obciążonych wpływem podeszłego wieku i choroby.

Nierówna, choć w odwróconym porządku, jest też wartość obu publikacji w tak istotnym szczególe jak oprawa plastyczna. Pod tym względem „Muzykę w dawnym Krakowie” uznać trzeba za sukces bardzo niepełny. Format książki został najwyraźniej źle zharmonizowany z wymiarami nutowej grafiki, a strona ilustracyjna złożona z fotografii fragmentów krakowskiej architektury, jakkolwiek dobrze reprodukowana, nie wiąże się bliżej z tematem publikacji (znikoma ilość tematów muzycznych)...

Pod tym więc względem „Muzyka w dawnym Krakowie” nie osiągnęła poziomu swej bezpośredniej poprzedniczki — „Muzyki Polskiego Odrodzenia”.

Natomiast „Muzyka Staropolska” jest tu pod każdym względem albumem doskonałym. Opracowania plastyczne doskonale zgrane z nutową grafiką uzupełniono znakomitą doborą kolorowych i czarno-białych reprodukcji znakomicie dobranych pod względem tematycznym. Ograniczono się tu bowiem do rzeźby i malowideł dawnych polskich prospektów organowych oraz bardzo niekiedy bogato zdobionych dawnych muzycznych instrumentów z kolekcji Muzeum Narodowego w Poznaniu. Szczęśliwie kładąc nacisk na plastyczne walory samych oryginałów uniknięto tak częstych w poprzednim tomie zdjęć przestylizowanych i manierycznych.

W sumie więc oba albumy uznać można za odpowiadające w pełni (mimo tych i owych zastrzeżeń) wymaganiom międzynarodowym. Dzięki PWMowi dawna muzyka polska jest z pewnością lepiej reprezentowana w świecie niż inne dziedziny staropolskiej kultury.

Adam SUTKOWSKI

Bajki z głuchej krainy ...

Maj 1968 zapisał się w historii szczególnymi wydarzeniami. Zachodnia cywilizacja przeżyła niemały wstrząs uświadamiając sobie groźbę tak zwanej *société de consommation*. Wybuch idealizmu przyspieszył niesłychanie mutację naszych pojęć socjalno-filozoficznych. Najbardziej zasadnicze problemy kondycji społecznej, na estradzie dyskusji w świetle jaskrawych reflektorów rewolucyjnej kontestacji znalazły od razu nowocześniejsze znaczenie, na które w normalnym toku zdarzeń czekałobyśmy dobre lata, na które szerokie grupy społeczne nie były zdolne dać odpowiedzi przed „majem”. Dla przeciętnego obserwatora z krajów „demokracji ludowej” problemy majowej rewolucji były nie tylko

zupełnie obce ale także niezrozumiałe w samej istocie nowych pojęć o człowieku i jego nowej pozycji w hierarchii bytu materialnego. W poprzednich latach lewica powoływała się na osiągnięcia „demokratyczne” krajów socjalistycznych, dzisiaj kraje te usytuowane poza historią europejską, znalazły po raz pierwszy swoje miejsce w przedsiönku *historii*, pełnając powoli w spróchniałym muzeum dziewiętnastowiecznej retoryki. Dla każdego uważnego obserwatora jest prawdą oczywistą, że model socjalizmu (i demokracji) na którym opierało się całe rozumowanie poprzednich dyskusji politycznych jest już nieaktualny. W dziedzinie sztuki sytuacja ta jest bardziej niż oczywista od dawna, ale dzisiaj zaakcentowały się też różnice problematyki. Staroświeckość estetyki (jeśli można użyć tego słowa) teoretyków sowieckiego socrealizmu nie jest tajemnicą dla zachodniego widza, niemniej zapomina on często (lub w ogóle nie podejrzewa), że ta doktryna artystyczna nie jest tylko jarzmem, dyktaturą policyjnego nadzoru nad twórczością artystyczną, ale że miała realne podłoże w historii sztuki rosyjskiej minionego stulecia, że *narodziła się z czegoś*. Jej ewolucja i niemiłosierny terror nad twórcami są z pewnością odzwierciedleniem pewnej walki politycznej, ale sama koncepcja jest zjawiskiem bardziej złożonym niż prosta aplikacja zarządzenia administracyjnego policjantów od kultury. Od lat znane są na Zachodzie jałowe dyskusje: realizm a abstrakcja. Abstrakcja! — Mój Boże! — przecież to dla nas już tak daleka historia. Dzisiaj problemy współczesnej sztuki usytuowane są na zupełnie innej płaszczyźnie, posiadają proporcje o radykalnie nowych wymiarach. *Art brut* Dubuffet'a i jego postawa „antykulturalna”, *experience du vide* Yves Kleina czy nowojorski *minimal art* przemieniły radykalnie znaczenie słowa „sztuka”, które nareszcie zaczyna być rozgraniczane od „kultury”, muzeum przestaje łączyć się w estetyce z teraźniejszością, a koncepcje Malraux o romantycznej heroizacji mitu artystycznego stają się jaskrawym anachronizmem, ostatnim monumentem dziewiętnastowiecznej kultury. W najbliższych latach z pewnością te tendencje zaakcentują się, pogłębi się dystans między konsumpcją przeszłości a prawdziwą twórczością artystyczną. Tymczasem w ZSSR nadal toczy się walka z... własnym zaciemnieniem. Krytyka sowiecka przypomina bohatera kafkowskiego, który ginie w freudowskiej niemocy własnych okowów. Niepokojące trwanie tej jałowej dyskusji spowodowane jest nie tylko doktryną polityczną, ale też obciążeniem historycznym tradycji rosyjskiej. ZSSR powoli traci szybkość, zapada w sen własnej niemocy.

Rozważania te spowodowane są arcyciekawą książką Władimira Solooukhina pod tytułem „LETTRES DU MUSEE RUSSE”¹.

1. Wydawnictwo *La Table Ronde*, Paryż, 1967, 235 str. Pierwsze wydanie w języku rosyjskim w roku 1966. Książka ta zawiera sporą ilość listów do redakcji tygodnika „Mołodaja Gwardia”, w którym drukowane były te listy w odcinkach.

Ta książka o niezaprzeczalnych walorach stylu i ciekawej tematyce została przedstawiona zachodniemu czytelnikowi jako ewenement odrodzenia myśli estetycznej we współczesnej Rosji. W rzeczywistości jest to piękna trumna estetyki. Czy należałoby poklepać ze wzruszeniem autora po plecach i chwalić: Brawo, brawo, za odwagę pisania przeciw realizmowi, za odrodzenie idealizmu w myśli estetycznej dzisiejszej Rosji, za demaskowanie barbarzyńskich ciemniaków burzących kościoły i dzieła dawnej sztuki? Trzeba by w tym celu ustalić taryfę ulgową, tak jak dla inwalidów w tramwaju. Tak — gdyż książka Solooukhina jest przeznaczonym inwalidą w tramwaju dzisiejszej estetyki, gdyż poza walorami czysto dokumentacyjnymi i pięknym stylem nie ma się czym cieszyć. Przyznam, że w moich uczuciach przeważa smutek gdyż czuję niezaprzeczalny talent estetyczny autora. „LETTRES DU MUSEE RUSSE” jest powrotem do dawnej tradycji dziewiętnastowiecznej romanistyki rosyjskiej. W formie i w treści. Co gorsze autor jest zupełnie świadom wybranej perspektywy i nie może wyjść poza błędne koło wyświechtanej estetyki minionego stulecia. W porównaniu z degradacją pseudodyskusji o sztuce, którymi żdanowizm zatrął życie dwóch pokoleń, jest to prawdziwe objawienie, ale w stosunku do prawdziwych problemów dzisiejszej myśli artystycznej...

Od samego początku Solooukhin przeciwstawia się doktrynom socrealizmu, ale walczy starą bronią. Już nawet forma listów jest doktrynalnym powrotem do pewnej tradycji, do znanego stylu prozy lirycznej. Powrót do muzeum jest nie tylko pretekstem do uniknięcia ataku obrońców socrealizmu, do ułatwienia sobie zadania wyjściem poza „tabu” współczesności, ale też prawdziwym powrotem *muzealnym*. Takim dziwnym zabiegiem nowoczesnym autora jest jego historycyzm. Rehabilitacja sztuki dawnej, ten leitmotif à la Malraux, jest z pewnością cennym aktem w kontekście sowieckim, w obliczu kryminalnych zniszczeń zabytków, ale czy rozwiązuje on choćby część dzisiejszej problematyki artystycznej, czy daje młodym Rosjanom jakieś wskazówki na przyszłość?

Przy analizie tej książki należy ciągle stosować dwa kryteria. W perspektywie tego drugiego, „ulgowego”, Władimir Solooukhin jest reflektorem nowej epoki myślenia estetycznego, rehabilitacją prawdziwego myślenia o sztuce (choćby w kategoriach przestarzałych). Odwaga autora jest cennym wskaźnikiem sowieckiej „nowej fali” nawiązującej do najświetniejszych tradycji humanistyki rosyjskiej. Znajdujemy w tej książce jakby kompendium zadziwiająco solidnej tradycji piśmiennictwa i filozofii rosyjskiej z końca minionego stulecia. Należy z szacunkiem powitać odwagę autora, przedstawiającego koncepcje elity, ideału, porozumienia z „duszą dzieła sztuki”, demistyfikację nowoczesnej mitologii społeczeństwa komunistycznego i jego nieporadności wobec tradycji historycznej, odwagę zasygnalizowania „terroru *genre'u* nad dziełem sztuki” (czytaj — terroru socrealizmu nad dziełem sztuki). Ta pierwsza jaskółka wiosny sowieckiej estetyki

ilustruje prawdziwy renesans rosyjskiej krytyki, która z pewnością w najbliższych latach upora się z problemem abstrakcji, ale... będzie wtedy stanowczo na to za późno. Opóźnienie w stosunku do sztuki zachodniej (czyli do sztuki światowej w ogóle, gdyż system ten obejmuje całą planetę) nie zostanie nadrobione. Odważyć się powiedzieć, że opóźnienia w dziedzinie sztuki nie da się „odrobić”. Trzeba by zerwać z tą ideą postępu i ciągłości. Kandinski i Malewicz nie „nadrabiali” Corot’a czy Cézanne’a, ale po prostu poszli dalej, Gombrowicz nie „odrabił” Proust’a, ale tworzył zupełnie nową sztukę. W tej perspektywie przykład Japonii jest jaskrawą demonstracją — sztuka tego kraju wlekła się w ogonie imitatorów póki Japończycy chcieli „nadrabiać”. Od dziesięciu lat malarze japońscy skoczyli bez wahania na głęboką wodę. Zaczynając od *tabula rasa* otworzyli przed sobą drogę do prawdziwej, nieimitowanej ani nienadrabianej nowoczesności, znaleźli swój odrębny język plastyczny i dzisiaj należą do czołówek światowej. Jako dokument smutnej przeszłości sztuki sowieckiej, książka Solooukhina jest wzruszającym pomnikiem, wskrzeszeniem pamięci umarłych, ale czy tędy droga do nowej epoki? Trudno wymagać od pierwszej jaskółki skrzydeł orła, ale przyznam, że gdyby ktoś chciał do mnie stosować ciągle taryfy ulgowe to bym się obraził. Czyż jestem kaleką? W najlepszym wypadku zgodzę się na stosowanie taryfy ulgowej do rekonwalescentów ale też nie za długo.

W objęciach tandetnej sensacji

O ile książka Władimira Solooukhina jest wzruszającym dialogiem pisarza, kopalnią prawdziwego skarbcza rosyjskiej estetyki i idealizmu, to publikacja „UNOFFICIAL ART IN THE SOVIET UNION”² stawia sobie za cel zapoznanie nas z sensacyjną awangardą twórców na marginesie oficjalnej estetyki sowieckiej. Dla czytelnika amerykańskiego książka ta może nawet okazać się pożytecznym materiałem informacyjnym (co prawda napisanym wyjątkowo ubogim stylem dziennikarskim), ale dla czytelnika obeznanego trochę z problemami socrealizmu jest to prawie że żenująca hochsztaplerka.

Na pozór wszystko jest w porządku. I teorie dobre i bibliografia, niezaangażowane pozycje estetyczne. Niemniej nie można uniknąć porównania z gombrowiczowskim przenikaniem się form: Tandeta zaraziła swoim bakcylem... tandetę, gdyż ona mogła się na to zgodzić, nadawała się do tego *ante leteram*. Pierwsza połowa tej książki rezerwuje nam małe (ale jak nudne!) kompendium historii sztuki rosyjskiej. (Przepraszam, a do czego służą wtedy encyklopedie? Czyż nie mógłbym, tak jak to zrobili przeznaczeni autorzy, zabrać się też do przepisywania słownika?)

2. Paul Sjeklocha i Igor Mead „Unofficial art in the Soviet Union”. University of California Press, 1967, str. 213, ilustracje.

Zasadniczą część książki, czyli prezentacja tej nieoficjalnej awangardy, obejmuje zaledwie jedną trzecią całej publikacji. Gwiazdy nowoczesności okazują się smutnym śmietnikiem kopii zachodniej tandety³. Biedna sztuka rosyjska! Płakałbym, gdyby okazały proponowane przez autorów wyczerpywały cały twój potencjał! Królestwo szmiry rzuca na postacie książki swój straszliwy cień. Mam nadzieję, że w ZSSR istnieją też prawdziwi twórcy, którzy się kiedyś ujawnią. (Ale gdyby to była prawda? — co za smutek!) Brak kryteriów estetycznych autorów maskowany jest dziennikarskim obiektywizmem, ale między wierszami można odczytać, że dla nich nowoczesność ogranicza się do „pop i op” art'u, a F. Leger jest przedstawiony jako *french modernist*... Osobiście miałem możliwość sprawdzenia perspektywy estetycznej na paryskiej wystawie tak okrzykanego Ilia Głazunowa. Co za smutny plagiat zachodniej szmiry à la Bernard Buffet! Proszę tylko rzucić okiem na reportaż *Paris-Match*'u⁴. Ilia Głazunow, geniusz prześladowany przez dyktaturę sowieckich policjantów od kultury. Ależ świetnie, ja bym go w ogóle zamknął za te bohemy! A przerażająca imitacja pseudoklasycyzmu Rabina? Czy po upokorzeniach stalinizmu czeka Rosję jeszcze smutniejsza Golgota pararosyjskiej katorgi partaczy sztuki i krytyki? Na marginesie należałoby dodać, że w tak kompletnej bibliografii nie znalazł się jeden jedyny poważny artykuł o teorii socrealizmu, opublikowany przez Maxa Riesera w „Journal of Aesthetics and Art Criticism” (a znajdują się „Lettres Nouvelles”, „Le Monde” i „Times”). Autorom też „nie udało się poznać” Nieizwestnawo — jedyna ciekawa i autentycznie twórcza postać moskiewskiej „nowej fali”, którą przedstawiono nam w Paryżu⁵. Ale przecież to jest prawdziwa sztuka, wydaje się że przekracza ona pułap autorów „UNOFFICIAL ART IN THE SOVIET UNION”. Zgadzam się, że bywają dobre i złe tematy, ale tym gorzej dla autora zabierającego się do złego tematu — wymaga on tym większej inteligencji.

Andrzej NAKOV

3. Już o tym pisałem przy omawianiu paryskiej retrospektywy sztuki rosyjskiej — *Kultura* styczniowa.

4. *Paris-Match* jeden z numerów majowych 1968. W chwili gdy „rewolucjonista” malarstwa sowieckiego malował w iście hollywoodzkiej pozie pejzaż Champs Elysées studenci proklamowali na Sorbonie nowe teorie sztuki. Jest to nie tylko przypadkowy zbieg okoliczności, ale iście profetyczne zestawienie anachronizmu z prawdziwą awangardą.

5. Galerie Lambert zima 1966/67.

Nadesłane nowości wydawnicze

WAT (Aleksander). *Ciemne światło*. Wiersze z lat 1963-1967. Str. 244. Okładkę projektował Jan Lebensztejn. (Wyd. Libella, Paryż, 1968).

O Tadeuszu Sułkowskim. Praca zbiorowa pod red. Kazimierza Sowińskiego i Tymona Terleckiego. Str. 210 i 2 nłb. (Nakł. i drukiem Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1967).

CHMIELOWIEC (Michał). *Bajki, prądy, morały...* Str. 235 i 5 nłb. Okładka Danuty Laskowskiej. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

WYSŁOUCH (Franciszek). *Opowiadania polskie*. Str. 240. Okładka i rysunki w tekście prof. M. Bohusz-Szyszko. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

JESMAN (Czesław). *Listy z Ameryki*. Str. 239 i 1 nłb. Okładka Tadeusza Filipowicza. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

STARZEŃSKI (Paweł). *Ostatni polscy rycerze*. Str. 235 i 5 nłb. Okładka Tadeusza Terleckiego. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

POMIAN - PIĄTKOWSKI (Bolesław). *Sosny i palmy*. Opowiadania. Str. 235 i 5 nłb. Okładka Tadeusza Orłowicza. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

ZIMMER (Szczeban K.). *Z chaty na Parnas*. Str. 231 i 1 nłb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).

BREGMAN (Aleksander). *Rubież wolności*. Reportaże z pogranicza świata komunistycznego w Europie i Azji. Str. 159 i 1 nłb. (Wyd. Londyn, 1968).

ZARANSKI (Józef M.). *Świadek wydarzeń*. Od „Anschluss'u” do Jałty. Str. 82 i 2 nłb. (Wyd. Ofi-

cyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).

Zimna wojna, policentryzm, Europa. Polityka międzynarodowa z perspektywy dwudziestolecia. Zbiór rozpraw pod redakcją Leopolda ŁA-BĘDZIA. Str. 307 i 1 nłb. (Wyd. Polonia Book Fund, Ltd., Londyn, 1968).

MUSZKAT-JOTEM (Józef). *Prez ze mną!* Miniatury drapieżne. Str. 128. (Wyd. Londyn, 1968).

KLUGMAN (Aleksander). *Obračunki z Polską*. Str. 96 i 2 nłb. (Wyd. Tel Aviv, 1968, cena 2 funty).

Kościół w Polsce. T. I. Średniowiecze. Praca zbiorowa. Studia nad historią kościoła katolickiego w Polsce pod red. Jerzego Kłoczowskiego. Str. 676. Mapy. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1968, cena zł. 150).

OSTROMĘCKI (Bogdan). *Znak Planety*. Wiersze. Str. 65 i 3 nłb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1968, 10 zł.).

KURTYKA (Paweł, ks. C.M., S.T.D.). *Wspomnienia z Polskiej Placówki Misyjnej w Wenchow w Chinach*. Str. 87. (Wyd. Vincentian Fathers Press, St. John Kanty Prep. Erie, Pa., USA, 1966).

LE TROCQUER (René). *Kim jestem ja — człowiek?* Zarys antropologii chrześcijańskiej. Str. 135 i 1 nłb. Przekład z francuskiego Olgi Scherer. (Wyd. Editions du Dialogue, kolekcja „Znaki Czasu” tom 6, Paryż, 1968).

JORDAN (Z. A.). *The Evolution of Dialectical Materialism*. A Philosophical and Sociological Analysis. Str. 490. (Wyd. Macmillan, London - Melbourne - Toronto, New York, 1967, cena 70 sh.).

STAAR (Richard F.). *The Communist Regimes in Eastern Europe*:

An introduction. Str. 387. (Wyd. The Hoover Institution on War, Revolution and Peace, Stanford University, Stanford, California, February 15, 1968. Cena dol. 7,50).

Diplomat in Berlin 1933-1939. Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland. Wydał Wacław Jędrzejewicz. Str. 679 i 1 nlb. (Nakł. Columbia University Press, New York and London, 1968, 27th June, cena 157 sh.).

DZYUBA (Ivan). *Internationalism or Russification? A Study in the Soviet Nationalities Problem.* Str. 240. (Wyd. Weidenfeld and Nicolson, 27 June 1968, London, cena 42 sh.).

POLONSKA-VASYLENKO (Natalia). *Two Conception of the History of Ukraine and Russia.* Str. 79 i 13 fotografii. (Wyd. Assn of Ukrainians in Gt. Britain, Ltd., Londyn, 1968, cena 8 sh.).

The Polish Canadian Research Institute. Its Aims and Achievements. On the Occasion of the Tenth Anniversary of the Institute. Presented by T. KRYCHOWSKI, LL.M. Str. 8. (Toronto, Ont. Canada, 1967).

Slavica Canadiana A.D. 1966. Compiled by Jaroslav B. RUDNYC-KYJ in co-operation with T. W. KRYCHOWSKI. *Slavistica* No 60. Str. 48. (Wyd. Canadian Association of Slavists, Polish Research Institute in Canada and Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1967, cena dol. 1,00).

WOŹNICKI (Andrzej N., M.A., Ph. D., M.S.L.). *Socio-Religious Principles of Migration Movements.* — Społeczno-religijne założenia ruchu migracyjnego. „Studia”, Z. 6. Praca dwujęzyczna angielsko-polska. Str. 105. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej. Polski Instytut Badawczy w Kanadzie, Toronto, Ont., Canada, 1968).

Millenium Poloniae Christianae. Wydawnictwo Albumowe w trzech je-

zykach polsko-angielsko-francuskim. Str. 338. (Wyd. Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Emigracji, Rzym).

JERNSSON (Feo). *Opfer und Betroffensein zweier Nationen.* Gedanken zur deutsch-polnischen Nachbarschaft. Str. 25. (Odbitka z Hessischen Landeszentrale für politische Bildung).

CODO (Enrique Martinez). *Guerrillas tras la Cortina de Hierro.* Str. 419 i 5 nlb. Wstęp gen. D. Luiz Garcia Rollan. (Wyd. Instituto informativo-Editorial Ueranio, Buenos Aires, 1966).

MALAR (Pawło). *Złoty doszcz.* Roman. Trylogia. Persza knyha. Str. 125. (Wyd. Nowi Dni, Toronto, 1965).

WERES (Mykoła). *W czynnych pływaczach.* Wybrani poezji. Str. 292. (Wyd. Objedn. Buwskich Wołakiw Ukrainciw, Londyn, 1967).

SAMCZUK (Ulas). *Na twerdij zemli.* Roman. Druhij nakład. Str. 390. (Wyd. Ukr. Kredytowoi Spilky, Toronto, 1968).

FEDENKO (Panas). *Socializm dawnyj i nowoczasnyj.* Str. 229. (Wyd. „Nasze Slovo”, Londyn-Paryż-Monachium, 1968).

Ukrainska Wilna Akademia Nauk. Juwilejne wydannia 1945-1965. Str. 75. (Wyd. New York, 1967).

Kalendar-Almanach „Mitta” na 1968 rik. Str. 128. (Wyd. Juliana Seredniaka, Buenos Aires, 1967).

Almanach „Hominu Ukrainy” na rik 1968 i 50-riczcza Prohołoszen-nia Derżawnoji Samostijnosti Ukrainy 1918-1968. Str. 208. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont. Kanada).

Kalendar-Almanach Kanadyjskoho Farmera na 1968 rik. Riecznyk XLVIII. Str. 160. Pod redakcją Mirosława Romana Szkawritko. (Wyd. Kanadyjskyj Farmer, Winnipeg, Man., Kanada).

Humor krajowy

Pytania i odpowiedzi (jeszcze à propos wypadków marcowych)

— Co to jest pałka gumowa?
— Bijące serce Partii.

— Jaki jest nowy stopień w milicji?
— Pałkownik.

— Jaka jest różnica między Panem Bogiem a Gomułką?
— Pan Bóg jest nieograniczenie miłośnierny, a Gomułka niemiłośniernie ograniczony.

— Dlaczego w Polsce jest stały brak mięsa?
— Skąd ma być mięso skoro krowy siedzą po kawiarniach, barany na zebraniach, a świnie na stanowiskach.

W KAWIARNIACH WARSZAWSKICH MÓWIĄ:

...że podobno Polska Mennica Państwowa bije nowe małe monety 10-ciozłotowe, żeby pasowały do automatów telefonicznych...

...że podobno w Warszawie rozpoczęły się prace nad prostowaniem szyn tramwajowych, aby tramwaje mniej się chwiały, bo ludzie jadący do pracy skarżą się, że im cukier wysypuje się z kanapek...

...że odkryto nowy pierwiastek chemiczny *krajad*, odznaczający się tym, że rozpad następuje po 50-ciu latach...

...że w Rosji nastąpiło całkowite wyrównanie funta z rublem, mianowicie funt rubli równa się jednemu dolarowi...

...że obecnie w Polsce dozwolone są tylko dwa wyznania: re-żymsko-katolickie i prowiesławie...

...że następne dzieło grafomana Putramenta będzie nosiło tytuł: *Malo-lepsi*...

...że podobno w Tworkach powstaje nowy oddział: — dla leczenia tych, którzy mają urojenia, że ich nikt nie śledzi...

...że po powrocie z Australii zespołu „Mazowsze”, w czasie konferencji prasowej padło zdanie, że australijscy Polacy mówią iż w Australii jest życie za co, ale nie ma po co, na co jeden z dziennikarzy wykrzyknął: „to zupełnie odwrotnie niż u nas”...

...że w związku z rozpoczętą akcją, mającą na celu zwiększenie na wyższych uczelniach procentu młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, chłopcy zaczynają masowo uciekać do lasu przed łapaniami na wyższe uczelnie...

Komitet Warszawski nakazał wszystkim organizacjom partyjnym wykrywać i usuwać syjonistów z szeregow pracowników. Egzekutywa w jednej z fabryk miała z tym ogromne trudności gdyż wśród pracowników nie było ani jednego człowieka pochodzenia żydowskiego. W końcu zdecydowano, usunąć Kowalskiego, bo nie ochrzcił dziecka.

Gdy prof. Doroszewskiego zapytano jak należy prawidłowo pisać słowo syjonista? przez i czy przez y? odpowiedział: „za moich szkolnych czasów zawsze się pisało przez z”.

W jednej z central handlu zagranicznego na zebraniu partyjnym zapytano dyrektora: Czy prawdą jest, że jesteście pochodzenia żydowskiego? „Wypraszam sobie towarzyszu, takie podłe kalumnie i insynuacje. Zajrzyjcie do Herbarza Paprockiego, jeśli macie wątpliwości, tam na 231 stronie znajdziecie moje nazwisko i mój herb”.

Do sekretarza organizacji partyjnej zwrócono się o wyjaśnienie: — Kogo uważamy za „obywatela polskiego pochodzenia żydowskiego”. Czy jeśli matka jest aryjka a ojciec semita to dziecko jest pochodzenia żydowskiego? — Oczywiście, odpowiada sekretarz partyjny. — A jeżeli ojciec jest aryjczykiem a matka żydówką czy i takie dziecko jest pochodzenia żydowskiego? — Raczej tak, odpowiada sekretarz. — A jeżeli rodzice nie są Żydami a dziadek lub babka są pochodzenia semickiego? Jak z ustaleniem sytuacji wnuka? — „To sprawa bardziej skomplikowana — odpowiada sekretarz — muszę się spytać na dzielnicy”.

O znanym aktorze X. ktoś opowiada w Spatifie: „Cóż to za łajdak, chodzi po Warszawie i wszystkim opowiada u kogo ukrywał się w czasie okupacji”.

W czasie akcji uświadamiającej na zebraniu partyjnym instruktor pyta jednego z uczestników jaki jest jego stosunek do Żydów: — „Nienawidzę ich, odpowiedział zapytany, bo oni ukrzyżowali Pana Jezusa. — „A Arabów” — pyta instruktor? — „Też ich nie lubię — bo oni porwali Stasia i Nel”.

Chłop przychodzi ze skargą, że w komitecie powiatowym rozgorzała straszna walka klas pomiędzy tymi co mają 3 klasy a tymi co mają 4.

Gomułka w swoim przemówieniu potępiał akcję paryskiej „Kultury” i Wolnej Europy, sługusów imperializmu. „Odpowiem im przysłowiem naszych arabskich przyjaciół: — „Psy czekają a *karanean* jedzie dalej”.

W związku z wprowadzeniem punktacji dla synów robotników i chłopów, utrudniającej dostęp na wyższe uczelnie dla młodzieży inteligentkiej, dozorca domu odzywa się ironicznie do lokatora inżyniera: „No i co Panie Inżynierze, teraz mój syn będzie inżynierem a Pański robotnikiem”. Na to usłyszał odpowiedź: „Zgoda, tylko mój wnuk będzie inżynierem a Pański robotnikiem”.

Gdy cenzura zdjęła „Dziady” i zaczęły się w związku z tym wydarzenia warszawskie, Gomułka wezwał Moczarą i powiedział: „Czy nie moglibyście towarzyszu pogadać z tym Mickiewiczem żeby coś tam ze swej komedii wykreślił i coś dodał po linii partyjnej — wtedy nie byłoby tego całego skan-

dal”. — „Ależ Tow. Wiesławie — zawołał Moczar — przecież Mickiewicz już dawno nie żyje”. „To fatalnie Towarzyszu — mówi Gomułka — wy się zawsze ze wszystkim śpieszycie”.

W niebie postanowiono założyć komórkę partyjną. Na pierwszym zebraniu była dyskutowana sprawa kto ma być sekretarzem? Sw. Piotr zgłasza kandydaturę Pana Boga. Protestujemy — woła głos z sali — miał syna w Izraelu.

Duży zakład przemysłowy poszukuje księgowego. Naczelnny dyrektor rozmawia z przybyłymi kandydatami, każdemu zadając jedno i to samo dość proste pytanie: „Ile jest 2 razy 2?”. Kolejni kandydaci, opierając się na tabliczce mnożenia odpowiadają: cztery i... zostają odrzuceni. Wreszcie jeden z egzaminowanych widząc dotychczasowe wyniki zapytał: „A ile panu dyrektorowi potrzeba?”. I ten został przyjęty.

Wiśniewski składa podanie do Rady Narodowej prosząc o zmianę nazwiska na Kowalski. „Po co Pan to robi?” — pyta urzędnik. A to dlatego, że w cukierni ciągle mnie się pytają, jak ja się dawniej nazywałem i nie wierzą jak mówię, że Wiśniewski.

W czasie ostatnich „czystek” wśród wyższych wojskowych w armii polskiej, dowódca jednostki — generał, wzywa swego zastępcę pułkownika i mówi:

— Bardzo mi przykro, towarzyszu Goldberg, ale zmuszony jestem zażądać usunięcia was z wojska, gdyż dowiedziałem się obecnie, że nie macie matury.

— To jakieś nieporozumienie — odpowiada płk. Goldberg — naturalnie, że mam maturę — oto moje świadectwo — ale w okresie kiedy wstępowałem do wojska lepiej było do tego się nie przyznawać.

Generał podrapał się w głowę i udał się na naradę z towarzyszami z podstawowej komórki partyjnej.

Następnego dnia woła znowu Goldberga:

— Jednak muszę was z wojska usunąć, bo dowodzicie jednostką specjalną nie mając odpowiedniego wyższego wykształcenia, które jest obecnie obowiązujące.

— Jakto nie mam, odpowiada Goldberg. — Gdy tylko wstąpiłem do armii zacząłem uczęszczać na wieczorowe kursy uniwersyteckie i posiadam dyplom. Oto on.

Generał znowu poszedł na naradę i następnego dnia mówi:

— Towarzyszu Goldberg, maturę macie, dyplom macie, ale jesteście Żydem. Goldberg nie może być wyższym wojskowym w naszej armii.

— Towarzyszu generale, to znowu nieporozumienia. Ja się naprawdę nazywam Wiśniewski, ale wtedy kiedy wstępowałem do wojska lepiej było nazywać się Goldberg i dlatego zmieniłem nazwisko.

Tego generałowi było już za dużo:

— Towarzyszu Wiśniewski, nie ma rady, z wojska musicie odejść, żeby nie mówili, że usuwamy samych Żydów...

Zebrała Zofia HERTZ

DATA

POLITYKA

14-8-68

Rząd czeski upoważnił Kościół Greko-Katolicki, zlikwidowany po wojnie i przymusowo włączony do Kościoła Prawosławnego — do wznowienia swej działalności.

17-6-68

Dotychczasowy zastępca sekretarza stanu do spraw europejskich, Walter J. Stoessel, mianowany został ambasadorem amerykańskim w Warszawie. Były ambasador J. Gronouski zrezygnował ze stanowiska, by wziąć udział w kampanii wyborczej na rzecz wiceprezydenta Humphrey'a.

19-6-68

Zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych, Brandt, przeprowadził rozmowy z ambasadorem sowieckim w NRD na terenie Wschodniego Berlina. Była to wizyta bez precedensu.

20-6-68

W Czechosłowacji rozpoczęły się manewry wojsk Układu Warszawskiego.

23-6-68

Pierwsza runda wyborów do Zgromadzenia Narodowego we Francji przyniosła zdecydowaną przewagę zwolennikom prezydenta de Gaulle'a.

26-6-68

Naczelnny dowódca amerykańskich sił morskich w Europie, adm. J. McCain, oświadczył, że flota sowiecka dysponuje okrętami podwodnymi, uzbrojonymi w atomowe pociski kierowane, które mogą być wystrzeliwane spod wody. Dodał on, że Chiny stały się czwartą potęgą świata w dziedzinie okrętów podwodnych.

27-6-68

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

Czołowi specjaliści chorób sercowych ustalili w Genewie nową definicję śmierci, jako stan w którym mózg całkowicie i nieodwołalnie przestaje pracować.

Uniwersytet oxfordzki nadał tytuł doktora *honoris causa* prof. Kotarbińskiemu.

W Katowicach utworzono nowy Uniwersytet Śląski. W Białymstoku utworzono filię Uniwersytetu Warszawskiego.

Nowym Redaktorem Naczelnym tygodnika Związku Pisarzy Rumuńskich *Luceafarul* został S. Banulescu reprezentujący liberalne skrzydło pisarzy. Były red. tego pisma, przedstawiciel soc-realizmu E. Barbu usunięty został z władz Zw. Pisarzy.

Sowiecka *Literaturnaja Gazeta* oskarżyła A. Sołżenicyna że godzi się spełniać rolę wyznaczaną mu przez wrogów Rosji.

W Neapolu zmarł znany poeta włoski Salvatore Quasimodo — laureat Nobla.

Zmarli: 21. V. 68, w Sao Jose dos Campos (Brazylia), Piotr Górecki, b. Dyrektor Polskiej Agencji Telegraficznej oraz Polskiego Radia. W Brazylii był założycielem i prezesem Unii Kulturalnej Polaków. Żył lat 80.

21. V. 68, ks. bp Adam Sawicki, adm. apostolski diecezji w Białymstoku, następca ks. arepyba R. Jałbrzykowskiego.

28. V. 68, w Tuluzie, prof. Lucjan Benda, filolog, wybitny znawca filologii arabskiej. Do Francji przybył w 1938, wykładał na uniw. w Tuluzie i w Inst. Katolickim. Od 1963 prowadził lektorat języka i lit. polskiej.

5. VI. 68, w Pittsburgu, Honorata B. Wołowska, honorowa prezeska Zw. Polek w Ameryce, w wieku lat 92.

Zmarła światowej sławy śpiewaczka Ada Sari.

Kontradmiral J. C. Bartosik mianowany został szefem departamentu Operacyjnego Admiralicji Brytyjskiej.

Dr Stanisław Piekut habilitował się na docenta literatury i jęz. polskiego. Do chwili obecnej był wykładowcą tych przedmiotów we Wsch. Instytucie w Rzymie.

47 studentów, którzy brali udział w demonstracjach 1-majowych we Wrocławiu zwolniono z Wyższych Uczelni. Ukazano również 30 wykładowców i profesorów.

27. VI. 68, zmarł w Nowym Jorku mec. dr Juliusz Kanarek, legionista, wybitny działacz społeczny.

DATA	POLITYKA
28-6-68	Rząd sowiecki wyraził gotowość podjęcia rozmów na temat ograniczenia zbrojeń rakietowych. W odpowiedzi na to oświadczenie rząd amerykański zaproponował ustalenie terminu i miejsca spotkania.
29-6-68	Parlament czeskosłowacki uchwala zniesienie cenzury. 30 posłów głosuje przeciwko ustawie.
1-7-68	W drugiej rundzie wyborów parlamentarnych we Francji Gaullści odnoszą zdecydowane zwycięstwo zdobywając 350 mandatów. Federacja Lewicy straciła 61 mandatów, a Komuniści 39.
3-7-68	Przemawiając na zebraniu Towarzystwa Przyjaźni Sowiecko-Węgierskiej Breżniew wystąpił z gwałtownym atakiem na Amerykę. Breżniew przemawiał w dniu w którym Sowiety zwolniły przetrzymywany na wyspach Kurylskich samolot amerykański.
4-7-68	„Manifest 2000 Słów” podpisany przez 80 intelektualistów, sportowców i robotników czeskosłowackich spotkał się — jak podała rozgłośnia praska — z olbrzymim poparciem społeczeństwa.
6-7-68	Rząd francuski podnosi podatki, a Bank Francji stopę dyskontową do 5 %.
7-7-68	
9-7-68	W Warszawie zakończyły się obrady Plenum KC PZPR. Plenum potępiło przejawy nacjonalizmu i ostrzejsze przejawy kampanii anty-syjonistycznej. Na Plenum przyjęto rezygnację z Biura Politycznego Ochaba i mianowano B. Jaszczuka członkiem Politbiura, a M. Moczara zastępcą członka i sekretarzem KC.
10-7-68	Prezydent de Gaulle mianował min. Couve de Murville premierem, na miejsce Pompidou.
12-7-68	Sowieckie dzienniki <i>Pravda</i> i <i>Izwestia</i> wyraziły zaniepokojenie z powodu pojawienia się sił „anty-rewolucyjnych” w Czechosłowacji twierdząc równocześnie, że wielu przywódców czeskosłowackich ma „podwójne oblicze”.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych w Mamai krótkometrażówka pt. „Portret Konia” reż. W. Giersza zdobyła Grand Prix Festiwalu.	
Na Politechnikę Warszawską przyjęto 2.600 studentów. Ponad 1.000 innych, którzy zdali egzaminy nie zostało przyjętych ze względu na pochodzenie „klasowe”.	W Savannah zmarł słynny zapaśnik Zbyszek Cyganiewicz.
Czołowy fizyk sowiecki i jeden z konstruktorów bomby wodorowej prof. Zacharow wezwał do zniesienia cenzury.	Israel zapowiedział, że nie odnowi umowy handlowej z PRL, która wygasa w październiku.
W Międzynarodowym Festiwalu jazzowym radia i telewizji w Montreux 3 miejsce zajęło polskie Trio M. Kosza.	
W Londynie opublikowano dokumenty dawnego Urzędu do Spraw Indii, wśród których jeden dotyczył sporu Conrada Korzeniowskiego z kapitanem statku Riversdale, na którym Conrad był 2-gim oficerem.	7. VII. 68, zmarł w Warszawie, Karol Borowski, wybitny reżyser teatralny. Żył 81 lat.
	9. VII. 68, zmarł w Sao Paulo Seweryn Hartman, długoletni przedstawiciel Kultury w Brazylii, pisarz i działacz społeczny.
W Stanach Zjednoczonych powstało nowe towarzystwo filmowe, którego celem będzie nakręcanie filmów o tematyce społecznej. Jednym z założycieli jest aktor Marlon Brando.	Miedzy Sofią a Belgradem otwarto linię do przekazywania programów radiowych i telewizyjnych.

DATA

POLITYKA

- 13-7-68 Węgierski minister spraw zagranicznych, Janos Peter, oświadczył w Parlamencie, że stosunki Węgier ze Stanami Zjednoczonymi polepszyły się i wkrótce nastąpi wymiana ambasadorów. Mówiąc o Czechosłowacji wyraził on przekonanie, że wewnętrzne przemiany doprowadzą do wzmocnienia prestiżu Czechosłowacji w świecie. Inny mówca, redaktor *Nepszabadsag* J. Gosztonyi powiedział, że w Czechosłowacji odbywa się nie kontr-rewolucja, ale jedynie walka o odnowę socjalizmu.
- 15-7-68 3 ministrowie PRL: min. Zdrowia Sztachelski, min. Finansów Albrecht i min. Spraw Wewnętrznych Moczar zwolnieni zostali ze stanowisk. Na ich miejsce mianowani zostali: min. Zdrowia — J. Kostrzewski, min. Finansów — S. Majewski i min. Spraw Wewnętrznych — K. Światała.
- 16-7-68 Przywódcy 5 państw komunistycznych wystosowali po konferencji w Warszawie wspólny list do Czechosłowackiej partii komunistycznej stwierdzający, że utrzymanie socjalizmu w Czechosłowacji „w obliczu ataków sił anty-komunistycznych” jest sprawą wszystkich państw Bloku. List utrzymany jest w tonie ultimatum. Przywódca rumuńskiej partii komunistycznej, Ceausescu, który nie brał udziału w konferencji warszawskiej, oświadczył, że żadne państwo nie ma prawa wtrącania się w wewnętrzne sprawy innego kraju.
- 17-7-68 Ukraińska Partia Komunistyczna przyznaje, że reformy w Czechosłowacji wywołały żądania podobnych reform wśród młodych pisarzy ukraińskich.
- 18-7-68 Czechosłowacja odrzuciła oskarżenia sygnatariuszy listu warszawskiego. Prezydenci: Tito i Ceausescu zapowiedzieli swe wizyty w Pradze. Nową politykę czechosłowacką poparli również przywódcy francuskiej i włoskiej partii komunistycznej.
- 20-7-68 Przywódcy czechosłowaccy oświadczyli, że nie podejmą rozmów z przywódcami sowieckimi dopóki wojska Układu Warszawskiego nie opuszczą terytorium Czechosłowacji.
- 21-7-68 Sowiety zażądały prawa stacjonowania swych wojsk na granicy czechosłowacko-niemieckiej.
- 22-7-68 Przywódcy sowieccy zgodzili się na spotkanie z przywódcami czechosłowackimi na terenie Czechosłowacji.
- 24-7-68 Rosjanie powołują rezerwistów na manewry wojskowe odbywające się wzdłuż całej zachodniej granicy sowieckiej.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

- Prowincjonalny dziennik węgierski *Köszörföld* wydrukował obszerne fragmenty czechosłowackiego „Manifestu 2000 słów” podkreślając, że Węgrzy powinni znać treść dokumentu, który jest przedmiotem powszechnej krytyki.
- W Nowym Sączu odbyła się konferencja pod-komisji FAO z udziałem delegatów z Francji, NRF, Szwajcarii, Austrii, Rumunii i Jugosławii.
- W Londynie zakończył się 21 Zjazd delegatów Kół SPK w W. Brytanii. Prezesem został ponownie wybrany S. Sobolewski.
- Wybitny socjolog prof. Z. Bauman, oskarżony przez władze PRL o inspirowanie demonstracji studenckich, zmuszony został do opuszczenia kraju.
- Zmarł wybitny pisarz rosyjski Aleksander J. Jaszin.
- Doroczne Nagrody Państwowe otrzymały w tym roku m.in.: T. Breza, K. Penderecki, A. Hanuszkiewicz i T. Łomnicki.
- W Londynie otwarto Katedrę Ukraińską.
- Węgry zawarły pierwszą umowę ze Wspólnym Rynkiem w sprawie ułatwień w eksporcie mięsa.
- Prasa brytyjska zamieszcza obszerne artykuły poświęcone Gallerii Grabowskiego z okazji setnej wystawy obrazów.
- W Moskwie zmarł znany pisarz rosyjski K. Paustowski.

DATA

POLITYKA

- 26-7-68 Prezydium Czechosłowackiej Partii Komunistycznej zniósło Urząd Kontroli Politycznej Armii, Policji Bezpieczeństwa i Sądownictwa. Szef tego Urzędu gen. V. Prehlik powrócił do czynnej służby wojskowej. Zdobył on rozgłos, jako czołowy krytyk przedłużającego się pobytu wojsk sowieckich w Czechosłowacji.
- 28-7-68 Spośród 21 partii komunistycznych w Europie Zachodniej tylko trzy: zachodnioniemiecka, zachodniobermberska i grecka, przyłączyły się do sowieckiej krytyki reform czechosłowackich. Stanowisko 4 innych partii: holenderskiej, luksemburskiej, irlandzkiej i północnoirlandzkiej jest nieznane. 14 partii poparło Dubczeka.
- 1-8-68 Po 4 dniowych rozmowach sowiecko-czechosłowackich w Ciernej nad Cisą w Słowacji, przywódcy czechosłowaccy zgodzili się przeprowadzić konferencję ze wszystkimi sygnatariuszami Listu Warszawskiego w Bratysławie.
- 3-8-68 Na konferencji w Bratysławie przywódcy komunistyczni 5 państw Bloku Sowieckiego przyznali prawo Czechosłowacji do przeprowadzania reform wewnętrznych. Jednocześnie Czechosłowacja potwierdziła swe związki z Układem Warszawskim i RWPG.
- 5-8-68 Między Izraelem a Jordanią doszło do wznowienia ograniczonych starć zbrojnych.

KULTURA I NAUKA

Prof. Leszek Kołakowski przyjął zaproszenie na wykłady na McGill University w Montrealu.

W Pradze powstał czeski Komitet Przygotowawczy Przyjaciół Kultury Polskiej. Przewodniczącym Komitetu jest prof. K. Kretz.

RÓŻNE

W Polsce wprowadzono zmiany w przywozowej taryfie celnej podwyższając m.in. cła na samochody, żyłki i materiały z włókien sztucznych.

Na 6 Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, pierwszą nagrodę przyznano piosence pt. „Odmieniec”.

Encyklika Papieska „Humanae Vitae” zabraniająca katolikom sztucznego zapobiegania ciąży, wywołała szeroką kontrowersję wśród wiernych i kleru.

W Moskwie zmarł 72-letni marszałek K. Rokossowski.

Jan Dunin-Karwicki, redaktor *Wiadomości Polskich* ukazujących się w Sydney, został odznaczony „Order of the British Empire” (M.B.E.) za swoją działalność dla imigrantów.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Glasgow, dnia 1 lipca 1968 r.

Proszę bardzo Pana Redaktora, o łaskawe zamieszczenie poniższego mego listu na łamach Pańskiego poczytnego miesięcznika.

W „Kulturze” Nr 4/198 z 1964 r. na str. 156 w dziale Komunikaty było ogłoszenie pt. III Konkurs Norwidowski Koła Artystów Plastyków Polskich w Argentynie.

Otóż po zastosowaniu się do warunków podanych wziąłem w Konkursie udział. Na próżno potem czekałem przez półtora roku na jakąkolwiek wiadomość. Wreszcie napisałem list. Po kilku miesiącach napisałem drugi. Znow bez rezultatu. Wreszcie w trzecim zagroziłem, że jeśli nie odpowiedzą, to w „Kulturze”, w której ogłosili konkurs, wyjawię że są szajką naciągaczy. O dziwo! Po tym liście otrzymałem odpowiedź. To upewniło mnie, że otrzymali i moje dwa poprzednie listy. Oczywiście odpisano, że mój list impertynencyjnie odłożono do archiwum jako dowód wdzięczności za ich poświęcenie się, oraz zawiadomiono, że rzekomo moje obrazy spóźniły się na datę otwarcia wystawy. Wyjaśniam, że obrazy wysłałem na 2 miesiące przed podaną datą wystawy. Żądałem ode mnie dowodów wysłania obrazów. Wysłałem po jednej kopii każdego dokumentu, jakie mi agencja wysyłkowa dostarczyła. Upłynęło znow 6 miesięcy. Powiadomiono mnie, że polecono komorze celnej w Argentynie odesłać obrazy nadawcy. Zaraz pocztą odwrotną wytknąłem im, że nie można polecać komorze celnej odsyłania obrazów, bo komora celna nie jest pocztą, ani agencją wysyłkową. Obrazy należy z komory celnej podjąć i mnie je odesłać.

W ostatnim liście, jaki od nich otrzymałem rok temu, niejaki Pedro Pawluczuk podał mi, że przez 3 lata składowe w komorze celnej urosło do takiej sumy, że nie są oni w stanie jej zapłacić. Stwierdza, że należą mi się obrazy albo ich równowartość w pieniądzu, bym więc podał mu „przemysłaną” ich cenę. Podałem przemysłaną cenę £ 50. Pomiąłem w tej cenie ich wartość artystyczną i sentymentalną (jeden był autoportretem z córką) — a podałem tylko wartość kosztu materiałów w obrazach i koszt ich wysyłki.

List ten, jak już nadmieniałem, otrzymałem rok temu. Od tego czasu znow głucho. Czekałem więc cztery lata. Nikt nie może mię posądzić o brak cierpliwości. Pozostało mi tylko wejść na drogę prawną przez mego adwokata, co na pewno w przyszłości uczynię.

Z wysokim poważaniem,

W. CYGAN

Paryż, 5 lipca 1968.

Drogi Panie Redaktorze,

Francuskie czasopismo literackie „Les Cahiers de l'Herne”, wydawane przez Dominique de Roux, zaproponowało mi objęcie redakcji numeru specjalnego, poświęconego Witoldowi Gombrowiczowi. „Les Cahiers de

l'Herne” wydały już numery specjalne dotyczące wyłącznie dzieł pisarzy takich jak Céline, Broges, Ezra Pound, Henri Michaux. Każdy z tych numerów liczy kilkadziesiąt stron i zawiera eseje krytyczne, inedita omawianych pisarzy, listy, wspomnienia i notatki ich znajomych.

Byłbym wdzięczny czytelnikom „Kultury” za przesłanie mi materiałów, które mogłyby wzbogacić ten numer. Mogą to być wspomnienia, świadectwa osobiste, uwagi krytyczne, artykuły o Gombrowiczu, które mogły ująć jego czy mojej uwagę. Nie mogę oczywiście ręczyć za zamieszczenie wszystkich nadesłanych mi tekstów, ale zobowiązuję się, w razie ich nie wykorzystania, do odesłania ich moim korespondentom, jeśli wyrażą to życzenie.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni,

K. JELEŃSKI
8, rue de la Vrillière,
Paris, 1^{re}.

Paryż, 7 lipca 1968.

Drogi Panie Redaktorze,

Moje „Notatki o majowej rewolucji” pisałem tak pośpiesznie że dopiero w druku widzę kilka błędów. Ograniczę się do wyjaśnienia że pytanie na str. 31 brzmi oczywiście: „Czy jest to ostatnia rewolucja XIX wieku, czy pierwsza rewolucja XXI wieku” a nie „XX wieku”. Mimo „post-impresjonizm” myślę, że należy pisać „poprzemysłowe” a nie „post-przemysłowe” społeczeństwo.

Łączę wyrazy szacunku,

K. JELEŃSKI

Canberra, 9 lipca 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystając z gościnnych łamów Pańskiego pisma pragnąłbym dotrzeć do tych wszystkich instytucji, bibliotek i osób prywatnych, które w ciągu ubiegłych trzech lat odpowiedziały na mój apel w sprawie księgozbioru polskiego w Bibliotece Australijskiego Uniwersytetu Narodowego (ANU) w Canberra.

Odzew na mój apel przeszedł wszelkie oczekiwania. Ze wszystkich stron świata nadeszły dary w postaci książek i w gotówce. Komitet Millennium w Canberra i pobliskim miasteczku Queanbeyan zebrał \$1.320 na zakup książek i urządzenie wystawy w związku z wręczeniem Uniwersytetowi księgozbioru w listopadzie 1966. Znaczną ilość cennych książek nadesłały Biblioteka Jagiellońska, Polska Akademia Nauk, Biblioteka Polska w Londynie, Instytut im. Sikorskiego w Londynie, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Polski Instytut Historyczny w Rzymie oraz wiele innych instytucji. Wśród ponad setki indywidualnych ofiarodawców pragnąłbym wyróżnić p. Lecha Paszkowskiego w Melbourne, p. Tadeusza Biernakiewicza w Sussex i p. M. Żyłę w Londynie, którzy nadesłali książki szczególnie wartościowe.

W lutym br. otrzymałem wiadomość od wdowy po zmarłym doktorze Zygmuncie Przybytkiewicz, byłym konsulu R.P. w Batawii a później w Sydney. Sp. Dr Przybytkiewicz polecił żonie przed śmiercią przekazać cały swój bogaty księgozbiór polski do mojej dyspozycji z przeznaczeniem dla biblioteki ANU. W wykonaniu ostatniej woli zmarłego odebrałem od p. Marii Przybytkiewiczowej ok. 1.200 tomów i przekazałem do biblioteki uniwersyteckiej.

Ten wspaniały dar, zasłużonego pracownika Polskiej Służby Zagranicznej,

wzbogacił księgozbiór polski. Niesposób dokładnie określić w tej chwili ile tomów on liczy. Praca nad rejestrowaniem i katalogowaniem posuwa się powoli i jest oczywiście pewna ilość dubletów. Najwartościowsze z dubletów przekazane zostały do Biblioteki Narodowej w Canberra, a pozostałe sprzedawane przez Komitet Millenium. Pieniądze uzyskane w ten sposób przeznaczone są na zakup dalszych pozycji, szczególnie antykwaryalnych. Można ocenić że w tej chwili księgozbiór liczy ok. 4.000 tomów. Ponadto biblioteka ANU z własnych funduszy zakupuje książki polskie za sumę \$A 600-800 rocznie. Biblioteka płaci również prenumeratę za kilkadziesiąt polskich periodyków naukowych i literackich.

Cały szereg pracowników naukowych ANU korzysta z księgozbioru polskiego. Można tu wyliczyć kierownika katedry lingwistyki, który napisał pracę o gwarach śląskich, filozofa który w swojej książce o Feuerbachu pisze o wpływach tego myśliciela na polską myśl filozoficzną w XIX wieku i doktoranta przy katedrze języka niemieckiego, który pisze pracę o Przybylskim. Rozwój studiów rosyjskich na tut. uniwersytecie przyspieszy niewątpliwie zorganizowanie planowanego od dawna lektoratu studiów polskich.

Dalsze dary w postaci książek polskich (szczególnie filozofia, historia, literatura) proszę adresować nie do mnie, a wprost do Polish Collection, Australian National University Library, Canberra, Australia. Można pisać po polsku.

Z poważaniem,

Jerzy ZUBRZYCKI

Zamieszczając list dr. Jerzego Zubrzyckiego wyrażamy pewne zdziwienie, że przy wylizaniu instytucji i osób, które dopomogły powstaniu Biblioteki ANU nie wymienili Instytutu Literackiego, który nie tylko propagował tę pożyteczną inicjatywę, ale z miejsca ofiarował i wysłał duży transport książek.

Redakcja.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Korespondent „Kultury” w Stanach Zjednoczonych: Leopold TYRMAND.
State University of New York at Albany, Social Sciences,
1400 Washington Ave., Albany, N.Y. 12203.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e Trimestre 1968

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmoreland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Terrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Lawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaternstrasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, Op. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.000 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Gulara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaks-Dabicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 28, Que., Tel.: 488-5224; B. Krasuski, 657 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 261 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 585-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 213-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 71	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SIWALCARIA : Marie Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tel.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SIWECJA : Norbert Zabo, Kaliskärgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Blenkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarow-Osetynski, 1603 N ^e Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziwanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Gallinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2306; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co. 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; M. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Prace, 219 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; B. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave., Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tel.: 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 157 — LEON MITKIEWICZ

**Z GEN. SIKORSKIM
NA OBCYZNIE**

(Seria „Dokumenty”)

Wspomnienia jednego z bliskich współpracowników gen. Wł. Sikorskiego, które wnoszą szereg nowych — sensacyjnych nieraz — informacji i naświetleń, rzucając nowe światło na postać Generała.
Str. 400. Cena egz. F. 23 (dol. 5,00)



TOM 158 — ALICJA IWAŃSKA

ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

Oryginalny pamiętnik znanego w St. Zjednoczonych socjologa studiów wśród Indian Mazahua (Meksyk), przeplatany wspomnieniami z Polski z Powstania Warszawskiego.

Str. 240

Cena egz. F. 15 (dol. 3,50)



TOM 159 — PIOTR GUZY

STAN WYJĄTKOWY

Nowa powieść autora *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego* jest fragmentem wielkiego fresku życia rodziny podczas okupacji niemieckiej i pod rządami PZPR.

Str. 144.

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50)



TOM 160 — JULIAN KULSKI

STEFAN STARZYŃSKI

**w mojej pamięci
(Seria „Dokumenty”)**

Wspomnienia najbliższego współpracownika i przyjaciela bohaterskiego Prezydenta m. Warszawy.

Str. 144.

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50)

Cena 7,50 F